

ŚLADY



ZBRODNI!

# ANNA JANSSON

Cykl z policjantką  
znaną z serialu  
**„Maria Wern”**



## KRUCHY LÓD



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

ŚLADY



ZBRODNI

# KRUCHY LÓD

Cecilia, czternastoletnia córka pastora z Kronviken, nie wróciła do domu po organizowanym w szkole wieczorze filmowym. Następnego dnia jej ciało zostało znalezione na torach kolejowych.

Wybucho panika. Lokalna społeczność za wszelką cenę próbuje znaleźć winnego. Wśród podejrzanych są szkolny woźny i uchodźca z Egiptu. W sprawę zamieszany jest też tajemniczy użytkownik portalu społecznościowego, który namierza w internecie kolejną ofiarę.

Czy komisarz Maria Wern zdoła rozwiązać zagadkę, nim morderca zaatakuje ponownie, a mieszkańcy Kronviken wymierzą sprawiedliwość na własną rękę?

*Kryminały Anny Jansson mają głębię rzadko spotykaną w innych powieściach tego gatunku.*

*„Länstidningen Södertälje”*

**Cykl z Marią Wern:**

*Ofiary z Martebo*

*Kruchy lód*



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5211-4

EAN 9788327152114

U.WD.KRW042.1.01.01

ANNA JANSSON

# KRUCHY LÓD

Tytuł oryginału:  
DRÖMMAR UR SNÖ

Tłumaczyła:  
Magdalena Wiśniewska

2014

Powiedzieli, że zakwitnie  
— tam gdzie śnieg i ciemna noc;  
że ta światłość przez nas śniona  
wyda ziarno wyda owoc.  
Powiedzieli, że zakwitnie  
tak jak kwitną brzozy, lipy.  
Ale dłonie nasze puste,  
a źrenice ślepe.

Ze zbioru *Z wieloma różnobarwnymi lampionami*

Nilsa Ferlina

1

— Jesteś zobowiązany do milczenia. — Słowa zabrzmiały bardziej jak zakłęcie niż stwierdzenie. — Jesteś związany tajemnicą, twoje usta są zakneblowane, a ja, Rune Villman, mam klucz do twojego zamkniętego pokoju.

— Tak, jestem zobowiązany do milczenia — odpowiedział Johannes Ståhl uprzejmie i rozpiął koloratkę. W bibliotece na plebanii było ciepło. W kominku skrzyły się brzoźowe drwa. Na twarzy pastora pojawiły się rumieńce. Zdjął marynarkę i położył ją na oparciu fotela, następnie podwinął czarne rękawy koszuli. Zrobił to jednak nie tylko z powodu odczuwanego ciepła. Nieświadomie pastor dopasowywał swój ubiór do rozmówców: raz do ludzi prostych, innym razem do uczonych w garniturach.

Za wysokimi oknami padały duże białe płatki śniegu, układając się na szybach w nieregularne wzory. Rune Villman pochylił się nad stołem. Rękaw znoszonego swetra musnął filiżankę z ręcznie malowanej porcelany, gdy sięgnął po kolejny kawałek piernika. Johannes przysunął talerz z poczęstunkiem bliżej chłopaka, co nie wprawiło go bynajmniej w zażenowanie.

— Tego, co teraz pastorowi powiem, nie może pastor nikomu powtórzyć, ni-ko-mu. Ten sekret musi pastor zabrać ze sobą do grobu.

— Oczywiście — zgodził się lekko zdziwiony Johannes. — To, co powierzasz mi w zaufaniu, zostanie między nami.

— A jeśli nieopatrznie pastor się wygada, co się wtedy stanie? — spytał Rune i pochylił się tak mocno w kierunku Johannaesa, że odebrał on to jako pewną nachalność.

— Wtedy zawiodę siebie, mojego Boga i pohańbię stanowisko, które piastuję. Dostanę karę więzienia i nie będę mógł pracować jako pastor. Możesz być spokojny. Dochowam tajemnicy.

Rune wbił się głębiej w fotel i zaplótł dłonie na kolanach. Jasne, rzadkie włosy skleiły mu się na czole, przygniecione przez mokrą wełnianą czapkę, którą położył wcześniej na podłodze. Trząsał się pomimo panującego na plebanii ciepła. Jego wzrok wędrował po pokoju, omiatał całe pomieszczenie, zwracając uwagę na szczegóły: biurko z szarego marmuru, kryształowy żyrandol z przykurzonymi pryzmami, białego wypchanego gołębia z rozpostartymi skrzydłami na najwyższej półce imponującego regału. Szklane okno na kalenicy dachu, oblane żarzącymi się kolorami wschodzącego słońca, nadawało bibliotece sakralny charakter. Przekreślały go porzucone pod stołem, znoszone i brudne buty pastora. Jego stopy wślizgnęły się pod krzesło. Na jednej ze skarpetek, przy dużym palcu, widniała dziura. Przyjemnie było odkryć tę rysę na ideale... Wszystkie te myśli pojawiły się w głowie Runego Villmana w jednej chwili, rozpraszając jego umysł.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał Johannes.

Rune poderwał się, chwycił mocno brzeg stołu obiema rękami, aż jego kostki zbieleły. Koncentrując się na starannie przećwiczonej kwestii, wyrzucił z siebie kolejne słowa:

— Proszę mnie wysłuchać i obiecać, że będzie pastor milczał. Proszę obiecać, że nie zdradzi pastor tego nikomu.

— Obiecuję. — Johannes czekał cierpliwie.

— Nic nie mogę na to poradzić, po prostu nie mogę się temu oprzeć — wyszeptał Rune, nie patrząc pastrowi w oczy.

Ten kiwał głową ze zrozumieniem. Na chwilę zapadła cisza. Chłopak kręcił się na fotelu, szukając w głowie odpowiednich słów. Kwaśna woń potu i wilgotnej wełny swetra docierała do nozdrzy pastora za każdym razem, gdy Rune zmieniał pozycję.

— Czemu nie możesz się oprzeć? — Johannes odchylił się do tyłu, zniżył głos i wolno wypowiadał słowa, próbując uspokoić roztrzęsionego rozmówcę. Właściwie miał zupełnie inne plany na niedzielny wieczór niż udzielanie wsparcia duchowego. Rodzina czekała. Ale cóż miał począć, skoro woźny tak usilnie nalegał na tę rozmowę? Jak powszechnie wiadomo, pastorowie nie mają normowanego czasu pracy.

— Czemu nie możesz się oprzeć? — powtórzył Johannes, próbując nakłonić chłopaka do zwierzeń.

— Zapachowi — odpowiedział szybko Rune i ukrył twarz w dłoniach. Przypominał przestraszoną małą, którą Johannes widział w skansenie przed wieloma laty. Małe małe piątko zakrywające łapkami mordkę, kiedy się na nie patrzyło, tak wzruszające w swej nieśmiałości. Pastor odgonił tę myśl i przybrał minę, jakiej wymagała sytuacja.

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Pracuję w szkole jako woźny. Na początku semestru wymieniałem uszczelkę w kranie pod prysznicami przy przebieralni dla dziewcząt. Zauważyłem, że trzeba wymienić kafelki. Wilgoć im zaszkodziła. Fugi były zupełnie czarne. To niezdrowe.

Rune zasłonił usta dłonią. Wziął głęboki, świszczący oddech i zerknął na Johannessa, by obserwować jego reakcję oraz upewnić się, że jest słuchany. Na bladych policzkach chłopaka pojawił się wyraźny rumieniec.

— Ich słodkie ubranka wisały tam na wieszakach albo leżały w kupkach, tak jak dziewczęta je zostawiły. Nie chciałem niczego ruszać. Proszę nie myśleć, że chciałem ruszać ich rzeczy. Ale na ławce leżał różowy staniczek. W różową panterkę. Lubię panterkę. Był taki ładny. Lubię panterkę i nie mogłem się powstrzymać, żeby... — słyhać było, jak Rune przełyka ślinę — ...żeby się schylić i... go nie powąchać. Przezroczyste ramiączko musnęło moje usta. Ukląknę, żeby lepiej poczuć zapach, i wtedy ktoś zapukał od strony sali gimnastycznej. Bardzo się przestraszyłem. Tak bardzo, że wziąłem ten stanik i włożyłem do kieszeni kamizelki. Nawet nie zdążyłem pomyśleć, co robię. Nie chciałem go zabrać. Svante — nauczyciel WF otworzył drzwi. Powiedziałem, że upuściłem klucz na podłogę. Na szczęście nie miał czasu, żeby pomóc mi w poszukiwaniach. Nauczyciel martwił się o kilku uczniów, którzy nie przyszli na zajęcia, i chciał sprawdzić, czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz. Sprawdziłem i stanik został w mojej kieszeni.

— Od jak dawna masz tę skłonność? — zapytał Johannes. Chciał napomknąć, że Svante Henningsson przestał pracować jako nauczyciel WF kilka miesięcy temu. Krążyły różne plotki, ale pastor nie chciał ich słuchać.

— Nie wiem. — Rune zamilkł na chwilę i zaczął skubać swój rękaw.

Pastor zerknął ukradkowo na zegarek — to na pewno potrwa. Reidun czekała już z jeżdżeniem. Obiecał jej, że spędzą razem miły wieczór w domu. Rzadko mieli taką okazję.

— Co najbardziej gryzie cię w tej chwili? — spytał, wciąż mając nadzieję na zwięzłą i owocną rozmowę. Jednocześnie wstydził się trochę, że próbuje ponaglać mężczyznę, którego dusza najwyraźniej jest w potrzebie.

— Nie rozumie pastor? Zabrałem stanik. To była kradzież. Chciałem go oddać, więc uchyliłem drzwi do przebieralni. Ale dziewczęta były już wtedy w środku. Przemknęły obok drzwi w swoich ręcznikach i widziałem, jak jedna z nich szuka swojego stanika. Było za późno. Nie mogłem nic zrobić. Gdybym otworzył drzwi, zaczęłyby krzyczeć.

— Też tak myślę — zgodził się Johannes. — I co zrobiłeś?

— Położyłem go na stole u Svantego. Nauczyciel WF ma własną przebieralnię, rozumie pastor. Położyłem stanik na jego biurku i miałem nadzieję, że dopilnuje, by trafił do odpowiedniej osoby.

— Czy właśnie to tak cię gryzie? Że nie wiesz, czy dostała go z powrotem? — Johannes przymknął oczy, nie chcąc ujawnić, co sądzi o marnowaniu wieczoru z tak idiotycznego powodu.

— Nie, niezupełnie. Ale tęskniłem za nim. Tęskniłem za zapachem. Zwykle nie opuszcza mnie do czasu, gdy go nie zidentyfikuję, nie rozłożę na czynniki pierwsze. Czasami trwa to dniami, tygodniami. Ale w końcu zawsze mi się udaje — w głosie Runego pobrzmiwał ton dumy. Wyprostował się na krześle z nieco wyniosłą miną.

— Wydaje się, że nie ma powodu do zmartwień. Nie ma w tym nic złego, że lubi się zapach. — Johannes zacisnął zęby, z trudem powstrzymując narastającą irytację.

— Nie rozumie pastor? Zacząłem śledzić te dziewczęta. W czasie przerw śniadaniowych jeździły czasami autobusem do miasta. Siadałem na końcu autobusu i obserwowałem je z bezpiecznej odległości. Nawet z daleka czuję ich zapach. Jeśli skupię się na jednym zapachu, wyluskuję nutę serca i nutę głębi z perfum, których ktoś używa, i docieram do tego czegoś, co musi być feromonami. Zapach samego ciała. Babcia Rut mówi, że nie powinienem tak chodzić za ludźmi. Może ich to złościć. Kiedyś siadałem sobie w kawiarni naprzeciwko działu damskiego w domu towarowym. Widziałem stamtąd, jak dziewczęta wybierają ubrania i wchodzi z nimi do przebieralni. Na początku tylko tyle. Dziewczyna od tego stanika kupiła dezodorant. Kiedy wyszły ze sklepu, poszedłem tam i kupiłem taki sam.



Był na nim obrazek konwalii, miał konwaliowy zapach. Nie używałem go. Nie śmiałem. Jedynie go wąchałem, gdy sobie fantazjowałem wieczorami. Ale teraz jest dużo gorzej.

— To znaczy? Co masz na myśli? — Johannes starał się ukryć swoje niezdecydowanie, próbując upić łyk z dawno już opróżnionej filiżanki.

— Kupuję ubrania, które przymierzają dziewczęta. Bieliznę. Krótkie koszulki. Czasami jest w nich jeszcze ich zapach. Czy to grzech?

Johannes zmrużył oczy i zamyślił się. Co miał odpowiedzieć? Myśli błądziły bezładnie. Poczł na sobie wzrok Runego i odchrząknął:

— Szczerze mówiąc: nie wiem. Czy nie masz jakichś innych zainteresowań? Przyjaciół, z którymi wspólnie mógłbyś czymś się zająć?

— Tylko ludzi, których spotykam w Internecie. — Rune zakręcił przed sobą filiżanką, tak nieostrożnie, że Johannes musiał się z całej siły powstrzymać, żeby go nie upomnieć.

— Nie masz żadnego innego towarzystwa? Jakichś rówieśników?

— Babcię i jeszcze pastora. — Rune odłożył filiżankę, poobracał jeszcze kilka razy spodeczek, zanim, co Johannes przyjął z ulgą, jego dłonie spoczęły na kolanach.

— Rozumiem, że jest ci trudno, że twoje życie jest skomplikowane, i chciałbym ci jakoś pomóc. Ale nie wiem jak. Chciałbym, żebyś porozmawiał z jakimś dyplomowanym terapeutą. Znam jedną bardzo mądrą kobietę. To moja dobra przyjaciółka.

— Nie, nie! Nigdy. Nie może pastor o tym nikomu powiedzieć. Obiecał pastor. Złożył obietnicę przed swoim Bogiem.

— Tak, obiecałem i nic nie powiem, jeśli sobie tego nie życzysz. — Johannes przygryzł dolną wargę.

— Jeśli zbierze się do buteleczki pot dziewic, można sporządzić z niego eliksir życia, który daje wieczną młodość. Czy Bóg mnie ukaże, jeśli będę próbował stworzyć wieczne życie? — Rune całym sobą wyczekiwał odpowiedzi. — Czy ukaże mnie chorobą albo śmiercią?

— Nie ten Bóg, w którego wierzę — odpowiedział pastor. — Ale sam wyrządzasz sobie krzywdę, nie przyjmując pomocy od osoby, która mogłaby ci jej udzielić. Szkoda.

— W takim razie nie mam już nic do powiedzenia. — Rune wstał gwałtownie.

Johannes uniósł dłoń na pożegnanie, ale zaledwie zdążył się podnieść, chłopak był już przy drzwiach.

— Odezwij się jeszcze, gdy będziesz miał taką potrzebę. — Pastor chciał powiedzieć dużo więcej, ale nie znalazł słów, targany sprzecznymi uczuciami. Kiedy drzwi do biblioteki zamknęły się za szczupłym woźnym, Johannes nadal siedział przed kominkiem, bezwiednie grzebiąc pogrzebaczem w palenisku. Ogień skrzył się i skwierczał. Gorąco omiotło kolana pastora. W jego okularach odbijały się płomienie. Obserwował właśnie obraz piekła, będący wytworem ludzkich zmysłów.

Johannes usłyszał, jak za oknem pług odśnieża żwirową drogę. Pomarańczowe światło odbijało się w kryształkach żyrandola i lustrze na ścianie, rzucając refleksy na pasiastą tapetę. Pług szorował o pokryty lodem kamień. W tym hałasie nie usłyszał, jak żona bezszelestnie przemyka się za kotarą. Reidun szła właśnie, aby włożyć kilka wymaglowanych prześcieradeł do szafki z pościelą, gdy usłyszała fragment wyznania woźnego. Przystanęła na chwilę, choć wiedziała, że nie powinna podsłuchiwać. Ale co miała zrobić? Najcichszy dźwięk przeszkodziłby w tej poufnej rozmowie. To nie była oczywiście cała prawda, lecz zaledwie większa jej część, do której potrafiła przyznać się sama przed sobą. To było obrzydliwe. Johannes wydał się jej taki słaby. Nie potrafił przywołać faceta do porządku i udzielić mu reprimendy.

Kiedy Reidun okrążyła dom i otworzyła drzwi do biblioteki z drugiej strony, mąż siedział wciąż przed palącym się ogniem. Trochę przygarbiony i krótkowzroczny, z widoczną łysiną, wyglądał znacznie starzej niż na swoje, dopiero co skończone, pięćdziesiąt lat. Jego wysokie, zdecydowanie zbyt chude ciało odzwierciedlało odczuwane zwątpienie człowieka samotnego i niezdolnego do udzielenia pomocy. Poczula, jak wzbiera w niej czułość, ale powstrzymała nagły impuls, aby go objąć.

— Obiad gotowy — powiedziała lekkim tonem.

Posłał jej przelotny uśmiech.

— Cudownie. Zaraz przyjdę.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Johannes podszedł do pomalowanej szafki ściennej i wyjął butelkę koniaku. Robił to niezwykle rzadko, wyłącznie przy szczególnych okazjach. Gdy uczestniczył w naukach przed bierzmowaniem, nauczono go, że alkohol należy pić

tylko, gdy ma się dobry nastrój. W przeciwnym wypadku tylko pogarsza się sprawę. Johannes wlał do kryształowego kieliszka kilka kropel i wypił trunek. Od każdej reguły jest wyjątek.

## 2

Rozmyślanie o wyznaniu woźnego pochłonęło Johannesesa w drodze do kuchni. Gdzie przebiega granica między prawem do fantazjowania a wyznaczonym przez rzeczywistość umiarem? Czy Rune nie posunął się o krok za daleko, gdy zaczął śledzić dziewczęta? Fiksacja na zapachach. W średniowieczu zwykle karano nieposłusznych ludzi odcięciem nosa. Nos... — ta część ciała, która prowadziła duszę do zguby. W kontekście najnowszych odkryć dotyczących feromonów można zobaczyć jakiś sens w tym rozumowaniu. Jeśli jakaś część ciała skłania cię do grzechu, odetnij ją. Johannes otrząsnął się z tych dziwnych myśli i stanął przed drzwiami pokoju swojej córki. Patrzył z dumą na Cecilie siedzącą obok swojej przyjaciółki, nieśmiałej Amandy. „Moja Cecilia, moja ukochana Cecilia” — pomyślał. Długie, związane w kucyk blond włosy i żywiołowe gesty tak bardzo przypominały mu jego zmarłą pierwszą żonę. W jednej chwili do oczu napłynęły mu łzy. Może to pod wpływem wypitego koniaku, ale nie tylko. Czuł również coś innego. Niepokój. „Życie pełne jest czegoś, o czym nic jeszcze nie wiesz, moje dziecko. I nie wiem, jak mam cię chronić, nie pokazując ci, jak straszny i brzydki jest ten świat”.

— Idziecie jeść? — Z kuchni dobiegło wołanie.

— Reidun zaprasza na obiad. — Johannes uśmiechnął się szeroko do obu młodych dam i wszedł do pokoju. Ostrożnie stąpał wielkimi stopami między puszkami coli, brudnymi ubraniami i strojami treningowymi, zmierzając w stronę komputera, przed którym w pełnym skupieniu siedziały dziewczynki.

— Nie jestem głodna — rzuciła Cecilia, nie odrywając wzroku od ekranu. — Zjadłam już kilka kanapek.

— Może jednak coś przekąsisz? Reidun czeka na nas z jedzeniem.

— Tato — szepnęła Cecilia i Johannes podszedł bliżej, żeby usłyszeć, co chciała mu powiedzieć. — Nie lubię jej jedzenia. Jest obrzydliwe. Nie umie gotować tak jak mama. Okropnie mi to nie smakuje! Gotowana brukselka śmierdzi jak bąki dzika.

— Nie mów tak. Daj jej szansę. Czy nie mogłabyś mimo wszystko choć spróbować? Inaczej będzie jej przykro — prosił ściszym głosem.

— OK. Ale tylko dlatego, że mnie o to prosisz — zgodziła się Cecilia, ściskając jego ramię. W oczach Johanna pojawił się uśmiech, który następnie rozlał się po całej twarzy i przeszedł w donośny śmiech.

— Może chcesz dotrzymać nam towarzystwa? — teraz zwrócił się do Amandy. — Reidun postawiła dodatkowe nakrycie.

— Nie, dziękuję! Posiedzę tu przy komputerze. Wrócisz zaraz, Cissi?

— A jak myślisz? — Cecilia odwróciła się i przewróciła oczami, następnie udała się za ojcem do kuchni.

Zapach lekko przypalonego steku i gotowanej brukselki osiągnął apogeum.

— Odgrzewam obiad już od jakiegoś czasu. Nie będzie tak smaczny, jak chciałam — powiedziała Reidun z wyrzutem w głosie. Zdjęła fartuch w paski i wygładziła dłonią spódnice. Szttywnym ruchem wcisnęła miskę z ziemniakami między półmisek z mięsem a sjsjerkę, zdjęła folię z sałaty i zgarnęła chochlą kożuch z sosu.

Cecilia zlustrowała Reidun od stóp do głów, zatrzymując wzrok na swetrze, który zmarszczył się na biuście i pogardliwie zmrużyła oczy. Johannes odchrząknął.

— Bardzo ładnie nakryłaś. Dobrze będzie coś zjeść. — Usiadł przy krótszej krawędzi stołu i energicznym gestem położył serwetkę na kolanach. W tej samej chwili w bibliotece zadzwonił telefon.

— A niech to! — Johannes podniósł się z niechęcią.

— Nie odbieraj — poprosiła żona. Ale był już w połowie drogi.

Cecilia rzuciła szybkie spojrzenie w kierunku macochy i oceniła sytuację.

— Nie jestem głodna — oznajmiła wystudiowanym, przeciągłym tonem.

— No nie! — Reidun przyłożyła dłoń do ust. — Myślałam, że lubisz steki w sosie śmietanowym. To głównie z myślą o tobie je zrobiłam. Johannes opowiadał, że gdy byłaś mała, mówiłaś, że brukselka wygląda jak sałata dla dzieci. Powiedział, że będzie ci smakowała.

— No i co z tego, teraz już jej nie lubię. Kiedyś lubiłam — powiedziała Cecilia, akcentując mocno słowo „kiedyś”. Przy stole zapadła cisza. Reidun podała jej półmisek z mięsem, ale dziewczyna zignorowała go. Z wyraźnym niesmakiem przyjrzała się pokrojonym kawałkom i odwróciła głowę. W kąciku oka pojawił się triumfalny błysk, kiedy zauważyła, jak dłoń kobiety ugina się pod ciężarem półmiska i odmawia jej posłuszeństwa. Jej nadgarstek drżał.

— Nie, dziękuję. Nie przepadam za spalonym mięsem — oświadczyła.

Reidun opuściła półmisek. Spokojnym ruchem nałożyła sobie porcję na talerz. Na obrus skapnęła kropla, którą pospiesznie starła palcem wskazującym i włożyła do ust. „Obrzydliwość” — sygnalizowało spojrzenie oczu Cecylii, które zmieniły się na powrót w czarne szparki. Reidun udawała, że się tym nie przejmuje.

— Wygląda na to, że spadnie więcej śniegu — powiedziała. Cecilia przyjrzała się swoim paznokciom i zeszkrobała zębami płat lakieru z kciuka. Przejechała językiem po przednich zębach, dokonując rytuału oczyszczenia o wyraźnie prywatnym charakterze, i wyrzała przez okno, nie wygłaszając żadnego komentarza. Zabawa w udaję-że-cię-tu-nie-ma należała do jej ulubionych.

— Ale przynajmniej odśnieżyli — ciągnęła Reidun łamiącym się głosem. Cisza narastała. — Mam nadzieję, że śnieg utrzyma się do świąt. — Słowa odbiły się echem w pustej przestrzeni między nadawcą a odbiorcą.

Już nie dało się nawet nic przełknąć. W ustach czuć było tylko smak płaczu, rozgotowanej brukselki oraz gumy piankowej. Cecilia wypila mleko, wzięła rozgotowanego ziemniaka i rozbabrawszy go na talerzu, demonstracyjnie wstała od stołu.

— Jest też deser. Truskawki z bitą śmietaną. — Podjęła kolejną próbę Reidun, lecz nie otrzymała odpowiedzi. Pomimo poniesionej klęski poczuła ulgę, gdy Cecilia wróciła do swojego pokoju. Wzięła głęboki oddech i przyłożyła dłonie do swoich rozpalonych policzków.

— No i normalnie do mnie podszedł. Po prostu umarłam. Był tak zajebiście przystojny. Ciemny, chociaż grzywkę miał trochę jasną. I zajebista klata. Jezu, jakie mięśnie. Powiedział do mnie: „Cześć, Cissy” i popatrzył mi tak słodko w oczy, wiesz.

Amanda zachichotała i przyciągnęła krzesło bliżej komputera, żeby przeczytać wiadomość od Cissy, nie założwszy okularów, które były w jej przypadku tak wskazane. Leżały na dnie szkolnej torby i rzadko oglądały światło dzienne.

— Musiał się dowiedzieć od kogoś, jak się nazywasz. — Dziewczyna zmrużyła oczy, patrząc w ekran komputera.

— Może widział moje zdjęcie na Lunarstorm<sup>1</sup>? Jak sądzisz? Mógł sprawdzić w „rötter”<sup>2</sup>, do jakiej szkoły chodzę. Boże, ale się denerwuję! To się nie dzieje naprawdę. Może czytał mojego bloga w necie, jeśli sprawdził mój nick. *Shit!*

— Może czatowałyśmy z nim? Nie przyszło ci to do głowy? — zapiszczała Amanda. — I nie wiedziałyśmy, że to ON.

Cissi krzyknęła i wstając, przewróciła krzesło. Zaczęła machać rękami w powietrzu tak, jak się to robi, żeby lakier na paznokciach szybciej sechł.

— O Boże! Myślisz? Myślisz, że mógł odpowiedzieć?

Johannes, który właśnie przechodził obok drzwi, kiwnął sam do siebie głową. Dobrze, że dziewczęta brały nauki przed bierzmowaniem na poważnie. „O Boże, myślisz, że mógł odpowiedzieć... na moją modlitwę?” Nawet jeśli w czasie lekcji ich zainteresowanie było umiarkowane, to najwyraźniej zostawiły one jakiś ślad. Najlepiej będzie zostawić je w spokoju.

Reidun stała przy zlewie, gdy Johannes wszedł do kuchni.

— Przykro mi, że nie udało nam się razem zjeść — powiedział. — Znowu dzwoniła Gudrun Wern. Musiała ze mną chwilę porozmawiać.

— Jasne. — Kobieta uśmiechnęła się powściągliwie. — Ktoś znowu położył łyżkę po złej stronie filiżanki na spotkaniu przy kawie w kościele czy może Elvira Bredström miała za krótką spódnice?

---

1 Lunarstorm — szwedzki portal społecznościowy dla nastolatków (przyp. red.).

2 Rötter — rodzaj genealogicznej wyszukiwarki internetowej (przyp. red.).

Johannes uśmiechnął się przeproszająco, przyłapany na myśli, do której nie bardzo chciał się przyznać.

— Chciała poczynić wyznanie, w imieniu swojego sąsiada, że jego rozmowa z Elvirą Bredström była zdecydowanie zbyt długa i poufna.

Gudrun zasugerowała coś takiego mężowi Elviry. Mąż przedstawił swoje oskarżenia żonie, a Elvira odparła atak zeznając, że Gudrun nie starła porządnie kurzu z ram obrazów, kiedy była jej kolej na sprzątanie parafii. Co z kolei doprowadziło do tego, że Gudrun odmówiła śpiewania tym samym głosem co Elvira w chórze w pierwszym tygodniu adwentu. Johannes wyobraził sobie Gudrun Wern wśród sopranów i wzdrygnął się. Gdy tylko próbowała sięgnąć wysokich tonów, jej wibrato rujnowało całą melodię. Dźwięk ten raczej nie współgrał ze świątecznym nastrojem.

— Wyglądasz na zmęczonego, Johannesie.

— A ty wyglądasz kwitnąco, Reidun. Jesteś taka piękna, że aż sprawia mi to ból. — Objął ją. — Bardzo cię kocham i bardzo cieszy mnie to, co dla nas robisz. Urządzimy sobie fajny wieczór razem we troje.

Na twarzy Reidun pojawił się brzydki grymas, gdy skryła się w jego objęciach. Nie odezwała się jednak ani słowem.

— A Tom? — spytała Amanda zdziwiona i upiła łyk coli z puszki.

— Powiedziałam mu, że to koniec. Wyglądał jak głupek, prawda? — Cissi Ståhl śmiała się tak, że jej kucyk podrygiwał, a cała konstrukcja aparatu nazębnego ujrzała światło dzienne. — Wyglądał jak cholerny palant, kiedy wysłałam do niego SMS-a i z nim zerwałam. Widziałam go przez okno klasy, ale on mnie nie dostrzegł. Kurde, ale głupkowato wyglądał.

— Tom? Dlaczego zerwałaś z Tomem? — Amanda zmarszczyła brwi z niedowierzaniem.

— To skończony palant. Wydaje mu się, że jestem jego własnością. *IQ light*, co nie? Będę robiła, kurde, to, na co mam ochotę.



— Jasne. — Amanda pospieszyła z zapewnieniem. — Ale przecież dopiero co zaczęliście się znowu spotykać.

— Chyba można zmienić zdanie — syknęła Cissy i wysunęła dolną szczękę.

— A ten... ten koleś, który powiedział do ciebie „Cześć, Cissy” na mieście, spotkałaś go już kiedyś?

— Nie, zapamiętałabym go, przecież wiesz. Był taki zajebiście przystojny. Miał na sobie skórę. I podszedł do takiego czerwonego samochodu. To chyba była toyota albo jakiś inny amerykański samochód.

— Toyota nie jest amerykańska — poprawiła ją ostrożnie Amanda, otrzymując w odpowiedzi nienawistne spojrzenie Cissy.

— Co to kogo obchodzi? Ma prawo jazdy. To nie jest jakiś tam małolat, czaisz?

— Myślisz, że z nim czatowałyśmy? — spytała Amanda ostrożnie. Musiała przywrócić wcześniejszą komitywę. Niepokój wywołany nadąsaną miną Cissy nie był bezpodstawny.

— *Shit! Holy shit!*<sup>3</sup> Co mogłam powiedzieć? Kim on jest? Jaki może mieć nick? Raczej nie Sexyguy, bo to Niklas z dziewiątej klasy, tak powiedział Jocke. Hard\_bullets i Rockycol są z ósmej B, ale może to Fuck\_you albo Dreamboy. Myślisz, że to Dreamboy?

— Powiedział tylko „Cześć, Cissy”? Nic więcej się nie wydarzyło?

— Chciałabyś pewnie wiedzieć, co? Jechałam jego samochodem. Wysiadł z niego i otworzył mi drzwi. Superbajer. A później, jak zeszliśmy do portu...

Przerwało im chrząknięcie Johanna. Wszedł do pokoju.

— Amando, chyba czas już wracać do domu. Zdecydowaliśmy, że niedzielne wieczory spędzamy razem z rodziną. Jeśli chcesz, zapraszamy z powrotem jutro rano. — Uśmiechnął się przepaszająco i poszedł w dół schodami do piwnicy, w kierunku kotłowni.

— Dziwnie mówi ten twój tata — stwierdziła Amanda, gdy kroki ucichły.

— Tak myślisz? — Cissi w zamyśleniu przygryzła dolną wargę. — To dlatego, że jest tak strasznie stary. Tak kiedyś mówiono.

---

3 Shit! Holy shit! (ang.) — Cholera! Jasna cholera! (przyp. red.).

— Jak zorganizujemy dzisiejszy wieczór, żeby wszyscy byli zadowoleni? — Johannes spojrzał z entuzjazmem na swoje kobiety.

— Na dwójce jest dobry film — powiedziała Reidun i wyciągnęła rękę po program telewizyjny leżący pod stertą papierków po cukierkach. Pierwsze strony były sklezione gumą do żucia, a ostatnia rozerwana na środku.

— Myślałem, że może spędzimy wieczór bez telewizji. — Johannes uśmiechnął się łagodnie i przepaszająco.

— Niech Cecilia zdecyduje. — Reidun zagłębiła się w sofie.

— W takim razie chcę zagrać w szachy. Tak dawno nie graliśmy w szachy, tato. Proszę. Jesteś mi winny rewanż.

— Oczywiście. W takim razie ustalone, moje serce — odpowiedział Johannes nieco skonsternowany i zadowolony, że córka tak chętnie chce brać udział w rodzinnym wieczorze. Szybkim krokiem udał się po szachownicę. Miał nadzieję, że się nie rozmyśli.

„Wielkie dzięki — pomyślała ze zrezygnowaniem Reidun. — Ile osób potrzebnych jest do gry w szachy?”.

### 3

— Pójdę wstawić pranie — oznajmiła Reidun.

Nie odpowiedzieli. Cecilia bujała w prawo i w lewo swoją białą wieżą. Johannes miał szeroki uśmiech na twarzy i był całkowicie pochłonięty grą.

— Jaki będzie twój kolejny ruch, moje słonko?

— Taki. — Cecilia podniosła gońca i zbiła wieżę Johanesa.

— Tego się zupełnie nie spodziewałem. — Ojcowska duma rozpromieniła jego twarz. Przepęłniło go ciepło.

— Umie więcej, niż ci się wydaje.

— Ach tak. Rozumiem. — Pastor zaśmiał się, bawiąc się czarnym koniem.

Reidun przedrzeźniała go cicho pod nosem, gdy stąpała ciężko po schodach, niosąc kosz z praniem. „Rozumiem — naśladowała go, drapiąc się po głowie. — Rozumiem. Nic nie rozumiesz, kompletnie nic. Manipuluje tobą bez najmniejszego problemu. Aniołek tatu-sia. Ale ten, kto zajmuje się praniem, widzi inne rzeczy niż ten, kto chodzi z głową w chmurach. Dym papierosowy, plamy po winie i bielizna, która wywołałaby rumieniec na twarzy Elviry Bredström, mówią same za siebie. Dlaczego czternastoletnie dziewczynki noszą stringi z czarnego śliskiego materiału i push-upy z silikonowymi wkładkami? Czy to mają być protezy wyczekiwanej dojrzałości? Ani się nie obejrzysz, a niedojrzałe jabłko spadnie z drzewa. Po co ten pośpiech? Czy napawające obietnicą małe pączki nie wystarczą?”. Reidun pamiętała, że gdy była w wieku Cecylii, nie nosiła nawet biustonosza, może tylko koszulkę. „I jeszcze ten aparat. Dlaczego uśmiechy wszystkich nastolatków mają być identyczne, jak te w reklamie pasty do zębów? To przecież dzieci! Czy równe uzębienie zwiększy ich atrakcyjność na rynku małżeńskim? I jaka jest właściwie różnica między hi-

sterią naszej kultury na punkcie aparatów a azjatyckim zwyczajem krępowania dziewczęcych stóp, aby stały się małe i śliczne?”.

Na podłodze pod łóżkiem w pokoju Cecilii leżała otwarta gazeta. Reidun przebiegła wzrokiem po tekście i zdębiała. „Jaki przekaz niosą magazyny dla nastolatek, jeśli ekspert od relacji międzyludzkich odpowiada w swojej rubryce na pytania takie, jak: »Czy można uprawiać seks oralny samemu ze sobą« albo »Ile kalorii zawiera porcja spermy?«. Czy czternastolatki same zadają takie pytania? Nie sądzę. W grę wchodzi raczej psychiczny gwałt”. Nie dalej niż wczoraj Reidun słyszała, jak kilku młodych chłopców rozmawiało o wychowaniu seksualnym w szkole. Jakiś nadgorliwy nauczyciel na zastępstwie podarował im prezerwatywy z nieodległą datą ważności. „Stresujące dla niespełna czternastolatka — czuć konieczność zaliczenia pierwszego razu przed przeterminowaniem się prezerwatywy. Jeśli młodzi ludzie nie będą poznawać rozkoszy we właściwym tempie, to gdy przyjdzie odpowiedni czas na seks, będą już kompletnie zblazowani. Motyle w brzuchu z powodu zwykłej tęsknoty za trzymaniem kogoś za rękę po raz pierwszy, spojrzenia, oczekiwanie. A może jestem beznadziejnie staroświecka? Muszę porozmawiać o tym z Johannesem. O tym i jeszcze o czymś innym, co będzie dużo trudniejsze”.

Posortowała pranie i wcisnęła granatowe ubrania do pralki. Bęben nie był wypełniony nawet w połowie, ale zdecydowała się włączyć pralkę. Podłoga w pokoju Cecilii usłana była brudnymi ubraniami. Miarka się przebrała. Jeśli panna chce mieć czyste rzeczy, musi sama włożyć rzeczy do kosza. Bez względu na to, jak pobłażliwa była matka Cecilii w tej kwestii, ona sama nie zamierzała ustąpić. Postanowiła rozszerzać swoje terytorium — centymetr po centymetrze; bolesny, lecz konieczny proces, jeśli miały dalej żyć razem pod jednym dachem.

Nie siedzieli już przy stole w salonie, gdy Reidun wynurzyła się z podziemi. Ale szachownica nadal tam stała. Figury leżały porzucane na stole, kilka upadło na podłogę. Walkower. Znowu pozwolił jej wygrać. Kiedy kończyli grę, szachownica stawała się niewidzialna, tak jak wszystko, czego wcześniej używali. Pusta puszką po coli leżała nadal na sofie, podobnie jak pełna okruszków torebka po chipsach. Dziurawe skarpetki pastora wisiały na poręczy fotela. A na podłodze leżała rozłożona gazeta telewizyjna. Takie rzeczy drażniły Reidun, lubiącą ład i porządek wokół siebie. Z ogrodu słychać było ich głosy. Widziała ich przez okno — ojciec i córka lepiący bałwana. Toczyli wielkie kule i wspólnie je

dźwigali. Tarzali się jak małe dzieci, a płatki śniegu spadały na włosy Cecilii i niebieską dzierganą czapkę Johannesesa. Tę, którą zrobiła Annalisa. Wyglądał na bardzo szczęśliwego. Nie chciała mu tego zabierać. Z całego serca życzyła mu tego szczęścia, choć nie mogła go z nim dzielić.

Bałwan połyskiwał w świetle latarni. Cecilia wetknęła mu marchewkowy nos i włożyła pod pachę miotłę. Następnie zapalili światło w śniegowym lampionie. Johannes i jego córka. Johannes stworzył z rąk barierę ochronną przed wiatrem i śniegiem. Cecilia przeciągnęła zapałką po trzasce, zapaliła knot i uśmiechnęła się do ojca. „Piękny obrazek” — pomyślała Reidun, wycierając parę z szyby rękawem swetra, i poczuła, jak za jej plecami skrada się cień smutku.

— Chcę mieć własny pokój — powiedziała Reidun, kiedy położyli się i zgasili lampki nocne. Poczekała na ciemność, by odważyć się na wypowiedzenie słów, które musiały paść. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy, jego zranienia, bo wtedy słowa zatrzymałyby się w połowie drogi i już nigdy nie wydostałyby się z jej ust.

— Własny pokój — powtórzył Johannes, tak jak miał w zwyczaju. Dzięki temu zyskiwał na czasie, kiedy coś go zaskakiwało.

— Tak, nie mam nic naprawdę swojego. — Przygryzła dolną wargę.

— Wszystko, co moje, jest również twoje — odpowiedział Johannes.

— To nie takie proste. To jest twój dom. Umeblowałeś go razem z Annalisą i wszystko pozostało takie samo od tego czasu.

— Nie podoba ci się? — W jego głosie pobrzmiwał strach.

Zawahała się przez moment. Chętnie wyznałaby prawdę, ale nie chciała go zasmucać. Jednocześnie nie chciała też zawieść siebie samej i wyprzeć się swoich odczuć.

— Myślę, że byłoby łatwiej, gdybyśmy przeprowadzili się razem w jakieś nowe miejsce. W tej chwili czuję się tak, jakbym była tu w zastępstwie Annalisy. Tak jakbyś wciąż czekał, aż ona wróci, więc niczego nie można ruszać, nie można zmienić żadnych reguł, które ona ustanowiła. Gdybym tylko dostała własny pokój, czułabym się lepiej. Czasami potrzebuję побыć sama.

— Moja kochana Reidun. Czy nie chcesz już spać obok mnie, czy o to chodzi? Wiem, że nie jestem już młody, moje możliwości fizyczne nie są już takie jak kiedyś. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jestem w stanie dać ci radości, której potrzebujesz. Wybacz mi.

Usiadła wyprostowana na łóżku i wzięła głęboki wdech. Ich rozmowa stawała się coraz trudniejsza, więc cieszyły ją panujące dokoła ciemności. Już na początku ich związku Johannes martwił się swoją słabnącą potencją. Teraz jej prośbę o własny pokój odczytał jako potwierdzenie swoich obaw. „Jak ograniczonym i pozbawionym fantazji trzeba być, aby tak to zinterpretować?” — pomyślała.

— Zupełnie nie o to mi chodzi. Jesteś czułym i wspaniałym kochankiem. I nigdy nie wolno ci myśleć inaczej. Nie potrzebuję oddzielnej sypialni. Chcę mieć własny pokój, który będę mogła umeblować po swojemu. Pokój, gdzie będę mogła postawić swój sprzęt treningowy, gdzie będę miała własny regał na książki i gdzie będę mogła posiedzieć w spokoju — „...zamiast zamykać się w toalecie” — powstrzymała się przed dodaniem.

— Chodzi o Cecilie, prawda? — spytał Johannes najwyraźniej zdruzgotany. — Trudno mi uwierzyć, że rusza twoje rzeczy. Dlaczego miałyby to robić? Nawet nie byłaś pewna, ile pieniędzy miałaś w portfelu, a kwestię zniszczonej kurtki już wyjaśniliśmy. Myślała, że to prezent ode mnie dla niej, kiedy zobaczyła ją na swoim wieszaku w korytarzu. Na nie szczęście pożyczyła go szkolnemu teatrowi. Ale co się stało, to się nie odstanie.

— Skąd miałam wiedzieć, że to jej wieszak, skoro nie uczestniczyłam w ustalaniu reguł?

— Myślę, że to trochę niegrzeczne z twojej strony, Reidun. Wyjdź do niej z inicjatywą, a zobaczysz, że złapiecie dobry kontakt. Cecilia jest teraz w trudnym wieku. Strata matki to trudne przeżycie.

— Minęło sześć lat. — Reidun czuła się podle.

— Jeśli tylko dasz jej szansę, przekonasz się, jaka to wspaniała dziewczynka. Może spróbujecie porobić coś razem, tylko we dwie. Idźcie do miasta pokupować sobie jakieś ciuchy albo zróbcie coś innego, jak inne kobiety, bo ja wiem... Poproś ją o radę, gdy będziesz coś kupowała. Spodoba jej się to.

Reidun jęknęła głośno. Naiwność Johannesesa nie miała granic.

— Sądzę, że powinniśmy wyjechać razem na jakiś czas. — Westchnęła głośno w ciemności i usiłowała znaleźć pod kołdrą dłoń męża.

— Rozmawialiśmy już o tym przecież. Co zrobilibyśmy z Cecilią? Moja siostra jest chora, nie da rady zaopiekować się jeszcze jednym dzieckiem. Ledwo zajmuje się sama sobą. Dobrze, jeśli zdoła zadbać choć o własną higienę osobistą — tak powiedziała podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej. Nie mamy nikogo innego do opieki nad Cecilią, a przecież nie możemy zostawić jej samej w domu. Nie sądzisz? To nie byłoby odpowiedzialne, Reidun.

— Nie, ale gdyby nie dostała komputera i komórki za kilka tysięcy, mogłaby pojechać na obóz językowy do Anglii.

— Nie chciała tam jechać.

— Nie, ponieważ wtedy nie mogłaby siedzieć w domu i zazdrośnie cię pilnować. — Natychmiast pożałowała tych słów. Johannes nie odpowiedział, ale słyszała, jak raz za razem przełyka ślinę w ciemności. — Przepraszam, wybac mi, Johannesie — szepnęła i przytuliła się do niego. Wślizgnęła się w jego objęcia jak małe dziecko. Jego policzek był równie śliski i mokry jak ta jego cholerna słabość.

— Bardzo cię kocham, ale nie wiedziałem, że będzie nam tak trudno razem żyć — wyznał, gdy ona gładziła go po brzuchu.

— Żałujesz? — spytała, drżąc z obawy przed odpowiedzią.

— Nie, Reidun, nie żałuję. Życie jest zbyt krótkie, żeby nie wykorzystać szansy na miłość i przyjaźń, kiedy się ją dostaje.

Kiedy ich oddechy wyrównały się i stały się wolniejsze, Reidun wstała, wyszła do łazienki i przekręciła zamek w drzwiach. Tutaj mogła wyrzucić z siebie te wszystkie brzydkie myśli. Myśli, które znalazły dodatkową pożywkę w jasnych krótkich włosach, pozostawionych po zabiegu fryzjerskim wykonanym tutaj przez Cecilię. Wreszcie mogła wyładować złość na swojego wroga, do którego nie sposób było dotrzeć, na niesprawiedliwość i cholerną dobroć Johannesesa dla każdej istoty, a także na to, że traktował jej lojalność jako oczywistość.

Komoda ugięła się pod ciężarem akcesoriów kosmetycznych. Szczotka pełna długich jasnych włosów, otwarta maseczka do twarzy, której zawartość wyciekła na ręcznik.

W środku tej mazi Reidun znalazła swój niedomknięty drogi tusz do rzes. „Czy i tym razem Cecilia sądziła, że to prezent, gdy zwinęła go do swojej torebki? Cholerna mała złodziejka! Pragnę dla ciebie dobra, chcę, żebyśmy się zaprzyjaźniły — myślała. — Dla dobra Johanna, dla mojego dobra, ale także dla twojego”. Każdy kolejny dzień pogardy sprawia, że coraz trudniej jest wybaczyć. Siedzenie cicho i bycie miłym najwyraźniej również nie pomaga. Czy może być jeszcze gorzej, niż już jest?

W tej samej chwili Reidun przypomniała sobie o pokoiku do szycia Annalisy na strychu. Weszła na górę, żeby rzucić okiem i zobaczyć, co jest do zrobienia. Własny pokój. Bez własnego pokoju nie przeżyje w tym domu. „Wszystko, co moje, jest również twoje”. Mimo to czuła się winna, patrząc na pokój tak wyraźnie naznaczony obecnością Annalisy. Wyhaftowane drobnymi literami sentencje w jasnoniebieskich drewnianych ramkach na ścianach. Fotografia szczęśliwej rodziny. Johannes niosący na barana Cecilie. Piękna, młoda Annalisa o regularnych rysach twarzy i perfekcyjnie równych zębach śmiejąca się do obiektywu. Idylla wręcz biła po oczach. Na wpół gotowa tkanina z motywem morskim w ramie, czekająca na dokończenie. Pod igłą maszyny leżała dziewczęca sukieneczka — wszystko pokryte cienką warstwą kurzu. „Chcę jedynie wiedzieć, ile miejsca mogę zająć” — pomyślała Reidun i przesunęła o dziesięć centymetrów poduszeczkę na igły na stole. Tylko tyle — dziesięć centymetrów. Gdy odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, dostrzegła swoje odbicie w lustrze. „Co ty we mnie widzisz? — spytała Johanna po drugiej stronie szklanej ciemni. — Kochasz mnie?” Ale on nie odpowiedział.



## 4

Inspektor kryminalny Maria Wern zajęła miejsce w poczekalni przychodni z dwojgiem swoich dzieci. Emil drapał się obiema rękami za uszami, a ona próbowała dyskretnie odwieść go od tego zamiaru.

— Muszę się drapać. Bo zwariuję. Swędzi, jak nie wiem co! — Pierwsza porcja preparatów odwyszawiających nie przyniosła większych rezultatów. Dwa tygodnie później Linda i Emil znowu mieli wszy. Zgodnie ze wszystkimi punktami procedury ubrania zostały wyprane, grzebienie i czapki wylądowały w zamrażarce i rozpoczęto nową kurację. Krótco po zakończeniu zabiegów nadszedł kolejny atak wszy i prawda wyszła na jaw. Okazało się, że Emil stopniowo podbierał wszy od kolegi, aby nie chodzić do szkoły. Wydawało się, że pierwsza maść straciła swoją moc, wszy były bardziej żywotne niż kiedykolwiek i Maria poczuła się zmuszona porozmawiać o tym z lekarzem rejonowym. Istniał jeszcze inny środek, którego ona sama używała w dzieciństwie; taki, który zabarwiał poszewkę na żółto. Czy był on dostępny na receptę?

Zrobiła szybki przegląd towarzyszy niedoli w poczekalni. Kobieta w zaawansowanej ciąży siedziała obok wyjścia z nogą w gipsie i czytała magazyn „My Rodzice”. Miejsce obok zajmował elegancko ubrany mężczyzna z aktówką na kolanach. Przy okienku do recepcji głośno przedstawił się jako dyrektor Bertil Montelius. Bez przerwy kichał prosto w gazetę — prawdopodobnie jedyny dostępny tu egzemplarz.

— Następnym razem pójde do prywatnego lekarza. — Pociągnął nosem, zwracając się do ciężarnej. — Czekanie tutaj może człowieka zrujnować. Muszę pracować. Jak się nie płaci podatków... niektórzy z nas przynajmniej — dodał i posłał pełne jadu spojrzenie w kierunku pijanego mężczyzny, który leżał albo raczej zwisał na oparciu swojego krzesła. Miał na sobie sweter, brudny i zniszczony, oraz spodnie z nakrapianego, jasnobieżowego, syntetycznego materiału, kończące się jakieś dziesięć centymetrów nad kostką. Spod kra- ciastej czapki z daszkiem sterczały poczochrane, rzadkie włosy. Co jakiś czas wstawał

i wykonując niepewne, zamaszyste ruchy, podchodził do recepcji z pytaniem, kiedy będzie jego kolej. Maria rozpoznała w nim jednego ze stałych bywalców aresztu, Pera Trägena. W ostatnim czasie siedział raczej za jakieś drobne występki niż czyny karalne. Groźby, usiłowanie pobicia czy próba napadu z bronią — to mógł mieć na sumieniu, zważywszy na jego wiek. Dyrektor Montelius zgłaszał skargę za każdym razem, gdy w recepcji dyskutowano o kolejności wchodzenia pacjentów. Zapłacił jako pierwszy, więc sądził, że będzie przyjęty jako jeden z pierwszych.

— Tak cholernie boli mnie brzuch, to biegunka — poinformował Per Trägen zebranych.

— Proszę czekać na swoją kolej — rutynowo wycodziła recepcjonistka, nie patrząc nawet w jego kierunku. Per Trägen poczłapał z powrotem na swoje miejsce.

— Tak cholernie mnie boli — wymamrotał do siebie i rzucił się na podłogę między krzesłami. — Tak cholernie mnie boli! — Wił się w męczarniach przy nogach innych pacjentów, jęczał i kopał. Jego tłuste włosy zrobiły się szare od kurzu na podłodze. Dyrektor Montelius wstał, wziął aktówkę i gazetę pod pachę, następnie opuścił swoje miejsce, odstępując je komuś innemu. Stopniowo wolna przestrzeń wokół mężczyzny z dolegliwościami brzuszными powiększała się coraz bardziej. On sam głośno jęczał. Maria zdjęła Lindę z kolan i podeszła do pielęgniarki na korytarzu.

— Myślę, że bardzo go boli. — Inspektor Wern przyprowadziła pielęgniarkę do poczekalni. — Nie da rady dłużej siedzieć. To może być coś poważnego!

Chwilę potrwało, zanim pielęgniarka dostrzegła leżącego pomiędzy krzesłami pacjenta.

— Ale tu nie można leżeć! — W jej tonie pobrzmiwały jednocześnie dyspozycja dyżurnego z ośrodka dla młodocianych przestępców oraz rezygnacja umęczonego telemarketera.

— Przepraszam, siostrzyczko! Nie wiedziałem, że to miejsce jest zajęte. Myślałem, że podłoga jest wolna. — Per uśmiechnął się szeroko i spróbował odwrócić się na drugi bok, głośno stęknął i stanął na chwiejnych nogach. Bijący od niego odór był tak intensywny, że pielęgniarka natychmiast się cofnęła. Powinna być uodporniona, ale smród potu i zaschniętego moczu czuła nawet stojąca z tyłu Maria. W dzisiejszych czasach człowiek po prostu nie może wydzielać takich przykrych woni, w każdym razie gdy chce być traktowany z szacunkiem.

— Proszę za mną do pokoju — zakomenderowała pielęgniarka.

— No! Żaden ze mnie cwaniak, nie ten poziom. — Obszarpaniec wskazał na Monteliusa. — Tak między nami, to tak wygląda specjalne traktowanie ludzi z tej instytucji. Taka mała rada na przyszłość.

W odpowiedzi otrzymał nienawistne spojrzenie.

— Służę pomysłem na biznes. — To były ostatnie słowa, jakie Maria usłyszała z ust Pera Trägena, zanim zniknął za rogiem, podążając za pielęgniarką.

Po drugiej stronie poczekalni dwie starsze panie dyskutowały o środkach rozrzedzających krew i elektrowstrząsach. Jedna z nich z wielkim przejęciem opowiadała przerażające historie, podczas gdy druga dosłownie spijała słowa z ust rozmówczynie.

— Krew chlustała na lewo i prawo, a on krzyczał jak zarzynana świnia...

Gdyby tylko mogła, Maria najchętniej ocenzurowałaby większość słów ze względu na swoje dzieci. Linda podrapała się po głowie. Emil znalazł gazetę z Kaczorem Donaldem. Nie był jednak w stanie jej czytać, oglądał tylko obrazki. Wskazówka na zegarze wolno zrobiła jedno okrążenie, później jeszcze jedno, podczas gdy poczekalnia stopniowo pustoszała.

— Czy to możliwe, żeby o nas zapomnieli? — Blondynka ubrana w grubą zieloną budrysówkę skontrolowała zegarek na swoim ręku z zegarem na ścianie. Maria miała mgliste wrażenie, że spotkała ją kiedyś w bibliotece albo w teatrze. Dawniej musiała być pięknoscią. Wciąż by nią była, gdyby nie cienie pod oczami i wyniosły sposób bycia, który kazał jej zaciskać usta i usztywnił ruchy. Obok niej, głęboko zatopiony w swoich myślach, siedział mężczyzna ze schyloną głową i pustym wzrokiem. Miarowo przebierał palcami na kolanach. Drobne kropelki potu na jego czole przechodziły w spływające po policzkach strużki. Oddychał ciężko.

— Może mają po prostu przerwę na lunch. — Maria spojrzała na zegarek, choć dopiero co na niego patrzyła i wiedziała, że wskazówka zdążyła się tylko minimalnie przesunąć.

— Czekamy już ponad dwie godziny. — Z twarzy kobiety bił taki smutek, że aż udzielił się on Marii.

Linda podniosła się z kolan i podeszła do mężczyzny.

— Czy będą panu zaglądali do gardła i dmuchali w ucho gumowym balonikiem? — spytała, przykucając i przekręcając głowę. Próbowwała nawiązać z nim kontakt wzrokowy. Twarz mężczyzny pozostała jednak bez wyrazu. Maria próbowała dyskretnie zawołać córkę.

— Nic nie szkodzi. — Kobieta spojrzała na dziewczynkę i próbowała zdobyć się na uśmiech.

— Co jest temu panu? — spytała Linda z miną lekarza. Często tu przychodziła i wiedziała doskonale, jakie pytania zazwyczaj padają. — Czy ma pan apetyt?

— Linda! — Maria czuła, jak jej policzki oblewają się rumieńcem. — Tak nie można. Pan na pewno chciałby, żebyś zostawiła go w spokoju.

— Ale tutaj nie można siedzieć w spokoju — zaprotestowała Linda. — Tutaj się przeprowadza badania.

Emil wstał i mimo protestów siostry zdołał ją odciągnąć i posadzić na matczynych kolanach.

— Wygląda na smutnego — powiedziała Linda po chwili milczenia. — Wygląda na smutnego. Płacze. Popatrz, płacze!

— Dlatego tu jesteśmy — wytłumaczyła kobieta, a jej sztywna twarz rozjaśniła się nieco w smutnym uśmiechu. — To jest bardzo trudne. — Chwyliła zdenerwowane dłonie mężczyzny i na chwilę uspokoiła je na swoich kolanach.

— Przepraszamy. — Maria pogłaskała małą po włosach. — Ona tego nie rozumie.

— Oczywiście, że rozumiem!

— Nic się nie stało. To wszystko prawda. Svante jest smutny. Jest tak smutny, że nie radzi sobie w pracy. Apetytu też nie ma. Jesteśmy tu po to, aby lekarz ponownie wypisał mu zwolnienie lekarskie. — Linda patrzyła na kobietę wielkimi, okrągłymi oczami.

— Czy lekarz nie pyta, dlaczego jest mu smutno?

— Ten lekarz nie pyta. Nie ma na to czasu. — Kobieta kilka razy przełknęła gwałtownie ślinę, a jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie. — Nikt nie ma czasu.

Linda, która w jednej sekundzie zeskoczyła z kolan Marii, podeszła po raz drugi do obcego mężczyzny i objęła go. Ten nie wykonał żadnego ruchu, ani odpychającego, ani też przyzwalającego.

— Ja mam czas. Tu się siedzi tak długo i się czeka, i jest tak nudno, tak strasznie nudno. Mam masę czasu. Jeśli ktoś był dla pani niedobry, to ja mu dopiero przyłożę — powiedziała. — A jeśli ten ktoś jest duży, to powiem mojej mamie. Ona jest policjantką.

Twarz kobiety ponownie rozjaśnił cień uśmiechu. Z nosa mężczyzny ciekło, ale on nic sobie z tego nie robił.

— Svante Henningsson! — Pielęgniarka, która właśnie weszła do poczekalni z korytarza, oderwała wzrok od trzymanego w dłoniach pliku kartek.

— Mamo — szepnął Emil, kiedy Svante i jego żona zniknęli z pola widzenia. Mocno ścisnął Marię za rękę. — Ten pan, co tam siedział taki smutny, był kiedyś nauczycielem WF w mojej szkole. Ale wyglądał teraz bardzo dziwnie. Prawie tak, że nie można go poznać. Co lekarz będzie mi robił? Jeśli znów dotknie moich jajek, to będę bardzo zły!

— Czy szkolny lekarz tak robił?

— Obrzydliwy pan doktor jest nienormalny. Przecież to obleśne.

— Myślę, że dla niego to też nie jest specjalnie przyjemne, ale musi to robić — wytłumaczyła Maria. — Sprawdza, czy kamienie nie utknęły na górze w brzuchu. Wtedy mógłby powstać problem.

— Dlaczego nie dotykał mojego brzucha? Nie musiałbym wtedy tam stać na golasa.

— Dziś będzie się zajmował tylko twoimi wszami na głowie.

\* \* \*

Słońce stało nisko na niebie, a uginające się pod śniegiem gałęzie drzew owocowych rzucały na ziemię cienie układające się w skomplikowane wzory. Jemiołuszki i gile krążyły wokół snopów owsa, które Krister postawił przy kuchennym oknie. Linda klęczała na ławie kuchennej i patrzyła na nie. Próbowwała liczyć ptaki, ale nie było to łatwe, gdy cały czas były w ruchu.

— Myślę, że te z pomponami wygrają z tymi czerwonymi — zwróciła się do opatulonego w koc Emila, który siedział przy stole.

— Czerwone wygrają — zaprzeczył i od razu wybuchła kłótnia. Podłoga w kuchni była usiana okruszkami pozostałymi po babce, którą jedli do popołudniowej kawy. To miało być ostatnie ciasto przed przewidywaną dłuższą przerwą od słodczy. Teraz na podwieczorek dzieci dostawać będą owoce, nawet jeśli miałyby to oznaczać zatargi z teściową.

— Z apetytem nie mamy chyba żadnego problemu — skonstatował lekarz w przychodni, oceniając konstytucję ciała Emila.

Ile waży? Kiedy zmiany nadchodzą stopniowo, umykają uwadze. Emil zawsze był trochę pulchny. Nigdy mu z tego powodu nie dokuczano, więc nie było powodów do zmartwienia. Krister też był w dzieciństwie nieco przy kości. To jest dziedziczne.

— Proszę spróbować odstawić chipsy i słodczy na kilka tygodni — zaproponował lekarz.

Maria poczuła się właściwie trochę dotknięta, kiedy lekarz pokazał jej reportaż w gazecie ze zdjęciami dzieci z nadwagą i krzykliwym nagłówkiem: „Zaniedbywane dzieci”. Największy problem stanowiły właściwie smakołyki od teściowej, która wpadała z wizytą prawie codziennie. Babkę, którą właśnie zjedli, też przyniosła jako słodki dodatek do kawy.

Maria wyciągnęła odkurzacz, który sprezentował jej teść, po tym jak któregoś dnia on i Gudrun wpadli bez zapowiedzi o dziewiątej rano na kawkę i coś dobrego. Sprzęt pochodził „z drugiej ręki”, ale chyba działał. Maria nie była niewdzięczna. Ktoś, kto do tej pory miał do dyspozycji tylko szczotkę i śmietniczkę, nie może być wybredny. Na artykuły luksusowe, takie jak odkurzacz, nie mieli pieniędzy, od kiedy wymienili kuchenkę z tylko jednym działającym palnikiem na płytę. Kupili również zamrażarkę i farbę do pomalowania szafek oraz sufitu, a także wymienili zniszczoną od wilgoci podłogę. Mogła wyobrazić sobie gorsze rzeczy niż podarunek w postaci używanego odkurzacza. Prezenty Artura były przynajmniej funkcjonalne, w przeciwieństwie do drogich i wymagających wdzięczności darów od teściowej. Małe, złote, ręcznie malowane filiżanki w witrynce nie mogły zostać zapomniane. Maria włożyła wtyczkę do gniazdka i uruchomiła odkurzacz. Działał bez zarzutu, wydawał jednak ogłuszający hałas. Okruszki babki zostały ze świstem wessane przez rurę wraz z płatkami kukurydzianymi i drobinami kakao ze śniadania oraz zwiędłymi płatkami kwiatów. Nagle wyczuła jakiś dziwny zapach.

— Linda, chyba nie ruszałaś znowu moich perfum! — krzyknęła Maria, próbując zagłuszyć potwora.

— Nie — odpowiedziała dziewczynka, licząc jemiołuszki na palcach i ostentacyjnie pokazując ich liczbę tuż przed nosem brata. W powietrzu rozchodziła się intensywnie jakaś specyficzna woń, przyprawiająca niemal o mdłości. Jakby cała fabryka Wunderbaum pracowała tu pełną parą. Maria przypomniała sobie, jak teściowa mówiła kiedyś o odkurzaczu z perfumowanym filtrem. Czy to był właśnie jeden z nich? Czy ten zapach mógł być aż tak straszny?

— Mamo, tam się dymi — zauważył Emil, ściskając sobie nos.

— Pali się tam z tyłu! — Linda ukucnęła, żeby lepiej się przyjrzeć. — Odkurzacze robi kupę z dymu.

No i masz. Maria wyciągnęła sznur, zrzuciła palący się odkurzacze ze schodów i wykopła go na śnieg. Smród, który pozostał w pokoju, był nie do zniesienia. Otworzyła okna w kuchni i ewakuowała dzieci do ogrodu. Po krótkiej rozmowie z teściem wyjaśniło się, że odkurzacze znalazł w kontenerze na śmieci i szkoda mu było takiego marnotrawstwa. Teraz ludzie niczego nie szanują, nawet swojej własności. Kiedy był dzieckiem, uczono go, że należy dbać o swoje rzeczy. Maria wróciła do szczotki i szufelki. Emil chciał obejrzeć inny program w telewizji niż ten dla dzieci, który wybrała Linda, a na domiar złego zadzwoniła jeszcze teściowa, żeby ponarzekać trochę na kompletny brak zrozumienia dla elementarnych zasad współżycia ze strony Elviry Bredström. Chwilę potem, gdy Krister wrócił do domu, Maria chciała po prostu WYJŚĆ. Gdziekolwiek, byle na chwilę opuścić dom.

— A ja tak tęskniłem za rodziną w komplecie — powiedział i, jak to miał w zwyczaju, pocałował ją w szyję. — Jak minął dzień?

— Jesteś pewien, że chcesz to wiedzieć? — Maria popatrzyła mężowi głęboko w oczy, a ten potrząsnął głową. — Potrzebuję trochę odmiany. Chcę wreszcie popatrzeć na coś innego niż stosy brudów do prania i porozrzucane po salonie pluszaki. Muszę wyjść. Gdziekolwiek, inaczej zacznę chyba gryźć ściany.

— Mam ci coś do powiedzenia, kiedy wrócisz. Gdy dzieci pójną spać. — Ujrawszy jego poważną minę, Maria poczuła strach, jakby zimny powiew przeszedł przez korytarz. Próbowała go objąć, ale wywinął się z jej uścisku.

— O co chodzi?

— Porozmawiamy później.

## 5

Im większą sympatią darzy się gospodynię, tym trudniej powstrzymać się przed kupieniem czegoś, czego się nie potrzebuje. Ten zamysł przyświeca organizowaniu wszystkich domowych imprez promujących produkty jakiejś firmy. Dlatego też należy odmówić, kiedy otrzyma się zaproszenie od swojej najlepszej przyjaciółki, szczególnie jeśli pod koniec miesiąca wzięto się pieniądze z puli kieszonkowego dla dzieci. Ale wieczór był mroźny, z północnego wschodu wiał zimny wiatr, a w oknie kuchni Karen tak zapraszająco paliło się światło, że Maria nie potrafiła oprzeć się pokusie, chociaż wcześniej zdobyła się na zdecydowaną odmowę udziału w tym sąsiedzkim spotkaniu. Jak przyjemnie było po prostu usiąść na chwilę wśród dorosłych ludzi, w miejscu, gdzie nikt się na Ciebie nie gramolił, nic na Ciebie nie wylewał i nie prosił Cię o podtarcie pupy w toalecie. Maria przywitała się z koleżankami ze szpitala i usiadła obok Pii Rön, która przedstawiła się jako szkolna pielęgniarka. Marii wydawało się, że pamięta ją z rozpoczęcia roku szkolnego w szkole Emila.

— Tak więc zebrałyśmy się tutaj, aby nauczyć się najlepszych sposobów dogodzenia mężczyznom — wymamrotała pod nosem Pia. — Kiedy wydadzą w końcu gazetę dla panów, o tym, jak dogodzić kobiecie, podnosząc swój tyłek, wciągając opony na brzuchu i zaskakując ją włożeniem czystych gaci?

Maria śmiała się w głos, próbując nie zakrzusić się ciastkami. Pia wyglądała dokładnie tak surowo i analitycznie, jak brzmiała. To była część komicznego efektu. Ucieleśnienie firmy Råd och Rön: bez makijażu, o krótkich, niewymagających szczególnych zabiegów włosach, w bluzie Marimekko, spódnicy od Gudrun Sjöden i szerokich, potężnych sznurowanych trzewikach, prawdopodobnie z wkładkami. „Na pewno zachowała wszystkie paragony na wypadek, gdyby zakupione rzeczy nie spełniły jej oczekiwań” — pomyślała Maria, przeżuując resztki, i głośno odpowiedziała:

— Raczej nieprędko. Mężczyźni wcale nie czują konieczności dogadzania kobietom w ten sposób. Mimo to jakoś żyjemy.



— I to właśnie jest chore. Dlaczego to robimy, dlaczego tak bardzo się staramy, jeśli mężczyznom nie chce się nawet przyciąć włosów w uszach? — Pia otrzymała ostre spojrzenie od przemawiającej makijażystki i zamilkła niechętnie.

— Trudno byłoby mi zainteresować się mężczyzną, który przywiązuje zbyt dużą wagę do swojego wyglądu — szepnęła w odpowiedzi Maria, zanurzając palce w słoiczku z kremem na noc, który krążył po sali. Przedstawicielka firmy kosmetycznej Your Love wstała i obdarzyła widownię promiennym uśmiechem, czekając, aż zapadnie cisza.

— Nasze produkty nie były testowane na zwierzętach i wszystkie są jadalne. Nie powinno się nakładać na skórę niczego, co nie nadawałoby się do jedzenia. Skóra nie jest nieprzepuszczalną barierą, jak to zwykli uważać niektórzy producenci. Wszystko, co nakładamy na skórę, ma wpływ na cały nasz organizm. Proszę tylko pomyśleć o plastrach nikotynowych albo estrogenowych, a także innych medykamentach wchłanianych przez skórę.

— Nie zamierzam niczego kupować — zdecydowała Pia i wyprostowała się. — To, czego mi potrzeba, znajdę w aptece.

Kilka innych osób również zademonstrowało sceptyczny stosunek. Maria poczuła, jak ciężar odpowiedzialności za miły wieczór spoczywa na niej, i próbowała wyszukać wzrokiem najtańszy produkt na liście zamówień. Niestety, brakowało cen. Kolejne świetne posunięcie ze strony producenta.

— Czy znalazły panie coś interesującego? — Makijażystka przerzucała pytająco wzrok z jednej twarzy na drugą. — Skórze należy dostarczyć składników odżywczych i witamin. Pani musi być zimą — kontynuowała.

Maria ani się spostrzegła, jak zakupiła krem za blisko czterysta koron i pastelowy niebieski cień do powiek. Gula, która wyrosła potem w jej gardle, prawie uniemożliwiła przełykanie czekoladowych muffinów i kawy. Czy mogła jeszcze się wycofać? Prawdopodobnie nie, skoro właśnie zaświadczyła, że jest świadoma potrzeb swojej skóry. Nieśmiało zaczęła się zastanawiać. Czy jedzenie nie dostarcza skórze składników odżywczych, tak jak reszcie ciała? Czy może ewolucja sprawiła, że skóra podobnie jak społeczeństwo odeszła od zasady samowystarczalności i uzależniła się od zewnętrznego, okrężnego systemu zaopatrzenia? Czy zakupiony tłuszcz jest lepszy niż ten produkcji własnej? Bardziej cywilizowany?

Wszyscy zapytani przez makijażystkę klienci wyrażali się entuzjastycznie na temat zakupionych produktów. Ona sama była teraz w swoim żywiole, z charyzmą i namaszczaniem przekonywała o tym, jak ważne jest stosowanie płynu do demakijażu i toniku.

— Bo chyba żadna z was tutaj nie myje twarzy wodą z mydłem? — zapytała groźnie i w odpowiedzi dało się słyszeć ciche „nie”, które szeptem przeszło po sali wraz z listą zamówień. — Czy wiecie, ile bakterii można znaleźć w twardym mydle zrobionym z resztek tłuszczu z wentylatorów i stoisk z kiełbaskami? Chyba żadna z was nie ma tego na twarzy?

Kto odważyłby się powiedzieć prawdę? Kto znalazłby argumenty? Maria nie wiedziała nawet, jaka była dokładnie różnica między płynem do demakijażu a tonikiem. Albo co to jest korektor. Zmartwienie nadal dławiło jej gardło. Co powiedziałyby Krister, gdyby dowiedział się o jej zakupie? On, który nie dalej niż wczoraj musiał zrezygnować z kupna nowej koszuli do pracy, żeby pieniędzy starczyło do końca miesiąca. Jeśli się dowie, chyba będzie musiała do końca życia jeść ten krem na śniadanie, obiad i kolację. Być może pani z Råd och Rön potraktuje poważnie jej decyzję o rezygnacji z zakupu. Może nawet udzieli wsparcia i osobiście zaangażuje się w proces anulowania transakcji w imię świadomej walki konsumentki, która nie poddaje się kapitalistycznej manipulacji. Ale jak zareagują inni? Wartość prezentu dla gospodyni opierała się na łącznej sumie zakupów dokonanych przez zaproszonych gości. Już zaczęła oglądać katalog. Wycofanie się teraz byłoby czymś haniebnym. Zwyczajnie niewybaczalnym ze społecznego punktu widzenia.

— Czytałyście w gazecie o tym pedofilu? Właśnie go złapali, w Sztokholmie. — Karin odłożyła katalog i zaczęła kartkować jakiś dziennik. — Pracował jako nauczyciel w świetlicy w różnych szkołach przez prawie dziesięć lat i nikt nie wiedział o jego praktykach albo nie reagował. Kiedy w końcu dorośli zaczną traktować dzieci poważnie i ich słuchać...

— Czytałam w wieczornej gazecie, że w gminie, w której pracował, rozważają wprowadzenie nowych zaleceń przy zatrudnianiu. Zamierzają dopilnować, żeby każdy mężczyzna pracował z dziećmi w asyście jakiejś koleżanki. Myślę, że to dobry pomysł — powiedziała Pia.

— Jak mężczyźni będą mogli pracować pod taką presją i budować naturalną relację z dziećmi? Nie pojmuję tego. — Maria podziękowała za dokładkę. — Wkrótce żaden mężczyzna nie będzie chciał pracować w szkole czy przedszkolu. Jeśli gmina z niedomagającą gospodarką stanie przed wyborem między zatrudnieniem kobiety i mężczyzny, ryzyko

dyskryminacji będzie duże. Ważne, aby niezwłocznie rozpatrzyć zgłoszenie o przestępstwie, podjąć konkretne działania i zamknąć winnego. Ale uderzenie we wszystkich mężczyzn jest niesprawiedliwe. Zwykli, normalni mężczyźni nie powinni żyć i pracować według reguł dyktowanych przez pedofilów. Dzieci potrzebują męskiego wzorca.

— Tak tylko mówisz, ale czy wiesz, jak to wygląda w rzeczywistości? — Pia skrzyżowała ręce na piersiach, gotowa do podjęcia walki.

— Jeśli chcesz wiedzieć, czy miałam do czynienia z tego typu sprawami, to odpowiedź brzmi: „Tak”. I są to jedne z najtrudniejszych spraw, jakie prowadzimy. Kto mówi prawdę? Jeśli wyrok będzie błędny, konsekwencje okażą się katastrofalne. Należy przedstawić sądowi niezbitę dowody, jednocześnie nie narażając dzieci na więcej przesłuchań, niż to konieczne. To może potrwać, zanim zdobędzie się zaufanie dziecka, szczególnie jeśli zostało ono wcześniej wykorzystane. Trzeba położyć na jednej szali ryzyko związane z kolejnymi przesłuchaniami, a na drugiej ryzyko powtórnego wykorzystania seksualnego.

— Niektórzy posuwają się nawet do kłamstwa — zauważyła Ella, która pracowała w klinice chorób zakaźnych. — Matki, które próbują wygrać sprawę o opiekę w sądzie i używają dziecka jako narzędzia.

— Pytanie tylko, ile matek jest tak naprawdę gotowych skrzywdzić swoje dzieci, wysuwając nieprawdziwe oskarżenia? — Maria czuła na sobie spojrzenia innych.

— Niektóre odwołują później to, co powiedziały. — Ella pokiwała głową, aby zaakcentować swoje słowa, i popatrzyła po innych twarzach, szukając potwierdzenia.

— Są dzieci, które odwołują oskarżenia. To prawda. — Maria nie czekała ze swoim komentarzem. — Dzieci, które zmieniają zdanie, gdy mama przymyka oko na prawdę i zostaje ze swoim mężczyzną. Konsekwencje dla dziecka są jednak potworne. Zostaje oddane do domu dziecka, odłączone od rodzeństwa i kolegów, czyli najbliższego środowiska. Wysoka jest cena, którą trzeba zapłacić za prawdę, czasami może lepiej udawać, że nic się nie wydarzyło. Jedną z dziewczynek, z którymi rozmawiałam, była tak lojalna, że została w rodzinie dla dobra młodszego rodzeństwa. Żeby uniknęło tego, co sama wcześniej przeszła.

— Zabiłabym, gdyby ktoś tknął moje dziecko. — Dłoń Karin zsunęła się do kołyski, w której leżała Emilia. — Jedynym sprawiedliwym rozwiązaniem jest chyba kastracja. —

Stwierdzeniu temu towarzyszył wyraźny gest. — Pia, mówiłaś wcześniej, że jest ktoś, kogo podejrzewają w szkole.

Pia zadrżała. Oblała się potężnym rumieńcem aż po samą szyję, Maria nie była w stanie ocenić, czy był on wywołany wstydem czy złością.

— Obowiązuje mnie zasada poufności. Nie mogę tak sobie gadać o tym, co dzieci powierzą mi w tajemnicy.

— Czy ktoś zgłosił zawiadomienie na policję? — spytała Maria.

— Ta sprawa została już załatwiona. To wszystko, co mogę powiedzieć. — Pia wstała i otrzepała spódnicę z okruszków. — Nauczyciel, którego obserwowaliśmy, nie pracuje już w szkole.

\* \* \*

Kiedy Maria wróciła do domu, ukryła krem za czterysta koron głęboko w szafce w łazience pod ręcznikami dla gości z nadzieją, że w przyszłości pojawi się lepsza okazja, aby ujrzeć światło dzienne. Ciężko do powiek zdecydowała się podarować teściowej w prezencie. Gudrun Wern używała cienia w podobnym kolorze przy szczególnych okazjach, jak przypomniawszy sobie Maria i ta myśl przyniosła jej pewną ulgę. Zgarnęła stos pluszowych maskotek, następnie wślizgnęła się do podwójnego łóżka. Jutro porozmawia z wychowawczynią Emila, to jedno było pewne. Gdy zostawia się dzieci w szkole i powierza opiece nauczycieli, oczekuje się informacji, jeśli dzieje się coś poważnego.

— Śpisz, Krister?

— Nie. — Wyciągnął dłoń i dotknął jej w ciemności.

— Chciałeś mi coś powiedzieć.

Na chwilę zapadła cisza. Maria żałowała, że nie widzi oczu męża. Słyszałoby jedynie ciche oddechy dzieci, spadający z dachu śnieg i uderzający o okna na werandzie wiejący od morza wiatr.

— Nie dostałem więcej zleceń od mojego pracodawcy. Jestem bezrobotny.

— Jak to? — Maria usiadła na łóżku i objęła obiema dłońmi twarz Kristera.

— Ładny prezent gwiazdkowy, prawda? Już mnie nie potrzebują. Nie ma popytu na moje wykłady. W branży informatycznej trzeba nadążać za nowościami, inaczej wypada się z gry. Większość uczniów w szkole średniej ma te same co ja umiejętności, dodatkowo poświadczone na papierze. Jestem samoukiem, inni mają stosowne zaświadczenia. Podpisali kontrakt z młodszym konsultantem, który ma wykształcenie uniwersyteckie. To, czy potrafi przyciągnąć uwagę audytorium i przekazać swoją wiedzę, ma drugorzędne znaczenie.

— Ale Krister, przecież pracujesz dla nich tak długo. Chyba nie mogą cię tak po prostu wyrzucić?

— Nie podpisaliśmy żadnej umowy. Nawet pochwały ze strony moich dotychczasowych kursantów nie zmieniają faktu, że nikt nie jest gotowy płacić za to, by mnie dalej słuchali. Będzie teraz krucho z pieniędzmi. Mam tylko nadzieję, że będziemy mogli nadal tu mieszkać.

Nadszedł ranek jak pulsujący kac po niespokojnych snach. Obudziwszy się, Maria zobaczyła obok siebie puste miejsce. Nie była przyzwyczajona do takiego widoku. Stała na zimnej podłodze i zachwiała się. Na wspomnienie nocnej rozmowy o przyszłości poczuła gulę w gardle. Poszła do kuchni, żeby dotrzymać towarzystwa mężowi i spytać o plany na dzisiejszy dzień.

— Jak tam było wczoraj u Karin? — Głos Kristera dobiegał z łazienki. Maria uchyliła drzwi i wsunęła głowę, żeby cokolwiek usłyszeć. Emil zgniótł swoją kanapkę z chrupkiego pieczywa i uformował ją w kształt strzelby, następnie zaczął mierzyć do jemioluszek, głośno imitując dźwięk wystrzałów. Linda krzyknęła, przykładając dłonie do uszu. To były jej ptaki, a Emil to głupek.

— Co mówiłeś? — Maria stała w drzwiach łazienki z dziwnym wyrazem twarzy. Krister siedział na sedesie, smarując stopy kremem za czterysta koron.

— Dobrze się bawiłaś wczoraj?

Maria zmrużyła oczy i kiwnęła głową.

## 6

Nauczyciel gimnastyki — Svante Henningsson leżał na łóżku przykrytym narzutą i patrzył w sufit, na zakurzony karnisz i powiewający na nim aksamitny baldachim, który spowiadał jego kryjówkę. Powoli cienie wślizgiwały się głębiej do pokoju. Światło dnia wycofywało się stopniowo, pozostawiając go sam na sam z ciemnością. Sam na sam z najczarniejszymi myślami i decyzjami, których nie mógł z nikim przedyskutować. List od przedstawiciela kasy ubezpieczeniowej leżał przy łóżku, jeden z wielu głosów w szyderczym chórze wypełniającym jego czas od świtu do zmierzchu. List nie był w tym wszystkim najgorszy, zdecydowanie nie, ale może to była ta kropla, która przepełniła czarę goryczy. List w połączeniu z lekarstwem, które wyrwało go z największego bezwładu, popchnął go o jeszcze jeden krok w kierunku przepaści. Przyuczenie zawodowe. Nakaz przebywania w pracy kilka godzin dziennie. Svante Henningsson ledwo zdołał przeczytać kilka linijek i zmuszony był pobiec do toalety, gdzie zwrócił śniadanie. Przez resztę dnia nie ruszał się z łóżka.

Plotki rozchodziły się z prędkością wiatru, sugestia, ulotna jak pyłek dmuchawca, niosła ziarno, które kiełkowało i rozsadzało wszystko to, co do tej pory zbudował dzięki dobrej woli i porozumieniu. Nie ma dymu bez ognia. Nie było oficjalnego procesu. Ani przywrócenia czci. Niewykluczone, że nauczyciel WF obmacywał jedno z dzieci. Gdzie leży granica między przyjacielskim uściskiem a niedopuszczalnym obłapianiem?

Piekło rozpętało się, gdy zaczął uczyć w klasie Cecilii Ståhl. Przedtem był zwyczajnym, przeciętnym nauczycielem WF, bardzo lubianym przez swych uczniów. Miał nad nimi kontrolę, był autorytetem. Ale w przestrzeni, którą Cecilia nasyciała swoją pogardą, został zredukowany do pajaca, Svancika-palancika. Dziewczyna potrafiła być niezwykle elokwentna jak na swój wiek, ale to przede wszystkim jej sposób bycia ostatecznie go pogrążył. Rzucał raz po raz słowa, gdzieniegdzie jakaś sugestia sprawiały, że z każdym dniem Svante czuł, jak wokół narasta niechęć wobec niego, także ze strony jej kolegów. Czy nie zawsze wydawał się wycofany i dziwny? Siedział sam w pokoju nauczycielskim pogrążony w lek-

turze, podczas gdy inni dyskutowali o problemach świata. Czy kiedykolwiek wychodził z nimi w piątek wieczorem na piwo albo zjeść coś po szkole? Dlaczego nie? Sam przed sobą nie potrafił tego usprawiedliwić. Jak wyjaśnić innym, że nie jest się w stanie przełknąć ani kęsa w towarzystwie, w którym nie czuje się przynależności i akceptacji i nie ma się nic do powiedzenia? Jak wytłumaczyć nieśmiałość u pięćdziesięciolatka? Nigdy nie lubił znajdować się w centrum uwagi. Nie, to go wręcz przerażało. Jedyne, czego oczekiwał w swojej nieśmiałości, to bycia częścią grupy, niepomijaną ostentacyjnie przy układaniu planu i negocjacjach dotyczących płac. Tymczasem nawet nie powierzono mu klucza do głównego wejścia, gdy zmieniono zamki. Wszyscy stali w półkolu wokół biurka dyrektora, kiedy przyznawano je niczym medale według zasług. Zarówno pielęgniarka szkolna, jak i kurator otrzymali własne klucze. Chociaż ich pokoje również znajdowały się w dobudówce. „Dlaczego nic nie powiedziałaś?” — spytała żona. Właśnie, dlaczego? Ponieważ nie dał rady, słowa nie przeszły mu przez gardło. Jak miał to wytłumaczyć?

Plotki rozchodziły się błyskawicznie. Mówiono, że podgląda dziewczęta pod prysznicami. Żaden nauczyciel, zachowujący choć odrobinę instynktu samozachowawczego, nie zagląda pod prysznic uczniów, którzy skończyli podstawówkę. Chyba nie musiał się bronić przed tymi bzdurami. A może powinien był to zrobić, gdy jeszcze miał siłę? Zorientował się, że coś jest nie tak, po sposobie, w jaki zachowywali się, gdy wchodził do pokoju. Rozmowy cichły. On również milczał. Głos miał zachrypnięty i cichy. Nie potrafił wydobyć z siebie nic poza krótkim „tak” lub „nie”, z wyjątkiem krótkich przerw na kawę, którą pijał w towarzystwie Rut, szkolnej sprzątaczkii. Wtedy potrafił zaskoczyć siebie samego, kiedy ze swadą opowiadał o ogrodzie, łowieniu ryb i altanie, którą zbudował. Poza tym był chyba idealną ofiarą, która tym mocniej zasklepiała się w swojej skorupie, im częściej uczniowie przekraczali granicę niestosownego zwracania się i zachowania w stosunku do niego. Cecilia rządziła, a inni byli na każde jej skinienie. W ciszy przyjmował ciągle zniewagi, gdy uczniowie odmawiali uczestnictwa w lekcji według jego planu. Aby inni nauczyciele nie zobaczyli, jak stopniowo traci kontrolę, w miarę możliwości przenosił zajęcia na polanę za zagajnikiem. W drodze na lekcję szeregi oddziałów klasowych topniały o połowę. Tylko ci najporządniejsi i najbardziej skłonni do współpracy pozostawali i tylko dzięki nim udawało mu się przeprowadzać lekcje na początku semestru. Cecilia Ståhl robiła wszystko, aby rzucić mu wyzwanie. Prowokowała: „Chodź tutaj, to cię zgwałcę” i pospiesznie zamykała za sobą drzwi do przebieralni przy akompaniamencie chóralnych śmiechów.

Wtedy zadano mu śmiertelny cios, w tym piekielnym dniu, kiedy został przyłapany z różowym stanikiem w rękę. Na domiar złego był to stanik Cecilii Ståhl. Skąd wziął się w jego pokoju — nie mógł tego pojąć. Drzwi były zamknięte na zamek. Brał prysznic po zajęciach i zaczął się ubierać. Stanik leżał na jego biurku. Wziął go do ręki i zastanawiał się, czy to nie jakiś żart. Kiedy podniósł wzrok, dwie dziewczyny stały w drzwiach i patrzyły na niego. Zaczął się tłumaczyć. Nawet pobiegł za nimi, próbował je zatrzymać, żeby sprostować wszystko, zanim... Jednak przekłamana wersja wydarzeń, jaką sprokurowały uczennice, brzmiała tak prawdziwie. Dziewczęta twierdziły, że gonił je nagi przez cały budynek sali gimnastycznej, grożąc im. Pobiegły do szkolnej pielęgniarki, która zabrała je do pokoju nauczycielskiego, gdzie opowiedziały to wszystkim zainteresowanym. Kiedy Svante ubrał się i znalazł się między kolegami w pokoju, wyrósł wokół niego twardy mur chłodu i niechęci. Zderzywszy się z nim, skurczył się do rozmiarów sześciolatka przyłapanego z rękami pod kołdrą. Jego głos brzmiał jak głos dziecka i to, co starał się powiedzieć, wypadło tak wydumanie i sztucznie, że zamilkł. Dlaczego gonił je ubrany jedynie w bokserki? Że też prawda może brzmieć tak niedorzecznie. Wtedy pojawiły się zawroty głowy. Ich twarze tańczyły beładnie razem ze ścianami. Szeroko otwarte usta groziły pożarciem. Cisza unosiła się jak gruba warstwa waty i w ostatniej chwili, zanim ściany runęły, poczuł dłoń na swoim ramieniu. Usłyszał głos dyrektora.

— Chodź ze mną do gabinetu, Svante.

Przez cały tydzień Henningsson trwał na posterunku, zanim poszedł na zwolnienie lekarskie. Dyrektor robił wszystko, aby sprawa nie została nagłośniona, a renoma szkoły nadszarpnięta. Kwestia winy była drugorzędna. Pielęgniarka szkolna, która chciała napisać stosowne zgłoszenie, również została wezwana do gabinetu. Kiedy go opuszczała, jej policzki płonęły, a wzrok zionął nienawiścią.

„Myśl pozytywnie” — to było motto tego dnia, dnia, w którym Svante Henningsson wyszedł ze szkoły, aby nigdy więcej tam nie wrócić. Wezwano konsultanta, który miał za zadanie wskazanie kolegium nauczycielskiemu zalet przewidywanej redukcji personelu. Przed zwalnianymi otwierały się niezwykle perspektywy na bogate i ekscytujące życie. A dzieci miały nauczyć się odpowiedzialności i samodzielności w nauce, co na pewno przyczyni się do ich rozwoju jako odpowiedzialnych dorosłych. „Dokładnie to musiał mieć na myśli George Orwell, opisując przekształcenie języka w nowomowę — pomyślał Svan-



te. — Wojna to pokój, wolność to zniewolenie, a ignorancja to siła”. Nie powiedział tego głośno, oczywiście. „Redukcja oznacza pozytywne zmiany. Brak nauczycieli jest dobry dla uczniów. Myśl pozytywnie”. A kiedy próbował spojrzeć na swoje życie inaczej i znaleźć coś pozytywnego we własnym, chaotycznym piekle, jedyne, co dostrzegał, to wieczory z Pontusem Larssonem, które dawały mu radość. Od wieków grali ze sobą w badmintona. Nawet jeśli Pontus nigdy nie siadał obok Svantego w pokoju nauczycielskim i spotykali się regularnie tylko poza szkołą. To było duże pocieszenie. Nie tylko dla Kristiny.

— Chyba widzimy się wieczorem? — spytał Svante, kiedy w drodze do domu spotkał Pontusa przy szafkach na korytarzu.

— Nie mogę. Dziś nie dam rady. — Pontus wahał się przez chwilę, stojąc w drzwiach, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Nie musiał. Jest pewna granica wstydu. Svante już nigdy więcej nie spyta. Nigdy! Z nierozpieczętowaną korespondencją w aktówce poszedł do domu. Wypił dwie filiżanki kawy, następnie wyjął dokumenty i położył je na stole w kuchni. Przebiegł wzrokiem po kilku wiadomościach od dyrektora, a także jednej od rady rodziców, w której rodzice dzieci z ósmej klasy żądali obecności innego nauczyciela na lekcjach WF. Wtedy wszystko się rozpadło. Poszedł się położyć, później nie wstał już z łóżka. Ani tego dnia, ani też następnego, podobnie w kolejnych dniach. Uszła z niego cała moc.

Kristina była oczywiście zaniepokojona.

— O co chodzi, Svante? Musisz mi powiedzieć.

Chociaż prosiła, nie potrafił ubrać tego w słowa. To był taki wstyd, taka katastrofa, że język wydawał się bezradny wobec tego doświadczenia. W końcu Pontus, nauczyciel szwedzkiego i angielskiego, opowiedział Kristinie o całym wydarzeniu. Czy Pontus zadzwonił z ciekawości, czy też w dobrej wierze — nie wiadomo, ale to jego wersję wydarzeń poznała Kristina — lakoniczną, nagą i brzydką. Svante słyszał wszystko ze swego łóżka. Wydawało się, jakby Kristina powtarzała każde słowo, aby upewnić się co do przebiegu całej tej niewiarygodnej historii. Gonił dziewczynki? Obnażał się przed nimi?

— Czy to prawda, Svante? Musisz mi powiedzieć! Musisz mi powiedzieć, jaka jest prawda! Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło.

A on szukał w głowie prawdy, powiązań i słów. Szukał bardzo wytrwale i cierpliwie, ale wszystko ma swoje granice.

— Nie mam siły o tym rozmawiać, Kristino.

— Musisz. Jeśli nie będziesz się bronił, pogrążysz się.

Miała całkowitą rację.

Svante Henningsson wyjął z szafki taśmę z włókna szklanego oraz nóż i poszedł do kuchni. Na dolnej półce stała nieotwarta butelka Bacardi, kupiona przez Kristinę z myślą o Wigilii, którą mieli spędzić u jej siostry. Czuł determinację, ale obawiał się jednocześnie, że może nie starczyć mu odwagi. Musiał to zrobić dla dobra Kristiny. Nie będzie już dłużej żyć we wstydzie z powodu swego męża. Jeśli nie chciała zostawić go dobrowolnie, było tylko jedno wyjście. Svante wyjął papier na listy i długopis, który dostał w prezencie gwiazdkowym od teścia. Biała powierzchnia papieru obwinięła go o to, że nie potrafił dobrać właściwych słów. Słów pocieszenia. Słów, które podsumowałyby spędzone wspólnie lata. Napisał „przepraszam”, po czym wszystko skreślił. Zaczął od początku: „Kochana Kristino”, następnie zgniótł papier. Nic lepszego nie wymyśli, widząc, jak szydercze cienie twarzy gęstnieją w ciemności i krążą z wyrzutem wokół niego. Czuł ogniste pieczenie w żołądku, kiedy bacardi spływało po jego przetyku. Długopis wypadł bezwładnie z jego dłoni obok pustej butelki i orzeszków.

Zdecydowanym krokiem wyszedł w zimowy mrok. Zawieja przeszła jego ubranie, wyła i szarpała materiał jak stado niewidzialnych wilków, kiedy zbliżał się do wody. Lodowaty wiatr od morza — oddech samej śmierci owionął ciało mrozem. Ani żywej duszy, jak okiem sięgnąć. W oddali dostrzegł w szarej mgle majaczący zarys Kronholmen. „Uwaga na kruchy lód” — głosił napis na zardzewiałej tabliczce przy pomoście. Termometr w kuchni wskazywał minus dwa stopnie. „Samotny jak wilk — pomyślał Svante, czując w głowie mętlik. — Nie można żyć poza stadem. Jeśli cię nie widać, nie istniejesz. Jesteś już martwy. Ostatni krok to już tylko formalność”. Ostrożnie wszedł na kruchy lód i jego nogi rozjechały się na śliskiej powierzchni. Włosy i grubą granatową kurtkę z wełny pokryła warstwa zmarzniętych płatków śniegu, które wżynały się w skórę jak uparte mrówki ogniowe. Samotny wilk w raju żrących mrówek ogniowych. Dwie gałęzie jałowca, jak ciemne cienie w szarym świetle, wskazywały drogę do przerębla. Lód trzeszczał. Gdzieniedzie pękał pod jego stopami, tak że woda zalewała mu buty, zanim zdążył zrobić kolejny krok. Dłonie zeszywniały, choć chroniły je skórzane rękawiczki. Zatrzymał się przy brzegu przerębla,

obwiązał nogi taśmą, umieścił ją między kolanami i owinął nią ręce z przodu ciała. Nożem, który wetknął do cholewy buta, odciął taśmę i pozwolił jej wpaść do wody. Podążył wzrokiem za rolką, która przecięła cienką warstwę lodu, ostatecznie zrywając barierę dzielącą go od morskiej toni. Ostatnie świadome myśli Svantego Henningssona nie dotyczyły jego żony. Były przekleństwem, gorzkim szeptem przeklinającym milczenie dobrych ludzi.

— Krzyczałem do niego, że lód jest kruchy, ale nie słyszał. Wiał wiatr od morza. — Vincent Chambon co najmniej po raz szósty powtórzył to samo zdanie, następnie naciągnął na głowę kaptur i zasznurował go pod szyją.

Inspektor Maria Wern kiwała głową ze zrozumieniem, skrzyżowała ręce na piersi, wsuwając dłonie pod pachy. Chłód i wilgotne powietrze wdzierało się pod ubrania, a twarde płatki śniegu wiejące od morza wbijały się w policzki jak igły. Szybko zapadał zmrok.

— Znał pan tego mężczyznę?

— To był on, Henningsson, nauczyciel WF. Przyszedł z tamtej strony i wszedł prosto na lód. Kilka razy się przewrócił. Dziwnie to wyglądało. Jakby był nie do końca trzeźwy. Krzyknąłem do niego, ale się nie odwrócił. Nie odważyłem się pójść za nim, lód był zbyt cienki. Ostrzegano wcześniej przed ciekim lodem w radiu. — Vincent wskazał ręką na tabliczkę.

— Czy dobrze go pan znał? — spytała Maria.

— Czasami łowiliśmy razem ryby i to, co nie poszło, sprzedawaliśmy restauracji Gyllene Druvan. Później, pod koniec lata jeździliśmy razem po pieniądze z ryb. Zeszłego lata byliśmy na rybach w Kalix. Wynajęliśmy domek. Nie był szczególnie gadatliwy, ale miły. Lubiałem go. A teraz... nie żyje. To straszne. Nie mogłem pójść za nim po tym kruchym lodzie. Sam nie uszedłbym z życiem.

— Rozumiem — powiedziała Maria. — Proszę się nie obwiniać. Zrobił pan, co mógł, dzwoniąc po pomoc.

Patrzyli na sztywne, zawinięte ciało, które mężczyzna z pogotowia ratunkowego wyciągnął z przerębła i przetransportował do czekającej karetki. Technik Erika Lund zbliżała się szybkim krokiem. Śniegowe płatki utworzyły biały hełm na jej brązowych kręconych włosach. Odwróciła się do Vincenta.

— Czy zdołałby pan go zidentyfikować? — Wytarła swój czerwony nos wierzchnią stroną rękawiczki. — Sprawdzić, czy to na pewno on. — Vincent cofnął się niechętnie o krok.

— Wtedy jego żona nie będzie musiała tego robić, kiedy się zjawi — wytłumaczyła policjantka.

— Z technicznego punktu widzenia to całkiem możliwe, że sam zawiązał sobie dłonie i stopy. — Erika powiesiła płaszcz i przemyła ręce letnią wodą. Podniosła głowę i popatrzyła w lustrze na inspektor Wern, która wiązała mokre od śniegu włosy w warkocz.

— Skontaktowałam się z jego żoną, Kristiną — poinformowała Maria. — Jest w drodze do domu z przyjęcia z okazji pięćdziesiątki swojej siostry. Svante Henningsson był od jakiegoś czasu przygnębiony. Po kuracji farmakologicznej poprawiło mu się na tyle, że zdecydowała się zostawić go samego. Zapewnił ją, że wszystko jest w porządku, i przekonał do wyjazdu. Jest całkowicie zrozpaczona. Poprosiłam, by nie jechała sama do Kronviken. Zdaje się, że siostra miała jej towarzyszyć w drodze powrotnej. Mam nadzieję, że to ona prowadzi. Przyjadą bezpośrednio na posterunek.

— Zaplanował to. Taśma i nóż — musiał o tym myśleć już od jakiegoś czasu. — Erika wydmuchała głośno nos w jednorazową chusteczkę i odwróciła się do Marii, która podała jej parujący kubek z kawą.

— Henningsson nalegał, aby Kristina pojechała do siostry, żeby móc zostać samemu. Ona się wahała, ale on naciskał. Powiedział, że w przeciwnym razie będą działali sobie na nerwy. Wyrzuca sobie, że go posłuchała. Sądziła, że wszystko się ułoży, że najgorsze mają już za sobą.

— Powiedz mi, gdy skończysz z nimi rozmawiać — poprosiła Erika i ruszyła w stronę drzwi działu technicznego.

7

Bezgwiezdna noc zapadała cicho nad plebanią. Wpadające przez okno światło księżyca rzucało szeroki pas srebra na podłogę. Reidun otworzyła lodówkę. Właściwie nie była głodna. Czuła nie głód, raczej tęsknotę za pocieszeniem i odmianą. Owiąło ją zimne powietrze, przesiąknięte odorem skwaśniałego mleka, czosnku i wędzonego steku baraniego. Nawet jeśli wszystkie książki na temat nastolatków dowodziły, że są one nieporządne, Reidun mogła się założyć, że Cecilia rozlała mleko specjalnie. Może oskarżała ją niesprawiedliwie, a może nie. Jeśli karton przewróci się, to wypłynie z niego ciecz. Jest to właściwie prawo naturalne. Nie miała siły zagłębiać się w te rozważania. Zamknęła lodówkę, ale było za późno. Mdłości wezbrały w niej na dobre. Zimne krople potu sączyły się powoli spod ramion na boki koszuli. Odkręciła kurek, poczekała aż woda będzie naprawdę zimna, włożyła głowę pod kran i zaczęła pić małymi łykami. Następnie przez dłuższą chwilę opłukiwała twarz, szyję i ręce, później zmoczyła włosy na skroniach. Powoli mdłości ustępowały, zastępowane piekącym uczuciem w przeponie.

Myśl o pokoju dla siebie nie dawała jej spokoju. Własny kąt był koniecznością, jeśli miała przetrwać z Johannesem i Cecilią pod jednym dachem; platformą, bazą, gdzie mogła się wycofać, żeby nabrać sił przed zmaganiem dnia codziennego. W piwnicy w pokoju zabaw znajdowała się mała kanciapa bez okna, właściwie skład na rupiecie. Reidun zeszła na bosaka po zimnych betonowych stopniach, żeby ponownie przyjrzeć się pomieszczeniu. Ostre światło w przejściu piwnicznym oślepiło ją, chwilę później jarzeniówka przestała migać i zapaliła się na dobre. Na dole wciąż czuć było słaby zapach farby, choć minęło już wiele miesięcy, od kiedy skończyli remont. Wspomnienia, które gdzieś uleciały, wróciły ze zdwojoną siłą. Reidun dotknęła szyi. Siniaki po pobiciu zbladły, żółtkły i zniknęły. Ale ciało reagowało na wspomnienie. Stół do ping-ponga w pokoju zabaw wciąż był rozstawiony, choć od miesięcy nikt go nie używał. W kominku nadal leżał popiół, jak również patyki po umoczonych w cukrze jabłkach, które grillowali jeszcze za dawnych, szczę-

śliwych czasów. Reidun wzięła gwałtowny wdech i otworzyła drzwi, które tak długo pozostały zamknięte. Towarzyszyło jej bliżej nieokreślone, nieprzyjemne uczucie, kiedy omiatała wzrokiem pokój, który własnoręcznie pomalowała na cytrynowożółty kolor. Johannes namalował u góry pasek w słońca i księżycy. Po co? Po co właściwie? Tu w środku był inny zapach. Prześcieradło i kołdra leżały zwinięte w dole łóżka, dokładnie tak, jak Malaki zostawił je o poranku dwudziestego czwartego sierpnia. Jego zniszczona zielona kurtka wisiła cały czas na krześle. Z wystrzępionej kieszeni na piersi wystawał posrebrzany flet. Filiżanka, rozbita na kamiennej posadzce na cienkie, ostre kawałki, leżała wciąż w ciemnej plamie zaschniętej kawy. Nadpsuty kawałek tortu pozostał rozgnieciony w jednym rogu tacy, która wypadła jej wtedy z rąk. Nie miała wtedy pojęcia, bladego pojęcia, co nieludzkie doświadczenia mogą zrobić z człowiekiem. Ukrywanie uciekiniera było pomysłem Johannaesa. „Tylko przez jakiś czas, tylko do następnej rozprawy Malakiego w sądzie. Później wszystko się ułoży. Przecież musi. Nie jest przecież przestępcą — tak powiedział Johannes. — Odesłanie go byłoby równoznaczne z podpisaniem wyroku śmierci. To oczywiste, że musiała zajść jakaś pomyłka ze strony władz”.

Malaki pojawił się w kościele w Kronviken pewnego późnego czerwcowego wieczoru. Kiedy msza się skończyła i Johannes zamykał bramę na noc, zobaczył go stojącego w księżycowym świetle jak istotę z innej rzeczywistości, proszącą o schronienie, wzywającą pomocy. Pastor zaprosił go do domu na plebanię i nie zapytawszy żony o zdanie, zaproponował mu, żeby tam został. Tej nocy Reidun budziła się kilkakrotnie i słyszała ich niewyraźne rozmowy dochodzące z pogrążonej w ciemności biblioteki. Głos Johannaesa brzmiał w tle jak burczący bas, co jakiś czas przesywany okrzykami złości albo głośniejszą skargą. Leżąc w łóżku Reidun pragnęła, aby intruz znikł z powrotem w ciemności, z dala od Johannaesa. Gardziła swoją małostkowością, ale nie udało jej się zdusić pragnienia, aby mieć męża na wyłączność w tej intymnej chwili na godzinę przed północą.

Urządzili piwnicę tak, aby Malaki dobrze się tam czuł. To była oczywiście inicjatywa Johannaesa. Czasami tak się zasklepiało w tej trosce o innych, że nic do niego nie docierało. Kiedy malowali to pomieszczenie bez okna w piwnicy, które Malaki wybrał dla siebie, siedział przy zgaszonym świetle w kotłowni, zwinięty w kłębek za skrzynią na drewno. Tam, w ciemnym jak sadza mroku, zdecydował się spożywać posiłki. Może już wtedy powinna

była zrozumieć, pod jaką presją się znajdował. Gdyby tylko nie starała się przypodobać Johannesowi, może wówczas potraktowałyby protesty uciekiniera poważnie. Uważał przecież, że pokój jest wystarczający. Że wszystko, czego potrzebuje, to odpoczynek i spokój, mały kąt, gdzie nikt go nie dosięgnie. Bezpieczeństwo. Cisza. Nic więcej.

Malaki al Hakim był koptem z Egiptu. Żył już tylko jego matka i cztery siostry. Wcześniej wysłano je do krewnych na dalekie południe. Gdy sąsiedzi fundamentaliści spalili ich dom oraz pobili na śmierć jego ojca i brata, zdecydował się uciec z kraju. Podróż do Szwecji kosztowała go wiele wyrzeczeń. Musiał poświęcić wszystko. Kiedy w końcu dotarł do ziemi obiecanej, zakładał, że tu pozostanie. Jednak wezwano go do urzędu imigracyjnego, gdzie oświadczone, że jego podanie o azyl zostało odrzucone po rozpatrzeniu przez sąd. W trzecim roku pobytu w Szwecji odwołał się do komisji do spraw obcokrajowców i również tym razem spotkał się z odmową. Policja była już na miejscu. Nie myliła się, sądząc, że zamierza uciec. Mimo to udało mu się zbiec przez okno w toalecie. Okazało się to tak proste, że zastanawiał się, czy to po prostu nie musiało się stać, jak powiedział później do Johannes. Trudno było zrozumieć szczegóły tej historii z powodu problemów komunikacyjnych. Ale znajdował się tu człowiek, który potrzebował pomocy, a jej udzielenie było ich obowiązkiem — tak uważał pastor. W jednej z gazet ogólnokrajowych ukazała się notka o zdarzeniu. Później poszła w zapomnienie. Kto by pomyślał, że uciekinier z Egiptu dotrze w końcu aż do samego Kronviken?

Zachowanie tego w tajemnicy przed Cecilią nie było możliwe. Przetrzykiwanie obcego mężczyzny w piwnicy wydawało jej się czymś ekscytującym. Tajemnicą. Wtedy to właśnie ta wspólna tajemnica zbliżyła ich do siebie i stali się małą, szczęśliwą rodziną. Malaki pełnił rolę spoiwa. Później Reidun zdała sobie sprawę, że to właśnie obecność Malakiego sprawiła, że początkowo przeżywali swój miesiąc miodowy, zanim rozpętało się piekło. Najszczęśliwszy czas jej życia. Cecilia była cudownie pomocna. Johannes odżył, czując się potrzebny, a ona sama... Nie, nie chciała o tym myśleć.

Johannes surowo przykazał córce, żeby milczała na temat obecności Malakiego w ich domu. Co dziewczyna powiedziała swoim przyjaciółkom — tego Reidun nie wiedziała, ale przestały przychodzić. Za to Cecilia coraz częściej chodziła z posiłkami do Malakiego i coraz dłużej tam zostawała. Nauczył ją grać na flecie. Flet przechodził z ust do ust. Swoimi wrażliwymi palcami pokazał jej, jak ma układać wargi. Delikatnie wydobył z niej dźwięk O.

Wibracje były wyczuwalne. Młody mężczyzna, młoda kobieta. Próbowwała porozmawiać o tym z Johannesem, ale pozostał głuchy na jej słowa. „Co w sercu, to na języku” — żartował, kładąc dłonie na jej piersiach. I wtedy zapomniała o tym.

Aż nadeszły feralne urodziny Johanna dwudziestego czwartego sierpnia. Świętowali, pijąc kawę w łóżku, jedząc tort i rozpakowując prezenty. Cecilia uszyła krawat na technice. Żółty. Johannes podziękował za ten najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał. Reidun kupiła mu pakiet płyt z irlandzką muzyką ludową, którą od dawna chciał mieć. Kiedy Cecilia poszła do szkoły, a pastor wrócił do biblioteki, aby oddać się rozważaniom nad tekstem kazania na najbliższą niedzielę, Reidun zaczęła myśleć o Malakim. Został jeden kawałek tortu. Postawiła go na tacy, zapaliła świeczkę, nalala kawę i cicho wymknęła się do piwnicy. Drzwi do jego pokoju były lekko uchylone. Przez chwilę obserwowała go przez otwór w drzwiach. Spał i oddychał ciężko, przez sen wił się przed niewidzialnym wrogiem. Plecy lśniły mu od potu w świetle padającym z uchylonych drzwi. Kwaśny zapach strachu. Już tam, o ile nie dużo wcześniej, powinna zatrzymać się i zastanowić. Czy prastara, atawistyczna część jej świadomości nie powinna przejąć kontroli, czując powiew zagrożenia? Ale nie. Johannes był przecież w domu. Nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Malaki był przyjacielem. Jak mogła przewidzieć to, co wydarzy się za chwilę? Czy to nasza kultura każe nam się skradać na palcach z kawałkiem urodzinowego tortu? Być może. Reidun cicho stanęła nad śpiącym młodym mężczyzną i głośno zaśpiewała. Może chciała — choć to idiotyczny pomysł — pokazać, jak wygląda w Szwecji urodzinowa pobudka? Tak wyjaśniła to później z płaczem Johannesowi. „Sto lat...” — tu urwała, otrzymawszy mocne uderzenie w brzuch, które powaliło ją na podłogę. Taca upadła z brzękiem i filiżanka rozbiła się na kamiennej posadzce. Nie mogła złapać tchu. Silne ręce zacisnęły się na jej szyi, dusiły, aż małe, świecące kropki zaczęły tańczyć jej przed oczami. Patrzyła na Malakiego, na jego dobrze znaną twarz, teraz wykrzywioną nie do poznania, na jego wytrzeszczone, dzikie oczy, wysuniętą do przodu dolną szczękę. Siedział na niej okrakiem, przytrzymując ją silnymi rękoma. Powoli szaleństwo, które spłynęło z jego twarzy, zastąpiły strach i rozpacz. Zwolnił uścisk i pognął do drzwi. Przewrócił się na schodach. Trzasnęły drzwi wejściowe. Cisza dudniła w uszach. Reidun leżała na twardej posadzce, sparaliżowana ze strachu, próbując zrozumieć, co się tu wydarzyło. Dopiero po jakiejś godzinie, gdy pojawił się Johannes — jej samej trudno było ocenić upływ czasu — podniosła się z trudem i delikatnie dotykała swojego obolałego ciała.



W pracy pytali ją, czy ślad na szyi to malinka. Niektórzy uważali za niezmiernie zabawne, że żonę pastora ktoś obdarował miłosnym ugryzieniem. Milczała, zgadzając się na to wytłumaczenie. Zaczęła nosić szal, żeby przedłużyć wrażenie, jakie wywoływała. Tak, podobało jej się, że może ich trochę zszokować. Ale Cecilia... najtrudniej było opowiedzieć to wszystko Cecilii. Johannes powitał córeczkę z otwartymi ramionami, kiedy wróciła do domu. Zaprowadził ją do biblioteki. Reidun poszła za nimi, jak zawstydzony pies. Pastor opowiedział oszczędnie o tym, co się wydarzyło. „Zabiłaś go — krzyczała Cecilia, aż ściany dudniły. — To twoja wina, jeśli odeślę go z powrotem i zamordują. Twoja cholerna wina, Reidun!” Płakała dniami i nocami, nie chciała jeść. I tak na plebanii zapanowały ciche dni, nienawiść i chłód. Reidun zamknęła drzwi do pokoju Malakiego. Nie, nie da rady. Nikt z rodziny Ståhlów nie będzie mógł już nigdy używać tego pokoju. Następny pastor wykorzysta go może jako rupieciarnię, ale ona nie mogła się na to zdecydować.

— Idziesz? — spytał Johannes. — Ale jesteś zimna. Połóż stopy między moimi udami, to cię rozgrzeję. Czułem się trochę samotny. Zastanawiałem się, gdzie poszłaś.

— Nie mogłam spać. — Reidun wślizgnęła się pod kołdrę i ułożyła się wygodnie na jego ramieniu. — Myślałam o Malakim.

— Czasami również o nim myślę. — Czuła w uchu oddech Johannaesa. — Zastanawiasz się, gdzie teraz jest? My, w naszym bezpiecznym kącie świata, nawet nie wyobrażamy sobie, jakie przerażające rzeczy spotykają ludzi w krajach dotkniętych konfliktami. Pamiętam jedną z pierwszych nocy, kiedy u nas był. Grillowaliśmy razem z sąsiadami. Kiedy wrócili do domu, wyszedł z piwnicy. Wydaje mi się, że poszłaś już się wtedy położyć. Pod osłoną nocy zebrał się na odwagę, aby wyjść do altany. Niebo było bezgwiezdne. Wyrecytował tekst, który znał na pamięć, może wiersz. Ten jeden jedyny raz widziałem, jak się uśmiecha. Wypiliśmy razem filiżankę herbaty. Wciąż było jeszcze ciepło. Cecilia znalazła jakąś petardę — pozostałość z Wielkanocy i będąc nadal w imprezowym nastroju, zapaliła ją. Bang! To nie była duża petarda, ale Malaki rzucił się na ziemię, przykrywając głowę rękami. Trząśnięcie, leżąc na kamiennej posadzce. Pamiętam, że Cecilia się śmiała. Ten jeden jedyny raz poczułem, że mógłbym podnieść rękę na własne dziecko. To była moja wina, Reidun. Powinienem przewidzieć, co się wydarzy.

— Nigdy mi o tym nie opowiadałeś. Dlaczego?

— Myślę, że było mi wstyd, iż tak niewiele rozumiałem — wyznał pastor i przycisnął żonę do siebie, prosząc cicho o darowanie mu winy.

8

Reidun Ståhl obudziła się z intensywnymi mdłościami. Okropny zapach przypalonej kawy, który wypełnił jej nozdrza, wybił ją ze snu. Leżała przez chwilę w ciszy. Próbowła przypomnieć sobie swoje sny. Była w nich woda, mały staw z rybami i strumień, który prowadził do głębokiego, groźnego jeziora o czarnych wodach. Cecilia najwyraźniej kąpała się wcześniej. Jej włosy były rozczochrane i mokre. Siedziała na brzegu jeziora, nurzając śnieżnobiałą rękę w wodzie. Flet wypadł jej z dłoni i zniknął, połyskując srebrzyście w ciemności. Pochyliła się bardziej. Jej mokre włosy musnęły policzek Reidun, choć nie były to już włosy... lecz wodorosty. W wodzie widać było odbicie Johanna. Miał zieloną brodę. Płakał... Nie, Reidun nie chciała pozostać w tym śnie, nie chciała pamiętać tego, co stanie się później. Ciemność panująca w pokoju sugerowała, że jest jeszcze dość wcześnie. Reidun przewróciła się na brzuch. Prześcieradło podążyło za jej ruchem, marszcząc się i owijając wokół jej stóp. W tej pozycji bolały ją piersi. Nie mogła również leżeć na boku, nawet gdy włożyła między nogi poduszkę. Usiadła więc, oparła się o wezglowie łóżka i położyła głowę na kolanach. Zegar z radiem mrugał. Cyfry wskazywały 00.00. Skontrolowała to z zegarkiem na ręku. Pokazywał 08.13. Wyłączyli prąd. Spróbowała zapalić lampkę nad łóżkiem, tak, prąd już był. Ostrożnie postawiła jedną stopę na podłodze i chwiejnym krokiem udała się do łazienki. „Powinnam iść dziś na zwolnienie — pomyślała. — Nie zniosę widoku innych ludzi, nie znoszę dziś nawet samej siebie”. Już w drzwiach łazienki poczuła zapach na wpół stęchłych ręczników, przepoconych ubrań treningowych i moczu. Woda po goleniu Johanna, którą zwykle tak lubiła, natrętnie gryzła w nosie. „Że też musi tak zlewać się perfumami!” — pomyślała poirytowana z załzawionymi oczami. Mdłości podchodziły jej do gardła. Zimny pot spływał strużkami po plecach i czole. Ogarnęła ją ogromne zmęczenie, ale musiała zwymiotować. Klęcząc, z rękami wspartymi na desce klozetowej, zdecydowała, że zostanie w domu.

Później poczuła się trochę lepiej, a po chwili mogła już wrócić do kuchni. Stała przy kuchence, nie mogąc się zdecydować na śniadanie. Na samą myśl o kawie wszystko przewracało się jej w żołądku. Nastawiła wodę na herbatę i wzięła gazetę. Powoli wracała jej siła do życia i musiała na nowo rozważyć kwestię zwolnienia. Najwyraźniej była wycieńczona. Bycie żoną pastora oznacza, że ludzie mają względem ciebie różne oczekiwania. Pełnoetatowa praca rehabilitantki jest również wymagająca. A do tego jeszcze prowadzenie aerobiku na basenie. Wszystko to razem sprawiało, że nie dawała już rady. Ale przecież tak rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy. Profilaktyczne zwolnienie mogło okazać się mądrym posunięciem, jeśli nie chciała doprowadzić do późniejszego załamania. Ale co z pacjentami? I kto zastąpi ją na zajęciach na basenie?

Reidun przebiegła wzrokiem po pierwszej stronie gazety. Dzisiejsze nagłówki dotyczyły sztokholmskiego pedofila i ostatniej przerwy w dostawie prądu, związanej z włamaniem u jubilera w Bredström. Najwyraźniej znowu ten sam mężczyzna, który zadarł z prawem, żeby spędzić święta w areszcie. Następną stronę wypełniały zdjęcia noworodków. Uśmiechnięte mamy z ukrytymi w cieniu małymi bobasami na ręku, jedna przy drugiej, szpalta przy szpalcie. Zdjęcia z rodzeństwem albo bez oraz dumną figurą ojca w tle wypełniały ostatnią kolumnę z boku i przenosiły się na kolejną stronę. Reidun pomyślała, że wyglądają jak nastolatki, wszystkie mamy razem. Sama nigdy by... Okres spóźniał się ostatnio. Wzięła to za objaw początków klimakterium. Ale co, jeśli... Nie, to zbyt karkołomne i niewyobrażalne. Ale nie niemożliwe...

Na pływalni panował hałas. Z głośników płynęła muzyka disco, małe dzieci piszczały i chlapały wodą. Dorośli przekrzykując harmider, próbowali ze sobą rozmawiać. Z siłowni dobiegała inna, cięższa muzyka. W ostrym świetle słonecznym, wpadającym przez okno panoramiczne, woda rozszczebiała się na tysiące migotliwych refleksów. Reidun czuła w nozdrzach natrętny, ostry zapach chloru. Ktoś otworzył drzwi do kawiarni i wydobywający się z niej zapach palonej kawy i smażonego, papkowatego jedzenia wywołał kolejną falę mdłości.

— Wyciągamy ręce i kręcimy, okrążenie za okrążeniem... świetnie dziewczyny! — zawołała do poniedziałkowej grupy aerobiku. — Dalej, teraz kopiemy. Dajemy czadu! Teraz! W lewo, w prawo, w lewo i przerwa.

„A co, jeśli tam w środku, w ciemności jest dziecko?”

— W prawo, w lewo, w prawo i stop.

„Może zdążę w czasie lunchu pobiec do apteki i kupić test ciążowy — pomyślała. — Żeby tylko za ladą nie siedziała Elvira Bredström. Choć obowiązuje ją przecież tajemnica. Ale mimo wszystko. Wystarczy, że coś zasugeruje, nawet delikatnie i zacznie się gadanie. Co powiedzą znajomi z pracy? I Johannes? Czy nie była na to za stara?”

— A teraz skaczemy na jednej nodze, a teraz kolana do góry i jeszcze raz, i jeszcze. Świetnie. I jeszcze raz.

„A co, jeśli z dzieckiem będzie coś nie tak? Po czterdziestce ryzyko się zwiększa. Nie będę miała siły, nie dam rady zająć się niepełnosprawnym dzieckiem. Jestem za stara, zbyt zmęczona i widziałam zbyt wiele, by nie zdawać sobie sprawy, że nie jest to proste. Można oczywiście zrobić amniopunkcję, ale jeśli okaże się, że z dzieckiem coś nie tak, co wtedy zrobię? Aborcję? Na to Johannes nigdy by się nie zgodził. A jeśli nic mu nie powiem... To oczywiście, że muszę mu powiedzieć. Choć byłoby dużo łatwiej, gdyby nie wiedział, jeśli okaże się, że coś jest nie w porządku. Jest taki bezkompromisowy, jeśli chodzi o życiowe świętości, taki toporny i do bólu logiczny, że w efekcie zupełnie niezyciowy. Byłby zrozpaczony, gdybym dokonała innego niż on wyboru. Jak mogłabym później żyć z jego rozpaczą? Cecilia! Kto powiedziałaby o tym Cecylii?”

— A teraz ostatnie powtórzenie. Dalej, jeden za drugim. Podskoki. Raz, dwa, trzy.

„Nie, na pewno mi się wydaje. Nie jestem w ciąży. Dlaczego miałabym być teraz w ciąży, skoro nigdy wcześniej nie zdarzyła nam się wpadka? Bzdury”.

— Na dzisiaj kończymy. Świetnie się spisaliście. Do zobaczenia za tydzień. W tym samym miejscu, o tej samej porze.

Reidun ma wrażenie, że od tamtego czasu minęło chyba z dziesięć lat. Przekręca klucz w drzwiach toalety i sprawdza, czy są rzeczywiście zamknięte. Pograżona w myślach, w najświętszych tajemnych zakamarkach osobistego życia, siedzi, trzymając na kolanach zieloną torebkę z apteki. Pytanie wisi w powietrzu... Został jeszcze kwadrans przerwy na lunch. Za pięć minut będzie wiadomo. Spoconymi dłońmi niepewnie otwiera opakowanie i wyjmuje instrukcję. W zdenerwowaniu łatwo się pomylić. Dlatego dołączono pokazowe obrazki, według których — jeden po drugim — należy postępować, jeśli zatraci się umiejętność czytania. W stresujących sytuacjach może się to zdarzyć. W decydujących,

życiowych momentach. Plastikowy kubeczek, patyczek testowy, wszystko jest. A później czekanie... jak na wyrok śmierci, choć odwrotnie. Wyrok życia, stworzenie ukryte w środku, skazane na życie. Ludzkie życie. „Albo może jedynie wirus żołądkowy — myśli Reidun i kiwa głową. — Skoro w niedzielę jedzenie stało przez dłuższy czas poza lodówką, kłopoty żołądkowe nie byłyby niczym dziwnym. Ale przecież Johannes czuł się dobrze dziś rano.” Jak zwykle pojechał odwiedzić członków parafii, którzy nie byli w stanie sami przyjechać do kościoła. Tak jak w każdy poniedziałek. Miły sercu obowiązek, jak zwykł mówić, kiedy wracał do domu i w sposób kategoryczny dziękował za kawę. Jeszcze cztery minuty. „Pomocy, co zrobię, jeśli jestem w ciąży!? Czy tego chcę? — szepcze do samej siebie. — Czy sobie poradzę?” Trzy minuty. Dłonie się trzęsą. Bluzka pod pachami jest mokra od potu. „Oddychaj głęboko, odpręż się. Oddychaj wolno. Powoli, spokojnie. Spokojnie. Dwie minuty. W kółku pojawi się plus, jeśli wynik jest pozytywny, minus zamieni się w plus.” Wstrzymuje oddech. Kręci jej się w głowie. Czuje, jak podłoga pod nią faluje, przez moment wszystko wiruje, zatrzymuje powietrze w płucach. Coś rozsadza jej klatkę piersiową. Zamglonym wzrokiem patrzy na patyczek, czekając aż rozmazana linia się wyostri. PLUS!!! Reidun szczypie się mocno w ramię. Serce podchodzi jej do gardła, skąd wydobywa się płacz. Nie wie dlaczego. Po prostu zaczyna płakać. Podłoga i ściany zlewają się w kolorową mgłę. „Jestem w ciąży! Będę matką!” — smakuje te słowa. Dziwne, nierzeczywiste słowa dotyczące Reidun Ståhl. Łzy spływają jej po twarzy. Cieknie jej z nosa. „Kiedy Johannes wróci do domu, zaproponuję mu spacer i wtedy mu powiem” — myśli i czuje, jak jej ciało wibruje z radości. O czymś takim nie można opowiadać przez telefon. Powita ją z otwartymi ramionami i spyta, o co chodzi. Zobaczy w jej twarzy, że wydarzyło się coś ważnego, a później spyta. Raz za razem wyobraża sobie ten cudowny moment, kiedy powie Johannesowi: „Zostaniesz ojcem!”. A on powie: „Reidun, jestem taki szczęśliwy! Kiedy to się stanie? Kiedy?”. Przytuli ją do siebie mocno, podniesie w swych objęciach i będą tańczyli wokół na śniegu. Myśli, że tak właśnie będzie.

Korytarz na oddziale chirurgicznym wyglądał jak prawdziwa autostrada. Łóżka jeździły tam i z powrotem, wózki nierdzewne z materiałami opatrunkowymi i czystym praniem wymijały inne z basenami, termometrami, szklankami po soku i mankietami do mierzenia ciśnienia. Przy sali numer jedenaście stał zapomniany wózek medyczny. Lekarze z poważnymi twarzami rozmawiali z zestresowanymi pielęgniarkami, które biegały w białych san-

dałach z kroplówkami i segregatorami. W środku tego wszystkiego siedział stary mężczyzna na wózku inwalidzkim, głaszcząc swoją żonę po dłoni. W poczekalni brakowało miejsc, zostawieni samym sobie ludzie podpierali dłuższą ścianę prowadzącą do kuchni. Przechodząc, Reidun dostrzegła mężczyznę siedzącego z numerem magazynu informacyjnego w ręku. To jego włosy i lekko nosowy głos zwróciły jej uwagę. Zatrzymała się na chwilę, aby mu się przyjrzeć. Raz po raz spoglądała na kartkę w swojej dłoni, tak aby na głą zatrzymanie w ruchu nie wydawało się nieuzasadnione. Wózek z jedzeniem przejechał obok z hukiem. Rozeszła się woń smażonej ryby i tłuczonych ziemniaków. Położyła dłoń na ustach, czując jak wzbiera w niej intensywna fala mdłości. To musiał być on — woźny, który rozmawiał z Johannesem w bibliotece, Rune Villman.

Reidun była w drodze do archiwum, skąd miała przynieść kilka dzienników lekarskich, by później udać się do gabinetu rehabilitacyjnego. Zamiast tego zahaczyła na chwilę o dyżurkę pielęgniarek. Nie było to zamierzone, zrobiła to pod wpływem chwili, gnana ciekawością. To musiał być on! Niewiele myśląc, otworzyła historię choroby Runego Villmana i przeczytała, co pielęgniarka zapisała w rubryce: wywiad chorobowy. Jej postępowanie było absolutnie niemoralne. Ale jeśli nikt się o tym nie dowie... nic się przecież nie stanie. Szybko rozejrzała się wokół. Dyżurka była nadal pusta. Jeśli ktoś wszedłby teraz i przyłapał ją na tym, pewnie poczułaby się nieprzyjemnie, może byłaby nawet zawstydzona. Ale ciekawość jest silnym bodźcem. W pewnym sensie była nawet upoważniona. Jeśli Rune Villman będzie potrzebował później rehabilitacji, zdecydowanie była upoważniona. Ona tylko rzucała okiem na jego papiery, aby zaplanować następny etap leczenia. Po prostu.

„Rune Villman 800229—8613. Najbliższy krewny: Rut Villman (babcia). Videvägen 143”. Mieli ten sam adres i numer telefonu. „Zatrudnienie: praca na część etatu jako woźny w szkole Ekeskolan w Kronviken”. Dziwne, że dorosły mężczyzna mieszka za swoją babcią. „Historia choroby: Bóle otrzewnej nieznanego pochodzenia od czasu wieku dorastania. Operacja wyrostka — 94. Dolegliwości gastryczne. Migreny. Planowana operacja przepukliny”. Prawdopodobnie siedział i czekał teraz na łóżko przed jutrzejszą operacją. Nic nie znalazła, więc była trochę rozczarowana. Czego właściwie się spodziewała? Wyczerpującego opisu konstrukcji mózgu mężczyzny? Diagnozy dziwactwa, o którym szeptały głosy za ścianą biblioteki na plebanii? Może. Reidun poczuła się okrutnie oszukana i szybko odłożyła teczkę. Czują, jakby jej ręce były trochę brudne.

„A może to nic takiego dziwnego, że mężczyźni kolekcjonują damską garderobę?” — spytała sama siebie. Nie zawsze jest tak, jak mogłoby się wydawać. Czasami prawda okazuje się zupełnie inna. Po szpitalu krążyła plotka, jak to nie dalej niż zeszłej jesieni przywieziono na izbę przyjęć hydraulika. Reidun słyszała tę historię na izbie przyjęć. Mężczyzna uległ wypadkowi. Ludzie zbili się wokół niego w czarny, mrowiący się tłum. Syrena karetki przecinała ich szmer. Nie, nie, nie pozwoli im rozciąć sobie spodni. Nigdy! Karetka z wyciem potoczyła się w stronę szpitala. Bardzo prawdopodobne, że noga była złamana. Mężczyzna wylądował na noszach, trupioblady na twarzy. Przyjęła go młoda, obłana rumieńcem pielęgniarka zaopatrzona w nożyczki.

— Nigdy! Nie zgadzam się! — jęczał.

— Ale musimy zobaczyć, jak to wygląda, jeśli mamy panu pomóc — tłumaczyła cierpliwie pielęgniarka.

— To niemożliwe — stęknął mężczyzna, wijąc się jak dżdżownica, bardziej z powodu wewnętrznych mąk niż fizycznego bólu.

— Noga może być złamana. Muszę rozciąć spodnie, żeby to sprawdzić. Niedługo dostanie pan zastrzyk przeciwbólowy.

Mężczyzna uparł się, krzyczał, że mają go zostawić, że musi jechać DO DOMU! Wtedy jak ściana wyrósł nagle przed nim lekarz dyżurny. Nie było litości. Spodnie zostały rozcięte i spod nich wychynęły damskie majtki w pączki róż.

— Wszystkie inne były brudne, więc wziąłem jedno z szuflady Leny.

„Kto wie, może była to prawda?” — pomyślała Reidun. Sprawy nie zawsze mają się tak, jak nam się wydaje.



9

— Co tam w szkole? — spytała Reidun, która kilka godzin później nakryła do obiadu składającego się z pieczonej kielbasy i kluseczek. Naprawdę miała nadzieję, że tym razem będzie Cecilii smakowało.

Brak odpowiedzi. Dziewczyna wyglądała przez okno, tak jakby pytanie nigdy nie padło.

— Wkrótce święta. Fajnie, prawda? — Reidun kontynuowała mimo silnego oporu przejawianego po drugiej stronie stołu.

Cecilia przeżuła powoli kanapkę z otwartą buzią, następnie zrobiła bąbelek ze śliny. Ponownie brak odpowiedzi.

— Jaki prezent chciałabyś dostać? — Ostatnia nieśmiała próba nawiązania kontaktu. Odkaszlnęła na końcu zdania, czując, że głos odmawia jej posłuszeństwa.

— Żebyś się wyprowadziła — syknęła Cecilia, przewracając szklankę z mlekiem. Zanim do Reidun dotarły w pełni jej słowa, tamta zniknęła już za drzwiami kuchni. Mleko spływało po stole na podłogę. Szklanka toczyła się z boku na bok. Dźwięk wybrzmiał i wtopił się w ciszę. Kobieta wzięła szmatkę i posprzątała. Jak długo jeszcze? Jak długo to potrwa, zanim będzie lepiej? Czy to pewne, że kiedykolwiek będzie lepiej? Drzwi do łazienki zatrzasnęły się i chwilę później dało się słyszeć szum wody.

Poczta, którą Johannes przyniósł koło południa, wciąż leżała rozłożona na stole. Reidun wyrzuciła do śmieci kilka umoczonych w mleku ulotek reklamowych i przebiegła wzrokiem po reszcie. Na samym wierzchu leżał rachunek za telefon. Musiała ponownie spojrzeć, żeby dotarła do niej suma, która na nim widniała. Johannes musi to zobaczyć! Chodziło o tysiące koron, które Cecilia przepuściła, surfując po Internecie. I wszystkie rozmowy telefoniczne. Czy po tym, jak spędziła pół dnia z Amandą, musiała jeszcze prowadzić z nią godzinne rozmowy telefoniczne? Reidun wzięła rachunek i udała się w stronę biblioteki. Teraz Johannes zobaczy to czarno na białym. To, że jest się miłym, nie oznacza au-

tomatycznie, że jest się dobrym człowiekiem! Jeśli przyzwala się Cecylii na szastanie pieniędzmi, to brakuje ich na inne rzeczy. Reidun nie była pewna, czy w przyszłości chce dokładać się do rachunku. Jeśli dziewczyna nie okazywała ani odrobiny wdzięczności, nie było powodu, żeby dostawała wszystko, czego tylko sobie zażyczy. Może lepiej byłoby ponownie rozdzielić finanse, tak jak to było na początku — żadnego wspólnego funduszu na nieprzewidziane wydatki ani na święta.

Bała się trochę tej rozmowy z mężem. Ile będzie ją kosztowało postawienie sprawy na ostrzu noża? Czy się odważy? Wszystko albo nic. Czy naprawdę była gotowa na podjęcie walki? Na ryzyko, że straci wspólne dotychczasowe życie?

Johannes siedział w bibliotece. Zdjął buty, tak jak to miał w zwyczaju. Stały na środku pokoju. Wyglądały na za ciasne, a także stare i znoszone. Rozmawiał przez telefon i uniósł rękę w geście ostrzegawczym, gdy Reidun wyłoniła się zza kotary. Na stole leżały okulary. Potarł ręką oczy. Pozycja, jaką przyjął, świadczyła o tym, że był bardzo zmęczony.

— Przepraszam — powiedział do słuchawki. — Możemy teraz rozmawiać. Jasne, że możesz przyjść. Czekam na ciebie... Oczywiście, ale o ósmej muszę iść do kościoła. Mamy spotkanie parafian, a później wieczór gospel. Tak, będę czekał.

Zrezygnowana Reidun wróciła do pokoju z rachunkiem w zwisającej bezładnie ręce. Uszła z niej największa złość. Teraz chciała tylko, by mąż ją przytulił i powiedział, że wszystko jest w porządku, że jest piękna, że ją kocha.

Nadal słychać było szum wody pod prysznicem, która lała się niekończącym się strumieniem do wtóru bijącego licznika. Reidun stała za kotarą i czuła złość na Cecylię. Przez chwilę myślała, aby zaproponować żetony na prysznic dla młodej damy. Ich wykorzystanie oznaczało koniec ciepłej wody w kranie. Jeśli chciała kąpać się dłużej, musiała zapracować na to, na przykład sprzątając swój pokój i odkurzając salon. Ale kiedy Reidun wkroczyła do jasnej biblioteki i zobaczyła zatroskaną minę Johanna, nie powiedziała nic. Ogarnęła ją czułość i lepka, tchórzliwa słabość, za co w głębi serca gardziła sobą. Wślizgnęła się w jego objęcia.

— O co chodziło? — spytała.

Odsunął ją od siebie i położył dłonie na jej ramionach. Patrzył daleko poza nią, utkwivszy wzrok w niewidzialnych troskach, tam gdzie nie mogła mu towarzyszyć.

— Nie mogę ci powiedzieć. To poufna sprawa. Przykro mi, Reidun. W tej chwili nie do końca jestem sobą. Muszę pobyć sam.

Wszystko było nie tak! Johannes miał spytać: „O co chodzi?”, kiedy zrozumie, że wydarzyło się coś ważnego. Miał spytać, a później ją objąć. Tak miało być. Musiał ją dostrzec, w przeciwnym razie całe to gadanie o bliskości i miłości było bez znaczenia. W przeciwnym razie nie kochał jej. Jeśli nie potrafił odczytać tego z jej twarzy, teraz, kiedy mógł z niej czytać jak z otwartej książki, oznaczało to, że Reidun jest dla niego niewidzialna. I wszystko inne było ważniejsze, wszystko poza żoną i dzieckiem, które nosiła pod sercem.

— Czy zdążymy pójść na spacer przed obiadem? — szepnęła i pomyślała, że powinien zdawać sobie sprawę, iż dotyczy to całego ich późniejszego życia razem.

— Nie, nie da rady. Muszę popracować, później mam wizytę. A później wieczorem... sama wiesz. Nie ma takiej możliwości.

— Wychowawca Cecylii zadzwonił, gdy weszłam do domu. Cecylii nie było dziś w szkole — powiedziała Reidun, zamykając bramę do swoich uczuć z hukiem, który odbił się echem w całym Kronviken.

— Dlaczego? Jest chora? — spytał Johannes. Jego głos był równie słaby jak jego ciało. Kartkował z roztargnieniem papiery na biurku, nie patrząc jej w oczy.

— Nie wiem. Sam ją spytaj. Powiedziałam, że nie pójdzie dziś do klubu filmowego. Teraz jest pod prysznicem. — Reidun odwróciła się w stronę drzwi i zacisnęła zęby ze złości.

Rune Villman przyszedł o zmierzchu i przemknął się do biblioteki, nie dzwoniąc wcześniej do drzwi. Pastor oczekiwał go, ale mimo wszystko był niemile zaskoczony, kiedy szczupły, drobny woźny pojawił się bez słowa za jego plecami. Johannes postrzegając to jako sprawę honoru, aby nie zamykać drzwi na plebanię na klucz, kiedy byli w domu. Miało to oczywiście swoją cenę.

Johannes przemówił jako pierwszy.

— Proszę. — Gestem wskazał kanapę.

Rune Villman usiadł na samej krawędzi i wbił wzrok w podłogę. Johannes zajął miejsce w fotelu naprzeciwko i próbował nadać swojej twarzy wyraz tak zwyczajny, jak to tylko możliwe. Nie zdążył zjeść nic na kolację, a rozmowę z córką musiał przesunąć na jutro rano. Ale najbardziej niepokoił go wyraz twarzy Reidun. Przestraszył go bardziej, niż miał odwagę przyznać. Prosiła go, żeby poszli na spacer i porozmawiali w cztery oczy. Dlaczego jej prośba była mniej ważna niż prośba Runego — nie umiał tego wytłumaczyć. To pewnie z tych samych powodów dzieci piekarza nie mają chleba, a szewca — chodzą bez butów. Krewni pastora muszą być na ostatnim miejscu, jest to rodzaj samopoświęcenia. A może chodziło o to, że intuicyjnie czuł się po prostu nieswojo na samą myśl o tym, co Reidun miała mu do powiedzenia. Bał się, że jest to początek końca ich spędzonego razem czasu. To musiało być coś poważnego. Widział przecież. Rune odkaslnął cicho i Johannes zwrócił ku niemu całą swoją uwagę, podparł brodę na czubkach palców i skinął głową.

— O czym chciałeś ze mną rozmawiać?

— Być może nie pożyję już długo. — Rune spojrzał pastorowi w oczy, tak jak nigdy wcześniej na niego nie patrzył. — Będą mnie operować. Rozkroją mnie i później już się nie obudzę.

— Kto cię rozkroi? — Johannes coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu o kiepskim zdrowiu psychicznym Runego. Rozmowa z człowiekiem tak bardzo oderwanym od rzeczywistości wykraczała poza kompetencje i doświadczenie pastora.

— Ci w zielonym, później ląduje się u tych w białym, jeśli się przeżyje. Bóg może nie pozwoli mi przeżyć. Jeśli to on decyduje o tym, kiedy się umrze. Nie chcę zasnąć, nie chcę, żeby ci w zielonym mnie uśpili, bo wtedy pewnie już nigdy się nie obudzę. Ale czy może pastor powiedzieć Bogu, że babcia mnie potrzebuje? Nie powinna sama wchodzić na dach, by poprawić antenę, nie da rady też otwierać słoików z burakami. Proszę to powiedzieć Bogu. Wtedy może nie zabiorą mnie do Królestwa Bożego, jak będę spał.

Johannes raz po raz przecierał oczy. Były suche i podrażnione.

— Czy chciałbyś coś wyznać? Czy chcesz odpuszczenia win? Boisz się śmierci — czy o to chodzi? — Pastor podsumował to, co wydało mu się zrozumiałe w wywodzie mężczyzny.

— Tak. Najbardziej myślę o tym, że to musi być nieprzyjemne, gdy jest się martwym i brzydko się pachnie.

— Rozumiem — powiedział Johannes i oparł czoło o dłoń, aby ukryć twarz, która tak wyraźnie dawała wyraz czemuś przeciwnemu. — A jak tam dziewczęta? Czy przestałeś już je śledzić?

— Trudno to wytłumaczyć.

— Spróbuj. Nigdzie się nam nie spieszy.

— Opowiadałem już, że kupowałem ubrania, które dziewczęta przymierzały.

— Tak, opowiadałeś — potwierdził Johannes.

— Mam je teraz na sobie.

— Co masz na myśli? — Pastor popatrzył na chłopaka, nie dostrzegając nic dziwnego w jego ubiorze.

— Mam na sobie ich bieliznę. To znaczy w kieszeniach. Wieczorem, kiedy się ściemni, wkładam ją i idę pod domy dziewczynek. Nie wiedzą, że tam jestem, nigdy nie odważyłbym się ujawnić, ale często obserwuję je z ukrycia. Wiem, gdzie mieszkają, gdzie mają swoje pokoje. Kiedy jest ciemno, można podejść naprawdę blisko i nikt cię nie widzi, można patrzeć, a inni o tym nie wiedzą. Czasami okno jest otwarte. Chodzi o to, żeby wiedzieć, który zapach do kogo należy, żeby go rozpoznać. Po części jest to sztuczny zapach, a po części ten, który wydzielają gruczoły apokrynowe. Kształcenie na perfumiarza trwa sześć lat. Ja nie potrzebuję takiego wykształcenia, mam wrodzony talent. Najlepszy nos. Zaraz przed atakiem migreny zapachy się różnicują i stają bardziej intensywne. Wtedy idzie mi najlepiej. — Na chwilę zapadła cisza i Rune zaczął wiercić się na kanapie.

— Wiesz co, myślę, że powinieneś porozmawiać o tym z kimś, kto zna się na tym lepiej ode mnie — powiedział w końcu Johannes. — O tej sprawie z dziewczętami i o twoich myślach o śmierci powinieneś porozmawiać z terapeutą.

— Jak człowieka się zabalsamuje, to nie pachnie już tak brzydko. Albo jak się go zamrozi, choć wtedy nie można wyłączyć prądu. Proszę mi obiecać, że porozmawia pastor z tym swoim Bogiem. Nie chcę umrzeć, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto będzie mógł mnie zabalsamować.

Kiedy Johannes, trzymając w jednym ręku kanapkę, wyciągnął drugą rękę po płaszcz, drzwi do łazienki otworzyły się i pojawiła się skąpana w oparach Cecilia w turbanie na głowie.

— Czy mogę iść do klubu filmowego dziś wieczorem, tato?

— Twój wychowawca powiedział, że nie było cię dziś w szkole. Jesteś chora, Cissi?

— Tak, bolała mnie trochę głowa dziś rano, ale teraz czuję się już dużo lepiej. Proszę! — błagała, posyłając mu swój najładniejszy uśmiech.

— OK. Ale musisz być z powrotem w domu o dziewiątej. Pokaz kończy się o wpół do dziewiątej, prawda?

— O dziesiątej, proszę cię, tato. Nikt nie wraca do domu przed dziesiątą. Nie ma sensu oglądać filmu, jeśli później się o nim nie podyskutuje.

— Dobrze, w takim razie dziesiąta — skapitulował zmęczony Johannes.

— Kocham cię, tato! — Cecilia zarzuciła mu rękę na szyję, a on zaśmiał się głośno, zaskoczony. Później zawiązał buty, wziął płaszcz i wyszedł w śnieżny wieczór. W myślach rozwiązywał już kolejne problemy. Finanse parafii nie wyglądały najlepiej. Kościół potrzebował remontu, jednocześnie Pastor chciał, aby trwali nadal przy zobowiązaniu comiesięcznej pomocy finansowej dla domu dziecka w Indiach, na którą zdecydowali się na początku zeszłego roku. Potrzebowali więcej pieniędzy na działalność dla młodzieży, a jego niska pensja nie zmieniała się od wielu lat.

Co zobaczyłby Johannes, gdyby odwrócił się, przechodząc przez furtkę? Rozżaloną twarz Reidun w oknie kuchni? A może cień, który powoli przesunął się wzdłuż ściany domu w kierunku okna Cecylii, aby zmaterializować się pod postacią młodego woźnego?

Cecilia poszła już do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Włączyła komputer. Miała nadzieję, że ON będzie *online*. Podczas gdy aplikacje na ekranie otwierały się bardzo powoli, Cecilia kiwała się w prawo i w lewo przed biurkiem. Yourlove, miał przezwisko Yourlove. Sprytnie. Chwilę zajęło jej domyślenie się, kim był. Napisała mu, że zostawił flet w kieszeni swojej zielonej kurtki. „Wrócisz tu jeszcze? Zobaczymy się?”. Może jak tylko ten żalosny komputer wreszcie odpali, będzie tam odpowiedź. Teraz... wiadomość wysłana o 21.30 w niedzielę wieczorem. Wczoraj wieczorem, kiedy wyłączyli prąd. To dziwne! Ceci-

lia dostała prawdziwego ataku złości, gdy w domu zapanowała ciemność i nie mogła wejść do Internetu po spędzonym razem z rodziną wieczorze. ON odpowiedział! Jednym krótkim zdaniem, ale tak bezpośrednio i przyjaźnie! Czas i miejsce. Dziś wieczorem! Yourlove — Your love — My love! Dziś wieczorem znowu go spotka. Cecilia czuła, jak podniecenie wierzga w jej przeponie jak świeżo złowiony łosoś. Co miała na siebie włożyć? Nowe perfumy Reidun leżały pod materacem. Cecilia spryskała się trochę na szyi i tanecznym krokiem udała się do szafy, aby znaleźć dla siebie idealny strój na wieczór.

## 10

— Tata pozwolił mi iść do klubu filmowego, do cholery. Nie jesteś moją matką. Nie masz, kurde, żadnego prawa, żeby o tym decydować. — Cissi demonstracyjnie odwróciła się plecami.

— Wiem, że nie jestem twoją matką. Ale jestem za ciebie odpowiedzialna. — Reidun nieświadomie przyłożyła dłoń do szyi, a później do skroni, gdzie pulsujący ból głowy piekł jak siniak.

— Tata powiedział, że mogę iść.

— Słyszałam. Masz być w domu o dziesiątej.

— Jeszcze zobaczymy. Może będę nocować u koleżanki. — Cissi pomalowała usta błyszczkiem i przejrzała się w lustrze, stanęła bokiem i wydeła usta. Reidun obserwowała ją, połykając jeden gorzki komentarz za drugim. Cissi włożyła sweter i wypięła trochę biust. Z piersią do przodu i pupą do tyłu potrząsnęła długimi blond włosami i oblizała wargi czubkiem języka. Wypróbowałszy nową pozę, ponownie ułożyła usta w dzióbek.

— Na co się, kurde, gapisz, pieprzona wiedźmo! — krzyknęła. Nie chciała, żeby ton był aż tak ostry. Ale poczuła, jakby ktoś ją przyłapał na czymś niestosownym i krytycznie oceniał.

— Mała, przestraszona dziewczynka, która boi się, że nie jest wystarczająco dobra. — Reidun wyszła do kuchni, żeby Cecilia nie dostrzegła jej załzawionych oczu. Odruchowo otworzyła lodówkę, jakby szukając tam pocieszenia. Przyjemnie było poczuć chłód na twarzy. Przymknęła oczy. Odór sprawił, że poczuła mdłości. Cholera! Pobiegła do toalety i zatrzasnęła za sobą drzwi. Czuła, jak zawartość żołądka przewraca się w jej brzuchu. Odgłosów nie dało się stłumić. Cecilia musiała słyszeć. Tak strasznie bez sensu.



— Co też Cissi może mieć w swojej torebce? — zagadnęła tajemniczo Cecilia, kiedy razem z Amandą zamknęły się w toalecie przy auli i zapaliły po papierosie. Wnętrze toalety było zniszczone. Nawet deski klozetowe pomazano graffiti. „Benjamin się spierdział” — napisano koślawymi literami, a nad uchwytem na papier toaletowy można było przeczytać: „Luksus to produkt deficytowy, oszczędzaj papier toaletowy”.

Amanda oparła głowę o ścianę, patrząc na przyjaciółkę okrągłymi oczami, ale nic nie powiedziała. Jej niespodzianki zazwyczaj okazywały się niesamowite. Wzrok Cissi był rozbiegany, gałki oczne przesuwaly się szybko od prawa do lewa wzdłuż grubych narysowanych kredką linii, jak u magika przed punktem kulminacyjnym przedstawienia. Amanda poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz.

— Jedna dla mnie i jedna dla ciebie. — Cecilia wyciągnęła z plecaka dwie butelki czerwonego wina. Jedną z nich podała koleżance.

— Skąd je masz? — Amanda miała przerażony wyraz twarzy.

Cecilia uniosła znacząco brew, potrząsnęła głową i cmoknęła. Można się było tego spodziewać.

— A jak myślisz? — Zaśmiała się.

— Wzięłaś je z domu? Nie zauważą, że zniknęły? — Amanda skrzywiła się, czując, jak oczy pieką ją od dymu.

— Nie sądzę. Tata musi pić wino w swojej pracy, wiesz. Twój tata ma służbowy samochód, mój ma służbowe wino. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby je liczył. A gdyby zauważył, to pomyśli, że Reidun wzięła te flaszki. Ma powody. Ma przecież mnie!

— Czy to wino mszalne? Cissi, nie wiem, czy chcę... to wydaje się trochę... jakby magiczne. Myślę, że nie... — Amanda wyprostowała się, czując na sobie surowe spojrzenie Cecylii.

— Cholerna idiotka. To wino nie jest mszalne, dopóki nie znajdzie się w kościele. Wcześniej stoi w domowej spizarni i jest zwykłym winem, czaisz? Myślisz, że ci, którzy stopami zgniatają winogrona, myślą, że może niektóre winogrona muszą zgnieść dłońmi, bo to są mszalne winogrona?

Amanda poddała się w obliczu tak niezbitcie logicznego stwierdzenia i obejrzała swoją butelkę.

— Jak ją otworzymy?

Cecilia spojrzała na Amandę i przez moment wyglądała na zbitą z tropu.

— Nie wiem — przyznała. — Nie wzięłam korkociągu. Plastik można zdjąć zębami, ale jak wyjmemy korek?

Amanda przez chwilę poczuła ulgę, zanim Cecilia nie wpadła na kolejny genialny pomysł.

— Możemy rozbić szyjkę butelki o kant umywalki. Tu w rogu jest całkiem ostry. Może da radę. Jeśli do wina dostaną się kawałki szkła, można je przefiltrować przez papier toaletowy. Sprytnie, co? Ale śmierdzi, spierdziałaś się?

— Nie. — Amanda bardzo próbowała się powstrzymać, ale nie wytrzymała napięcia.

— Jasne, że tak. Otwórz drzwi, bo się uduszę. Trzeba przewietrzyć, do cholery! Jutro idę do pielęgniarki szkolnej. Muszę z kimś pogadać. Rune pokazał tyłek w oknie sali gimnastycznej. Po prostu ściągnął gacie i wystawił swój tyłek, kurde, ale obrzydliwość.

— Naprawdę? Kiedy? Nie widziałam.

— Jasne, że widziałaś. Musiałaś. Zamknij drzwi, idzie sprzątaczką.

Tom Flodström siedział na samym końcu auli. Mowa wprowadzająca przed pokazem filmu skończyła się i zgaszono światło. Tom w głębi serca miał nadzieję, że Cissi przyjdzie, mimo że nie było jej w szkole. Nigdzie jej jednak nie widział. No i dobrze, wmawiał sobie. Zerwanie z nim przez SMS-a było tak cholernie beznadziejne. Właściwy seans poprzedzało kilka krótkich filmików. Opowiadały o wojnach burskich. O holenderskich chłopach, którzy bili się z Anglikami o złoto i zielone pola. Gospodarstwa płonęły, ludność zaganiano do obozów koncentracyjnych, a w środku tego piekła rozpętanego przez białych ludzi stał czarnoskóry człowiek i wpatrywał się w jasne wnętrza swoich dłoni. Odgłosy walk i szczęk broni zagłuszyły dźwięk tłuczonego szkła w toalecie. Ogień płonął, przestraszone konie stawały dęba, a na tym tle doszło do spotkania dwojga zakochanych, których miłość z góry skazana była na klęskę. On czarny, ona biała. Tom nie mógł przestać myśleć o Cissi. Nie nawidził jej i kochał ją jednocześnie, a na myśl o pocałunku, którym obdarowała go w zeszłym tygodniu, wciąż czuł ogień w spodniach. Ale to był koniec. KONIEC. Musiał się z tym pogodzić. Już jutro pewnie będzie się obściskiwala z innym. Żeby tylko nie musiał tego

ogłądać. Żeby tylko nie musiał widzieć, jak dotyka jej ktoś inny. Trach, brzęk! Tym razem dźwięk tłuczonego szkła zbiega się ze sceną rozdzierającej tęsknoty. Czarny mężczyzna widzi, jak ona odchodzi. Wie, że go kocha, ale sam poprosił, żeby odeszła, bo nie miał jej nic do zaoferowania. Dźwięk tłuczonego szkła dociera w końcu do uszu wychowawcy, Pontusa Larssona, który siedzi tuż przed Tomem. Odwraca się na moment bez większego zainteresowania. Scena na płótnie jest hipnotyzująca, przesycona miłosnym cierpieniem. Czy kobieta odwróci się i wpadnie mu w ramiona? Zwalnia kroku, na chwilę przystaje. Ciemnofioletowe niebo wisi dramatycznie nad ich głowami. Wybrzmiewająca w tle melodia apeluje do ukochanej. Nie, nie rusza się. Nie odwraca. Ale płacze.

W czasie przerwy Tom poczuł, że musi się odlać, odcedzić kartofelki, przewietrzyć węża, oddać mocz, spuścić z kija, wysikać się, wyszczać albo odpryskać. Drzwi do toalety były zamknięte na zamek, więc musiał iść aż do samej stołówki. Na tym odcinku wymyślił jeszcze kilka dodatkowych określeń na sikanie. Kiedy wrócił, toaleta przy auli była cały czas zajęta. Walnął w drzwi, prosto w symbol fallusa, który ktoś wrył nożem na środku. Była to zatem, jak widniało na załączonym obrazku, męska toaleta. Drzwi otworzyły się powoli i pojawiła się w nich Amanda z ręką owiniętą papierem toaletowym. Tom zobaczył krew, czerwoną krew na białej masie papieru. Amanda była bardzo blada.

— Co ci się stało? — spytał, a jego głos przeszedł w mutacyjny falset.

— Gównu cię to obchodzi. Idę do domu. Powiedz Larssonowi, że rozboleła mnie głowa.

— Przecież krwawisz. Rozciąłaś sobie nadgarstek? — wyseplenił Tom i przekręcił kolczyk, którym miał przekłuty język.

— Nie twój, kurwa, interes. — Głos Amandy zupełnie nie brzmiał tak arogancko, jak to, co mówiła.

— Słyszałem swoje imię. — Nad ich głowami rozległ się znajomy głos. Pontus Larsson, nauczyciel szwedzkiego i angielskiego, wyłonił się z półmroku i spojrzał na dłoń Amandy.

— Co się stało? — spytał i przyjrzał się opatrunkowi.

— Przewróciłam się na rowerze.

— Śmierdzisz papierosami. — Pontus nachylił się i powąchał włosy dziewczyny.

— Tak, czy to nie obrzydliwe? Włosy od razu nimi przesiąkają. Była u nas moja ciotka. Uważam, że powinna wychodzić na zewnątrz na papierosa, ale nie mogę tego powiedzieć mamie.

— Kto jest w toalecie? Czy to ty, Cissi? Pospiesz się, film już się zaczął. — Pontus Larsson popukał w drzwi. Oznaczona na czerwono zasuwka wskazywała, że są zamknięte. Z wewnątrz dobiegł ich cichy pisk. Pontus przyłożył ucho do drzwi. Tom zrobił to samo. W środku ktoś grał na flecie. Nauczyciel zapukał jeszcze raz, ale drzwi toalety pozostały zamknięte.

— Cissi, czy to ty? — spytał. Brak odpowiedzi, jedynie monotony pisk. Zostawił ją. Otwarty konflikt z Ceciliją Ståhl bez szczególnego powodu byłby wyjątkowo złym pomysłem.

W przerwie seansu szkolna bibliotekarka wyjaśniała tło historyczne filmu. Gdyby nie to, że Larsson siedział przy samym wyjściu, Tom wymknąłby się z sali. Musiał porozmawiać z Cissi. Chciał poznać powód, dla którego z nim zerwała. Musiał dowiedzieć się, jaki błąd popełnił.

Zaschnięta taczka przejeżdża z brzękiem po zakurzonej drodze ciągnięta przez równie zakurzonego konia. Czarny mężczyzna siedzi ze związanymi rękami i stopami na dnie wozu. Próbował uciekać i ma zostać teraz powieszony. Nadjeżdża elegancka dorożka. W środku siedzi biała kobieta w kapeluszu i jasnoróżowej sukience, a obok niej pękający z dumy właściciel ziemski, którego oświadczyły wcześniej przyjęła. Właściciel rozkazuje chłopu, aby wypuścił czarnego mężczyznę. Chłop wyjmuje nóż...

Drzwi z tyłu za Tomem otworzyły się, ktoś przemknął obok i usiadł na miejscu przy nim. Wyczuł zapach dymu papierosowego i wina. Dłoń musnęła jego udo. Jej jasne włosy opadły na jego ramię, jej twarz zbliżyła się do jego twarzy.

— Cissi — szepcze Tom i próbuje nadać swemu głosowi głęboki i szorstki ton. Tak bardzo pragnie, żeby w kinowej ciemni przesunęła dłoń w górę jego uda aż do punktu zapalnego. Ale ona tego nie robi. Nawet go nie widzi, tylko patrzy w sufit i chichocze, choć nie ma żadnego powodu do śmiechu. Zupełnie żadnego.

## 11

— Do zobaczenia! — krzyknął Tom do Cecilii Ståhl, kiedy rozstali się na dziedzińcu szkolnym.

Posłała mu przeciągłe spojrzenie. Obserwowała, jak idzie w kierunku centrum. Nigdzie nie było widać Amandy, ani w szatni, ani na dziedzińcu. „Może poszła wcześniej do domu — pomyślała Cecilia. — To wredne z jej strony, że nie poczekała. Podła z niej świnią. Tchórzliwa i niegodna zaufania”. Pontus Larsson uruchomił swój samochód na parking. Czerwoną toyotę. Cecilia zobaczyła, jak błysnęła w świetle latarni, i poczuła nieprzyjemny dreszcz. To, co opowiadała wcześniej Amandzie o chłopaku w toyocie, który podszedł do niej na mieście i powiedział „Cześć, Cissy”, nie było właściwie prawdą. Bycie córką pastora wymaga pokazania, że jest się *cool*. Paplanie o tym, że chłopak miał czerwoną toyotę, nie było może przemyślanym posunięciem, ale co z tego? Musiała przecież wymyślić na chybcika jakąś markę. Amanda była czasami tak strasznie ciekawska i męcząca. Cecilia nigdy nie wdałaby się w tak długi wywód, gdyby tamta cały czas nie pytała i nie chciała wszystkiego wiedzieć. Była poza tym taka naiwna, prawdziwa kretynka. Cecilia zaśmiała się głośno. Mina Amandy, gdy próbowała ukryć swój strach i udawać obojętność, była tak cholernie komiczna. Tak jak wtedy, gdy kradły kosmetyki do makijażu w domu handlowym w mieście i Cecilia włożyła je do kieszeni Amandy, kiedy właśnie pojawił się strażnik. Kurde, ale kretyńsko wyglądała. Przerażona, jakby zaraz miała narobić w majtki.

Śnieg przestał padać, ale światło księżyca zasklepienie było nadal w ciemnych chmurach. Wiał ostry i przejmujący wiatr. Oczy Cecilia łzawiły. Było jej zimno w krótkiej kurteczce. Sportowe buty szybko przemokły w śnieżnej plusze, a mroźne podmuchy szczypały i drapały w twarz. Czerwona toyota podjechała do furtki szkolnej i się zatrzymała. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wyłoniła się z nich ciemna głowa. Cecilia zwolniła kroku.

— Może cię podwożę? — spytał nauczyciel, kiedy stanął wystarczająco blisko, żeby mogła go usłyszeć. — Nie będziesz musiała iść sama przez las.

— Dziękuję. — Cecilia zatrzymała się i dotknęła fletu w kieszeni kurtki.

— Jesteś pewna? Chętnie cię podwiozę.

— Nie ma takiej potrzeby — powiedziała, naśladowując głos Gudrun Wern. Strasznie chciało się jej śmiać na samą myśl. To znaczy na myśl o Gudrun Wern. Cecilia trzęsła się od tłumionego śmiechu tak bardzo, że źle postawiła stopę i runęła do tyłu w zaspę śnieżną.

— Ojej, to mogło się źle skończyć. Wiesz przecież, że to dla mnie żaden problem. Mogę przynajmniej podwieźć cię do skrzyżowania. Nie będziesz musiała przechodzić przez czwórkę w ciemności.

Cecilia przestała chichotać i przybrała poważny ton.

— Nie, dziękuję. Pójdę pieszo.

— Myślę, że dobrze byłoby porozmawiać chwilę w cztery oczy. Wskakuj. Widzę, że jest ci zimno.

— W pana samochodzie w środku nocy? — spytała zjadliwie i uformowała usta jak do pocałunku.

— Nie, to może nie jest najlepszy pomysł. Może wrócimy do tego za dnia.

— Do czego? Co zrobiłam? — Cecilia czuła skradającą się niepewność. Czy coś zauważył? Czy chciał porozmawiać z ojcem o tym, że siedziała w toalecie w czasie pokazu filmowego? To nie jego zasrany interes. Pokaz nie był w ramach lekcji. A może coś gorszego? Może Amanda powiedziała coś o zbitej butelce?

— Myślę, że wiesz, o czym powinniśmy porozmawiać.

— Nie wiem — bąknęła Cecilia bez przekonania i znowu opanował ją chichot. Kotłowało jej się w żołądku i czuła w nim bąbelki. Nie mogła się powstrzymać. Pontus Larsson wyglądał tak idiotycznie w świetle latarni. Pół jego twarzy pokrywał cień padający z dachu, podczas gdy druga połowa była rozświetlona. Widziała wyraźnie ruch jego ust, ale nie oczu. Czasami błyskały w ciemności razem z nosem, nos był w tym wszystkim najbardziej komiczny. Widać było tylko mały biały czubek, który podskakiwał, gdy nauczyciel zaczynał mówić.

— O co chodzi? — Usta Pontusa otworzyły się i zamknęły pod czubkiem nosa.

Cecilia wybuchnęła śmiechem. Nie znalazła słów, by opisać, co widziała. Ale było to zabawne. Tak szalenie zabawne.

— Cecilia, piłaś jakiś alkohol?

Nie mogła się powstrzymać, żeby go nie przedrzeźniać.

Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Podeszedł do niej jak czarny demon z podskakującym na głowie kucykiem i czarnym powiewającym na wietrze płaszczem. Zaczęła uciekać. Nie oglądając się za siebie, biegła między domami, okrążyła boisko i brnęła dalej w śniegu po kolana w górę wzgórza prowadzącego do lasu. Początkowo czuła tuż za sobą jego dyszący oddech, ale dzielący ich odstęp powiększał się. W ciemności lasu poczuła się tak pewnie, że odważyła się zatrzymać i odwrócić głowę. Jej serce biło szybko, w płucach brakowało powietrza. Pochyliła się z rękami na kolanach, próbując złapać oddech. W oddali na dole widziała ciemną fasadę budynku szkoły oświetloną przez latarnie uliczne. Magister Pontus Larsson szedł w kierunku samochodu. Jego płaszcz powiewał z tyłu, kiedy gniewnie stawiał duże kroki, a włosy podskakiwały w ich rytm na plecach. Cecilia wzięła głęboki oddech i zakrztusiła się zimnym powietrzem. Nie chciała myśleć o jutrzejszej lekcji szwedzkiego. Nauczyciel poprosi, żeby została po lekcji, miała to jak w banku. Mogła oczywiście udać chorą. Jeśli Reidun zaczyna wcześniej pracę, nie powinno być z tym żadnego problemu.

Kiedy czerwona toyota odjechała spod furtki i zniknęła za zakrętem, Cecilia wyjęła z plecaka latarkę. To była mała, piękna latarka, którą dostała od taty, kiedy pojechali do miasta po akcesoria do połowu ryb. Wykazała się dużą cierpliwością, czekając, aż ojciec wybierze wszystkie błystki i linki. W nagrodę kupił jej latarkę, choć kosztowała aż dwieście koron. Była niewielkich rozmiarów, lecz dawała mocne światło. Idealna do przeszukiwania rzeczy Reidun na strychu i czytania listów z czerwonej blaszanej skrzynki po herbatnikach. Czysta pornografia. Myśl o tym, że krowa Reidun wyprawiała takie rzeczy, wydawała się zabroniona, podniecająca, a jednocześnie obrzydliwa.

Cecylii zmarzły ręce. Gdyby nauczyciel nie wspomniał o rozmowie w cztery oczy, może pozwoliłaby mu się podwieźć przynajmniej do skrzyżowania. Palce u nóg drętwiały jej z zimna. Niełatwo było odnaleźć ścieżkę, kiedy śnieg szczelnie okrywał ziemię. Cecilia uderzyła głową w gałąź i na jej ramiona posypał się śnieg. „Wszystkiemu była winna Reidun” — ustaliła sama ze sobą. Wytlumaczenie sytuacji ojcu byłoby proste jak bułka

z masłem, gdyby tylko Reidun nie wtrącała się do spraw, które jej nie dotyczą, i nie stawiała złośliwych pytań. Cholera, jak jej nienawdziła! Poza tym jednym razem, kiedy dostała okres i Johannes nic nie rozumiał, a Reidun przyniosła podgrzany w mikrofalach termofor i położyła jej na brzuchu, żeby przyniósł ulgę. I jeszcze wtedy, gdy na nosie wyskoczył jej wielki pryszcz i nie chciała iść do szkoły. Wtedy Reidun była fajna i dawała jej spokój. Kiedyś przyniosła nawet z apteki lekarstwo na dżumę i tabletki antykoncepcyjne. Ale poza tym była po prostu męcząca, ze swoimi strachliwymi pytaniami i trzęsącą się wilgotną górną wargą. Nie można być miłym dla kogoś kto cały czas się podlizuje, służalczo wchodzi ci w tyłek i grzecznie wszystko po tobie sprząta. Wtedy czujesz się kimś lepszym i złym. W końcu zło cię opanowuje. Trudno czuć szacunek do kogoś, kto sam go dla siebie nie ma. Człowiek staje się szorstki, tak cholernie szorstki, a później przestaje nad tym panować. Kończy się to wyrzutami sumienia i to jeszcze bardziej cię wkurza. „Pieprzona Reidun! To twoja wina. Nigdy nie powinnaś się do nas wprowadzać. Byłoby lepiej, gdybyśmy spotykały się tylko od czasu do czasu” — pomyślała Cecilia. Choć ostatnio trochę się poprawiło. Przestała być już tak strachliwa. Choć oczywiście nie wtedy, gdy rzygała. „Obrzydliwość. Na pewno się upiła. Albo co gorsza — była w ciąży. Jeśli jest w ciąży, wyprowadzam się” — powiedziała do siebie na głos. Sama myśl o tym, że ojciec mógłby mieć jakieś seksualne kontakty z Reidun, napawała ją obrzydzeniem. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że to jest właśnie to, do czego dochodziło po drugiej stronie ściany łączącej ich sypialnie. Odgłosy i zapach w łazience po tym, jak każde z nich po kolei spieszyło cicho do łazienki, nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Ręcznik Reidun wydzieliał mdłą woń jak kwiaty z krzaku ligustru u ciotki Evy. Cecilia zatrzymała się. Doszła do torów. Światło od strony wsi padało na nasyp kolejowy. W oddali słychać było nadjeżdżający pociąg. W tym samym momencie zadzwoniła komórka. Cecilia z trudem wygrzebała ją z kieszeni. Palce miała sztywne jak patyki. Gdyby tylko wzięła ze sobą rękawiczki. To też była wina Reidun. Gdyby nie zrzędziła, rękawiczki leżałyby teraz w torbie.

— Cześć. Tu Reidun. Zastanawiam się, gdzie jesteś. Zbliży się wpół do jedenastej.

— *So what?*<sup>4</sup>

— Uzgodniliście z Johannesem, że będziesz w domu na dziesiątą.

— Zapomniałam, do cholery.

---

4 *So what?* (ang.) — I co z tego? (przyp. red.).



— Idziesz już? Mam wyjechać po ciebie?

— Nie, do cholery. Zaraz będę w domu.

Cholerna wiedźma. Nic jej do tego, kiedy Cecilia ma wracać do domu. To ojciec o tym decydował. Do godziny pierwszej miała spokój. Do tego czasu on będzie w kościele. Jeśli Reidun powie mu, że Cecilia wróciła do domu późno, pomyśli po prostu, że wiedźma jest męcząca i zrzędzi. Czy chociaż raz wierzył w to, co mówiła? Najważniejsze, aby była w domu, kiedy ojciec wróci, żeby on sam się nie denerwował. Niepokój mógł sprowokować zakazy, których żadne z nich nie chciało. Tak to wyglądało w praktyce.

Cecilia Ståhl szła wzdłuż nasypu w kierunku dzielnicy willowej i minipola golfowego. Ciężko było tak iść po mokrym śniegu. Przyspieszyła kroku. ON czekał tam na nią, czuła to. To musi być on! Napięcie sprawiało, że drżała na całym ciele, przewracało jej się w żołądku, krew krążyła szybciej. Jak wyglądała? Czy jej nos był bardzo czerwony? Włosy musiały być prawdziwą katastrofą. Cholera! Teraz to dostrzegła: w okienku zabitej dechami budki paliło się światło. Musiał się włamać. Cecilia zastanawiała się, jak długo już tam siedział. Miesiąc, może dłużej. Cały ten czas, kiedy mogli być razem. Tyle dni wypełnionych tęsknotą. Wkrótce znajdzie się w jego ramionach. Cecilia dotknęła klucza w kieszeni kurtki. Duplikat. Nietrudno było go zdobyć. Tata Amandy miał w szufladzie biurka pęk kluczy, w którym był również ten do budki. Cecilia pożyczyła go tylko na chwilę. Zeszłej wiosny zrobiła duplikat, żeby móc dostać się do budki, ilekroć tylko chciała bawić się z Amandą i Tomem w gry nieprzeznaczone dla oczu dorosłych. Ale teraz, właśnie teraz, jej ukochany był tam w środku. ON czekał na nią. Radość niemal ją unosiła nad grubą warstwą śniegu. Ostatni odcinek pokonała biegiem. Wkrótce weźmie ją w swoje ramiona. Owionie ją jego zapach i nikt, już nigdy nikt ich nie rozdzieli, nie teraz, kiedy wrócił. Jeśli zatrzymał się w budce, będzie przynosić mu jedzenie i widywać się z nim każdego dnia. Światło w drewnianym okienku zgasło. Musiał usłyszeć jej kroki. Była oczywiście ostrożna. Wiadomości, które jej wysyłał, były sformułowane tak bezosobowo. Gdyby każdego dnia nie wyczekiwała z utęsknieniem wiadomości od niego, pewnie nawet nie dostrzegłaby jego maila w zalewie spamu i innych bzdurnych wiadomości. „Spotkajmy się przy budce”, godzina i data, brak podpisu, użytkownik: Yourlove! Zupełnie tak, jak nazywały się te kosmetyki.

Cecilia zatrzymała się, żeby złapać oddech i przeciągnąć palcami po włosach, następnie jednym susem pokonała dwa schodki i zapukała do drzwi. Pospieszne kroki. Deski

w podłodze zatrzeszczały. Drzwi otworzyły się powoli. On wyłonił się z ciemności i podniósł dłoń, aby dotknąć jej twarzy, odnalazł i delikatnie musnął jej policzek skórzaną rękawiczką. Próbowwała dostrzec jego twarz w ciemności. Czuła obcy jej zapach wilgotnej wełny i kawy. Czekala, aż coś powie, weźmie ją w objęcia. Skóra, gdzie poczuła dotyk jego dłoni, paliła jak ogień i lód. „Dotknij mnie. Powiedz coś. Dlaczego nic nie mówisz? Zapach kawy. Dziwne”.

— Nie lubisz przecież kawy... — Nie poruszał się. Nic nie mówił. Ogarnął ją strach, który sprawił, że szukała sensu powiązań w labiryncie różnych możliwości. Coś zdecydowanie się nie zgadzało. — Czy to ty, Malaki? — Głos Cecylia zabrzmiał bardzo dziecinnie, gdy strach wkradł się do jej zmarzniętego ciała. — Malaki?

Ciemna postać pociągnęła ją za próg, powaliła na podłogę i zamknęła drzwi od zewnątrz.

— Kim jesteś? — W tej samej chwili, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co się stało, usłyszała, jak ktoś rygluje drzwi i zamyka na kłódkę od zewnętrznej strony. — Puść mnie! Proszę mnie puścić! Zamarznę tutaj. Czy to ty, Tom? Dość tych żartów. To już nie jest śmieszne. Czego ode mnie chcesz? Co chcesz zrobić? — Cecilia rzuciła się z impetem na drzwi i zaklęła z bólu.

## 12

W kościele w Kronviken zgasły najpierw żyrandole, a później zewnętrzne oświetlenie. Ciemny i majestatyczny budynek rozpościerał się na skale, roztaczając swój nadzór nad dobrem i złem. W miarę jak Johannes przyzwyczajał się do ciemności, z wolna pojawiały się gwiazdy... Światło księżyca sączyło się przez czarne gałęzie kasztanowca, padając na okryte śniegiem pomniki na cmentarzu. Pastor pomyślał, że wyglądają jak czapki kominiarki naciągnięte na posiwiałe kamienne głowy. Myśl ta była być może nieco bluźniercza, ale rozbawiła go. Pociągnął za sobą ciężką kościelną bramę, zamknął ją na klucz i ponownie spojrzął w rozgwieżdżone niebo. Pasma ciemnej chmury przesunęło się po Polluksie, Kasterze, czyli Bliźniętach, i Byku. Pas Oriona świecił intensywnie w ciemności. Johannes wziął głęboki oddech i poczuł w płucach łagodne powietrze. Za murem cmentarza góra łączyła się z morzem, z czarną zamarzną wodą Kronviken. W ciemności nie widać było Kronholmen, ale spało ukryte w ciemności. W roku 1945 chłopci mogli dostać się do niego po grubym lodzie z zimową paszą dla owiec. Wtedy siedział tam latarnik. Ale to było tak dawno, że Johannes nie mógł tego pamiętać. Chata została spalona dawno temu, podobnie jak stojąca tuż obok latarnia. Zostały tylko fundamenty. Kilka kamieni w ruinie przypominało o dawnym życiu i działalności człowieka, tam daleko w ciemności. Przestraszony ptak przeleciał tuż nad stopami pastora, który aż podskoczył. W tej właśnie chwili pomyślał o Malakim i obejrzał się. Czerwcowej nocy wyłonił się z krzaków jaśminu, cicho jak sama myśl. Teraz gałęzie огоłoczone były z liści, a Johannes stał sam pod rozgwieżdżonym niebem. Sam ze swoimi myślami o życiu i śmierci.

Wieczór był piękny. Akustyka kościoła pozwoliła muzyce gospel w pełni wybrzmieć i wiele osób zostało później na wieczorną kawę. Przy stole, gdzie siedział Johannes, rozmawiano o aktach przemocy dokonywanych w imię Boga. Jak to jest możliwe? Tym razem podjęto temat muzułmanów, ale pod tym względem także historia chrześcijan nie prezentowała się dużo lepiej. Jak to możliwe, żeby w imię Boga stwórcy wysadzać siebie

i innych w powietrze? Rozmowa toczyła się wokół prądów gnostycznych, które w mniejszym lub większym stopniu wpływały na religię od wczesnych dziejów chrześcijaństwa. Brak poszanowania dla życia, naszego doczesnego życia w oczekiwaniu na wieczność — tę prawdziwą rzeczywistość, do której warto dążyć. Bóg jako stwórciel powinien udać się z powrotem do rajskiego ogrodu, jeśli nadal jest obecny w swoim stworzeniu. Tu chodzi o walkę między dobrem a złem, między oświeconą elitą a dziećmi ciemności. Ideologię nienawiści i zemsty, biegunowo odmienną od umiłowania bliźniego jak siebie samego i koranicznego: „Wszystko, co dobre, czynimy sobie. Wszystko, co złe, również czynimy sobie”.

Który okrutny obraz Boga nie zaprzecza istocie życia? Gdzie obecna jest w tym miłość bliźniego? Jak człowiek może być tak ślepy, by nie dostrzegać świętości życia w stworzeniu? W małym dziecku, we wszystkim, co rośnie, w rozgwieżdżonym niebie i wietrze, który hula po polach żyta, w zmieniającym się morzu i dłoniach doświadczonej kobiety? Tak myślał Johannes, stąpając po świeżo spadłym śniegu, na którym żadna stopa nie odcisnęła jeszcze śladu. Przed nim w dolinie w oknach paliły się świece w adwentowych świecznikach, światło z latarni ulicznych i pojedynczych samochodów przejeżdżających obok w tę ciemną noc, wszystko przykryte pierzyną białego śniegu. Na nasypie pod wiązem przy furtce pojawiły się białe zasy, miękkie i przytulne. Mur cementarza wyglądał jak olbrzymia rolada z bitą śmietaną na wierzchu. Kilka sopli lodowych zwisało z dachu komórki i mieniło się w świetle latarni, gama kolorów tak podniosła i piękna jak najpiękniejsze postludium. Czy życie było tylko początkiem śmierci, czy iluzją w oczekiwaniu na prawdziwą rzeczywistość? Czy zanegowanie samego życia nie jest tylko wielkim mamidłem? Do takiego konsensusu doszli podczas wieczornej rozmowy, więc Johannes poczuł się podniesiony na duchu i wzmocniony tym, że znalazł ludzi, którzy podzielali jego przekonania.

„Wspaniała jest ziemia, wspaniała moja kobieta” — śpiewał głośno do siebie samego, idąc w świetle księżyca i myśląc o Reidun. Zastanawiał się, czy już się położyła, czy wślizgnęła się pod kołdrę w swojej koszuli w kwiaty, z kryzą wokół szyi i ramion. Gdy po raz pierwszy włożyła ją na siebie, z trudem zdołał powstrzymać uśmiech. Później stopniowo do niego dotarło, że nosiła ten zapięty pod szyję krzyż pański, aby chronić się przed obnażeniem. W pierwszej kolejności dla dobra Cecilli, żeby nie oglądała jej nago. Chroniło ją to także przed niechcianym dotykiem, sygnalizowało: „Nie dotykaj mnie”. Nigdy nie zastanawiała się chyba nad skutecznością tego przekazu, ale Johannes wyraźnie pamiętał,

że tego wieczoru jego męskość zawiodła go po raz pierwszy, od kiedy dzielili ze sobą łożę. Te wielkie kwiaty były takie przytłaczające, a żądło pszczoły takie kruche. Johannes wziął w dłonie wilgotny śnieg. Wtłoczył w niego swój strach przed niepowodzeniem, na wypadek gdyby włożyła kryzę. Ścisnął mocno i rzucił kulką ponad murem cmentarza. W następnej śnieżce zostawił swoje z wątpienie co do tego, czy Reidun i Cecilia kiedykolwiek się dogadają, a w kolejnych czterech umieścił różne małe troski dotyczące finansów, zarówno tych kościelnych, jak i prywatnych. Po takim skonkretyzowaniu swoich modlitw poszedł w kierunku domu, przez las i ścieżkę oświetloną srebrną, bladą poświatą księżycy. Zostawił za sobą okazałą kupkę śnieżek po zachodniej stronie cmentarnego muru.

W ciemności lasu pozwolił sobie na zakazane myśli o Annalisie, wypierane i traktowane przez niego po macoszemu. Za dnia nie było dla nich miejsca. Przepracowane i sformułowane w zgrabne frazy powinny już dawno odejść i przeminąć. Tego oczekiwano od opiekuna dusz i wydawało się, że Johannes dobrze sobie z tym radzi. Ale w samotności, w nielicznych chwilach prawdziwej samotności, których doświadczał, tęsknota dopadała go jak ryczący dziki zwierz. „Dlaczego, Boże? Dlaczego Annalisa?”

Próbował postępować zgodnie z radami, które dawał innym pogrążonym w żałobie: „Pozwól sobie na wspomnianie miłych chwil spędzonych razem. Patrz na każdy moment jak na dar życia sam w sobie. Miej odwagę wspominać również te gorsze chwile, wydobądź z pamięci problemy, które nie zostały jeszcze rozwiązane”.

Wyszła mu na spotkanie w okrytym śniegiem lesie, wędrowczyni z rozpostartymi rękoma, a on zatopił się w jej miękkim ciele i płacząc, ukrył twarz w rozpuszczonych włosach. Szukając pocieszenia, poczuł zapach wanilii i dotyk jej delikatnych dłoni. Uśmiechnęła się do niego zadziornie i obrysowała palcem wskazującym kontur jego warg. Widział swoje odbicie w jej spojrzeniu. Spoglądał na siebie przez pryzmat jej żądy, pożądany, pełen sił witalnych i kochany przez nią, tak jak niegdyś. Wspomnienia wciąż tak boleśnie spętane przez uczucia. Ściągnął jej przez głowę sweter. Sutki stężały na zimnie albo może już przedtem były nabrzmięte z tęsknoty. Pocałował je, a krew paliła go w członkach. Jej ciepły, przesycony zapachem wanilii oddech owionął jego twarz. Pocałunki, delikatne jak płatki kwiatów, coraz intensywniej rozlewały się po całym ciele. Wtedy uniosła powoli spódnicę nad kolana, nie spuszczając z niego wzroku, i wiedział, że czekała na niego, że tęskniła i pragnęła tego. Już nigdy więcej nie będzie tak jak wtedy — nigdy więcej nie bę-

dzie tym mężczyzną, którym stawał się w jej pobliżu. Kiedy otworzył oczy, ona zniknęła. Chłód i samotność wślizgnęły się do jego duszy i zaczął płakać jak dziecko. Szlochał, trzęsąc się z zimna i rozpaczy nad tym, co utracił — nad samym sobą. Obraz samego siebie, jakiego ona widziała i kochała. W jego pamięci ciało Annalisy na zawsze pozostanie młode, pełne żądz i życia, pozbawione wstydu. To tak niesprawiedliwe względem Reidun. Może była to niewierność, sam nie był pewien. Nie chciał wiedzieć. Nie był gotowy na to, żeby zrezygnować, tak rozpaczliwie potrzebował tych chwil z Annalisą. Bez nich życie byłoby tak strasznie szare. Prawdopodobnie uczyniłby krok w stronę wiecznego połączenia, gdyby nie powinność wobec córki i wątpliwość związana z tym, co było po tamtej stronie, z Bogiem i łaską. Przede wszystkim dotycząca tego, czy on sam również objęty będzie łaską. Kiedy przekracza się pulę złych uczynków do wykorzystania? Spotkanie się z Annalisą byłoby odrzuceniem życia. Teraz czuł tę świadomość. Bolesna myśl. Ból jest nieodłączną częścią życia. Na temat śmierci nic nam nie wiadomo.

Któregoś zimnego styczniowego poranka ktoś zapukał do drzwi plebanii. Na schodach stało dwóch policjantów. Johannes zamknął im drzwi przed nosem. Mógł zakryć oczy, aby zniknęli z pola jego widzenia, zamknął jednak drzwi. Słowa-strzały powinny trafić w kogoś innego. „Dlaczego, Boże? Jak mogłeś w swojej wszechmocy pozwolić na tę krzywdę? Jeśli jesteś wszechmocny, sprawisz, że będzie żyła” — Johannes szeptał do Najwyższego. Ciche, zrozpaczone zaklęcia wypełniały jego umysł, gdy jechał radiowozem na izbę przyjęć. „Pokaż, że istniejesz, Boże, pokaż mi! Teraz masz szansę! Jeśli jesteś samą miłością, nie możesz mi jej odebrać. Nie możesz mnie tak skrzywdzić”. Wzmocniony swoimi modlitwami ujął jej dłoń. Oczami wyobraźni widział, jak wstaje z łóżka i zdziwiona rozgląda się wokół. „Gdzie jestem? Jak się tu dostałam?” Uleczona, powstała z martwych. Obraz jej sinobiałej twarzy w zimnym świetle jarzeniówki wrył się na wieki w jego myślach. Krew, kable. „Jeśli mnie kochasz, Boże... Jeśli pozwolisz jej żyć... zrobię... Jeśli...” A później biała gorączka i pustka, i otchłań.

Zaczął złorzeczyć, szaleć i przeklinać. Łagodny Johannes nie poznawał samego siebie, targany złością, zawiedziony przez Boga i życie. Opluwał wszystkie świętości, odrzucał, niszczył, by później padać przed krzyżem. Do kogo miał się udać ze swoim bólem, gdy ludzkie uszy zmęczone były słuchaniem? Dlatego też zastanawiał się przed Bogiem, szeptał w ciemności świerkowego lasu, czy nie ma prawa spotykać się z nią czasami. I tak

jak wiele razy wcześniej, egoistycznie tłumaczył milczenie jako zgodę na spotkania z Annalisą.

To nie było uczciwe w stosunku do Reidun. Miał do spłacenia dług. Nie był na to gotowy, kiedy zamieszkali razem. Ale nie jest dobrze, aby mężczyzna był sam. Johannes odychał ciężko, ale przyspieszył kroku. Jego żona miała całkowitą rację, mówiąc, że dom wygląda jak pomnik szczęśliwych lat spędzonych z Annalisą. Przypomniał sobie, że jej ubrania wciąż wisiały w szafie w sypialni, a Reidun trzymała swoje w schowku przy korytarzu. Nigdy nic nie mówiła na ten temat, choć dość wyraźnie wyraziła potrzebę posiadania własnego pokoju. Johannes czuł wstyd, gdy o tym myślał, przeklinał swoją ociężałość. Może powinni zacząć od położenia nowych tapet w sypialni i sprzątnięcia w szafie? Reidun zdecyduje, jaką tapetę wybiorą. Chyba wspominała coś o niebieskiej tapecie, zanim nie pojawił się Malaki i nastał całkowity chaos. Skąd wezmą pieniądze na to przedsięwzięcie — to już inna para kaloszy, ale uważał, że to konieczny wydatek. Pogrążony w tych myślach pastor pokonał ostatni odcinek drogi do domu, ani przez chwilę nie przypuszczając, co go tam czeka.

## 13

W oknie kuchni za czerwoną zasłonką widać było światło bijące od adwentowego świecznika. Lampa w bibliotece również się paliła. Zaskoczyło go to. Rzucił okiem na zegarek. Było kilka minut po pierwszej. Okrężna droga przez las zajęła mu więcej czasu, niż myślał. Wciąż czuł jeszcze ciepło po spotkaniu z Annalisą. A teraz Reidun siedziała tam — to musiała być ona — czekając na niego. Pewnie Cecilia znów wróciła zbyt późno i chciała poruszyć temat wyznaczania granic. Johannes czuł się bardzo zmęczony. Trudne rozmowy są bardziej konstruktywne, gdy przeprowadza się je, będąc wypoczętym. Zmęczenie sprawia, że trudno odnaleźć właściwe słowa, zanim jeszcze oskarżenia zaczynają brzęczeć w uszach — narasta irytacja i łatwo dopuścić do utknięcia w martwym punkcie. Zamierzał poprosić, żeby odłożyli rozmowę do jutra. To zazwyczaj proponował. Być może w świetle dnia nie będzie już za bardzo o czym rozmawiać. Tak zwykle się działo. Przez okno widział żonę siedzącą przy jego biurku, była wyprostowana, a jej ruchy nienaturalnie sztywne. Siadanie na jego krześle nie było oczywiście zabronione, jedynie dziwne. Co robiła tam w środku nocy? W rękę trzymała słuchawkę. Jej usta poruszały się bezgłośnie jak w niemym filmie. Z kim rozmawiała o tak późnej porze? Johannes czuł się zawstydzony, jakby coś zbroił. A co, jeśli coś się stało? Mama Reidun nie była już młoda. A może chodziło o Evę? Poczł ukłucie w piersi. Zdał sobie sprawę, jak bardzo kocha swoją starszą siostrę. Czy znowu wylądowała w szpitalu? Życie jest niesprawiedliwe. Idąc w górę schodami, pastor wypowiadał pod nosem wszystkie nie-pozwól-żeby-coś-się-stało modlitwy, które przychodziły mu do głowy. Kiedy otworzył drzwi do biblioteki, Reidun odłożyła słuchawkę na widełki i ruszyła w jego kierunku. Gdyby została na swoim miejscu, strach nie chwyciłby go za gardło, tak jak to się właśnie stało. Jej milczenie, wyciągnięte ręce i wolne, zdecydowane kroki śmiertelnie go przeraziły.

— Co się stało? — ryknął. Szła nadal w jego kierunku, a jej oczy były ciemne ze strachu. — Powiedz wreszcie, co się stało. — Głos załamał mu się i przeszedł w szept.



Reidun otworzyła i zamknęła usta jak ryba, która znalazła się na lądzie. Po raz pierwszy w życiu Johannes miał ochotę wymierzyć jej policzek. Przegonić z jej twarzy ten niepewny uśmiech. Czy nie rozumiała, że go dręczy, że już raz przeżywał taką niepewność i że było to gorsze niż najstraszniejsza gehenna? Czując, że mdli go ze strachu, złapał ją mocno za ramiona:

— Odpowiedz, do diabła!

Reidun wzdrygnęła się.

— Cecilia nie wróciła jeszcze do domu.

Johannes poszedł dalej w głąb pokoju i opadł na kanapę. Patrzył na nią zdezorientowany.

— Może przenocowała u Amandy?

Niezdarnie próbował rozwiązać buty, które pozostawiły po sobie mokre plamy na podłodze. Zapaskudził posadzkę. Nie należało jej zabrudzić. Johannes pozwolił, aby ten szczegół zdominował cały jego wszechświat. Nie było miejsca dla innych myśli, nikt i nic nie przedostawało się do jego świadomości, nic poza jasnymi, mokrymi plamami na podłodze, które właśnie wypłynęły spod jego butów, i białym kawałkiem trocin, który przyczepił się do skarpetki Reidun.

— Dzwoniłam do rodziców Amandy kilka razy. Amanda już o ósmej była w domu. Przewróciła się na rowerze i skaleczyła o zbitą butelkę, którą ktoś wyrzucił na ścieżce rowerowej. Zawieźli ją do szpitala, gdzie założono jej pięć szwów. Cecilia nie wracała z nią razem do domu.

— Próbowalaś dzwonić na komórkę? — syknął Johannes, nie spuszczać wzroku z plam na podłodze.

— Oczywiście. Dodzwoniłam się do niej o wpół do jedenastej. Zaproponowałam, że ją podwiozę, ale miała zaraz być w domu. Tak powiedziała.

Johannes wiercił się na kanapie, próbował otrząsnąć się z brzęczącego w uszach nieprzyjemnego uczucia, które nie chciało go opuścić. Reidun wpatrywała się w niego. Chciała, aby coś zrobił. Miała nadzieję, że zaradzi sytuacji. Czego właściwie oczekiwała?

— Wychowawca. Czy dzwoniłaś do Pontusa Larssona? — Jego głos był tak zimny i rzeczowy, że sam z trudem go rozpoznawał.

— Pewnie ze dwadzieścia razy. Nie odpowiada. Jest chyba świeżo po rozwodzie. Nie wiadomo, czy śpi we własnym domu.

— Zadzwoń jeszcze raz — poprosił z braku innych pomysłów. Początkowo oblał go zimny pot, ale teraz czuł, jak stopniowo odzyskuje grunt pod nogami.

— Kiedy przyszedłeś, zamierzałam właśnie dzwonić na policję.

— Nie działajmy może pochopnie... Tom, rozmawialiśmy o chłopcu o imieniu Tom nie dalej niż wczoraj. Pokłócili się i teraz zamierzała go przeprosić albo jakoś tak.

Reidun miała wątpliwości, ale zdecydowała się tego nie komentować.

— Tom. Zobaczę w szkolnym zeszycie z telefonami. Słuchaj, Johannesie, jeśli ona u kogoś nocuje, to może nie powinniśmy tego opowiadać całej szkole.

— Dlaczego nie? — spytał głupio. — Chyba nie masz na myśli, że śpi u kogoś w *ten* sposób. Opamiętaj się, proszę, Reidun. Przecież to tylko dziecko.

— Nie, Johannesie, to nieprawda. To młoda kobieta i jak każda młoda kobieta potrzebuje czułości i seksu. Myślę, że jest na tym polu dość zaawansowana.

Po fakcie pastor nie mógł zrozumieć tego, co się stało. Reidun cofnęła się chwiejnie, gdy podniósł rękę, aby ją uderzyć. Patrzyła na swego męża z szeroko otwartymi oczami. Jej twarz wyrażała zdziwienie, które przerodziło się następnie w strach. Gestu nie można było cofnąć. Johannes wbił wzrok w swoją dłoń, czuł, jak złość opanowuje go po czubki palców. „Powiedz coś, przestań mnie dręczyć”. Podszedł do niej, a ona cofnęła się gwałtownie.

— Przepraszam cię, moja najdroższa Reidun, wybacz mi — prosił, gdy ochłonał. — Tak strasznie się denerwuję. Przepraszam. Wybaczysz mi? Obiecuję, że to się nigdy nie powtórzy. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym... — Objęła go, usiadła na podłodze i ukryła jego głowę w swoich krągłościach.

— Co teraz zrobimy? — spytała, głaszcząc go wolno po plecach.

— Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli zadzwonisz do tego Toma. — Przerwał na chwilę. Kątem oka zauważył znowu skarpetki Reidun. Na wpół świadomie pochłaniały teraz jego

uwagę. Obie czerwone skarpetki miały na sobie ślady trocin. Jak czerwony muchomor z białymi kropkami. Nie zapytał jej o to, zapomniał o tym w tej samej chwili, kiedy je dostrzegł. — Jeśli jest tak, jak mówisz — dodał.

Reidun posłała mężowi przeciągłe spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Dała sobie czas na przetrwanie i ponowną ocenę swoich myśli. Podniosła się ciężko z podłogi i poszła do pokoju Cecilii, aby przynieść zeszyt z telefonami. Szukała, aż znalazła go wciśnięty między puste butelki po winie, które Cecilia ustawiła na regale jako pamiątkę po konsumpcji alkoholowej Reidun. Tom Flodström. Po czterech sygnałach usłyszała damski głos.

— Czy mogę rozmawiać z Tomem? — spytała Reidun.

— Teraz, w środku nocy?

— Tak, teraz.

— Właściwie muszę iść i zobaczyć, czy jest w domu. Może to głupio zabrzmie, ale zasnąłam już o wpół do dziewiątej. Mąż jest w podróży służbowej. Chwileczkę.

Johannesowi zdawało się, że minęła wieczność, kiedy Reidun wreszcie odłożyła słuchawkę.

— Nic — powiedziała. — Nie miał nic więcej do powiedzenia poza tym, że wrócił zaraz po skończonej projekcji. Cecilia też tam była. Pożegnali się na dziedzińcu, kiedy pokaz się skończył.

— Co teraz? — Johannes objął twarz rękami i zsunął je powoli na szyję. Długie, chude ciało zapadło się w sobie.

— Zanim przyszedłeś, zadzwoniłam do szpitala. Nie było jej tam. Może powinniśmy wyjść i jej poszukać. Powinna była iść główną drogą. Myślę, że jest zbyt ciemno i zbyt dużo śniegu, aby szła lasem.

— Jechała rowerem? — spytał Johannes.

— Nie, rower stoi na podwórku. Spróbuję zadzwonić jeszcze raz na jej komórkę. — Reidun wstukała dobrze jej znany numer i usłyszała:

— Siemka, dodzwoniłeś się do Cecilii Ståhl. Nie mogę teraz rozmawiać. Do usłyszenia.

14

— Czy miała ze sobą klucz? — Johannes zatrzymał się na schodach, chcąc zamknąć za sobą drzwi wejściowe.

— Tego nie wiem. Może będzie lepiej, jeśli zostawimy drzwi otwarte. — Trzęsąc się z zimna, Reidun naciągnęła берет na uszy i wyszła w zimową noc.

— Raczej nie szła przez las. Jest tak ciemno. Musiała iść drogą. Wiesz może, czy miała odblaski? — Johannes szedł szybko po schodach, pogrążony we własnych myślach. A jeśli przejechał ją samochód? Ludzie jeżdżą jak wariaci. Jest ciemno i ślisko. Dlaczego pozwolił jej pójść na spotkanie klubu filmowego? To było takie strasznie bezsensowne. Nie czuła się przecież dobrze. A jeśli zagorączkowała i nie miała siły dojść sama do domu? Może leżała gdzieś w jakimś rowie unurzana w błocie, a może...

— Oczywiście dzwoniłaś na izbę przyjęć?

— Tak. — Reidun brakowało tchu — Ale nic nie wiedzieli. — Prawie biegła obok męża, próbując nadążyć za jego szybkim tempem.

— Idźmy po przeciwnych stronach drogi, będziemy lepiej widzieli. Zabroniłem jej jeździć autostopem. Obiecała mi, że nigdy tego nie zrobi — mówił do siebie raz po raz, podczas gdy jego wyobraźnia nasuwała mu kolejne obrazy, jeden gorszy od drugiego. — Obiecała mi.

— Więc pewnie tego nie zrobiła — powiedziała Reidun bez przekonania.

— A jeśli zmarzła? Czy powiedziałaś jej, żeby włożyła czapkę i porządne buty? — spytał Johannes, nie spuszczając wzroku z rowu. Reidun nie odpowiedziała.

— Jeśli zmarzła, to może jednak pojechała autostopem — mówił dalej, nie zwracając uwagi na wyraz twarzy żony.

— Zaproponowałam jej, że przyjadę po nią samochodem, ale powiedziała, że za chwilę będzie w domu.

— O której to było? — Pastor odsunął ściągacz rękawa kurtki, żeby zerknąć na zegarek. Była za pięć druga.

Reidun zawahała się i jej głos przeszedł w szept:

— Zadzwoiłam do niej o wpół do jedenastej.

Johannes zaczął biec, wydając z siebie na wpół stłumiony krzyk.

— Cecilia! — krzyczał głośno. — Cecilia!

Na dole na skrzyżowaniu widać było skręcający na południe samochód. Pastor machał i gestykulował, ale był niewidzialny w szarym mroku.

— Do diabła! Co ona może robić? — Johannes zatrzymał się i popatrzył na Reidun stojącą w świetle latarni. Chwyił ją za ramiona.

— Pokłóciłyście się?

— Nie bardziej niż zwykle — odpowiedziała Reidun i cofnęła się o krok.

— Co masz na myśli? — Wzmocnił uścisk.

— Cecilia wyrzuciła z siebie wszystko, co jej leżało na sercu. Powiedziała, że nie mam prawa o niej decydować, bo nie jestem jej matką.

— Nie mieszaj w to Annalisy. — Głos Johannesesa zabrzmiał ostro, co zaskoczyło jego samego. Czuł się przyłapany na własnych myślach. Gdyby Annalisa żyła, coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Gdyby tylko Annalisa żyła.

— Nie mieszam w to Annalisy — szepnęła bezsilnie Reidun. — Nikt tu nie wspominał o Annalisie.

Później szli obok siebie w ciszy drogą prowadzącą do szkoły. Czasami Johannes biegł przodem, czasami przystawał, pochlipując przy krzaku albo drzewie, i gwałtownie oddychał. Budynek szkoły stał pogrążony w ciemnościach. Na parkingu nikogo nie było, dziedziniec też wyglądał na opustoszały. Przez moment Reidun wydawało się, że widzi ciemną postać przy siatce wieży do wspinania, tuż obok domku zabaw, ale gdy przyjrzała się bliżej, okazało się, że to tylko oparte o ścianę sanki.

— Spróbuj jeszcze raz zadzwonić na jej komórkę — zakomenderował Johannes.

Reidun zdjęła rękawiczki i wybrała numer. Ta sama odpowiedź co wcześniej: „Siemka. Dodzwoniłeś się do Cecilii Ståhl. Nie mogę teraz rozmawiać. Do usłyszenia”.

— Co teraz zrobimy? — spytała, kiedy już sprawdzili piąte, ostatnie drzwi prowadzące do sali gimnastycznej.

— Spróbuj zadzwonić jeszcze raz do domu. Może wróciła i zastanawia się, gdzie jesteśmy. — Pastor chuchał na zmarznięte palce, w jego wzroku zapaliła się iskierka nadziei. Jego żona wybrała numer i odczekała dziesięć sygnałów. Dziesięć długich jak wieczność krzyków pośród nocy. Później potrząsnęła głową. Johannes zmrużył oczy, kręcił dłońmi, ścisnął je i wykręcał, aż ból dotarł do jego świadomości.

— Może nocuje u którejś z innych koleżanek? Jeśli Amanda wróciła wcześniej, to prawdopodobnie się pokłócili — mówił.

— Cecilia nigdy nie spała u nikogo innego niż u Amandy. — Reidun pożałowała swych słów, zanim zdążyła wypowiedzieć zdanie do końca. On teraz potrzebował nadziei bardziej niż prawdopodobieństwa.

— Pójdziemy z powrotem przez las — zdecydował. — Do tej pory musiała już wrócić do domu. Może śpi albo słucha muzyki i nie słyszy telefonu.

Wspinali się w górę wzgórza, brnąc w śniegu po kolana, oświetleni księżycowym światłem na wąskiej ścieżce między drzewami. Wilgoć przesiąkała przez ubrania, docierając do skóry. Gałęzie drapały ich po twarzach, oni jednak nic nie czuli. Johannes wyszukiwał po omacku świerki w ciemności, potykał się o pnie i kamienie, krzyczał w okrytym śniegiem mroku: „Cecilia!”.

Widoczny w oddali prześwit zdradzał bliskość polany. Las gęstniał, a księżycowe światło padało na zeszłoroczną trawę, która wystawała jak szczecina z białej skorupy śniegu. Pastor zatrzymał się i czekał na żonę, rozglądał się wokół, patrząc ku czarnej wodzie Kro-nviken i otwartemu morzu. Opuszczona budka z zabitym okienkiem stała jako pamiątka inwazji turystów. Krajobraz minipola golfowego z małutkimi domkami, okrytymi białymi zasypami śniegu. Na zaśnieżonym pomoście i drodze prowadzącej do portu wiało pustką. Johannes zrobił kilka kroków do przodu i ukucnął. Zobaczył ślady podeszew butów i sanek. Prowadziły do lasu. Były prawie tak duże jak te pozostawione przez jego własne buty. Poszedł kawałek za nimi, wyglądało na to, że prowadzą do torów kolejowych. Wtedy usłyszał za plecami kroki Reidun i stracił ślady z oczu.

15

Inspektor Maria Wern oparła głowę o zakurzoną zasłonkę w drobne paski i obserwowała widok za oknem. Pejzaż miasta z wysokimi budynkami, światłami na ulicach i wiaduktami zmieniał się w rozległy iglasty las, by później przejść w równinny krajobraz małych wsi. Krister spodziewał się pewnie, że zadzwoni do domu, ale prawdę mówiąc Maria nie chciała mu przeszkadzać w porannych porządkach. Bez większego trudu wyobraziła go sobie ze szczotką do zmiatania zasadzającego się na koty kurzu ze wzrokiem utkwionym w kanapę, gdy ruszał do ataku przeciwko dwóm solidnym fotelom broniącym bramki. I nagle coś się dzieje. Krister-łasic-Wern idzie szybko do przodu. Przejmuje krążek, a ten jakby przykleił się do kija. Przekracza linię. Teraz mocna blokada ze strony barczystego lewego obrońcy sprawia, że krążek wypada z tercji. Następuje uwolnienie. Przerwa w grze. Wznowienie. Rozgrywający przejmuje krążek. Podaje do Kristera Werna. Ponownie lewy obrońca. Krister Wern robi zwód. Obrońca jest tak skonsternowany, że wydaje mu się, że kupuje hotdoga na trybunach. Krister-łasic-Wern symuluje strzał. Bramkarz broni bramki. I tak, TAK! Krister Wern gładko popycha krążek prosto w światło bramki. Publiczność faluje. Krister! Krister! „Krister, słyszysz mnie?” Ktoś powinien go wreszcie przywrócić do rzeczywistości, żeby nie zmarnował całego przedpołudnia. A później jest powtórka programu kulinarnego Tiny. Tego nie może przegapić. Gdyby program emitowany był w *slow motion*, pewnie spędziłby cały dzień, siedząc na swoich szerokich czterech literach przed szklanym pudłem. „Miałam nadzieję, że obiad będzie gotowy, gdy przyjadę do domu. Dzieci też jeszcze nie jadły? Ale chyba muszą iść spać? Mówisz, że co robisz? Odmrażasz kotlety w lodówce? Ale musimy ZARAZ jeść! Czy to Tina powiedziała ci, że kotlety rozmraża się w lodówce? Aha, dzięki temu będą bardziej soczyste, naprawdę? Nie obchodzi mnie, co mówi Tina, chcę coś zjeść, zanim zemdleję. Zjem surowego kotleta i wypiję z niego krew. Czy nie możesz po prostu usmażyć kielbasy? Otworzyć konserwy z klopsikami rybnymi albo ugotować kaszy? Nie ma w domu mleka? Miałeś przecież zrobić zakupy”. Gdzieś

przy tej myśli Maria musiała usnąć. Kiedy się obudziła, właśnie odjeżdżali ze stacji w Gävle. Obudził ją natarczywy dźwięk męskiego głosu.

— Uwaga! Ruchamy! — dał się słyszeć melodyjny okrzyk konduktora. Dwie kobiety, które prawdopodobnie dosiadły się w Gävle, spojrzały po sobie skonsternowane. Towarzyszący im mężczyzna w jasnoniebieskiej marynarce wyglądał również na zakłopotanego. Konduktor cudzoziemiec szedł przez wagon, który trząsał się od śmiechu i komentarzy podróżnych. Przystanął i machając w rękę kasownikiem, patrzył wymownie w stronę nowych pasażerów, czekając na okazanie biletów. Mężczyzna w sztruksowej marynarce nie wytrzymał napięcia. Postawił sobie za punkt honoru, aby uświadomić konduktora co do nie stosowności tego wyrażenia, wstał i spojrział mu prosto w oczy.

— Czy mógłbym pana prosić na chwilę? — Stanowczym ruchem pokazał mu koniec korytarza, poza zasięgiem uszu innych pasażerów. Przyciszonym głosem wytłumaczył mu w męskiej rozmowie w cztery oczy zaistniały problem natury językowej.

— Mówi się „ruszamy”!

— Wszyscy mieli ze mną dziś niezły ubaw. Ale sprośny ten wasz język. — Maria usłyszała głos konduktora, który wyraźnie stracił nieco ze swego wcześniejszego animuszu.

— Być może — zgodził się mężczyzna w sztruksowym garniturze i usiadł z powrotem na miejscu ze skasowanym biletem. — Być może. Możliwe, że nasz język jest dziwny, a w każdym razie niejednokrotnie niekonsekwentny, skoro przeciwieństwem... — wdał się w dalsze rozważania nad specyfiką języka szwedzkiego i jego nielogicznością w tworzeniu antonimów. Wyglądało na to, że koniecznie chciał dokładnie wyjaśnić konduktorowi, jakie pułapki czyhają na cudzoziemców ze strony języka szwedzkiego.

— Papuga na trzy litery — powiedziała kobieta naprzeciwko Marii, pokładająca się nad krzyżówką, która zajmowała cały stolik. Musiały wsiąść w Gävle, stwierdziła Maria, kiedy konduktor skasował i wręczył im z powrotem bilety.

— Tylko na trzy litery. To musi być jakaś mała papuga. Masz jakieś litery, Anita? — spytała kobieta mówiąca w dialekcie i uniosła okulary nad czoło.

Maria, która wcześniej zdążyła już odpłynąć we śnie, usiadła teraz prosto i rozejrzała się. Ta przefarbowana na rudo, wcześniej nazwana Anita, pokazała pustą kratkę w krzyżówce stanowczym, żołnierskim gestem:

— Tutaj. Kończy się na RA — powiedziała.



Mężczyzna w sztruksowej marynarce, który najwyraźniej nie należał do klubu miłośników krzyżówek, położył rękawiczki na kolanach i zasłonił twarz książką. Maria pomyślała, że wyglądał na trochę stłamszonego.

— Co to może być? — zastanawiała się kobieta w okularach. — Nie wiem, o co może chodzić. Wiesz, Anita? Papuga na trzy litery?

— Kończy się na RA. Nie. ŁÓDKA musi być dobrze, STER też — mówiła ruda, szukając potwierdzenia u towarzyszek podróży. Mężczyzna westchnął głęboko i przewrócił stronę w książce.

— A co jest napisane pionowo nad papugą? — spytała przyjaciółka i włożyła okulary na nos. Nachyliła się tak, że niemal usiadła na kolanach Marii.

— Ciepła, mała chatka w Finlandii — wiesz, co to? Ostatnia litera to ta pierwsza w małej papudze — powiedziała Anita.

— To musi być jakiś rodzaj piekarenki. Jak się piecze, to jest ciepło. Czy to może zły trop?

Mężczyzna z książką posłał Marii niewymownie cierpiętnicze spojrzenie. Od jakiego czasu to już trwało, zanim pogrążyła się w drzemce — tego nie wiedziała.

— Ciepła, mała chatka. Może mała budka, gdzie sprzedają hotdogi. Może kiosk. Ma pięć liter i wtedy wychodzi, że KRA. Nie może być, chociaż papuga wydaje dźwięk podobny do KRA. Kraaa! Krrra! Wiem, wiem już! Ciepła chatka w Finlandii na pięć liter to BASTU<sup>5</sup>. W takim razie będzie URA — oznajmiła Anita z niezbitym przekonaniem.

— URA, myślisz? Papuga na trzy litery: URA. Tak, być może.

— Chodzi o ARE, do diabła! — krzyknął mężczyzna z książką. — Chodzi o SAUNĘ i ARE!

— W takim razie BASTU będzie źle — stwierdziła okularnica niewzruszona.

— Najwidoczniej — syknął mężczyzna z książką i zagłębił się z powrotem w lekturze. Zapadła cisza, ale nie na tyle długa, jak by sobie tego niektórzy życzyli.

— Dlaczego, do diabła, nie terroryzujecie swojego otoczenia, gadając przez komórkę jak normalni ludzie? — ryknął mężczyzna z książką. Kobiety wbiły w niego wzrok.

---

<sup>5</sup> Bastu (szwedz.) — sauna (przyp. tłum.).

— Chodź, Britto, idziemy do wagonu restauracyjnego. Tu nie da się posiedzieć w spokoju! — powiedziała Anita.

— Niektórzy ludzie nie potrafią się zachować — tonem nagany oznajmiła druga kobieta i włożyła okulary do torebki.

Rozkosznie było posiedzieć w ciszy. Maria czuła zmęczenie w całym ciele, oparła głowę o siedzenie i przymknęła oczy. Przyjemnie będzie wrócić do domu po czterodniowym szkoleniu dla liderów. Podczas tych czterech dni w samotności, bez dzieci i męża, zdołała zachować swój honor wbrew największym obawom teściowej. Kiedy Krister podróżował po całym świecie w związku ze swoją pracą, spędzając tygodnie w różnych hotelach, temat honoru i przyzwoitości nigdy się nie pojawił, jednak wyjazd Marii do Strängnäs uznano niemalże za ucieczkę z domu. Kto wie, jakie pokusy i niebezpieczeństwa czekają na samotną kobietę w Strängnäs. Największą rozkoszą, jaka ją tam spotkała, było prawdopodobnie przespanie całej nocy bez nagłej pobudki i możliwość korzystania z własnej łazienki, natomiast posiłek przy nakrytym przez kogoś stole okazał się prawdziwym luksusem. Ale nic nie zwiastowało niebezpieczeństw z rodzaju tych, jakie rodziły się w głowie teściowej. W każdym razie nie w Strängnäs. Być może w pracy. Zawsze istnieje ryzyko, kiedy związek popada w rutynę, że w końcu nadejdzie moment, kiedy człowiek zacznie czuć się szary i niewidzialny. Nie mogła uciec przed adoracją Arvidssona i jego otwartym wyznaniem uczuć na Gotlandii. Odtrąciła go, ale przez wiele dni czuła jego ciągłą bliskość i nie mogła powstrzymać własnej szalejącej wyobraźni. Co by było, gdyby... tam, w pewnym momencie stawiała granicę. Tak myślała, ale nieświadomość żyje własnym życiem w snach i uczuciach. Siedziała w kawiarni, gdy nagle zdała sobie sprawę, że związek z Kristerem powoli się rozpada. Że wszystko to, co razem zbudowali, zaczyna się walić. Wieczorem zebrała się na odwagę, żeby powiedzieć o tym z mężem. Obawiając się oczywiście, jak to przyjmie.

Podłoga nie rozstąpiła się, sufit nie runął.

— Cieszę się, że to powiedziałaś. Co chcesz teraz zrobić? — Wyglądał, jakby się bał, zbladł, a później zrobił się czerwony na twarzy. — Kocham cię, Mario. Musimy postarać się spędzać razem więcej czasu, robić więcej rzeczy tylko we dwoje. Jeśli nie jest za późno? — I obiecali sobie, że spróbują jeszcze raz. Znaleźć z powrotem bliskość, która kiedyś ich łączyła.

16

To było ostre hamowanie. Marią rzuciło do przodu, aż znalazła się w połowie drogi między swoim a przeciwnym siedzeniem. Książka mężczyzny w sztruksowej marynarce upadła rozłożona na podłogę. Plastikowy kubek z kawą, który postawił na stoliku, przewrócił się i jego zawartość ściekała teraz na kartki książki. Pociąg zatrzymał się w środku lasu.

— Może przejechaliśmy jakiegoś łosia? — Mężczyzna zatrzymał się w połowie ruchu, próbując jedną ręką strząsnąć krople kawy z książki, a drugą wytrzeć to, co dało się jeszcze wytrzeć. Następnie przedstawił się jako Göran.

To ciekawe, jak niezależne od nas zdarzenia, takie jak opóźniony pociąg, odwołany autobus czy gwałtowna zmiana pogody, mogą sprawić, że ludzie stają się bardziej towarzyscy. „Może jest to zwykły instynkt przetrwania” — pomyślała Maria. W bezpiecznym społeczeństwie, w jakim żyjemy, udajemy czasami, że się wzajemnie nie potrzebujemy. I nagle zdarza się coś niespodziewanego i okazuje się, że mężczyzna z przeciwka ma na imię Göran.

— Nie jest to wykluczone — powiedziała Maria. — Albo może ktoś pociągnął za hamulec bezpieczeństwa. Jesteśmy tak blisko mojego domu, mogłabym pójść ten ostatni kawałek pieszo. — Popatrzyła w brudnoszare poranne światło i sprawdziła godzinę na zegarku.

— Jeśli przejechaliśmy zwierzę, to może to potrwać. Podczas mojej ostatniej podróży do Sztokholmu pociąg zderzył się z łosiem, który zaplątał się w przewody elektryczne, i nastąpiło odcięcie prądu. Pociąg stał w miejscu, temperatura była coraz niższa i nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Obsługa sądziła, że uspokajająca wiadomość, którą nadano w głośnikach, dotarła do pasażerów, ale tak się nie stało.

— Takie wypadki z dzikimi zwierzętami są straszne. — Maria otrząsnęła się z obrazów z przeszłości, które próbowały wedrzeć się do jej umysłu. — Szczególnie jeśli zwierzę nie

umrze od razu. Nie wiem, w jakim stopniu maszynista jest przygotowany na takie okoliczności. To chyba właściciel danej ziemi powinien zająć się zwierzęciem.

— A więc mieszka pani tu, w Kronviken? — Göran stał ostatnie plamy kawy ze swoich sztruksowych spodni wełnianym pstrokatym szalem. Maria nie zdołała się powstrzymać od refleksji, do czego szmatka była używana w swoim wcześniejszym życiu. Przy bliższych oględzinach okazywało się bowiem, że pstrokaczna nie stanowiła tylko i wyłącznie wzoru na materiale.

— Mieszkam w żółtym domu przy porcie. Zna pan Kronviken?

— Trochę. Znam jednego nauczyciela szwedzkiego, który tam mieszka. Byliśmy kolegami w wojsku i od tego czasu utrzymujemy sporadycznie kontakt. Nasze żony pilnują, żebyśmy spotykali się kilka razy w roku.

— Wasze żony? — Maria nie mogła powstrzymać się, żeby nie zadać tego pytania. Göran odpowiedział twierdząco, jakby było to najbardziej oczywistą rzeczą na świecie, że to żony dbają o towarzyskie stosunki, nawet w przypadku starych kolegów swoich mężów.

— Mój syn właśnie zaczął chodzić do szkoły — powiedziała Maria. — Może wiem, kto to jest. Jak się nazywa?

— Na imię ma Pontus. Nazywaliśmy go Pontusem Piłatem, gdy byliśmy w wojsku. Robiliśmy różne rzeczy, których chyba nie zapomnimy do końca życia. Pontusowi przychodziły do głowy najróżniejsze pomysły, a ja chętnie się w nie włączałem. Choć później zawsze zgrywał niewiniątko. Wszystko było pomyłką. Umywał ręce, jak to zostało napisane w Biblii. Pewnego razu przepiłowaliśmy trochę siedzenie nad otworem w latrynie. Kiedy nasza jednostka musiała załatwić naturalne potrzeby, siedzenie załamało się i konsekwencje okazały się nieproporcjonalnie surowe. Proces oczywiście. Kara śmierci to minimum. Ale Pontus był niewinny jak dziecko. Umywał ręce. Nie wiem, czy nadal pracuje w szkole, bo gdy ostatnio z nim rozmawiałem, rozważał zmianę pracy.

Maria zamilkła na chwilę i zamyśliła się.

— Pracuje tu pewien nauczyciel Pontus Larsson. Czy to może chodzić o niego?

— Tak. Tak właśnie brzmi jego nazwisko. Pisał wtedy wiersze, zaczął nosić długi płaszcz i zapuścił brodę. Uparł się, że będzie wręczał dowództwu bukiety zawilców, i w końcu został zwolniony. Później przyjął posadę nauczyciela, gdy okazało się, że nie

wyżyje z pisarstwa. Nie wiem nawet, czy udało mu się opublikować jakieś wiersze. Wszyscy chcieli pisać wtedy poezję, ale nikt nie chciał czytać wierszoklectwa innych. Wtedy był Pontusem Poetą. Kurczę. Nie chciałbym być nauczycielem w dzisiejszych czasach.

— Tak, nauczyciele naprawdę muszą zapracować na swoją pensję.

— Jeśli postoiemy tu dłużej, nie zdążę na pociąg do Sundsvall. — Göran włożył książkę do reklamówki ze sklepu Pressbyrån, którą wcisnął później do aktówki. — Może to coś nie tak z pociągiem, czasami przyjeżdża nowy, a czasami przysyłają autobus. Ciekawe, co się okaże tym razem.

— Dziwne, że nie przekazują żadnych informacji przez głośniki. Zastanawiam się, co mogło się wydarzyć. W przypadku podstawienia innego pociągu zazwyczaj to ogłaszają. — Maria oparła głowę o szybę i znów popatrzyła na płatki śniegu, które powoli opadały za oknem.

— Mam nadzieję, że krzyżówkowe więdźmy zalały się kawą, gdy pociąg zahamował. Sprawiedliwości stałoby się zadość. — Göran zaczął sprzątać wokół siebie: wetknął skórkę od banana do kosza na śmieci, poprawił ubrania i zapiął aktówkę.

— Podobno dobrze jest rozwiązywać krzyżówki, czytałam, że to sposób na przeciwdziałanie demencji starczej.

— Im nie pomaga. „URA, czy to może być URA, jak ci się wydaje?” — Udawanie rudej papuzim głosem nie szło mu najgorzej.

— Zamierzam tam pójść i spytać, na co czekamy. — Maria uśmiechnęła się dyplomatycznie i wstała. — Może będzie mi się opłacało wysiąść i pójść do domu przez las pieszo. Nie mam dużego bagażu.

Gdy wstała, zdała sobie sprawę, że są z Göranem sami w całym wagonie. Zdjęła kurtkę z wieszaka przy oknie i pożegnała się. Wypatrując konduktora, udała się w kierunku lokomotywy i wagonu restauracyjnego. Trafiła na niego w ciasnej przestrzeni między wagonami.

— Przepraszam, czy może mi pan powiedzieć, kiedy przyjedziemy na stację w Kro-nviken?

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. — Jego twarz była kamienna i unikał kontaktu wzrokowego.

— Zastanawiam się, czy nie wysiąść i nie pójść do domu pieszo. — Maria próbowała precyzyjnie się i minąć konduktora.

— Proszę tego nie robić. Lepiej będzie, jeśli pani usiądzie.

Maria popatrzyła na jego szaroblada twarz i nagle zdała sobie sprawę, że wydarzyło się coś strasznego.

— O co chodzi? Czy przejechaliśmy łośia?

— Nie łośia. — Popatrzył w górę, jakby apelując do siły wyższej. — Nie łośia. To straszne. To człowiek. Nie żyje. Nie można wysiadać.

— Chyba jednak będę musiała. — Maria pokazała swoją legitymację. — Proszę dopilnować, żeby inni pasażerowie zostali w pociągu.

Maszynista stał na pokrytej śniegiem ziemi przy torach z siekierą w dłoni. Kiedy Maria zbliżyła się do niego, podniósł głowę i patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami i z szeroko otwartymi ustami.

— Nie byłem w stanie wyhamować. Myślałem, że to jakieś zwierzę. — Wskazał na siekierę. — Wziąłem ją, żeby w razie czegoś skrócić jego mękę, gdyby... stanąłem nad nią z siekierą. Po prostu leżała tam przed lokomotywą. Nie było szans, żebym się zatrzymał. Zauważyłem ją zdecydowanie zbyt późno. Tory się rozgałęziały. Nie mogłem nic zrobić. Nie mogłem temu zaradzić. Nic nie widziałem. Po prostu leżała na torach. Nie mogłem... — głos załamał się i przeszedł w gwałtowny płacz. Mężczyzna usiadł z głową między kolanami i zaszlochał. Język odmawiał mu posłuszeństwa.

— Jestem z policji, Maria Wern. — Wyciągnęła do niego dłoń. Maszynista chwycił ją jak szukający ratunku tonący. Położyła drugą rękę na jego trzęsących się barkach. Szczękał zębami.

— Rozumiem, że nic pan nie mógł zrobić — powiedziała spokojnie. — Nie było szans. To nie pana wina. Może mi pan pokazać, gdzie ona leży?

— Nie żyje. — Głos maszynisty przeciął ciszę. — Ona... — Maria była już w drodze. Biegła w swoich krótkich butach po zaspach wzdłuż pociągu. Padający śnieg przesłaniał jej widok przed oczami.

W oknach pociągu migały zdziwione twarze. Nie widziała ich. Ktoś otworzył okno i krzyczał do niej. Nic jednak nie słyszała. Na torach w odległości pięćdziesięciu metrów leżał czerwono-czarny plecak w otoczeniu porzrzucanych po śniegu przedmiotów. Maria zatrzymała się na krótką chwilę. Mała blaszana latarka połyskująca na niebiesko, trzy puszki z konserwami, bagietka, telefon komórkowy, szczotka do włosów, paczka gum do żucia i ludzka ręka. Sina dziewczęca ręka ze srebrnym pierścieniem na kciuku, sztywna jak u manekina. Żadnej krwi. Tylko ręka. Maria czuła, jak zaczyna jej się kręcić w głowie. Ukucnęła i ukryła głowę między kolanami. Głęboko oddychała i patrzyła w kierunku miejsca, które wskazał wcześniej maszynista, w samo rozwidlenie torów. Z trudem podniosła się na chwiejnych nogach i ruszyła w kierunku miejsca wypadku. Zawiniątko w śniegu. Maszynista myślał, że to zwierzę. Duże ślady łap w miękkich zaspach powoli już zacierające się w śnieżnej zawiei wskazywały drogę do nieżyjącej. Odwrócił ją i zdjął ciało z torów. To, co z niego pozostało. Długie jasne włosy, kawałki zniszczonej kurtki. Buty z odciętymi nogami. Reszta była... niezidentyfikowaną masą. Maria czuła, jak szumi jej w uszach. W tym szumie usłyszała nierzeczywisty dźwięk telefonu. Początkowo miała trudności z rozpoznaniem dźwięku. Ten przyziemny odgłos nie pasował do świata, w którym się teraz znajdowała. Melodyjka wybrzmiewała po drugiej stronie torów. To dzwonił ktoś, kto zastanawiał się, gdzie jest ta dziewczyna. Co za makabra. Czy miała odebrać? Co miała powiedzieć? Sygnał przedzierał się przez śnieżne zaspas monotennie i natarczywie. Maria podniosła się na chwiejnych nogach i zrobiła krok w kierunku, skąd dobiegał dźwięk. Zanim się tam znalazła, telefon ucichł. Maszynista podszedł do niej śmiertelnie przerażony. Nadal trzymał w dłoni siekierę, ocierał nią o nogę przy każdym kroku. Maria przytuliła go, trzymała go mocno, czując chłód jego ciała przez ubranie.

— Ja nie chciałem, nie chciałem. Ona po prostu tam leżała. Nie zdążyłem jej zobaczyć.

— Wiem — uspokajała. — Wiem, że zrobił pan to, co było w pańskiej mocy. To nie była pana wina.

W oddali słyszała syreny policyjne. Po trwającej wieczność chwili ciszy z lasu wyłoniły się ciemne postacie — Arvidsson i Ek. Ich widok przyniósł Marii ulgę. Wkrótce teren zostanie zabezpieczony, co nie pozwoli ciekawskim pasażerom na zdeptanie śladów.

**17**

— Wiecie, kim była? — Inspektor kryminalny Hartman wyszedł na spotkanie Marii, gdy ta przybyła na posterunek.

— Nazywała się Cecilia Ståhl. W portfelu w plecaku, który leżał przy torach, była jej legitymacja. Mam adres do jej rodziców. Pojedziesz ze mną?

— Tak, jasne. — Hartman otworzył drzwi przed Marią i przepuścił ją. Ruszyli w kierunku recepcji.

— Zadzwonię tylko do domu, do Kristera. Nie wie, gdzie jestem. Później możemy jechać.

— Jak poszło z tym biedakiem maszynistą? — spytał Hartman. — To musi potrwać, zanim człowiek otrząśnie się po takim zdarzeniu. Jak poradzi sobie z powrotem do pracy?

— Trudno powiedzieć. Myślę, że zawieźli go do szpitala. Był w szoku. Nie wiem, czy mają jakąś grupę wsparcia dla takich przypadków. Powinni. Konduktor opowiadał, że nie po raz pierwszy coś podobnego zdarzyło się temu maszyniście. Trzydzieści lat temu pod jego pociąg wpadła kobieta cierpiąca na demencję, która uciekła z Åviksgården. Siedziała na torach. Zwichnęła sobie stopę. Wtedy też miał za mało czasu, żeby zahamować. Od czasu do czasu zdarza się, że ktoś rzuca się pod pociąg. Ile razy można być świadkiem czegoś takiego i nie zwariować?

— A jak ty się czujesz? — spytał Hartman, kładąc swą wielką dłoń na ramieniu Marii.

— Nie wiem. Jeszcze to do mnie nie dotarło. Zastanawiam się nad tą dziewczyną, czy zrobiła to specjalnie, czy był to wypadek. Czy chciała popełnić samobójstwo? Czy była pod wpływem narkotyków? Młoda, czternastoletnia dziewczyna mająca przed sobą całe życie. Co złego mogło się wydarzyć, że wybrała śmierć zamiast życia?



— Może nieszczęśliwa miłość — zasugerował Hartman i zadzwonił na centralę, by zawiadomić, dokąd się wybierają.

W oddali widać było kościół w Kronviken, oblany południowym słońcem stał na skale, rzucając za siebie ciemny cień. Błyszczące kryształki śniegu uderzały o szybę, zmiotane wiatrem jak kurz. Marii zrobiło się zimno i podkręciła ogrzewanie. Nogawki spodni miała mokre aż po same kolana, a buty przemoczone.

— Próbuję przypomnieć sobie, jak to było, gdy miałam czternaście lat — powiedziała. — Oczywiście zdarzało mi się być nieszczęśliwie zakochaną, ale nigdy do tego stopnia, żebym myślała o odebraniu sobie życia. Wydaje mi się, że to musi być coś więcej, liczne niepowodzenia i silne uczucie braku nadziei, jeśli ktoś w końcu decyduje się na taki krok.

— Kiedy miałem piętnaście lat, w mojej klasie pojawiła się Marianne. Zakochałem się w niej na zabój, ale ona mnie nie zauważała. Robiłem wszystko, żeby udawać dorosłego, kupiłem sobie motor i paliłem w lesie za szkołą, aż rzygałem jak kot. Sprawy pogorszyły się, gdy w pobliżu znaleźli się inni kolesie umiejący grać bluesa. Kiedy zobaczyłem, jak Marianne wraca do domu w czułych objęciach długowłosego chłopaka z gitarą, któremu tak zazdrościłem, myślałem, że moje życie się skończyło. Czuję, że nigdy więcej nie będę szczęśliwy. Pamiętam, jakby to było wczoraj. To ssące uczucie w żołądku.

— OK. Ale takie rzeczy rzadko się przytrafiają. Daleka jest droga od zwykłych nastoletnich problemów i nieszczęśliwej miłości do decyzji o popełnieniu samobójstwa. Twoje życie tak naprawdę się nie skończyło. A kiedy zaczęliście ze sobą chodzić? — spytała Maria.

Chciała, żeby Hartman ciągnął swoją opowieść. Obrazy rozczłonkowanego ciała dziewczyny zaczynały do niej wracać. W ciszy stawały się nie do wytrzymania.

— Nie mogło to być mniej romantyczne. Właściwie nie ma o czym mówić. — Hartman zrobił gest, broniąc się przed dalszym opowiadaniem.

— Proszę. Takiej historii teraz właśnie potrzebuję. — Maria czuła, jak dłonie, które trzymała na kolanach, zaczynają się trząść, a zimno rozchodzi się w górę jej ciała.

— Byłem szaleńczo zazdrosny.

— Tak, to oczywiste. — Maria próbowała skoncentrować się na tym, co mówił Hartman.

— To było w sierpniu i kwiaty niecierpka błyszczały w cementowych donicach przy wejściu do szpitala, kiedy samotny i nieszczęśliwy szedłem nocą w kierunku domu. W dodat-

ku lało. Czy mogło być gorzej? Tak. Czy warto było zaryzykować? Tak. Narwałem więc całe naręczce kwiatów i udałem się do domu Marianne. Prawie omdlały z napięcia zadzwoniłem do drzwi. Otworzyła matka Marianne, wzięła ode mnie kwiaty i pocałowała mnie w policzek na oczach zdziwionego męża. Tak się złożyło, że akurat miała urodziny. Kobiety zapamiętują takie rzeczy. Zyskałem sprzymierzeńca. Posłuszna i podatna wówczas na wpływ matki Marianne posłuchała jej rady, po tym jak okazało się, że była tylko jedną z wielu młodych dam w kolejce do gitarzysty, jeśli wiesz, co mam na myśli. W tym czasie w kolejce nastąpiło małe przetasowanie. Pojawiła się inna kobieta, z którą jadał posiłki i dzielił łożę. W rodzinie Marianne powtarzano pewne mądre porzekadło: „Zwróć baczną uwagę na to, jak mężczyzna zachowuje się w stosunku do starszych kobiet, a zobaczysz przyszłość”. Mario, ty płaczesz? Jak się czujesz? — Hartman zatrzymał samochód na poboczu.

— Wracam do mnie obraz tej dziewczyny. Nie wiem, czy dam radę zobaczyć się teraz z jej rodzicami. Nie wiem, co mam im powiedzieć, nie wiem, czy nie rozplacę się przy nich. — Maria wytarła oczy rękawem kurtki.

— Opowiedz mi, co widziałaś, i płacz tak długo, jak chcesz. Jesteśmy tylko ludźmi, Mario. Tylko ludźmi. — Hartman wyjął rolkę ręczników papierowych ze schowka. — Okazanie współczucia, płacz są naturalne w takiej sytuacji. Najważniejsze, aby być tam całym sobą i słuchać, obserwować reakcję. Wydaje mi się, że to nie samo przekazanie informacji jest najtrudniejsze. — Hartman oderwał kawałek ręcznika i podał go koleżance. — Najtrudniej jest wyjść i zostawić ich samych z tą wiedzą. Rozbić ich całe dotychczasowe życie bez możliwości poskładania go na powrót.

— Źle się czuję. — Maria otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i wzięła kilka głębokich oddechów. Poczła przyjemny chłód na opuchniętych powiekach.

Hartman zatrzymał się na sekundę, zanim zadzwonił do drzwi plebanii. Pod wiatą garażową nie stał żaden samochód. Popatrzył Marii w oczy, a ona skinęła głową w odpowiedzi.

— Już w porządku.

Ponownie nacisnął dzwonek. Dom był pogrążony w ciemności. Wokół panowały cisza i spokój, w powietrzu czuć było siarczysty mróz. W stojaku stał pokryty śniegiem dziewczę-

cy rower. Maria zadrżała z zimna. Po następnych kilku dzwonekach Hartman zdecydował się rozejrzeć wokół domu.

Ledwo zdążyli zejść ze schodów, kiedy usłyszeli szelest. Odgłos skrobania od strony wschodniego szczytu domu. Hartman podszedł szybko i stanął przy domu. Maria, trzymając się blisko niego, okrążyła razem z nim narożnik. Najpierw zobaczyli tylko szklaną werandę z wielkimi, niemymi oknami, nieprzyozdobionymi ani zasłonkami, ani kwiatami. Później znów usłyszeli to irytujące szuranie. Maria podniosła wzrok i zobaczyła mężczyznę na dachu werandy. Chudzielec w dużo za dużym swetrze i staromodnej czapce z daszkiem naciągniętej na czoło siedział przyciśnięty do ściany i patrzył na nich z naburmuszonym wyrazem twarzy.

— Szukamy Johanna Ståhla. — Hartman uklonił się lekko. Miał cichą nadzieję, że mężczyzna na dachu nie był pastorem, którego szukali. Mężczyzna wpatrywał się w nich. Zmrużył oczy i znów zaczął świdrować ich wzrokiem, jakby pragnął ich unicestwić. Maria próbowała się uśmiechnąć.

— Czy wie pan, czy Johannes albo Reidun Ståhl są w domu?

Mężczyzna w czapce zmierzył wzrokiem odstęp do rynny i zanim Maria zdążyła zareagować, zsunął się po niej. Z krzykiem spadł na przysypane śniegiem podwórko, poślizgnął się na kawałku lodu, wywinął w powietrzu kozła i upadł w zaspę, zanim Hartman zdążył złapać go w swoje niedźwiedzie objęcia. Głośno krzyknął i złapał się za brzuch. Wył i rzucał się przez chwilę na boki, następnie jego głos zamienił się w spokojniejszy jęk.

— Co możemy dla pana zrobić? — Hartman patrzył na niego bezradnie.

— Jesteśmy z policji — wyjaśniła Maria i ukucnęła przed mężczyzną. — Jak ma pan na imię?

Próbował wstać, ale ból brzucha obezwładnił go.

— Rune — wysapał. — Nazywam się Rune Villman.

Kiedy powolnym gestem zdjął czapkę, Maria zauważyła, że jest zdecydowanie młodszy, niż początkowo myślała.

— Widzę, że pana boli. Potłukł się pan?

— Żyję. Miałem pokazać Johannesowi, że żyję. Miał zobaczyć moją bliznę, ale teraz z pewnością pękła. — Rune podciągnął bluzkę, obnażając białą szpitalną koszulę, a pod nią brudny bandaż.

— Co pan robił na dachu werandy? — Hartman patrzył w górę, na jedyne okno z tej strony. Okno z przezroczystą, jasnoniebieską zasłonką i różowym hiacyntem na parapecie.

— Chciałem zobaczyć, czy jest w domu. — Rune podniósł się wolno z pomocą Marii.

— Kto? — Maria poczuła suchość w ustach.

— Ta blondynka. Wiem już, jakich perfum używa. Jestem prawie pewien.

— Ale przyszedł pan tu, aby porozmawiać z Johannesem — stwierdził Hartman, aby znaleźć jakieś wyjście z tego szaleństwa.

— Pastor nie miał dla mnie czasu. Miał jechać do miasta. Żona siedziała obok niego w samochodzie. Mieli pojechać na policję. A teraz wy jesteście tutaj, a oni w mieście. Warriactwo. Nie musiał się w takim razie tak spieszyć. Mógł tu zostać i wtedy pokazałbym mu, że żyję.

— Jak się pan tu znalazł? — spytała Maria, szukając wzrokiem jakiegoś pojazdu.

— Na nartach. — Rune wskazał ręką na wychodek, o który oparta była obwiązana rze-  
mykiem para drewnianych nart. — To narty babci — wyjaśnił.

— Podwieziemy pana do domu. — Maria, nie czekając na odpowiedź, otworzyła tylne drzwi samochodu.

**18**

— Rune. Co, u diabła, tu robisz? Czy już całkowicie postradałeś zmysły? — Lekko ubrana siwowłosa kobieta wyszła im naprzeciw na podwórku i chwyciła siedzącego na tylnym siedzeniu chłopaka mocno za rękę. — Dzwonili ze szpitala i tak się denerwowałam. Gdzie byłeś, Rune?

Strząsnął jej rękę z ramienia i wysiadł z samochodu. Na ich oczach przemienił się nagle w dziecko. Zrobił nadąsaną minę, a jego głos stał się piskliwy i hardy.

— Wyszedłem sobie.

— Wyszedłeś! Jesteś przecież świeżo po operacji. Powinieneś leżeć. Natychmiast do domu i kładź się do łóżka — zakomenderowała szorstko i popchnęła go w kierunku drzwi. — Musimy zadzwonić do szpitala i powiedzieć, że wróciłeś. Co ludzie sobie myślą, gdy postępujesz w ten sposób? Bardzo mnie to martwi, gdy nie potrafisz zachować się jak człowiek.

— Śmierdzisz potem. — Rune schylił głowę i jego twarz skryła się pod daszkiem czapki. Kobieta nie zwróciła uwagi na ten komentarz.

— Nazywam się Rut Villman. Stokrotne dzięki za odwiezienie go do domu. — Uścisnęła im dłoń i ukłoniła się. Hartman wyglądał na lekko zażenowanego.

— Tomas Hartman, inspektor kryminalny, a to moja koleżanka Maria Wern. — Przedstawił ich, czekając na jakieś wytłumaczenie zaistniałej sytuacji.

— Zapraszam na kawę — powiedziała Rut niemal tym samym tonem, którym przed chwilą pouczała wnuka. Tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Wejdźcie do środka i ogrzejcie się chwilę. Pani spodnie są całkowicie przemoczone.

— Dziękuję — powiedziała Maria. — Chyba przyjmiemy zaproszenie? — Posłała Hartmanowi pytające spojrzenie, wahając się, czy oddać palto w wyciągnięte ręce gospodyni.

Według głównej centrali nie musieli już spieszyć się z powrotem na posterunek. Inspektor kryminalny Ek zajął się małżeństwem Ståhlów, przy wsparciu Eriki Lund. „Powinniśmy chyba zostać tu na chwilę, aby zyskać bardziej szczegółowy obraz tego młodego mężczyzny” — pomyślała Maria.

— Mam jedną sprawę do załatwienia. Mogę przyjechać po ciebie za pół godziny? — spytał Hartman. — Obiecałem Ekowi, że skontaktuję się ze szkołą.

Maria rozejrzała się po przytulnej, małej kuchni z zasłonkami w czerwoną kratkę, czerwonym obrusem i pelargoniami w oknie. Płytki glazury nad zlewem udekorowane były ozdobnymi naklejkami. Na przemian powtarzały się trzy wzory: świąteczna gwiazda, taniec św. Mikołaja i św. Mikołaj jedzący kaszę. Na haku przy szczotce do zmywania wisiał włóczkowy Mikołaj ze sflaczałymi nogami. Pojawił się czarny kot i otarł się o Marię. Mruczając, zaczął jeden po drugim wbijać pazury w dżinsowy materiał jej spodni, cały czas wietrząc swój zadek.

— A sio! Zawsze to robi. Gdy tylko włożę nylonowe rajstopy, zaraz je drze. A więc znaleźliście Runego na dachu plebanii? — mówiła dalej Rut i zniżyła głos do szeptu, gdy zdała sobie sprawę, że wnuk idzie do swojego pokoju. — Mówię pani. Ten chłopak przyprawił mnie o zawał serca. Nie daję już rady w tak podeszłym wieku. Obiecałam jego matce, że zaopiekuję się nim, kiedy wyjechała za granicę. Nie myślałam wtedy, że to będzie dożywotnie zajęcie.

— Mieszka tutaj z panią? — Maria podążyła wzrokiem za młodym mężczyzną, który usiadł przy komputerze w swoim pokoju.

— Nie poradzi sobie sam. Ale nikt tego nie pojmuje. Krowa z opieki społecznej była tu znowu wczoraj, aby porozmawiać o tym, że Rune nie ma własnego mieszkania. Własnego mieszkania! Phi! Nie wiem, czy mam się śmiać czy płakać. — Rut ujęła miedziany półmisek w obie dłonie i podała poczęstunek, we wzburzeniu zapominając spytać, czy gość ma na niego ochotę. — Może spróbuje zastąpić mnie przez tydzień i później powiedzieć, co myśli o własnym mieszkaniu dla tego chłopaka. Tak jej powiedziałam, tej wiedźmie z socjalu. Co ona wie o znoju życia? Gada i gada, a czy kiedykolwiek splamiła swe ręce fizyczną pracą? Nie sądzę. Siedzi sobie taka w biurze ze świeżo pomalowanymi paznokciami i wściubia nos w nie swoje sprawy. Jeśli do tej pory jakoś sobie radzimy, to dalej też będziemy sobie radzić. Już ja dokładnie wiem, czego ona chce. Jej brat ma prywatny zakład

opieki. Jeśli Rune nie będzie w stanie sam o siebie zadbać, już ona dopilnuje, żeby tam trafił. Tam się nie mieszka za darmo, to chyba wie każdy głupi. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze.

— Rune mówił, że pracuje jako woźny w szkole. — Maria wzięła pierniczek, którym została poczęstowana. Oblany był miękką i wodnistą polewą.

— Tak, ale to nie jest prawdziwa praca. — Rut ponownie zniżyła głos. — To tylko dorywcze zajęcie. Choć dobrze mu ono robi. Inaczej całymi dniami siedziałby przy komputerze. Nawet sobie pani nie wyobraża, przez co musiałam przejść, zanim załatwili mu tę pracę. Tak jakby nikt nie dostrzegał jego normalności. Nie widzą, jaki jest naprawdę. Jest mądrym chłopakiem, choć na swój własny sposób. Gdy wylądował w jednym z takich domów, będzie siedział całymi dniami w palarni albo przed komputerem, jeśli dadzą mu spokój. A gdy będzie miał wybuchy złości, to nafaszerują go lekarstwami, aż wykituje. Pracowałam w takich zakładach i wcale nie zrobiły na mnie dobrego wrażenia. Ten, kto sprzęta, widzi więcej, niż ludziom się wydaje.

— Nie napije się z nami kawy? — Maria pochyliła się, żeby dostrzec Runego.

— Nie ma na to czasu. Musi porozmawiać ze swoimi znajomymi z Internetu. Zwykli ludzie są zbyt blisko i są nieobliczalni, ale w komputerze dzieli ich wystarczający dystans i jeśli tylko chce, może ich wyłączyć, tak mówi. To dlatego tak się spieszył ze szpitala. Nie może znieść, gdy ktoś obcy go dotyka. Przepraszam. Cały czas gadam. Tak się denerwowałam i to wszystko teraz ze mnie schodzi. Przepraszam. Usiadła pani na jego miejscu. Nie, to nie szkodzi. Proszę siedzieć. Tylko on jest przywiązany do tego, żeby wszystko było tak jak zawsze. Tak czy siak, nie sądzę, żeby chciał wypić z nami kawę.

Maria próbowała ostrożnie wybadać, czy Rut wiedziała, co jej wnuk zamierzał robić na plebanii.

— Miał się chyba spotkać z pastorem. Rune czasami ma potrzebę z nim porozmawiać. Proszę nie pytać dlaczego. Nie jestem za bardzo zaangażowana w te kościelne rzeczy. — Rut ponownie przysunęła półmisek w jej stronę.

— Czy Rune i pastor znają się od dawna? — Maria podziękowała za słodycze i ponownie spróbowała odgonić natrętnego kota.

— Johannes pochował moją córkę. Chłopak miał wtedy nie więcej niż sześć lat. Rozbił się samolot. Rune uważał, że spowodowała to jego złość, że zrobił to siłą woli. Dzieci myślały magicznie. — Rut spojrzała zamyślona przez okno, gdzie znów widać było wielkie płatki śniegu na tle szaroburego nieba.

— Co było powodem jego złości? — zapytała inspektor.

Rut Villman zawahała się przez chwilę i popatrzyła na nią zamyślona. Z jednej strony czuła, że powinna być lojalna wobec córki, z drugiej jednak chciała poczuć ulgę, jaką przyniosłoby jej opowiedzenie o tym, co się kiedyś zdarzyło. Przeważała jednak chęć zwierzenia się komuś, kto zrozumiałby, jaki ciężar na niej spoczywa.

— Ponieważ znów go opuściła, nie dotrzymując obietnicy, że pójdą razem do cyrku. Była stewardesą. Chciała zwiedzić świat. Nie planowała ciąży. Była jeszcze dzieckiem, kiedy go urodziła. — Rut zdjęła fotografię z półki nad stołem kuchennym. Wygładziła ją czułym gestem.

— Mieszkał u pani przez cały ten czas? — Maria pochyliła się, aby przyjrzeć się fotografii. Przedstawiała młodą dziewczynę z długimi blond włosami, związanymi w kucyk i zwieszającymi się z ramienia. Głęboko wydekoltowana koronkowa bluzka, duże powieki i pełne usta, które na pewno były w rzeczywistości bardziej czerwone, ale podobnie jak reszta kolorów na zdjęciu z czasem wyblakły.

— Pomieszkiwali tu oboje od czasu do czasu. — Rut zmiotła dłonią ze stołu kilka okruszków ciastek i trzymała je w ręku, zastanawiając się, czy powinna opowiadać dalej. — Kiedy miała wyjść z domu po raz ostatni, nie mogła znaleźć torebki. Bardzo się spieszyła. Rune powiedział, że zabrał ją, żeby włożyć tam uzbierane kasztany, i dostał za to po głowie. To był odruch. Nie chciała tego zrobić. Jestem pewna, że nie chciała go uderzyć. Była tylko tak strasznie zestresowana. Cios został wymierzony nad górną wargą, która rozcięta zaczęła krwawić. Kiedy jej oddał, ubrudził krwią jej drogi wełniany płaszcz. Wykrzykiwali sobie w twarz różne słowa, które nigdy nie powinny paść z ich ust. Słowa, które nabrały nowego znaczenia po tym, jak już nigdy więcej się nie zobaczyli.

— To okropne. — Maria odwróciła głowę i popatrzyła w kierunku chłopaka, na którego padało niebieskie światło z monitora. Wydawał się całkowicie pochłonięty swoim zajęciem. Palce stuknęły w klawiaturę. Nagle jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Cisza, gdy od-



czytywał wiadomość, i stukot klawiszy w odpowiedzi na nią. Inspektor skierowała uwagę na Rut.

— Jakie piękne filiżanki. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. — Obracała naczynie w dłoniach, przyglądając się kwiecistym wzorkom.

— Sama je pomalowałam. Chodziłam na kurs malowania porcelany. Mój dziadek produkował porcelanę, kiedy mieszkaliśmy w Niemczech, był prawdziwym artystą. Nauczył mnie, jak mieszać emalię. To tajemny rodzinny przepis. — Rut wskazała nad półkę z fotografiami, nad którą wisiał czarno-biały portret w ołowianej ramie. Roześmiany mężczyzna podnosi małą dziewczynkę, obracając ją w stronę fotografa.

— To fajne umieć tworzyć tak piękne przedmioty. Nadal ma pani czas na malowanie?

— Raz tak, raz nie. Zajmuję się sprzątaniami. W domu i poza domem również. Ze strony wnuka nie mogę za bardzo liczyć na pomoc. Wystarczy, że pościeli swoje łóżko i pozmiata co piątek podłogę. Nie lubię, gdy całymi dniami siedzi przed komputerem.

Rut wstała i kołysząc się na boki, podeszła do zlewu, gdzie opłukała filiżanki. Później wróciła do stołu.

— Choć jeszcze gorzej jest oczywiście, gdy znika, a ja nie mam pojęcia, gdzie się podziewa. Czy mówił, co robił tam u pastora?

— Nie do końca. Siedział na dachu werandy. Wydaje mi się, że się przestraszył, gdy tam przyszliśmy. Siedział przy oknie Cecili Ståhl.

Rut głośno klapnęła na krzesło. Marię zdziwiła gwałtowna reakcja kobiety.

— Cecilia Ståhl. Córka Annalisy — powiedziała Rut. — Widuję czasami Cecilię, gdy sprzątam w szkole. Jest taka podobna do matki. Annalisa — była taka kochana. Tak mi było szkoda Johannesesa, kiedy jego żona odeszła tak wcześnie. Reidun jest porządna i dobra na swój sposób, ale nie jest taka jak Annalisa. Jeśli mam być szczerą, to jej nie lubię, tej nowej. Jest nadgorliwa i wtrąca się w nie swoje sprawy. Powiedziała, że jestem za stara, by opiekować się wnukiem. Gówna prawda! Kto inny zapewniłby mu dom? A więc Rune siedział na dachu werandy u pastora? Przez coś takiego można dostać wylewu krwi do mózgu. Mówiłam mu, żeby nie chodził za ludźmi! Że musi skończyć z tymi głupotami. Nie rozumie, co dla niego dobre. Nie ma złych intencji, ale ludzie są na niego źli.

— Wie pani, czy często bywał na plebanii? — Maria już uniosła się trochę na krześle.

— Tak, tak mi się wydaje. Johannes był zawsze miły dla niego.

— Dziękuję za kawę. Czy mogę chwilę z nim porozmawiać, jak pani sądzi?

— A dlaczego? Coś jeszcze zrobił? O czym chce pani z nim rozmawiać? — pytała Rut, idąc w ślad za gościem. Maria, nie czekając na zaproszenie, usiadła na łóżku Villmana i omiotła wzrokiem pokój. To, co zobaczyła, napełniło ją smutkiem. To miał być pokój dorosłego mężczyzny.

Stojąca w drzwiach Rut wyglądała na przybitą. Obnażoną ze swoim wielkim życiowym cierpieniem. Jasnoniebieska tapeta w kwiatki była poplamiona i przetarta. Zrobionej na szydełku wykończonej ząbkami firanki młody mężczyzna raczej nie wybrał sobie sam. Na ścianach brakowało obrazów, jak również innych ozdób. Na regale leżał stos wymiętych gazet. Na drugiej, niższej półce stał długi rząd niepomalowanych modeli samolotów, niektóre bez skrzydeł, inne z rozwalonym dziobem albo połamanym ogonem. Wyglądało na to, że żaden z modeli nie jest kompletny. Na środku podłogi leżał przykryty narzutą w paski materac z gumy piankowej.

— Czasami śpię tutaj, gdy śnią mu się koszmary — wytłumaczyła Rut, kiedy zobaczyła minę Marii. — Tak to jest. Ale kto powiedział, że życie jest proste. Rune, pani chce cię o coś spytać. Słyszysz mnie, Rune? Słyszysz, czy mam wyłączyć komputer?

— O co chodzi? — Rune usztywnił z irytacją ramiona, potrząsnął głową, jakby odganiał natrętną muchę.

— Możesz mi opowiedzieć o Cecilii Ståhl? — Maria nie widziała twarzy chłopaka, ale zauważyła, że jego kark zeszywniał, a plecy się wyprostowały. Nagle przewrócił krzesło, popchnął je na podłogę i przebiegł obok Marii.

— Zdenerwowała go pani — wyjaśniła Rut. — Mam nadzieję, że nie ucieknie z domu.

Maria usłyszała trzask drzwi i wyszła na korytarz. Drzwi do toalety były zamknięte.

— Proszę go zostawić — poprosiła Rut. — Nie chce z nikim rozmawiać, gdy jest w takim humorze. Trzeba zostawić go w spokoju i poczekać, aż ochłonie.

## 19

Kiedy Hartman i Maria Wern wysiedli z forda przed posterunkiem policji, rozpętała się prawdziwa śnieżycą. Maria zakryła dłonią oczy, żeby poprzez zadymkę dostrzec choć drogę prowadzącą do wejścia. Tego dnia na posterunku panowało ciche przygnębienie. Nie był to spokój ani bezruch; praca szła pełną parą, ale głosy zmieniły się, zniżając do szepców. Inspektor Ek siedział wciśnięty w kanapę, a stojąca przed nim na stole filiżanka kawy pozostała nieruszona. Erika Lund siedziała przy komputerze. Wyprostowana zwykle na swoim krześle, tym razem rozsiała się swobodnie z rękami skrzyżowanymi na brzuchu. Kiedy Maria weszła do pokoju, odwróciła wzrok od internetowych nagłówków i bez słowa skinęła głową. Maria przebiegła wzrokiem po stronie internetowej nad ramieniem Eriki.

— Honorowo z ich strony, że nie piszą o wydarzeniu, kiedy prawdopodobnie chodzi o samobójstwo — zauważyła Maria.

— Może jeszcze nie zdążyli o tym napisać. Zobaczymy. Przestrzegłam już rodziców przed rozmową z prasą. Nigdy nie wiadomo, jaki tor obierze dochodzenie. Właśnie wyszli. — Ek obrócił filiżankę, która zakołysała się, i zostawił ją na stole. — Gdybyś widziała pastora... był zupełnie zdruzgotany. Najpierw traci żonę, później córkę. Brak słów. Szkoda, że nie ma z nami Arvidssona. To on zwykle się zajmuje tego typu sprawami. Wie, jak dobrać odpowiednie słowa. Ja zwykle tylko towarzyszę, stoję obok. W takich sytuacjach można odczuć jego brak.

— A gdzie on jest? — Hartman precyzyjnie się obok kanapy i usiadł w fotelu przy oknie.

— Wziął wolne. Nie chciał powiedzieć, dokąd jedzie.

— Oczywiście, zapomniałem o tym. To przecież dziś — powiedział Hartman tajemniczo. — Czy możemy jeszcze coś dla nich zrobić? Czy powinni z kimś jeszcze porozmawiać? — Maria usiadła na kanapie obok Eki i odwróciła się do Eriki.

— Wydaje mi się, że przy szpitalu jest jakaś grupa wsparcia, choć on sam, jako pastor, być może też prowadzi tego typu działalność. Czy rozmawialiście o tym?

Erika potrząsnęła głową.

— Obwinia siebie samego. To jasne, że samobójstwo budzi poczucie winy w całym otoczeniu. Im bliższe pokrewieństwo, tym większe. Razem z żoną przez całą noc szukali córki. O czwartej zadzwonili na komisariat i rozmawiali z dyżurnym. Przedtem kontaktowali się z niektórymi nauczycielami i kolegami Cecilli.

— I jakie mieli przypuszczenia co do przyczyn śmierci dziewczyny? Była przygnębiona? Próbowła się samookaleczać? — pytał Hartman.

— Johannes obwinia się o to, że za szybko się ożenił. — Erika wierciła się na krześle, próbując wrócić do pozycji siedzącej.

— Tak powiedział, mimo że żona była obok? — Maria dostała gęziej skórki.

— Johannes Ståhl znajduje się pod dużą presją, nie zawsze jest tak, że ma się siłę myśleć o reakcji innych ludzi. — Ek upił łyk zimnej kawy i się skrzywił. — Pewnie nie zdał sobie sprawy z tego, co mówi. Ale musiało ją to zranić. Wyglądała tak, jakby miała spaść z krzesła, na którym siedziała. Pobiegła do toalety. Erika słyszała, jak wymiotuje. Bardzo mi żal obojga.

— Coś jeszcze? — Hartman przetarł zamglone okulary i również przebiegł wzrokiem po stronie internetowej.

— Nielatwo jest być córką pastora. Może w domu żywiono w stosunku do niej zbyt duże oczekiwania? A później, kiedy rozpoczęła szkołę, doszło do przykrew konfrontacji tych dwóch światów. Tak uważał pastor. — Ek odsunął filiżankę z kawą.

Maria zauważyła duże plamy potu na jego koszuli, kiedy przeciągnął się, by rozprostować zeszywniałe ciało. Kolejno powstające ślady wypoconej soli przywoływały na myśl powstające rokrocznie słoje na drzewach.

— Czy ktoś zauważył, żeby Cecilia Ståhl była przygnębiona? Co powiedzieli w szkole?

Hartman zamknął oczy, zadumał się i dokonał w myślach podsumowania, zanim głośno zrekapitulował rozmowę z Pontusem Larssonem.

— Rozmawiałem z jej wychowawcą. Powiedział niewiele. Oczywiście był to dla niego szok. Cecilia miała dobry kontakt ze szkolną pielęgniarką. Na koniec wspomniał bardzo ostrożnie, że w czasie wieczoru filmowego mogła być pod wpływem alkoholu.

— Czy może chodzić o nieszczęśliwą miłość? Z tego, co pamiętam, to trudny wiek, kiedy brakuje ukształtowanego poczucia wartości i ma się przekonanie, że się nie zasługuje na miłość. A kiedy się zakochujesz, horyzonty zawężają się do czubka twojego nosa. Inne życie niż TU I TERAZ nie istnieje. W jednej chwili jest się pępkiem świata, a w kolejnej życie staje się zupełnie bezsensowne i puste. — Ek spojrział na Marię, szukając potwierdzenia swoich słów. Ubiegła ją Erika.

— Wszystko, co wymieniłeś, przytrafia się większości nastolatków, ale z tego powodu nie odbierają sobie życia. Żaden z naszych rozmówców nie dopuszczał takiej możliwości. Nikt nie widział żadnych symptomów depresji, raczej przeciwnie. Jej ojciec powiedział, że była tak pełna życia. Dokładnie tak to ujął. Pełna życia. Wychowawca uważał zatem, że była pod wpływem alkoholu... — Erika zamilkła i wyglądała, jakby się zastanawiała. Później mówiła dalej: — Myślę, że to mógł być wypadek. Było dużo śniegu. Może łatwiej było iść torami niż gęstym lasem. W stanie odurzenia być może nie zdążyła zareagować na dźwięk pędzącego w jej stronę pociągu. Całkiem prawdopodobne, że był to wypadek. — Erika odchyliła się do tyłu i przygryzła kostkę palca. — Kto mógł kupić alkohol czternastoletniej dziewczynie?

— Zdecydowanie zbyt wielu, jak sędzę. — Hartman zdjął krawat i wcisnął go do kieszeni.

Maria miała silne przeczucie, że coś przemawia przeciwko teorii o nieszczęśliwym wypadku czy samobójstwie. Pojawiło się ono w chwili, gdy zobaczyła zamarznąłą sinobiałą rękę, którą odrzuciło od ciała na jakieś dwadzieścia metrów dalej w kierunku lokomotywy. Właśnie w tamtym momencie pojawiła się myśl, której nie potrafiła wytłumaczyć nawet sobie samej. Morderstwo. Oczywiście była spięta i roztrzęsiona, może ten nagły przebłysk to tylko chochlik w jej mózgu, powstały na skutek wcześniejszych doświadczeń i obrazów. Dzielenie się z innymi podejrzeniem, opartym na tak chwiejnych przesłankach, nie miało większego sensu.

— Chciałabym wysłuchać, co ma do powiedzenia pielęgniarka, ale ona jest zobowiązana do zachowania tajemnicy. Jeśli nie podejrzewamy niczego poza wypadkiem, a w naj-

gorszym razie samobójstwem, nie przekaże nam żadnych informacji. Konsekwencja złamania obietnicy zawodowej to co najmniej dwa lata kary — powiedziała Maria.

— Zobaczymy, co stwierdzi wstępny protokół z obdukcji. — Erika podniosła się powoli z ręką na kręgosłupie i skrzywiła się z bólu. — To tak, jakby uchodziła z człowieka cała moc, kiedy coś takiego się zdarza. Jaki sens jest w tym, że tak młoda dziewczyna umiera? Co można powiedzieć jej bliskim? Nic! Mam nadzieję, że to był wypadek.

— Myślałem o Henningssonie, tym, który wskoczył do przerębla. Był nauczycielem w szkole Cecilii. Jestem tego pewien. — Ek usiadł na samym rogu kanapy.

— Tak, to prawda. Zastanawiające. — Maria czuła, jak po jej ciele przebiega nieprzyjemny dreszcz. — Fakt, że dwoje ludzi z tej samej szkoły traci życie w ciągu tak krótkiego czasu, wymaga analizy i wyjaśnień.

— Dwa samobójstwa. Na tej podstawie można coś orzec o psychospołecznym środowisku szkoły. Duże klasy. Nauczyciele pracujący pod presją. Mobbing? — Hartman poruszył się, aby wstać.

Maria ubiegła ich i podeszła do zmywarki ze swoją filiżanką po kawie. W połowie drogi odwróciła się.

— Wiem, że wicedyrektorka od dłuższego czasu jest na zwolnieniu. Nie wiadomo, czy w ogóle wróci. To ona w dużej mierze była odpowiedzialna za przeprowadzone cięcia. Łączone klasy, zbieranina nowych dzieci i ogólne zamieszanie w pracy. Żeby w środku tej burzy nie wykazać się resztkami przyzwoitości i wprowadzić jeszcze redukcje pod hasłem ulepszeń dla uczniów! To raczej nie zwiększyło zaufania do kierownictwa szkoły. Skończyło się prawie na zamieszkach.

Maria zdjęła z wieszaka kurtkę i pożegnała się. Krister miał odebrać dzieci po rozmowie z przedstawicielem z pośredniaka. Jeśli będzie miała szczęście, to znajdzie chwilę na przemyślenie pewnych spraw, zanim wróci. To bardzo potrzebny czas — możliwość zaczerpnięcia oddechu między pracą a życiem prywatnym. Dzięki temu zdąży się wewnętrznie pozbierać, zanim zobaczy się z rodziną.

20

— Masz coś dzisiaj zadane, Emilu? — spytała Maria po kolacji.

Opalona twarz chłopca zachmurzyła się, gdy się zamyślił.

— Nie wiem — powiedział i położył się na kuchennej ławie, wtulając twarz w poduszkę, którą Gudrun Wern wyhaftowała dla niego w prezencie urodzinowym. Był na niej miś. Emil rozpakowując wcześniej paczkę z trudem ukrył swój zawód, wierząc, że znajdzie tam naramienny ochraniacz do gry w hokeja.

— Czy możesz to sprawdzić? — Maria wstawiła mleko do lodówki i wytarła stół.

— Nie — wymruczał Emil do poduszki.

— Dlaczego? — Maria pogłaskała go po ostrzyżonej na języka głowie. Potrząsnął głową, odrzucając jej rękę.

— Nie mam siły. A ty masz ręce mokre od zmywania. — Emil odwrócił się na plecy i zaczął przebierać palcami po siedzeniu kanapy.

— Bardzo przepraszam. Czy to coś z matematyki? — Maria wyszła na korytarz i przyniosła plecak. — Wiesz, myślę, że to może być matma — powiedziała. — Sprawdzimy?

— Nie chcę. To niesprawiedliwe.

— Co jest niesprawiedliwe? — Wyłowiła z plecaka książkę i zobaczyła, jak oczy syna wypełniają się łzami. Zacisnął mocno powieki, żeby powstrzymać płacz.

— Najpierw mówią, że nie trzeba się spieszyć. Żeby uczyć się liczenia we własnym tempie, a później musisz nagle przerobić całą książkę przed świętami. Wszyscy są teraz na lodowisku. Tylko ja muszę odrabiać matmę.

— Ile musisz zrobić? — Maria usiadła obok Emila na ławie. Przykucnął przy niej i zaczął przewracać kartki.

— Prawie połowę.

— Jak to możliwe? Czy pani nie mówiła, ile ćwiczeń trzeba zrobić w każdym tygodniu?

— Można samemu wybrać, ile chce się zrobić. Matma jest trudna i szwedzki jest trudny, a Linda uczy się wszystkiego dużo szybciej. Zabierz ją z kuchni. Nie chcę, żeby zaglądała do mojej książki. Spadaj!

Wśród wesołych okrzyków i za pomocą ogromnej torebki żelek, której zawartość dodawali, odejmowali zgodnie z wszelkimi zaleceniami, a także grupowali i smakowali, Marii udało się skłonić syna do wypełnienia dziesięciu stron, zanim nastąpił kolejny wybuch złości spowodowany przegapieniem programu Bolibompa. Mając na uwadze to, co powiedział lekarz w przychodni o nadwadze Emila, metoda ta była naganna, a cała święta zasada jedzenia słodczy tylko w sobotę została złamana. Ale co zrobić, jeśli jest się tylko zwykłą, prostą matką bez pedagogicznego wykształcenia? Może lepiej wkroczyć w dorosłe życie z niewielką nadwagą niż jako osoba niewykształcona?

Kiedy Krister przyszedł z garażu, wyłączyli prąd. Miał właśnie podgrzać jedzenie w mikrofali, gdy w żółtym domu nad morzem zapadła ciemność. Za oknem panowała prastara, bezgwiazdna noc. Nieruchomy, połyskujący śnieg, skąpany w księżycowej poświacie, wywoływał u Marii ciekawe skojarzenie związane z odpuszczeniem win. „Jakby Matka Ziemia na krótką chwilę okryła swe sponiewierane ciało płaszczem, chcąc zapomnieć, jak zbezczeszczone zostały jej morza i zielone łąki” — pomyślała.

— Powinni zaraz włączyć prąd — powiedział Krister i po omacku przedostał się do stołu, przy którym siedzieli. Maria znalazła zapaliki i kawałek świeczki w najniższej szufladzie szafki kuchennej, ale nie zapaliła jej od razu. Wyjrzeli razem przez okno. Na światło księżycyca padające na zlodowaciały śnieg i na gwiazdy tak wyraźnie widoczne przy braku sztucznego światła. Krister stwierdził, że w środku zimy przy niezachmurzonym niebie gołym okiem zobaczyć można sześć tysięcy gwiazd. Temperatura szybko spadała. Maria włożyła dzieciom swetry i wełniane skarpety, podczas gdy jej mąż próbował rozpalić ogień w piecu.

— Jeśli zamkniemy drzwi do kuchni, to będzie najlepsze miejsce do spania. Rozłożymy ławę kuchenną, dzieci zmieszczą się na niej, a my możemy spać na dmuchanym materacu. — Maria zaczęła przesuwać krzesła, żeby zrobić więcej miejsca na podłodze.



— Pomyśl, jak to było pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy służące musiały wydrążyć dziurę w lodzie, żeby zaparzyć rano kawę, zanim poszły do obory. Możemy w sumie już teraz zagotować wodę i wlać ją do termosu. — Krister zatrzęsł się na myśl o tych służkach.

— Do jutra włączą pewnie prąd z powrotem — powiedziała Maria i zaczęła rozkładać ławę. — Ale będzie przytulnie, co?

Ogień w piecu skrzył się i trzeszczał. Dzieci spały jak susły, przytulone ciasno do siebie. We śnie wyglądały jak aniołki. Maria położyła głowę na ramieniu Kristera i wślizgnęła się w jego objęcia.

— Wszystko, czego człowiek tak naprawdę potrzebuje, jest za darmo. Myślałeś o tym kiedyś? — spytała. — Woda, to, co rośnie w ziemi, ogień i powietrze, którym oddychamy.

— I miłość, moja ulubiona żono, nie zapominaj o miłości. Czym ja sobie na ciebie zasłużyłem? Co ty widzisz w podstarzałym, łysiejącym facecie przy kości, skoro mogłaś wybrać typ atletyczny. Arvidssona z twojej pracy na przykład.

— Skąd ten nagły brak pewności siebie? To do ciebie niepodobne.

— Nie było jej, kiedy miałem pracę, w której podziwiano mnie za moje sukcesy i w której czułem się doceniany... musisz wiedzieć, że nie ma narkotyku, który szybciej uzależnia i sprawia, że odstawienie jest takie trudne, niż podziw... i gdy nagle okazuje się, że go nie ma, człowiek zaczyna rozglądać się za trwalszymi wartościami. Gdzie podziało się życie? Czy dobrze wybrałem? A obok jesteś ty, kobieta mojego życia, anioł zbawienia na starość. Najważniejszy wybór mojego życia i najdroższy skarb.

— Na starość? Co z tobą, Krister?

— To chyba jakiś kryzys. — Jego głos brzmiał ponuro.

— O co chodzi? — Maria zachichotała i wsunęła nogę między uda męża.

— Syndrom męskiego poirytowania. Poziom testosteronu spada, potencja zawodzi i zmieniasz się w zrzędlivego staruszka, tracisz włosy i zęby, łapiesz oponkę na brzuchu.

— Ach tak. A myślałam, że okrągły brzuch jest oznaką zazdrości o ciążę, jak to widział Freud.

— Wolne skojarzenie — przerażasz mnie. Chcesz mieć jeszcze jedno dziecko? —  
W oczach Kristera pojawił się strach.

— Może.

— Teraz?

— Dlaczego nie? Krister? Ile dzieci zostało poczętych, gdy wyłączono prąd? Może to znak, na który czekaliśmy. Jest pełnia, dzieci śpią, a gwiazdy zwiastują sukces.

— Myślę, że powinniśmy pomyśleć o personelu asystującym przy porodzie. Okaze się, że za dziewięć miesięcy nie będą wiedzieli, w co ręce włożyć. Przyjdą masowe zwolnienia chorobowe i będą zmuszeni sięgnąć po rezerwy weterynarzy, dentystów i psychologów, aby zażegnać kryzys na porodówkach. — Cofnął się gwałtownie, aż poczuł pod swoim ramieniem zimny dotyk podłogi.

— Myślisz? — Maria wsunęła głowę pod t-shirt męża i pocałowała jego miękki brzuch.

— Ktoś jest na dworze. Widziałem kogoś w oknie. — Krister usiadł na posłaniu jak przyłapany na gorącym uczynku nastolatek. Ktoś otworzył wejściowe drzwi kluczem od zewnątrz. W korytarzu słychać było czyjeś sapanie. Drzwi do kuchni otworzyły się z trzaskiem i owionął ich mroźny wietrzyk zwiastujący nadchodzące nieszczęście.

— Myśleliśmy, że może wam zimno, więc przynieśliśmy trochę zupy rabarbarowej w termosie. — Do środka wkroczyła Gudrun Wern ubrana w płaszcz z owczej skóry i opaskę z tego samego materiału. Pompony na opasce podskakiwały, gdy mówiła, i Maria poczuła nagle, że ma alergię na zwierzęcą sierść, niewyobrażalną alergię.

— Mogliście zadzwonić.

— Pomyślałam, że zrobimy wam niespodziankę. Gdzie Krister? Aha, schował się tam pod kołdrą. Ale tu miło i ciepło. Zabrałam kocher, żebyśmy mogli coś razem ugotować. Myślę, że dziś tu przenocujemy, Arturze. Tu jest dużo cieplej niż u nas w mieście. Pomyślałam sobie, że dlaczego mielibyśmy marznąć w samotności, skoro możemy być razem?

— Nie czujemy się szczególnie samotnie — zauważył szczerze Krister.

— A gdzie moje kochane skarbki? Moje słoneczka. Popatrz, obudziły się. Przyszła babcia z odrobiną smakołyków. Zamknij drzwi, Arturze, żeby to przyjemne ciepło nie ule-

ciało. Tak, ten pastor z kościoła w Kronviken, nazywa się Johannes Ståhl, na pewno już o nim wspominałam. Mówią, że jego córka wpadła pod pociąg. Wiesz coś na ten temat, Mario? Pomyślałam, że policja powinna wiedzieć coś na ten temat. Biedacy. A wkrótce święta. Co z nimi będzie? Przechodziliśmy właściwie obok z kwiatami. Ale ta jego nowa żona, Reidun, czy jak jej tam, nie otworzyła drzwi. Nie chciała nas wpuścić. Wyobrażasz sobie? Jego poprzednia żona była taka milutka. Naprawdę strasznie im współczuję. Co będzie teraz z koncertem adwentowym? Naprawdę mnie to ciekawi. Nie wiesz, jak to się stało, Mario? Czy to był wypadek, czy biedna dziewczyna odebrała sobie życie?

— Kto wpadł pod pociąg? — Linda patrzyła okrągłymi oczami znad brzegu kanapy.

— Jest późno. — Maria owinęła się kołdrą i wstała z posłania. — Jutro pracuję, Emil idzie do szkoły i musimy się wyspać.

— Nie mieliśmy zamiaru przeszkadzać, zupełnie nie. Też chcieliśmy się wcześniej położyć. Ale nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli, nie ma się wpływu na takie rzeczy, jak wyłączenie prądu. Wtedy trzeba trzymać się razem i sobie pomagać. Artur i ja możemy spać przy lodówce, tam jest mnóstwo miejsca.

— Przepraszam. — Artur skręcał się, najwyraźniej zażenowany. — Niestety, nie możemy wrócić do miasta. Miałem zatankować w drodze tutaj, ale stacja była zamknięta z powodu braku prądu. Pompy nie działają.

— A w domu nie mamy żadnego jedzenia — dodała Gudrun. — Próbowałam kupić trochę chleba i kawałek kiełbasy, ale w sklepie kasa nie działała i panowały egipskie ciemności. Na ladzie ustawiono świece i czuć było prawie świąteczny nastrój, muszę powiedzieć. Tak, myślałam o tej biednej dziewczynce, Cecilii. Nie było jej na zebraniu w kościele wieczorem. Szkoda, bo to był ładny koncert. Nic wtedy nie wiedziałam. Kto by pomyślał, że spotka ją coś tak straszego. Czy ktoś ją zgwałcił?

— Proszę cię, abys była cicho, mamó. — Krister potrząsnął swym posłaniem, tak że Gudrun odrzuciło w tył i oniemiała z przerażenia wpadła na leżącego Emila. — Mogę załatwić zapas jedzenia, a później podwożę was do domu.

— Ale w ten sposób nie będziemy mieli jutro samochodu, kiedy będziemy chcieli przyjechać na imieniny małej Lindy. Tak naprawdę ma na imię Beatrice, po mnie. Zapomniałeś o tym? Artur pójdzie do samochodu po materace, zanim całkowicie się wychłodzą.

## 21

Puls muzyki disco sprawił, że Maria kroczyła w jego rytm, kiedy podążała za dźwiękiem dobiegającym z siłowni w piwnicy na komendzie policji. Kiedy otworzyła drzwi lokalu treningowego, uderzyła ją mieszanka odoru plastikowego materaca, stęchłych ręczników i przepoconych adidasów. O piątej włączyli z powrotem prąd i Maria udała się pierwszym autobusem do miasta, w przeciwnym razie pokłóciłaby się ze swoją teściową na zawsze. Gudrun Wern zdecydowała, że nie ma sensu jechać do miasta na tak krótki czas, w którym pracowała Maria... Nie, skoro po południu mieli świętować z okazji imienin Beatrice. Teraz teściowa miała cały dzień, aby przeprowadzić rewizję w żółtym domu nad morzem, przeszukać szafki i szuflady oraz odkurzyć pochowane w nich ozdoby. Przed końcem dnia bokserki Kristera będą uprasowane i poukładane w równe stosiki, a na dzinsach pojawi się zaprasowany kant. Irytację, która wezbrała w Marii po nocy spędzonej w towarzystwie teściowej, postanowiła rozładować podczas treningu przed rozpoczęciem pracy. *One night in Paris is like a year in any other place*<sup>6</sup>. Nie mogło już być gorzej po nocy spędzonej wspólnie z teściową na podłodze w kuchni. To, czego potrzebowało teraz jej gotujące się ze wściekłości ciało, to prawdziwy wycisk. Ku własnemu zdziwieniu zobaczyła na rowerze treningowym technika — Erikę Lund. Maria usiadła na rowerze obok, ustawiła obciążenie i zaczęła pedałować.

— Bałam się, że to Himberg — Erika mówiła urywanym głosem. — Szłaś takim pewnym krokiem.

— Himberga nie ma w pracy od tygodnia, boli go stopa. Wiesz przecież.

— Boli go stopa? Powiem ci, że w czasie rewolucji francuskiej głowy szlachciców ścinali jak bochenki chleba. Mogli się cieszyć, gdy bolała ich stopa.

---

<sup>6</sup> One night... (ang.) — Jedna noc w Paryżu jest jak rok w każdym innym miejscu, cytata z „Une Nuit a Paris” ang. zespołu 10cc (przyp. red.).

— Himberg ma zapalenie pięty. Musiałaś chyba słyszeć. Myślałam, że do wszystkich uszu dotarło, co powiedział doktor Höök i co odpowiedziała pielęgniarka, kiedy wbijali mu strzykawkę, która pękła, i jak omdlały i ledwo uszły z życiem Himberg poszedł do domu. Jeszcze mieli czelność przyjąć zapłatę. A także, co powiedział później doktor Höök, kiedy Himberg zadzwonił i groził powiadomieniem męża zaufania, rzecznika pacjentów i ministerstwa zdrowia.

— Tak, skoro tak mówisz. To ciekawe. Kiedy facet złapie jakąś kontuzję, to prawie trzeba przyznać mu medal i go podziwiać, ale jeśli kobiecie przy skakaniu lub bieganiu wypadnie macica, to wtedy ze wstydu milczymy.

— To prawda. — Maria zwiększyła obciążenie na rowerze o jedno oczko. — Nigdy nie słyszałam, żeby wypadnięcie macicy uznano za kontuzję. Nikt raczej nie chwaliłby się tym w przerwie na kawę. Masz całkowitą rację.

— A innym, porównywalnie ciężkim wysiłkiem, również mogącym doprowadzić do wypadnięcia macicy, jest poród. Sprzedałam moją matę do ćwiczeń — powiedziała Erika. — Teraz zamierzam poświęcić się ćwiczeniom na siłowni. Czy wiesz, że czekoladowe ciastko ma tyle samo kalorii co taczka wypełniona sałatą?

— Wcale mnie to nie dziwi. Ale nie idzie to w parze z jakością życia, jeśli rezygnuje się z czekolady. — W tej kwestii Maria żywiła niezachwiane przekonanie.

— Czy w ćwiczeniach na siłowni chodzi o to, żeby katować się, aż pod pachami znacznie nam wrzeć pot? — Erika przestała pedałowac i rozejrzała się po sali i jej oprzyrządowaniu. — Mistrzowie tortur podczas hiszpańskiej inkwizycji nie pogardziliby zestawem takich narzędzi.

— To po co się do tego zmuszasz? — spytała Maria i podeszła do maty, szykując się do wykonywania brzusków.

Erika poszła za nią, położyła się z głową przy stopach Marii i zaczęła wpatrywać się w sufit.

— Bo nie chcę żyć o smażonym śniegu i wodzie. Cierpię na sporadyczną bulimię. Wmuszam w siebie sałatę, chrupkie pieczywo i kaszę, aż stają mi w gardle. Wolno przeżuwam. Liczę kropki, kratki i paski. Odmawiam sobie tortu, likieru, dobrych serów i nagle puszczają hamulce. Pragnienie staje się nie do powstrzymania. Dosłownie gwałcę lodów-

kę, jem i jem, nie czując wstydu. Kiedy na dobre zacznę jeść, czuję się taka żalosna, że nie dotrzymałam postanowienia. Wtedy pocieszam się, jedząc. Jeśli zjadło się kawałek tortu, można równie dobrze zjeść to, co z niego zostało, i całą resztę po wczorajszym przyjęciu. Później wychodzę na kilka piw, jakieś mięso, deser i likier. Wiesz. Już i tak wszystko na nic. Później nachodzą cię chorobliwe wyrzuty sumienia, kiedy obwiniasz samą siebie, patrząc w lustro. W porównaniu z tymi zarzutami oskarżenia hiszpańskiej inkwizycji to zwykłe towarzyskie niesnaski.

— A teraz jesteś tutaj w ramach kuracji i zadośćuczynienia. Wydaje mi się, że już to kiedyś gdzieś słyszałam — powiedziała Maria.

Erika podciągnęła wyżej opaskę na czole, stawiając grzywkę na sztorc.

— Nie mogłam spać. A kiedy miałam zapalić światło, wyłączyli prąd. Myślałam o pastorze, który stracił córkę. Śnili mi się w nocy, a później nie mogłam zasnąć. Gdybyś widziała jego oczy, ciemne i nieobecne jak w gorączce. Cały sptywał potem. Jego ciało się trzęsło. Wstrząsało nim tak, że dosłownie podskakiwał na krześle. Bez przerwy mówił, a jego żona — Reidun siedziała obok jak pomnik, trupioblada na twarzy. Jej wargi były żółtobiałe. Nigdy nie widziałam, żeby żywy człowiek miał takie wargi. Myślałam, że zemdleje, a ona wybiegła i zwymiotowała. Co można powiedzieć takim ludziom, żeby ich pocieszyć? Nic! Żadne słowa nie są odpowiednie. Kiedy jej nie było, pastor opowiadał, jak bardzo tęskni za swoją pierwszą żoną. Gdyby żyła, takie nieszczęście nigdy by się nie wydarzyło. Umarła, gdy dziewczynka miała osiem lat.

Maria poszła na górę do swojego pokoju i włączyła komputer. W ciemnym, błyszczącym oknie jak w lustrze widziała swoje odbicie. Jasne, wilgotne po prysznicu włosy opadały jej na ramiona. Wprawnym ruchem zawiązała za pomocą ołówka luźny kucyk, jednocześnie przeszukując komputerowy rejestr. Annalisa Ståhl. Rejestr drogowy. Wypadek samochodowy. Z niewiadomego powodu pojazd zjechał na przeciwną stronę drogi i po zderzeniu z ciężarówką został odrzucony na odległość dwudziestu metrów. Najmocniejsze uderzenie nastąpiło od strony kierowcy. Przez ponad godzinę strażacy pracowali nad tym, aby przepiłować auto i wyciągnąć z niego ciało. Nie udało się uratować ofiary. Z powodu poważnych obrażeń czaszki zmarła później w nocy na oddziale intensywnej terapii. Ośmioletnia córka, Cecilia Ståhl, została przewieziona do szpitala z lżejszymi obrażeniami. Z po-

wodu szoku nie mogła jednak zostać przesłuchana. W chwili wypadku droga była odśnieżona i posypana piaskiem, temperatura wynosiła minus dziesięć stopni. Kierowca nie był pod wpływem alkoholu, we krwi nie wykryto również narkotyków. Nie wyjaśniono, dlaczego samochód zjechał na przeciwną stronę jezdni. Możliwe, że kobieta zasnęła za kierownicą.

— Wcześniej dziś przyszedłeś. — Do pokoju wszedł Arvidsson i postawił przed Marią kubek z parującą kawą. — Pijesz czarną, prawda?

Maria skinęła głową.

— Nie słyszałam, jak wchodziłeś.

— Byłaś na czymś mocno skupiona. Czym się zajmujesz?

— W tej chwili właśnie sprawdzam w rejestrze Runego Villmana. Siedział na dachu werandy na plebanii, kiedy tam wczoraj przyjechaliśmy. Nie bardzo wiem, co o nim sądzić. Wydaje się, że jego zasób słownictwa nie odbiega od normy, ale coś się tutaj nie zgadza. Ma dwadzieścia trzy lata i nie jest w stanie się usamodzielnąć, tak twierdzi jego babcia. Nie figuruje jednak w rejestrze przestępczym.

— Niektórzy uważają, że powinien się tam znaleźć. — Arvidsson przyciągnął do siebie krzesło, usiadł na nim okrakiem po drugiej stronie biurka i położył brodę na oparciu siedzenia. Maria spojrzała na niego znad ekranu komputera.

— Dlaczego?

— Często kręcił się w okolicy portu przed kilkoma laty. Pracowałem wtedy tymczasowo na terminalu, więc widywałem go prawie codziennie. Kupił sobie kamizelkę w tym samym kolorze co faceci stamtąd i przesiadywał z nimi w przerwach na kawę z własnym pudełkiem lunchowym. Jeden ze starszych facetów, Bengt-Emil, chciał sprawić Runemu przyjemność i pewnej niedzieli zabrał go na przejażdżkę łódką. Mieli zacumować niedaleko Kronholmen i udać się na połów. Więc Bengt-Emil krzyknął do niego, żeby rzucił kotwicę, podczas gdy on sam parzył kawę w kambuzie. „Już rzucam, żaden problem” — miał odpowiedzieć Rune. „Ale, do diabła, przecież odpływamy! — ryknął Bengt-Emil, kiedy wszedł po schodkach i zobaczył, że skała Kronholmen oddaliła się od łódki o pięćdziesiąt metrów. — Nie rzuciłeś kotwicy?”. „Rzuciłem, ale nie było sznura” — odpowiedział podobno Rune. Nie wiem, czy to prawda. Bengt-Emil to prawdziwy bufon i blagier. Natomiast wiadomo na pewno, dlaczego Rune przestał się kręcić przy porcie.

— No, dlaczego? — Maria ponownie podniosła wzrok znad ekranu komputera i spojrzała na Arvidssona.

— Kiedy faceci w porcie poszli na kawę, zaczął dyrygować ruchem. Ma ciało dorosłego, dużego mężczyzny, więc ubrany w kurtkę w odpowiednim kolorze mógł zabawić się w nadzorcę ruchu. Wskazywał ręką, żeby kierowcy jechali do przodu, instruował, żeby zmieniali pasy, wycofywali się z pomostu i kręcili się w kółko. W rezultacie jeden mercedes wjechał prosto w przyczepę mieszkalną. I wtedy zabawa się skończyła, a rozpętało się piekło. Od tej pory zabronili mu przebywać w porcie, choć jego babka prosiła i błagała, żeby mógł tam zostać. Proponowała im nawet pieniądze, żeby tylko mógł tam przesiadywać i jeść swój lunch. Ale usłyszała tylko kategoryczne „nie”.

— Takie odrzucenie może być doświadczeniem trudniejszym, niż mogłoby się wydawać. Gdzie właściwie wczoraj byłeś?

— Właśnie przyszedłem, żeby ci o tym powiedzieć. Załatwiałem różne papiery, ubiegałem się o posadę w ONZ. Wyjeżdżam za tydzień.

— Długo nosiłeś się z tym zamiarem? — Maria patrzyła w zadumie na Arvidssona. Nie odwrócił wzroku, jak to miał w zwyczaju, a jego głos zyskał nową głębię i energię, które każały Marii wyostrzyć zmysły.

— Od naszego pobytu na Gotlandii. To tam zdecydowałem. Jeśli zamierzasz marnować swoje życie z nieodpowiednim mężczyzną, nie będę cię powstrzymywał. Ale czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak by to było dzielić życie z mężczyzną, który cię dostrzega i kocha? Facetem, który doskonale wie, z czym wiąże się twoja praca, który rozumie, gdy chcesz być sama, i który potrafi słuchać, gdy tego potrzebujesz?

— Jesteś bardzo niesprawiedliwy. Będę z tobą całkowicie szczerą. Krister i ja przez jakiś czas przechodziliśmy trudny okres. To nie jest tylko jego wina. Dużo pracowałam, dzieci są małe i trzeba poświęcać im dużo uwagi. Byłam zmęczona, znudzona i nie angażowałam się. Prawdopodobnie nie da się tego uniknąć w dłuższych związkach, tego oscylowania między bliskością a oddaleniem. Ale to nie oznacza, że trzeba się poddać. Zdarzało się, że rzucałam obrączką o ścianę, oczywiście, że tak, ale później wkładałam ją z powrotem. Ponieważ to z nim chcę dzielić życie, ponieważ jest ojcem moich dzieci, pasją mojego życia i ponieważ sądzę, że mimo wszystko mnie kocha. Zdecydowaliśmy, że będziemy pracować nad naszym związkiem. Tak to wygląda.



— A co czujesz do mnie? Chcę wiedzieć, zanim wyjadę.

Maria popatrzyła Arvidssonowi w oczy i poczuła, jak czerwieni się aż po nasadę włosów. Przełknęła ślinę i próbowała uspokoić głos.

— Jesteś jednym z najwspanialszych i najbardziej godnych zaufania kolegów w pracy, jakich miałam. I będę bardzo za tobą tęsknić.

— Brzmi, jakbym był koniem pociągowym, koniem ardeńskim. Mów prawdę, Mario. Całą prawdę.

— Nie, tu przebiega granica, gdzie zaczyna się moje prywatne życie. Nie usłyszysz lepszej niż ta mowy pożegnalnej.

Arvidsson zaśmiał się sucho i potrząsnął głową.

— Jedno, ostatnie pytanie. Gdybyś nie miała dzieci z tym facetem, czy mogłabyś mnie wtedy pokochać?

— Mam dzieci z tym facetem. To jest fakt.

Ktoś bez pukania gwałtownie otworzył drzwi.

— Ale tu ciepło. Nie czujecie? — Erika Lund wachlowała się gazetą. Maria wstała szybko i otworzyła okno.

— Wydaje się, jakbym po treningu pocila się jeszcze bardziej. Też tak masz? Chciałam sprawdzić, czy macie może ochotę na kawę, ale widzę, że już piliście. Och, jest tak rześko na dworze, powietrze takie przyjemne. — Erika stanęła obok Marii przy oknie i wdychała głęboko zimowy chłód. — Myślałam, że to kwestia wieku, ale widzę, że ty również się pocisz, Mario.

— Przemyśl to. — Arvidsson zabrał ze sobą filiżanki i ruszył w kierunku drzwi. — Uważam, że ta kwestia jest priorytetowa.

— Uważam, że ten temat jest zamknięty. — Maria stała nadal przy oknie, czując na twarzy przyjemny chłód.

— Czy wiesz, ile kalorii jest w jednym decylitrze ketchupu? — spytała Erika.

Znalazła numer Pii Rönn w książce telefonicznej. Odczekała trzy sygnały, mając nadzieję, że pielęgniarka nie zdążyła jeszcze przyjść do pracy.

— Przepraszam, że przeszkadzam tak wcześnie rano. Nazywam się Maria Wern i jestem inspektorem kryminalnym. Spotkałyśmy się na przyjęciu kosmetycznym u Karin Bengtsson w zeszłym tygodniu, może pani pamiętać. Dzwonię w sprawach zawodowych.

Dało się słyszeć syk wciąganego przez kobietę powietrza.

— Chodzi o Cecilię, prawda?

— Tak, chciałabym zadać pani kilka pytań. Czy mogę przyjść o ósmej?

— Mam szczepienia w jednej z klas. Ale o godzinie dziewiątej powinno już być po wszystkim. Czy możemy umówić się o dziewiątej w moim gabinecie?

## 22

Stworzenie z mocno polakierowanymi ufarbowanymi na czarno włosami, dwoma kolczykami w lewej brwi i jednym w wardze siedziało na kanapie w poczekalni i obgryzało paznokcie. Mimo że ręce połyskiwały od pierścionków i bransoletek, trudno było zdecydować, jakiej płci jest ta postać. Zastanawiające, że trzeba było rozstrzygać tego typu kwestie. Maria zauważyła, że w takich sytuacjach czuła się niepewnie. Dlaczego wydaje się to takie trudne, żeby spytać kogoś o jego płeć? Czy w sposób nieświadomy zwracamy się inaczej do kobiet i do mężczyzn? Przypuszczalnie potrzebny jest dłuższy namysł i dodatkowe wskazówki, mogące pomóc w ocenie. Maria zauważyła delikatne rysy, brak wyraźnie zarysowanego biustu i duże dłonie. Nos również był duży. Równie dobrze mogła to być kwestia nierównomiernego przyrostu. Najpierw rośnie nos, dłonie i stopy, a później nadgania reszta ciała. Ubrania na stworzeniu były charakterystycznie czarne i obszerne. Stopy obute w potężne glany spoczywały na stoliku z broszurkami poruszającymi kwestie o rozległej tematyce, takiej jak trądzik, harcerstwo, pielęgnacja stóp czy szermierka. Na podłodze wylądował stos broszurek „Między nami kobietami” i ulotka z numerem telefonu dyżurującego lekarza. Jako inspektor kryminalny Maria powinna być może znaleźć tu jakiś trop, ale nie stanęła na wysokości zadania. Mogła tylko czekać. Nad gabinetem paliła się czerwona lampka wskazująca na to, że ktoś tam jest. Nie było tu nic z higienicznego, sterylne-go środowiska albo zapachu gabinetu szkolnej pielęgniarki, który Maria pamiętała z dzieciństwa — ostrego i budzącego strach odoru, wywołującego mdłości na długo przed tym, zanim dostrzegło się cień białego kitla pielęgniarki z igłą.

— Cześć, wiesz może, czy jest ktoś w gabinecie pielęgniarki? — Maria przeanalizowała swoje pytanie i stwierdziła, że jest całkowicie neutralne w kwestii płci.

Stworzenie wyjęło z kieszeni srebrzystą szminkę i przejechało nią po obu wargach, jednocześnie udzielając odpowiedzi.

— Jest tam Amanda. Czekam na nią. — Usiadła prosto i zdjęła nogi ze stolika, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich blada, rudowłosa dziewczyna. Czerwona lampka zgasła.

— Pia Rönn. — Kobieta wyciągnęła do Marii dłoń, witając się w chłodny i profesjonalny sposób. — Teraz sobie panią przypominam. Jest pani mamą Emila Werna.

— Zgadza się. — Maria zamknęła za sobą drzwi. Stojąca przed nią kobieta w służbowym fartuchu wyglądała jak ogromna bryła śniegu. Szafiaste ciało, które udawało się dobrze zakamuflować strojem prywatnym, przybierało zupełnie inne proporcje w nieukrywającym niedoskonałości pielęgniarskim wdzianku.

Pia przesunęła rękami w dół po brzuchu, rozpinając fartuch, zdjęła go i położyła na siedzeniu krzesła.

— Proszę usiąść.

Maria zastosowała się do polecenia jak posłuszny uczeń i omiotła wzrokiem gabinet z białym regałem, nierdzewnym wózkiem ze sprzętem do zastrzyków i planszą z rumianymi dziećmi jedzącymi czerwone jabłka zamiast słodyczy. Plakat z jakiegoś tygodnika? Drzwi do archiwum były uchylone. W oknie palił się elektryczny świecznik z pomalowanego na czerwono drewna, otoczony małymi wianuszkami borówek. Maria rzuciła wzrokiem na kalendarz na ścianie i stwierdziła, że jest już pierwszy grudnia.

— Jak dobrze znała pani Cecilie Ståhl? — spytała.

Pia zakręciła zegarkiem na nadgarstku i przygryzła dolną wargę.

— Szczerze powiedziawszy, nie bardzo orientuje się, na jakie pytania jestem upoważniona odpowiadać. Przez cały ranek próbowałam skontaktować się z moją przełożoną, aby uzgodnić z nią, co mogę opowiedzieć, a czego nie. Nie jestem pewna, jak tajemnica lekarska ma się do zeznań wobec policji. To, co się wydarzyło, jest straszne. Rozumiem oczywiście, że musicie przeprowadzić dochodzenie, ale chciałabym zyskać pewność, zanim powiem coś, czego nie powinnam.

— Rozumiem. Pontus Larsson zeznał, że Cecilia często u pani bywała. Czy myśli pani, że byłaby skłonna popełnić samobójstwo? — Maria mówiła przyciszonym głosem, niepewna, czy jej słowa nie są słyszalne po drugiej stronie cienkich gipsowych ścian.

— Tak pani myśli? — Pia wciągnęła powietrze przez zęby. — Myśli pani, że to mogło być samobójstwo? To straszne.

— Badamy wszystkie możliwe warianty. Jak opisałaby pani Cecilie Ståhl? — Maria otworzyła swój notatnik na niezapisanej stronie i czekała.

— Cecilia była bardzo dojrzałą i rozumną dziewczynką. Tak dziwnie jest mówić o niej w czasie przeszłym. Zdolna, ambitna. Wrażliwa i delikatna, może trochę nieśmiała. Trudno mi do końca pojąć to, co się wydarzyło. Dużo myślała o życiu i śmierci. Więcej nie mogę teraz powiedzieć. Proszę wybaczyć, ale nie czuję się do końca komfortowo, mówiąc o tym.

— W takim razie odłożymy tę rozmowę do czasu, gdy porozumie się pani z przełożoną w kwestii tajemnicy lekarskiej.

Pia wyglądała, jakby jej ulżyło. Maria oparła się na krześle i uważnie obserwowała jej twarz, zadając kolejne pytanie:

— Czy może pani opowiedzieć o Svantem Henningssonie — nauczycielu WF? Ostatnio, gdy się widziałyśmy, mówiła pani, że krążyły różne pogłoski. Co właściwie się zdarzyło?

Pia poruszyła gwałtownie ręką i przewróciła stojak na długopisy, przeprosiła i zaczęła niezadarnie zbierać pisaki, gumki i spinacze.

— Teraz nie ma już o czym rozmawiać. Pyta pani jako policjantka czy jako rodzic?

— To nie powinno robić żadnej różnicy. Nikt nie doniósł na policję, prawda? — Maria podniosła z podłogi długopis i włożyła go do stojaka.

— Nie, dyrektor Montelius uważał, że nie należy zgłaszać niczego policji, jeśli nie mamy pewności, co się wydarzyło. Nie było żadnych konkretów, których można by się uchwycić. Montelius bał się, że rodzice zaczną przenosić dzieci do innych szkół, jeśli policja będzie w to zamieszana. To spotęgowałoby plotki. Jeśli więcej uczniów zmieni szkołę, trzeba będzie zwolnić więcej nauczycieli. Szkoła już teraz jest mała, będzie trzeba wziąć pod uwagę połączenie się ze szkołą w Björkavi, jeśli sytuacja się pogorszy. Wtedy nasze dzieci będą musiały dojeżdżać do szkoły.

— To jest opinia dyrektora. A co pani na ten temat sądzi?

— Że zawsze trzeba słuchać tego, co mówią dzieci.

— A co mówią?

— Na to pytanie nie chcę odpowiadać. Wie pani przecież. Chcę najpierw porozmawiać z moją przełożoną i później możemy do tego wrócić. Nie zamierzam już odpowiadać na więcej pytań.

— Nie chcę wywierać na pani presji. Pontus Larsson opowiadał, że Cecilia miała najlepszą przyjaciółkę, Amandę Myrbacke. Chciałabym z nią porozmawiać. Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

— Ma teraz technikę, tam w tym żółtym budynku na wzgórzu. Drzwi obok stojaka na rowery.

— Da pani znać, kiedy tylko otrzyma zielone światło od przełożonej?

— Tak. — Pia wstała i oficjalnie uścisnęła dłoń Marii. — Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałabym z panią porozmawiać jako z matką Emila. Dobrze więc, że pani przyszła. Miałam zadzwonić. Emil jest, jak pewnie sama pani zauważyła, nieco przy kości, za dużo waży. Byłoby dobrze, gdyby zwracała pani większą uwagę na to, co syn je, i dopilnowała, żeby więcej się ruszał, a nie tylko siedział w domu przed telewizorem. Ma jakieś zainteresowania?

## 23

Pia Rönn zgasiała światło w salonie i wpatrywała się w zimową ciemność za oknem. Balkonową barierkę oplatała gruba girlanda ze świerkowych gałązek i czerwonych wstążek. Wyłączyła sznur lampek, aby lepiej widzieć, wyczulona na każdy ruch między ośnieżonymi lipami, czujna, by nie przeoczyć żadnego cienia w świetle rzucanym przez latarnie. Od kiedy zadzwonił, czas włókł się minuta za minutą, gdy tak czekała w podnieceniu. Łóżko było czysto posłane. Świeżo wymaglowane prześcieradło rozstaczało delikatną woń płynu do płukania o zapachu wiosennych kwiatów. Łazienka lśniła, a stół w kuchni nakryty był zastawą, którą dostała od krewnych za czasów studenckich. Serwis kryjący w sobie oczekiwania. Dwadzieścia cztery talerze czekające na rodzinę i przyjaciół, którzy nigdy później się nie pojawili. Dwadzieścia cztery białe talerze z ręcznie malowanym wzorem roślinnym. Pia nie miała nigdy artystycznego talentu i później żałowała, że w ogóle zapisała się na ten kurs zdobienia porcelany. Sama nigdy by tam nie poszła, gdyby nie Annalisa. Myśl ta przybiła ją tak mocno, że musiała usiąść. Prawie zdobyła przyjaciółkę, choć sama nie zasługiwała na to miano. Jednak Annalisa potrafiła przymknąć oko na nieuprzejmość i szorstkie słowa. Była silną osobowością, miała w sobie oparcie i nie przejmowała się chłodnym traktowaniem. Cierpliwie przebijała się przez jej wrażliwość. Głaskała jej twarz, posyłała miły uśmiech, muskała policzek. Że też ciało może tak tęsknić, pragnąć dotyku i sympatii. To Annalisa zaproponowała, żeby poszła na kurs zdobienia porcelany, kurs dla starych ciotek organizowany przez kościół. Średnia wieku wynosiła z pewnością około sześćdziesięciu lat. Annalisa miała trzydzieści lat, gdy zmarła. Była taka pełna życia. Tak niesamowicie piękna i czarująca.

Pia wstała i odgoniła nieprzyjemne myśli, które tak bezpardonowo dopadały ją w chwilach spokoju. Sweter pod pachami był mokry od potu. Kwaśnego potu, choć przed godziną brała prysznic i użyła balsamu o zapachu mimozy, który kupiła na kosmetycznym przyjęciu u Karin Bengtsson, mimo że nie planowała żadnych wydatków. Wszystko, aby tylko zado-

wolić faceta. Pia zaczerwieniła się na myśl o czarnym body, które zamówiła, podwiązkach z szelkami i czarnych obszytych koronką jedwabnych pończochach. Poczowała się jeszcze bardziej przygnębiona, kiedy pomyślała o depilatorze z chłodzącą nasadką dla lepszego komfortu i rotującymi pęsetkami, usuwającymi włos z korzeniem. Lubił tylko wydepilowane kobiety, musiały być gładkie i miłe w dotyku jak skóra niemowlaka. Jak cholernie cierpiała, zanim wpadła na to, że moc prądu była za mała i że pęsetki obracały się zbyt wolno przy depilacji okolic bikini. Skończyło się na podrażnieniu i czerwonych kropkach oraz zamówieniu nowego zestawu z szybką dostawą do domu.

Zamiast wyciętego body musiała zdecydować się na mocno zabudowane bokserki. Jeśli nie będą zapalać światła, może uda jej się nie spalić się ze wstydu. Pia gorączkowo przeszukiwała szafę. Czerwony sweter był w praniu, a czarny miała na sobie. Może zjawić się tu w każdej chwili. Garnek z mięsem stał na ogniu w kuchni. Czerwone wino wystawiła przed jakąś godziną. W lodówce stały dwa koktajle krewetkowe posypane koperkiem i kawałkami awokado, a śmietana do deseru czekała ubita i gotowa do użycia. Figa w koniak. Miała nadzieję, że będzie mu smakowało, że może zostanie na noc. Nie, nie całą noc. Wtedy będzie musiała wstać, zanim on się obudzi, umyć zęby, wziąć prysznic i zrobić makijaż. A jeśli nie zdąży, nie obudzi się wystarczająco wcześnie, przyłapie ją na tym, jaka naprawdę jest. Wtedy nigdy więcej nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy. Nigdy więcej. Dwadzieścia pięć minut spóźnienia. Początkowo przynosił róże, ale teraz nie było to już takie oczywiste. Czułe, szeptane w podnieceniu słowa, kiedy ją rozbierał w ciemności, za tym pierwszym razem, padały coraz rzadziej. Jego ostrożne dłonie, które wyczuwały, jak jej twarz oblewa się rumieńcem, nie były już tak delikatne. A mimo to nie potrafiła odejść, uzależniła się od niego jak od narkotyku. Zabawa w miłość. „Myślałem, że pielęgniarki noszą białą bieliznę” — szepnął. „Nie możesz patrzeć. Nie chcę, żebyś na mnie patrzył”. Że też skóra może tak tęsknić za czyimś dotykiem. Aż do granic upokorzenia.

Pia zapaliła świecznik w oknie i skubnęła żółty liść z wilczomlecza. Coraz głośniejszy dźwięk zbliżającego się samochodu, hamowanie, a później cisza. Przez okno w salonie widziała czerwoną toyotę. A więc przyjechał samochodem? Wiedział przecież, że miała w zwyczaju częstować go winem. Czy w takim razie nie zamierzał zostać na noc? Pia otworzyła drzwi i patrzyła na niego, kiedy wolnym krokiem szedł w górę schodami. Był taki przystojny, gdy miał na sobie białą koszulę zamiast jednej z tych batikowych, które nosił



w szkole. Nie zauważył jej i popatrzył jej w oczy dopiero, gdy znalazł się na ostatnim stopniu schodów.

— Witaj, Pontusie. — Próbowała go objąć, ale wywinął się jej, wszedł do środka i powiesił swój czarny długi płaszcz na wieszaku w korytarzu. Usiedli przy stole w kuchni.

— Nie musisz nic dla mnie przygotowywać. Właśnie jadłem. — Podziękował gestem za wino, którym zamierzała go poczęstować.

— Jadłeś już? Myślałam, że...

— Chętnie wypiję filiżankę kawy.

— Kawy? — Pia słyszała, jak słabo brzmi jej głos. — Chcesz coś do kawy?

— Chcę porozmawiać. — Pontus skrzyżował ręce na piersi i oparł się. Miał poważny wyraz twarzy. — Co myślisz o tej sprawie z Cecilią?

Pia wzięła wdech i usiadła. Ugniatała policzki dłońmi, pocierała je i ugniatała z zamkniętymi oczami. Nie dopuszczała do siebie myśli o Cecylii, tłamsiła wewnętrzny niepokój. „Jestem zobowiązana do milczenia”. Dawało jej to możliwość odroczenia, chwilę na oddech. Potrzebowała zebrać myśli. Odpowiedzi, których udzieliła, nie sprowokowały kolejnych pytań. Co miał na myśli? Co chciał wiedzieć? Co mógł już wiedzieć?

— Sprawa Cecylii. To takie straszne.

— Często z tobą rozmawiała. Kto, jak nie ty, powinien wiedzieć, co sobie myślała. Czy coś ci powiedziała? Czy wydarzyło się coś szczególnego przed wypadkiem?

— Nie mogę o tym rozmawiać, wiesz przecież. — Pia zmrużyła oczy i popatrzyła na niego przez wąskie szparki.

Pontus powoli wstał z krzesła i stanął za nią. Położył dłonie na jej napiętych ramionach i wolno masował jej kark, nasadę włosów i skronie.

— Wcześniej mówiłaś mi różne rzeczy, prawda, Pio? Jestem nauczycielem Cecylii. Nie chodzi mi o zaspokojenie własnej ciekawości. Pytałem, żeby jej pomóc. Wypracowanie, które od niej otrzymałem, mogłoby każdego przyprawić o mdłości. Powiedz mi, Pio, powiedz, co mówiła.

Jego palce przeczesywały jej włosy wolnym, wystudiowanym i cudownym gestem. Gdy oddech się uspokoił, jego dłoń przesunęła się w dół, pod sweter, rozpięła stanik. Tak łatwo

było się tam dostać. Wymienić insynuacje i półprawdy na to, za czym tęskniło ciało. Jak w baśniach z tysiąca i jednej nocy — opowiadać w nieskończoność historię, aby uniknąć śmierci z niedożywienia. W ten sposób kawałek po kawałku sprzedała Svantego Henningssona. Popchnęła go w kierunku przerębla, prosto w przepaść. Pontus przyszedł do niej, aby przedyskutować kwestię pewnych pogłosek, a ona opowiedziała mu to, co chciał usłyszeć. To przecież on, do cholery, stworzył tę historię. Ona tylko dopowiadała i połowicznie potwierdzała, zasłaniając się tajemnicą lekarską. Dała mu wyznanie, którego oczekiwał, nawet jeśli po tym wszystkim czuła niesmak. *Pięknie śpiewajcie, fałszujące smyczki, śpiewajcie mimo wszystko o miłości.* Kto powiedział, że miłość ma być darem? Wszystko ma swoją cenę.

— Chodź — szepnął, a ona poszła za nim do sypialni. Znowu słyszała te czułe, nabrzmiałe emocjami słowa, które wybrzmiewające w sypialnianej ciemni miały tak inną moc od tych napisanych na brudnych ścianach szkolnej toalety. Ubrania opadły powoli na podłogę. Był świetnym strategiem. Czowała jego skórę na swoich plecach.

— Co powiedziałaś policji?

— Nic. — Jej oddech był przyspieszony, gdy nachyliła się zgodnie z jego wolą nad toaletką. — Jestem zobowiązana do milczenia. Nie wiem, które informacje są objęte tajemnicą, więc na wszelki wypadek nic nie powiedziałam. — Pieścił wewnętrzną stronę jej ud i była stracona.

— Co powiedziała Cecilia, kiedy ostatnio rozmawialiście?

— Że tęskni za mamą i nienawidzi Reidun, swojej macochy. Chyba wprowadziła nowe zasady na plebanię, bardziej surowe.

— Nic więcej nie mówiła? — Doświadczony dłoń Pontusa sunęły w kierunku źródła rozkoszy i zatrzymały się, gdy nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie.

— Załatwiła sobie pigułki antykoncepcyjne.

— Mówiła — dlaczego? Mówiła — z kim? — Jego głos stracił swą pieśczoćliwość w chwili, gdy Pię ogarnęła rozkosz.

— Powiedziała, że to Reidun jej kazała. Żeby mogła wychodzić wieczorami.

— To brzmi rozsądnie. Nie masz pojęcia, z kim się spotykała?

— Może. Zapisałam swoje przemyślenia w dzienniku. — Pia czuła, jak Pontus sztywnieje. Odwróciła się. Dotknęła szybko jego przyrodzenia, które zwisało bezwładnie jak ślimak przy jego udzie. Gorzka prawda rosła teraz w przestrzeni między nimi. Czy tak naprawdę chodziło tylko o to, że nigdy jej nie chciał, nawet wtedy, gdy szukał w jej ramionach pocieszenia, gdy nikt inny nie znajdował się w pobliżu? Czy była to wyłącznie kwestia jego własnych korzyści?

— Nie chcę być, do cholery, w kręgu podejrzanych. Nie mam co liczyć na oczyszczenie z zarzutów, jeśli już raz zostałem napiętnowany, podobnie jak Svante Henningsson.

— Boisz się tego? — Pia owinęła się prześcieradłem. Chciała porąbać go na kawałki. Przebić jego błyszczące, przerażone oczy.

— Połóż się, to sprawię, że poczujesz się przyjemnie — powiedział i przycisnął ją do siebie. Jego słowa zadziały automatycznie. Pozwoliła, żeby ją kusił, upokarzał i zwodził, aż opowiedziała mu wszystko, czego nie miała prawa mówić i czego nigdy nie miała sobie wybaczyć. Odszedł, gdy dostał to, czego potrzebował.

Później, gdy czuła kwaśny smak w ustach, było to dla niej niepojęte, nawet gdy znieczuliła się butelką wina. Przekleństwo autofobii to okrutnie ciężkie brzemie. Cholerny facet! Cholerni faceci! Czołganie się po łóżku z instrukcją wyszukania i obsługi punktu G nie ma nic wspólnego z miłością. Smród przypalonego garnka dotarł aż do samej łazienki, a przeklęty depilator z potrójnym ostrzem, głowicą złuszczającą, nasadką chłodzącą i wszystkimi innymi wymyślnymi wynalazkami łyptały na nią szyderczo z kosza na śmieci. Osiemset koron wyrzuconych w błoto. Zmarnowane jedzenie. Całe jej życie zmarnowane. Pia tak długo opłukiwała twarz lodowato zimną wodą, aż skóra zaczęła ją piec żywym ogniem. Gdyby tylko Annalisa żyła, wszystko potoczyłoby się inaczej. Albo może nawet gorzej. Jak można na dłuższą metę znosić dobroć, na którą się nie zasłużyło, bez narastającego poczucia winy? Gdy nie można się za nią odwdzięczyć, a ona pociąga za sobą wciąż nowe ofiary i dary?

Annalisa siedziała na kanapie w salonie, z burzą jasnych włosów spadających na ramiona i tajemniczym uśmiechem na ustach.

— Otwórz prezent, to dla ciebie, Pio.

— Dla mnie? Nie mam dziś urodzin.

— To dla ciebie. — Prezent był bardzo mały, zapakowany w pozłaczony papier z błyszczącą granatową kokardką przyczepioną naklejką z aniołkiem. Pia rozpakowała papier i wzięła do ręki biżuterię. Bursztyn w srebrze.

— Należał do mojej babki — wyjaśniła Annalisa. A jej serce zadrżało w piersi, podeszło do gardła i z oczu popłynęły idiotyczne łzy.

— Chcesz mi dać naszyjnik swojej babci?

To był pierwszy akt, ale ten dramat miał ciąg dalszy. Akt drugi. Pia nie potrafiła później sobie tego wytłumaczyć, dlatego skuliła się i schowała za siedzeniem, kiedy Annalisa wsiadła do autobusu tydzień później pewnego lutowego dnia. Tak silnie odczuwała jej obecność, że nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić, może po prostu chciała sobie zażartować. To było takie głupie i bezsensowne. Annalisa usiadła na siedzeniu przed nią, dostrzegłszy tam Elvirę Bredström. Pia była zadowolona z tego układu: widzi, ale sama jest niewidzialna, może słuchać tego, co mówią. Nie spodziewała się, że sprawi to jej taki ból.

— Słucham? Podarowałaś Pii naszyjnik swojej babci? — Głos Elviry słyszeć było jasno i wyraźnie. — Jak możesz wytrzymać to, że cały czas się za tobą włóczy? Trudno ją uznać za wesołego kompana. — Elvira wzięła do ręki lusterko i pomalowała usta, a pytanie zawisło w powietrzu.

„Odpowiedz, odpowiedz jej, Annaliso, nie zawieź mnie”. — Pia wstrzymała oddech i wtuliła się głębiej między siedzenia. Oczywista odpowiedź nie padła, a jej oczywistość z każdą sekundą ciszy stawała się mniej oczywista.

— Może jestem zbyt miła, ale szkoda mi Pii. Wydaje się przecież taka samotna. Tak właściwie to nigdy nie lubiłam swojej babci, więc ten naszyjnik nie ma dla mnie żadnej sentymentalnej wartości. Ale pomyślałam sobie, że jej może sprawi radość.

Akt trzeci. Annalisa przyjechała, aby zabrać ją na kurs zdobienia porcelany. Z litości, Pia — biedaczka — nie miała przecież prawa jazdy. Córeczka czekała w samochodzie. Annalisa usiadła z uśmiechem przy stole, jakby nic się nie wydarzyło, a tam w autobusie nie padły żadne śmiercionośne słowa. Popatrzyła na Pię swoimi okrągłymi błękitnymi oczami.

— Nie masz na sobie naszyjnika. Był za krótki?

— Spuściłam go w toalecie.

— Jak to? — Jej zdziwienie przeszło w twarzowy rumieniec.

— Spuściłam go w toalecie. Nienawidzę cię, ty obłudna świni. Nienawidzę cię! — Czują, jak wściekłość mrowi ją w palcach, zapagnęła pociągnąć za te jasne pukle i wyrwać je. Pia wstała i szarpnęła za ubranie Annalisy. — Nienawidzę cię.

Annalisa oswobodziła się z jej uścisku i z płaczem pobiegła w dół schodami. To był ten ostatni raz. Ostatni ze wszystkich. Nikt nie słyszał, jak te słowa padają. W zasadzie nigdy nie zostały wypowiedziane. Wydawało się, że Annalisa nie opowiedziała o nich również córce w samochodzie, zanim zdarzył się wypadek. Albo może Cecilia tego nie pamiętała, ani tego zdarzenia, ani pogrzebu tydzień później, jeśli wierzyć Elvirze Bredström.

Dźwięk telefonu przeszył ciszę i Pia została wyrwana ze swoich myśli krążących wokół minionych zdarzeń. Butelka przewróciła się i kropelka czerwonego wina wyciekła na białe prześcieradło, kiedy wyciągnęła rękę po słuchawkę.

— Halo. Pia Rönn. — Cisza. — Halo. Pia Rönn. — Głośny oddech, żywa istota po drugiej stronie. Ktoś, kto oddychał. Serce, które biło. — Halo, czy to ty, Kristino?

Cisza i dźwięk odkładanej słuchawki, kiedy połączenie zostało przerwane.

24

— Amando, pożyczę dziś wieczorem twoją sztruksową spódnicę, OK? Nie sądzisz, że schudłam? Zobacz mój nowy top. Prawda, że pasuje do spódnicy? Kupiłam go w butik Black Rock.

— Czy musisz robić zakupy w tych samych sklepach co ja? Black Rock nie jest dla kobiet w twoim wieku.

— Wyglądasz na tyle, na ile się zrobisz. — Eva Myrbacke mrugnęła do córki powieką mocno pomalowaną srebrnym cieniem i uśmiechnęła się do lustra.

— Musisz odsłaniać brzuch? — Amanda przyglądała się matce krytycznym wzrokiem. Zlustrowała ją od stóp do głów, oceniając końcowy efekt jako żalony.

— Ty odsłaniasz.

— Mam czternaście lat, a ty jesteś, kurde, moją matką.

— Ja też chyba muszę mieć jakieś życie. On może zadzwonić i zaprosić mnie na randkę. Chyba rozumiesz, że muszę się trochę odstawić.

— Wyglądasz, jakbyś miała wystąpić w programie telewizyjnym dla dzieci. Pompon na jednym uchu wygląda raczej śmiesznie. On chyba nie jest przedszkolakiem?

— Jest policjantem i nazywa się Jesper Ek, jakbyś chciała wiedzieć. Jest cholernie miłutki. Polubisz go.

— Jest gnojkiem, a ty zachowujesz się jak małolata.

— Amando, dokąd idziesz? Amando, nie rozumiesz, ile to dla mnie znaczy?

— Nie, ale rozumiem, co to znaczy dla mnie. Każdego wieczora muszę siedzieć tu sama i sama zasypiać, choć się boję. A co, jeśli ktoś się do nas włamie? Tam na stacji

benzynowej było włamanie. Moja najlepsza przyjaciółka nie żyje, a ty masz mnie po prostu gdzieś. Jak będziecie razem, przeprowadzam się do taty.

— Ale z ciebie egoistka. Odmawiasz mi jakiegokolwiek przyjemności? Mam zostać tu sama, jak się wyprowadzisz z domu? Tego chcesz? Amando, nie zamykaj mi drzwi przed nosem, kiedy do ciebie mówię. Otwórz! Otwórz, powiedziałam!

— Nie. — Amanda wślizgnęła się do łóżka, przyłożyła do uszu poduszkę i zacisnęła powieki.

— Już przecież rozmawialiśmy na temat twojej przeprowadzki do taty. — Głos Evy brzmiał tak bojaźliwie, jak tylko można było sobie tego życzyć. — On i Jenny mają teraz dużo pracy przy bliźniakach, a ty musiałabyś zmienić szkołę. Słyszysz mnie, Amando? Nie możesz otworzyć? To bardzo przykre, że tak się zachowujesz.

— To się rozplącz!

Amanda przysłuchiwała się krokom, które oddaliły się w kierunku kuchni. Miała to jak w banku, że teraz matka zadzwoni do babci, ciotki Agnety i Lotty, żeby im powiedzieć, że nie wie, co ma robić. To ciekawe, że dorośli opiekujący się dziećmi nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Poza tym telefon był karą. Swojego rodzaju emocjonalnym szantażem. „Jak będziesz niegrzeczna, to powiem wszystko babci. I będę mówiła tak głośno, że usłyszysz każde słowo. Tylko moją wersję wydarzeń”. Amanda wyjęła spod łóżka maskotkę tygrysa. Jej sprzymierzeniec, któremu mogła zawsze się zwierzyć. Ktoś, kto potrafił milczeć. Szwedzki tygrys, jak powiedział tata, kiedy dostała go w prezencie na gwiazdkę. Co on przez to właściwie rozumiał? Amanda położyła łapy tygrysa na swojej szyi, a jej łzy popłynęły wprost na miękką maskotkę. Nikt jej nie chciał. Była tylko przeszkodą. Była nikim, nikt jej nie lubił i nikogo nie obchodziła. Nie obchodziła ojca, bo ciągle pracował i był z Jenny i smarkaczami; mamy też nie obchodziła, bo ta znowu się zakochała i nie chciała jej słuchać. Jej najlepsza przyjaciółka nie żyła. „Ach tak, naprawdę? A co myślisz o moim nowym lakierze do paznokci?”. Chrzanić dorosłych. A Tom, który trzymał ją za rękę na zakończeniu roku w siódmej klasie — jego zabrała Cissi, aby później go rzucić, kiedy tylko miała taki kaprys. Przez całe wakacje Amanda marzyła i tęskniła za Tomem, chciała, żeby szkoła znowu się zaczęła. Dała mu skórzaną bransoletkę w dniu egzaminu, a on pożyczył jej swoją kurtkę. Przez chwilę trzymał ją za rękę, kiedy nikt nie widział. Aż dłoń Amandy się spociła i musiała udąć, że zrywa kwiatek, by móc ukradkiem wytrzeć ją w materiał spodnicy.

Wtedy ktoś zawołał Toma i czar prysł. Całe lato nosiła jego czarną kurtkę, prawie jak pierścionek zaręczynowy, i wiedziała, że należą do siebie. Pojawiła się Cissi, tego pierwszego dnia szkoły, opalona na brązowo w białej krótkiej spódnicy, i pocałowała go w same usta. Tak po prostu, bez zbędnych ceregieli. A Tom prawie przestał mówić Amandzie „cześć”. Może się wstydził. Wetknął tylko kurtkę do swojej torby szkolnej, kiedy Amanda rzuciła mu ją na ławkę. I tak skończyła się ta miłość. Gdyby tylko mogła opalić się tak jak Cecilia, sprawy przybrałyby inny obrót. Ale jej delikatna cera nie znosiła słońca, po opalaniu była zawsze czerwona jak rak. „Czy można nienawidzić kogoś, kto nie żyje? — Amanda zapytała Tygrysa. — Czy można myśleć źle o zmarłych?”. Ile razy pragnęła wyglądać jak Cecilia, z jej długimi jasnymi włosami i zgrabnymi, opalonymi nogami. Zimą, kiedy Cecilia nie mogła pokazywać nóg, wciąż mimo wszystko wybierana była na św. Łucję. To było takie niesprawiedliwe. I ciągle musiała mieć głos decydujący, w przeciwnym razie była zła. Jej złość mogła trwać tak długo, aż trzeba było ją przeproszać za każdą najdrobniejszą rzecz.

— Amando, Amando kochanie! Mama chce z tobą porozmawiać. Możesz otworzyć? — Amanda umieściła Tygrysa w swojej tajemnej szufladzie pod łóżkiem i odrobinę uchyliła drzwi.

— Czego chcesz? — Jej głos był na granicy wybuchu z wściekłości nad niesprawiedliwością świata. To, że otworzyła drzwi, nie oznaczało od razu, że są pogodzone, w każdym razie jeszcze nie.

— Dam ci sto koron, żebyś mogła wypożyczyć film i kupić trochę słodczy na wieczór.

— Zadzwoił? Ten Jesper?

— Tak. — Eva zaśmiała się, promieniejąc na całej twarzy. — Zadzwoił. A ja myślę, że jesteś wystarczająco duża, żeby poradzić sobie dziś wieczorem, prawda? Będę miała ze sobą komórkę.

— Nie chcę być sama w domu.

— Może zaprosisz do siebie jakąś koleżankę.

— Nic nie rozumiesz. W ogóle mnie nie słuchasz!



— Amando, dlaczego to robisz? Otwórz drzwi! Otwieraj, mówię do ciebie! Posłuchaj, położę pieniądze na stole w kuchni. Muszę już wyjść. Słyszysz? Wychodzę. Nie możesz otworzyć? Chcę cię uściskać przed wyjściem.

— Nie, bo nic cię nie obchodzi.

— Ależ oczywiście, że mnie obchodzisz, kochanie. Ściskam cię! I myślę, że powinnaś położyć się o dziesiątej, żebyś nie była jutro zmęczona w szkole. Buziaki.

Drzwi się zatrzasnęły. Amanda wybiegła na korytarz. Otworzyła drzwi i omiotła wzrokiem klatkę schodową. Matki nie było nigdzie widać. Tak bardzo spieszyła się, żeby uciec z domu. Uściskanie córki nie było aż tak ważne. Amanda starannie zamknęła drzwi i sprawdziła zamek. Później przeszła po całym mieszkaniu, zaglądając we wszystkie zakamarki i pod łóżka. Robiła to raczej *pro forma*, bo nie starczało jej wyobraźni, by pomyśleć, co zrobiłaby, gdyby tam kogoś znalazła. Później usiadła przy stole i zapaliła pierwszą świeczkę w adwentowym świeczniku. Na półce z gazetami powinna stać puszka z pierniczkami. Amanda zdjęła pokrywkę i stwierdziła, że jest pusta. Bułeczki też się skończyły, co zrobić. Na dworze noc spowijała świat jak płachta narzucona na klatkę ptaka. Amanda cieszyła się, że mieszkają na drugim piętrze, a nie na parterze. Gdyby ktoś chciał ją podglądać, musiałby wspiąć się po rynnie. Żaden człowiek nie zdołałby dokonać tego bezgłośnie. Wpatrywała się w płomień świecy i zastanawiała się, jak by to było być martwą. Kim się wtedy jest? Duchem, który może znaleźć się wszędzie? Pewnego rodzaju energią? Tom tak myślał. Jego brat studiował fizykę kwantową. Czy w ogóle się istnieje? I skąd się o tym wie, skoro jest się martwym? A jeśli Cecilia tu była, tylko niewidzialna? A jeśli słyszała myśli Amandy? To było prawie tak okropne jak zabawa w ducha w szkole. Cecilia uważała, że to było super, ale Amanda sądziła, że to straszne, i tak rozboleł ją brzuch, że musiała iść do domu. Wtedy, jak również później w tym samym tygodniu, gdy Cecilia znalazła na strychu stół do czarowania z trzema nogami z wysuwającym przęsłem. Jedna noga na „tak”, jedna na „nie” i jedna do liczenia. Nie pomogła nawet kusząca propozycja czytania starych listów miłosnych Reidun, schowanych w blaszanym pudełku po wafelkach. Amanda tak się zdenerwowała, że zrobiło jej się niedobrze. Nigdy nie słyszała wstrętniejszych pytań niż te, które Cecilia zadała wtedy stołowi, a złowieszcze trzeszczenie drewnianej nogi sprawiło, że w końcu stamtąd uciekła. Zwymiotowała nawet do kosza na śmieci na

placu zabaw. Ale najgorsze okazały się przejażdżki samochodem w nocy, gdy mama Amandy zostawała na noc u tego obleśnego faceta, z którym zadawała się w lecie.

— Przyjadę po ciebie samochodem taty o drugiej — zakomenderowała Cecilia, więc Amanda posłusznie nastawiła budzik.

— Możesz to zrobić? Potrafisz nim jeździć?

— Pewnie, do cholery. — I samochód pastora stał już przy oknie Amandy. Na początku było to bardzo ekscytujące. Po kilku nieudanych próbach Cecylii udało się zapalić silnik i jechała w górę wzgórza kościelnego na granicy linii środkowej, z włączonymi długimi światłami, aby móc lepiej widzieć. Koła kręciły się coraz szybciej na skałach. Amanda miała ochotę krzyknąć z przerażenia, zupełnie zapierało jej dech w piersiach, wszystko wirowało, tańczyło nad krawędzią pomiędzy brzegiem skały a wiecznością. Cecilia zaśmiała się głośno dziwnym płaczliwym śmiechem i zahamowała na samym krańcu skały.

— Zajebicie! Prawda, że było super? Ale kretyńsko wyglądasz — powiedziała. — Kurde, ale komicznie.

Amanda nie mogła później spać ani jeść, nie potrafiła się skupić w szkole ze strachu na myśl o nocach, kiedy matka nocowała u tego obleśnego kolesia. „Mała egoistka, nie pozwalasz mi na odrobinę rozrywki” — mówiła Eva. „Aha — myślała Amanda — a ze mną nie jest fajnie? Czy w ogóle istnieje? Obchodzę cię choć trochę?”.

Żadne wybiegi nie pomagały. Jeśli Cecilia zdecydowała się na nocną przejażdżkę, po prostu się na nią udawała. Volvo staowało pod oknem sypialni. Dziewczyna rzucała kamieniem w szybę i nie było odwrotu. „Chyba nie jesteś jakimś cholernym tchórzem?”. Nieee! Trasa przejażdżki biegła przez miasto, przez porośnięte kwiatami rondo przy południowym wyjeździe z miasta. Lusterko wsteczne musnęło latarnię, gdy zahaczyły o chodnik. Skręciły w dół w kierunku portu. W stronę falochronu. Zygzakiem zbliżały się do zbiornika wodnego. Kiedy stanęły przy wypożyczalni i Amanda odprężyła się, zauważyła, że się zsikała. Kurtka z tyłu była mokra aż po sam kraniec. Miała nadzieję, że tego nie widać. Że siedzenie samo wyschnie w nocy.

— Wczoraj naprawdę niewiele brakowało, abyśmy wpadły — powiedziała Cecilia na zajutrz, gdy paliły po kryjomu w toalecie.

— Jak to? — Amanda starała się wyglądać na nieporuszoną z powodu dymu, który drażnił jej oczy.

— Gudrun Wern widziała nas w samochodzie i powiedziała o tym tacie.

— Kurde. — Amanda próbowała zdławić atak kaszlu i zgasiła papierosa.

— Tak, ale on jej nie uwierzył. Słyszałam, jak opowiadał o tym Reidun. Wiesz, co powiedział? Że to szkoda, że Gudrun Wern już się tak zestarzała. Ale chyba będziemy musieli sobie zrobić przerwę w przejażdżkach na jakiś czas.

— OK.

Amanda wpatrywała się w świeczkę i czuła, jak w samotności i ciszy ogarnia ją senność. Próbowwała odgonić te wszystkie groźne myśli, przyjemne było to, że Cecilia nie mogła już decydować. Teraz miała możliwość poprzebywać trochę w towarzystwie innych dziewczyn z klasy. Wcześniej było to nie do pomyślenia, bo zaborcza Cecilia zwracała baczną uwagę na każde jej słowo i krok. „O czym rozmawiałyście? Przecież ona jest skończoną kretynką. Chodź, Amando, idziemy”. Cecilia decydowała właściwie o wszystkim. Kto się nadawał, a kto nie. Kto mógł się do nich przyłączyć i kto miał zostać odrzucony. Które ciuchy były fajne, a które beznadziejnie żałosne. Ale najgorsze były jej kłamstwa. I nauczyciel WF, Svante, na przykład. Amanda też kłamała. Ale nie tak często i nie w taki sposób. Po prostu zgadzała się, mówiła „tak” i kiwała głową. Jak w przeciwnym razie miała przetrwać pod presją silnej woli Cecylii?

Pontus Larsson stawiał takie dziwne pytania. Był zły, a później trochę się przestraszył. Amanda to zauważyła. To było bardzo nieprzyjemne, gorsze niż złość. Czerwieniła się na samą myśl o tym. Dziś podczas przerwy obiadowej poprosił Amandę, aby została po lekcjach. Pytał, co robiły w toalecie podczas wieczoru filmowego. Nie potrafiła powiedzieć mu nic innego poza prawdą: że piły wino. Pontus nie był nawet zły, tylko potrząsnął smutno głową, jakby chciał powiedzieć: „To takie głupie i bezsensowne”. Później zapytał, czy Cecilia mówiła kiedyś o śmierci. Czy to możliwe, że specjalnie weszła na tory?

Amanda nie musiała długo myśleć nad odpowiedzią. Powiedziała, że Cecilia bawiła się śmiercią, ekscytowało ją to. A w myślach dodała, że w ten sposób chciała spotkać się ze swoją mamą. To jednak było zbyt osobiste, aby powiedzieć o tym na głos. „Cecilia chciała, ale ja nie chciałam spotkać się z jej nieżyjącą matką”. Rzucenie wyzwania śmierci i wywi-

nięcie się jej było sposobem na wygraną ze śmiercią, pokonanie jej, jak powiedziała Cecilia. Akurat wtedy brzmiało to bardzo rozsądnie.

Nauczyciel zadawał takie dziwne pytania, tak jakby wiedział coś, czego nie mógł powiedzieć. A później ta policjantka o imieniu Maria pytała o inne rzeczy. To oczywiste, że Cecilia szła po torach tak długo, jak to tylko było możliwe, usłyszała nadjeżdżający pociąg i uskoczyła w ostatniej chwili. Cała Cecilia. Amanda wolała myśleć, że przyjaciółka jest teraz ze swoją mamą. Że jest duchem, a nie tylko strzępami mięsa i kawałkami kości. Wtedy może nie będzie zła o to, że Amanda myśli po swojemu. Jeśli ją słyszała.

Amanda włączyła komputer w swoim pokoju i zalogowała się do Lunarstorm. Będzie się czuła mniej samotnie, jeśli zabije czas, rozmawiając z kimś. Weszła w wyszukiwarkę i zazaczyła: „Znajdź wszystkich znajomych w mojej okolicy”. Analizowała rezultaty przez chwilę, a później weszła na swój profil, aby sprawdzić, czy ktoś na niego wchodził. Wszedł, ale tylko jeden nowy użytkownik. Yourlove, chłopak lat 17, według obowiązkowych danych. Amanda kliknęła na link do jego profilu. Nie napisał nic o sobie ani nie zamieścił zdjęcia. Ostatnie logowanie: w niedzielę wieczorem o 23.50. W zeszłą niedzielę? Wtedy wyłączyli przecież prąd w całym Kronviken i właściwie całym mieście. Tak powiedział Larson. Teraz zauważyła, że ikonka mailowa miga. Amanda wróciła do swojej skrzynki i zobaczyła, że otrzymała wiadomość. Była od Yourlove. To było szalenie ekscytujące.

„Cześć, Amando. Zobaczyłem twoje zdjęcie i rozpoznałem cię. Ty i twoja przyjaciółka byliście w sklepie mojego taty w czwartek 23 listopada. Widziałem, co zabrałyście, i chcę, żebyście oddały tusz do rzęs i cień do powiek. Żebyś nie musiała czuć się zawstydzona, spotkajmy się w budce, niedaleko plaży jutro o 20.00. Jeśli oddasz z powrotem rzeczy, zapomnimy o wszystkim i nie doniosę na policję”. Użytkownik: Yourlove.

Amanda jeszcze raz przeczytała list, później jeszcze raz. W pokoju zapanował chłód. Co miała teraz zrobić? Co począć? Co zrobiłaby Cecilia? Na pewno poszłaby tam. Czy było jakieś inne wyjście? Yourlove brzmiało znajomo w pewien sposób. Czy Cecilia nie czytała wpisu do książki gości od Yourlove na Lunarstorm? W ten poniedziałek, kiedy Amanda przyszła do Cecylii, aby zabrać ją na wieczór filmowy? Nie pozwoliła Amandzie zobaczyć wiadomości, zakrywała jej oczy tak mocno, aż pod powiekami pojawiły się czerwone ogniki.

Tusz i cień leżały nierozpakowane w szufladzie z Tygrysem. Amanda usiadła na podłodze i wyciągnęła paczuszkę. To była wina Cecilii. Amanda nie chciała i nie miała odwagi wziąć kosmetyków. Zrobiło się teraz tak nieprzyjemnie. To Cecilia wetknęła jej zawiniątko, gdy nadeszła ekspedientka. Czy on to zobaczył? Czy mógł to dostrzec, skoro w sklepie kłębił się tłum ludzi? A jeśli widział, dlaczego od razu ich nie zatrzymał, kiedy wychodziły ze sklepu? Amanda nie zdążyła zabrnąć dalej w swoich rozważaniach, bo usłyszała kroki na klatce schodowej i odgłos przekręcanego w zamku klucza.

— Mama? Przecież umówiłaś się z tym gliną?

— Kochanie, tak mi przykro. Tak bardzo przykro. Muszę ci coś powiedzieć. Chodź, usiądziemy na kanapie. Weź mnie za rękę. To coś bardzo poważnego.

— O co chodzi? — Amanda poszła za matką i usiadła. Gula w żołądku podeszła jej do gardła, paliła i piekła.

— Jesper powiedział mi, że Cecilia nie żyje.

— Przecież wiem.

— To dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś, Amando?

**25**

— Cecilia Ståhl była już martwa, gdy znalazła się na torach. Niewielka ilość krwi dała mi do myślenia. Teraz to się potwierdziło. Wstępny raport z obdukcji jest trochę mętnie sformułowany, ale lekarz sądowy potwierdza, że nie żyła już od sześciu — ośmiu godzin, zanim przejechał ją pociąg. To pewna ulga dla maszynisty, ale dodatkowy ciężar dla jej najbliższych. — Erika Lund popatrzyła po twarzach swoich kolegów w oczekiwaniu na jakąś reakcję i położyła protokół na stole przed Hartmanem.

Maria Wern poczuła gułę w gardle. Kiedy stała tam przy torach i patrzyła na białą rękę dziewczyny, miała dziwne przeczucie, że to nie był wypadek. Intuicyjny impuls. To, co nazywamy czasem intuicją, jest może niczym innym jak chwilową nieumiejętnością uporządkowania i nadania znaczenia temu, na co nieświadomie zwracamy uwagę. Śnieg wydawał się taki biały i czysty. Straszne wypadki, które Maria widziała — wszystkie były krwawe. Krew wydaje się mieć szczególne znaczenie. A ten śnieg był taki biały i czysty...

— Czy na tym etapie można już spekulować na temat przyczyny zgonu? — chciała wiedzieć Maria.

— Bergwal z medycyny sądowej zadzwonił do mnie, żeby o tym porozmawiać. Nie chce jeszcze niczego wpisywać do akt. Woli wstrzymać się do czasu, gdy pojawią się nowe analizy. Sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

— A co widział? — dopytywał się Ek.

— Nieoficjalnie skłania się ku uduszeniu. Ale nie ma żadnych śladów na szyi czy rękach. — Erika zmarszczyła czoło i przeciągnęła dłonią przez rozczochrane włosy.

— W takim razie może chodzić o morderstwo. — Hartman odłożył protokół i wetknął okulary do kieszeni na piersi kurtki.

— Albo może sama sobie coś zaaplikowała? Jakąś truciznę? Nie wiem, co mam o tym myśleć. Jeśli byłoby to jakieś zwykłe lekarstwo, opiaty albo środki nasenne, już mielibyśmy odpowiedź. — Erika usiadła i oparła okoloną brązowymi lokami głowę na rękach. — To wszystko jest takie straszne.

— Kto porozmawia z Johannesem Stählem? — Hartman od razu spojrział na Marię, choć pytanie skierowane było do ogółu. — Musimy zaplombować pokój dziewczynki, a może również resztę plebanii.

Maria skinęła głową.

— Ja pójdę. Później, po południu, chcę jeszcze raz przesłuchać szkolną pielęgniarkę. Jeśli jest podejrzenie morderstwa, musimy przejrzeć dzienniki. Jeśli w grę wchodzi śledztwo w sprawie morderstwa, nie obowiązuje już zasada poufności.

— Trzeba powtórnie przesłuchać wychowawcę oraz kolegów z klasy. Nie możemy również zapomnieć o sprzętaczkach, woźnym i personelu kuchennym. Przed nami masa pracy. Będziemy musieli prawdopodobnie odwołać wszystkie przyznane przed świętami urlopy. — Hartman zatrzymał się w połowie ruchu, wstając z krzesła. — Czy jeszcze coś musimy ustalić, zanim ruszymy z pracą?

— Przyjąłem zgłoszenie z pogotowia informatycznego Data Akuten, nowej firmy mieszczącej się na rogu Storgatan i Nygatan. — Arvidsson, który wcześniej wtopił się w swoje krzesło, usiadł teraz prosto. — Wczoraj rano zadzwonili do mnie z serwisu komputerowego z informacją, że przyniesiono do nich komputer z podejrzaną zawartością — dziecięcą pornografią. Skontaktowałem się z adwokatem i skonfiskowałem komputer. Właśnie jestem w trakcie sprawdzania go i nie wygląda to dobrze.

— Cholera — powiedział Ek.

— Rzygać się chce, jak się patrzy na coś takiego, i jednocześnie ogarnia człowieka wściekłość. Najwyższy czas, żeby rozprawić się z tymi skurwysynami. — Arvidsson przygryzł wargi, aż jego policzki zbieleły. — Niestety, za tydzień was opuszczam.

Posypał się grad pytań. Arvidsson potrząsnął głową:

— Ktoś inny będzie musiał przesłuchać tego bydlaka. Mam trochę roboty. Dasz radę, Mario?

Johannes Ståhl zaprosił ich do biblioteki. Jego blada twarz kontrastowała z czarną su-  
tanną. W pokoju było bardzo zimno. Z ust wydobywała się para i Maria zastanawiała się  
nawet, czy nie spytać, co się stało z ogrzewaniem. Usiadła na lodowatej kanapie obok  
Hartmana. Pastor spoczął niechętnie na fotelu naprzeciwko nich. Reidun stanęła bezrad-  
nie u boku męża i przebierała palcami po oparciu fotela. Maria spojrzała na podłogę i za-  
uważyła, że stopy pastora są bose. Brązowe buty leżały po przeciwległych stronach poko-  
ju, jakby zrzucił je z impetem ze swoich stóp. Skarpetki leżały obok, zwinięte w kulkę. Ma-  
ria ostrożnie wytłumaczyła, w jakiej sprawie przyszli.

— Skąd wiecie, że piła alkohol? — Johannes nieprzerwanie ugniatał czarny materiał  
swoich spodni.

— Przeprowadziliśmy analizę krwi. — Hartman wstał i przyniósł krzesło dla Reidun,  
która jak na wpół sparaliżowana zajęła wskazane miejsce. Jej blade wargi przybrały pod  
wplywem zimna niebieskawy odcień.

— Skąd wzięła alkohol? — zapytał pastor, nie do końca obecny duchem. Stawienie  
czoła pytaniom dotyczącym losów córki było wciąż ponad jego siły.

— Chciałabym, abyśmy przeanalizowali ostatni tydzień życia Cecilio, każdy dzień i każ-  
dą godzinę. Z kim się widziała, czy odbierała jakieś telefony albo maile. Czy miała wro-  
gów? Czy miała chłopaka? Interesuje nas wszystko. Musimy znać przebieg wydarzeń. Je-  
śli okaże się, że to było morderstwo, musimy znaleźć winnego.

Hartman otoczył Johanna swoim wielkim ramieniem. Ten wzdrygnął się i wywinął  
z jego objęć, jakby zasłaniając się od ciosu.

— Może zrobię kawę? — Reidun wstała i zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, opu-  
ściła duszną atmosferę pokoju.

Maria wyjęła ze swojej czarnej torebki długopis oraz notatnik i palcami zeszywniałymi  
z zimna otworzyła go na czystej stronie.

— Według Pontusa Larssona Cecilia przyniosła do szkoły flet. Widział, jak podczas  
wieczoru filmowego włożyła go do kieszeni, zanim włożyła kurtkę i wyszła na szkolny dzie-  
dziniec. Nie znaleźliśmy fletu wśród rzeczy rozrzuconych przy torach. Czy wie pastor, co to  
był za flet?

Johannes pocierał kciukami materiał czarnych spodni.



— Przepraszam. Nie słuchałem. Co pani mówiła? — Ocknął się, gdy poczuł dłoń Marii na swojej ręce.

— Cecilia miała ze sobą flet. Jak się pastor czuje? Czy możemy kontynuować, czy odczekamy chwilę? — Maria z narastającym niepokojem obserwowała mężczyznę, który z wytrzeszczonymi oczami i wzrokiem utkwionym w oddali jak w niewidzialnym wrogu nie przestawał monotonnie miętosić nogawek swych spodni.

— Zamordowano ją? — spytał nagle i popatrzył Marii prosto w oczy.

— Nie możemy tego stwierdzić z pewnością, ale nie możemy też tego wykluczyć.

— Czy ktoś... — pastor przerwał, zaczerpnął powietrza i mówił dalej szeptem: — Czy ktoś czyhał na jej życie?

— Ciało zostało wysłane do lekarza medycyny sądowej, dostaniemy odpowiedź za dzień lub dwa. — Hartman wstał, ustępując miejsca Reidun, która weszła z kawą na tacy i zaczęła rozstawiać filiżanki na okrągłym dębowym stole przed nimi.

— Więc nie jesteście w stanie stwierdzić, czy została zgwałcona, zanim... Dobry Boże. To nie mogło się wydarzyć, była tylko dzieckiem. — Johannes wpatrywał się w Reidun, szukając u niej wsparcia. Jej dłonie zatrzęśły się gwałtownie. Maria chciała właśnie spytać, czy nie potrzebuje pomocy, kiedy jedna z filiżanek spadła i rozbiła się o podłogę.

— Co ty wyprawiasz, kobieto? — Johannes zerwał się z fotela. — To są filiżanki Annalisy! Kto pozwolił ci wyjąć odświętne filiżanki Annalisy? — Upadł na kolana i zaczął zbierać odłamki, jeden za drugim, podczas gdy inni obserwowali go w ciszy. Spojrzał na rozbitą filiżankę, następnie ścisnął odłamki szkła jak śnieżną kulkę, aż między smukłymi palcami pociekła krew. Później zaczął płakać z ogromną, tłumioną wcześniej siłą; wstrząsały nim przeciągłe konwulsje, kiedy w przerwach zachłystywał się powietrzem. Kawałek po kawałku układał rozbitą filiżankę w kwiecisty wzór na tacy, zanosząc się głośnym płaczem. Krew lepiała mu się do palców, ale nikt się nie poruszył, aż w końcu Maria wstała i zbliżyła się ostrożnie do pastora jak do zranionego zwierzęcia. Położyła dłonie na jego drżących ramionach. Bez słowa. Bo nie było słów. Tylko ciepło ciała i obecność niosącego pociechę rozumu. Stali tam jak lodowa rzeźba, w bezruchu, aż ciepło dłoni Marii przywróciło pastora do żywych.

— Po co mam żyć? — szepnął. — Możecie mi powiedzieć? Czy możecie dać mi choć jeden powód, dla którego miałbym dalej żyć?

Reidun poruszyła ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Oslaniała dłońmi swój brzuch.

— Jesteśmy to winni Cecilii: musimy dowiedzieć się, co się wydarzyło. — Maria podniosła się na sztywnych nogach z podłogi, kiedy Johannes próbował się poruszyć. Ostrożnie pomogła mu wrócić na fotel i ukucnęła obok niego, wciąż dotykając go dłonią. Mężczyzna zaczął opowiadać, wolno i z namysłem.

— Bardzo mi żal tych ludzi. — Maria zaczęła masować skronie, kiedy zatrzymała forda przed komisariatem, żeby zostawić tam Hartmana. Wysiadł z samochodu, zamknął za sobą drzwi i zaraz otworzył je z powrotem, żeby zobaczyć, czy nie zostawił na siedzeniu rękawiczek. Były tam.

— Przyjedziesz po przesłuchaniu pielęgniarki?

— Tak, Krister odbiera dziś dzieci, więc mogę dłużej popracować. Nie ma sprawy.

— Masz jej numer telefonu? Nie powinnaś najpierw zadzwonić do szkoły?

— Nie, pojedę tam od razu. Pracuje chyba według ustalonego grafiku.

Maria włączyła radio i poinformowała dyżurnego, dokąd jedzie. Nad miastem zawisła szara mgła, która sprawiła, że smutne domy na Allevägen wydawały się jeszcze smutniejsze. Jezdnia była śliska i śnieżna breja ochlapała chodnik, gdy Maria skręciła za restauracją Gyllene Druvan. W myślach przygotowywała się do mającego ją czekać przesłuchania, układała ciąg pytań.

Pia Rönn pachniała mocno tabletkami od bólu gardła, choć nie wyglądała na przeziębioną. Może był to nawyk? Dobrze jest mieć co włożyć do ust. Może też tabletki służyły zniwelowaniu niestosownego zapachu z ust? „Jak mogła tak po prostu powiedzieć, że Emil jest gruby? Niektóre dzieci są początkowo dobrze zbudowane jak pączki tulipanów, które w końcu wystrzeliwują, tak już po prostu jest” — pomyślała Maria.

W poczekalni pielęgniarki szkolnej Maria nie spotkała żadnych uczniów. Poruszyła klamką drzwi do gabinetu, ale okazały się zamknięte. Najwyraźniej trzeba było zadzwonić. Ale za późno na takie refleksje. W drodze do pokoju nauczycielskiego zderzyła się z Rut Villman. Wózek z akcesoriami do sprzątanía stał w poprzek przy szklanej witrynie z wypchanymi zwierzętami, blokując wąski korytarz. Czuć było słaby zapach detergentów, kawy i wilgotnych ubrań wierzchnich.

— Momencik, zaraz się przesunę. — Rut wyjęła mop w wiadrze i uśmiechnęła się.

— A więc pracuje tu pani w szkole?

— Zgadza się, przyszła pani po syna? — Woźna manewrowała wózkiem i wytarła pot z czoła krawędzią gumowej rękawiczki.

— Szukam Pii Rönn.

— W sprawie służbowej? — Wyraz twarzy Rut zmienił się. — Chodzi o tę dziewczynkę, Cecilie?

— Tak, pewnie pani sama również musiała odpowiedzieć na kilka pytań dziś przed południem.

— Tak, więcej tu chyba policjantów niż samych uczniów. A nanoszą tyle brudu, że można osiwieć. Rozmawiałam z jednym, który się nazywa Jesper Ek. Ale lepiej byście zrobili, wysyłając tu kogoś innego. — Rut wróciła do wycierania podłogi.

— A to dlaczego?

— Myślałam, że o tym wiecie. To chyba się u was nazywa stronniczość.

— Co ma pani na myśli?

— Na szybie samochodu nie pojawia się taka para, jeśli ktoś potrafi trzymać się w ryzach — stwierdziła dobitnie Rut. — Zadaje się z matką Amandy Myrbacke.

— Tak? — Maria zamyśliła się przez chwilę i uśmiechnęła sama do siebie. — Raz dostaliśmy zawiadomienie o zostawionym w lesie samochodzie, ale kiedy tam przyjechaliśmy i zobaczyliśmy zaparowane szyby, nie interweniowaliśmy, tylko obserwowaliśmy samochód z oddali, aż wreszcie ktoś zapalił silnik. To właśnie Ek zdecydował, że powinniśmy się wstrzymać.

— I ja też tak zrobiłam. — Rut pocierała swój nos gumową rękawiczką. — Trzeba okazać trochę zrozumienia.

— Czy pielęgniarka jest w pokoju nauczycielskim?

— Nie widziałam jej dziś. Słyszałam, że jest na zwolnieniu. Nie mogę już dłużej stać tu i gadać bez sensu. Mam robotę. Jak nie uprzątnę tego syfu, to się rozpleni na amen. Te młode dziewczuchy, które biorą na zastępstwo, nie umieją porządnie sprzątać. Nie dalej niż tydzień temu znalazłam koty kurzu za drapowaniem w auli po tym, jak ta nowa tam sprzątała. Tak to jest, jak ktoś spędza dzieciństwo w przedszkolu i nie wynosi podstaw wychowania z domu. Nawet nie potrafią wyjąć porządnie szmaty, tylko lekko ją wycisną na środku swoimi delikatnymi paluszkami.

**26**

Johannes Ståhl podniósł się jak lunatyk z fotela i podszedł do wiszącej na ścianie szafki zdobionej ludowym wzorem z Dalarna. Wyciągnął dłoń po butelkę koniaku, podniósł ją natychmiast do ust i zaczął pić. Reidun obserwowała go ze swojego miejsca przy stole, niezdolna do tego, by wstać i go objąć. „Daj mi jeden powód, dla którego powinienem dalej żyć”. I marzenia o wspólnym życiu roztopiły się jak płatki śniegu wchłonięte przez ciemną ziemię. Reidun starała się nie nienawidzić go za to, przez wzgląd na te piękne słowa o bliskości i uczuciu, przez wzgląd na ich wspólne marzenia. Prawdopodobnie oszukiwał siebie samego równie mocno, jak oszukiwał ją. Może pozwolił się zwieść, ponieważ tęsknota za bliskością była taka silna. Nie był złym człowiekiem, jedynie nieświadomym własnych uczuć. Annalisa nie umarła, jej postać wciąż jaśniała dla niego z tą samą siłą. Tak wyraźnie uwidoczniło się to na tle ciemnej nocy, kiedy zginęła Cecilia. To, że w tych marzeniach chodziło tylko o niego samego, o pocieszenie, potwierdzenie i praktyczne rozwiązanie wobec ciężarów, które niosły ze sobą domowe obowiązki. O stawianie granic zagubionej nastolatce, gdzie on był tym dobrym i przyzwalającym, podczas gdy Reidun miała grać rolę złej macochy. Nigdy nie był gotowy zapłacić ceny za ten nowy układ ich dwojga. Nawet nie zauważył przyczepionej do niego metki z ceną. Teraz marzenie się rozwiąło. Padły słowa prawdy. Reidun patrzyła na niego i zastanawiała się, jak mogła pokochać tego chudego, przygarbionego mężczyznę z tłustymi strąkami na czole i przezroczystymi od koniaku oczami. Jak kiedykolwiek mogła pragnąć jego dłoni na swoim ciele? To było niepojęte. Upokarzające. Teraz mogła co najwyżej obdarzyć go bezkresnym współczuciem. Empatią. Ale to wszystko. Trudno czuć szacunek dla łkającego mężczyzny, a jeszcze trudniej zaufać mężczyźnie o potrzebach dziecka. Widziała w tym coś kazirodczego.

— Zabiję tego skurwysyna! — Johannes odstawił butelkę do szafki i otarł usta. Jego wytrzeszczone oczy płonęły z wściekłości.

— Co mówisz, Johannesie? — Nie widział jej. — Dokąd idziesz? Nie wychodź. Co chcesz zrobić? — Reidun próbowała stanąć mu na drodze, ale została szorstko odepchnięta.

— Zatłukę tego drania! — Z tym silnym postanowieniem poszedł do garażu, stąpając bosymi stopami po śniegu. Otworzył ciężkie drzwi garażu. Zanim wsiadł do samochodu, zawahał się przez moment i zabrał siekierę ze skrzynki na narzędzia. Trzymając ją w dłoniach, rozważał „za” i „przeciw”.

— Johannesie, przestań. Nie wiesz, co robisz. Przerażasz mnie. — Reidun, która wybiegła za nim, próbowała otworzyć drzwi samochodu. Budzący grozę wzrok męża sprawił, że puściła klamkę i cofnęła się o krok.

— Zamknij za mną drzwi garażu! — krzyknął przez szybę. Reidun nie starczyło odwagi, żeby mu się sprzeciwić, ale próbowała jeszcze apelować do niego. Odwrócił głowę. Nie chciał na nią patrzeć.

Kiedy volvo zniknęło z pola widzenia, stała przez minutę w paraliżującej niemocy. Co mogła zrobić? „Taksówka, muszę złapać taksówkę — w głowie wirowała jej ta myśl. — Muszę go powstrzymać. Zabije mnie, jeśli będę próbowała go powstrzymać. Muszę mu przeszkodzić. Muszę pomóc mu zrozumieć. Zniszczy swoje życie. Po co mam żyć?”. Telefon na policję nie wchodził w grę. Przecież pił. Nie wiedziała ile, ale na pewno wystarczająco, żeby odebrano mu prawo jazdy. Doszła do wniosku, że rozmowa z policją tylko pogorszyłaby sprawę. Gorączkowo szukała rozkładu jazdy autobusów w torebce. Szybciej uda jej się pojechać autobusem, niż złapać taksówkę w mieście. Tekst rozmazywał jej się przed oczami. Nie mogła skupić wzroku i odczytać godziny odjazdu.

Johannes przebył zaledwie kilkaset metrów na głównej drodze, kiedy wjechał na pasmo śniegu na środkowej linii i wpadł w poślizg. Zaczął manewrować kierownicą tak gwałtownie, że całkowicie stracił kontrolę nad samochodem. Kiedy udało mu się w końcu zatrzymać przy zjeździe 740, auto zdążyło obrócić się przodem do tyłu. Gdyby nastąpiło zderzenie, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Ta myśl sprawiła, że pastorowi zaczęło się kręcić w głowie. Czuł, jak całe jego ciało trzęsie się z zimna i podniecenia. O mało co. A więc nie ma litości. Jaki pożytek miało przynieść dalsze dwadzieścia, może trzydzieści lat jego życia na tym padole łez?

Nadjeżdżający z naprzeciwka samochód oślepił go światłami. Na sekundę przed tym, jak samochody miały się minąć, Johannes rozważał skręt w stronę linii środkowej. Jego dłonie zbieleły w kurczowym uścisku, ale nie zrobił tego, choć było to w zasięgu jego wolnej woli.

Myśli szumiały mu w głowie jak wodospad, szemrały i odurzały go jeszcze bardziej. „Dlaczego nie mogłem przekroczyć tej granicy, Boże? Czy moje zadanie nie jest jeszcze ukończone? Dlaczego muszę żyć? Czy za mało księży jest w Twojej służbie, czy może myślisz, że powinienem najpierw uwolnić świat od tej szumowiny, tego wykoślawionego obrazu twojej istoty?”. Na wspomnienie wyznań młodego woźnego poczuł, jak wszystko przewraca mu się w żołądku. Być może obowiązywała go tajemnica spowiedzi, ale nie powstrzyma go to w świętej złości, żeby wymusić na nim przyznanie się do winy i poniesienie konsekwencji.

Latarnie zapalały się jedna po drugiej w różowej poświacie, która stopniowo bladła, przybierając żółty odcień. Była czwarta po południu, niebo aksamitnie granatowe, poprzetykane gdzieśgdzie gwiazdami. Jednak Johannes tego nie widział, ledwo dostrzegał jezdnię. Oczami wyobraźni obserwował różne sceny, jedną straszniejszą od drugiej; Cecilia odurzona narkotykami i gwałcona, zaskoczona w lesie i pobita do nieprzytomności, przejechana i rozczłonkowana. Czy zamarła? Nie zdążył zareagować na mdłości, które podeszły mu do gardła. Zwymiotował na deskę rozdzielczą. Ciepła ciecz popłynęła na jego kolana i dalej na bosa stopy. Jak tylko dorwie tego skurczybyka, zakatrupi go bez litości!

Dom za sąsiednim płotem spowijała ciemność. Johannes zatrzymał samochód na ulicy i dopiero teraz uświadomił sobie, że jest na bosaka. Dzika wściekłość, która krążyła po jego głowie, zelżała nieco i ustąpiła miejsca wyrachowanemu planowaniu. Wysiadł z samochodu z siekierą w ręku. Nie czuł lodowatego śniegu pod stopami. W jednym z okien na parterze jaśniała niebieska poświata. Nie migotała jak drgające obrazy telewizyjne. Dostrzegł ciemny kontur komputerowego ekranu i sylwetkę pochylonego nad nim mężczyzny. Pastor zadzwonił do drzwi, nie spuszczać wzroku z postaci. Mężczyzna w oknie nie poruszył się. Johannes ponownie nacisnął dzwonek. Zaczynał odczuwać zimno. Nogi mu się trzęsły, zęby szczękały i nic nie mógł na to poradzić, a tam w środku siedział Rune Villman, który nie raczył nawet oderwać wzroku od ekranu komputera. Po tych wszystkich godzinach, które mu poświęcił, o dowolnej porze, świątek, piątek czy niedziela. Czy nie

przyjął tego drobnego woźnego jak swojego przyjaciela, wysłuchując jego niedorzeczności? Wpuścił zło do swojego domu, swojej rodziny. Johannes podniósł siekierę i rozbił oszronioną szybę w drzwiach wejściowych. Na dźwięk tłuczonego szkła zadrżał na całym ciele i pospiesznie rozejrzał się wokół. Nic nie zauważył, więc wetknął rękę do środka, aż dosięgnął zasuw. Cisza, jaka zapadła po rozbiciu szyby, wydawała się nierzeczywista. Johannes znieruchomiał w korytarzu i nasłuchiwał, próbując obmyślić kolejny krok. Z pokoju obok kuchni dobiegł go cichy dźwięk uderzanych klawiszy, później cisza i kolejna klawiaturowa seria, emitująca treści do internetowej sieci. Był tam w pokoju. Teraz nadeszła jego chwila.

— Co zrobiłeś z Cecilią, ty łajdaku? Co zrobiłeś mojemu dziecku? — Johannes wkroczył do pokoju, wymachując nad głową siekierą, gotowy zadać śmiertelny cios.

Przerażony Rune wstał i ostrożnie, z plecami przy ścianie, zrobił kilka kroków w stronę drzwi. Miał rozbiegany wzrok, jego wargi poruszały się nieprzerwanie, mrużąc pod nosem chaotyczne, uspokajające rymowanki. Machał rękami jak ptak ze zranionym skrzydłem.

— Chcę wiedzieć, co stało się z Cecilią. Chcę, żebyś przyznał się do tego, co zrobiłeś. — Głos pastora grzmiał w całym pokoju.

— Chciałem tylko poczuć jej zapach — wystękał Rune.

— A co zrobiłeś później? Wracaj! I tak cię dopadnę! — Ryk Johannes mógłby obudzić umarłego, kiedy Rune przebiegł obok, prawie dotykając pastora. Ten musnął jego bluzę swoimi długimi, wyciągniętymi rękami, ale nie zdołał go dosięgnąć. Chłopak krzyknął i potknął się na schodach prowadzących na piętro. Pastor pobiegł za nim, błądzący z wściekłości. Rune zatrzaskał za sobą drzwi do pokoju na strychu i przekręcił zamek, zanim Johannes zdążył chwycić za klamkę.

— Otwieraj, bo rozwalę drzwi siekierą!

W środku słychać było ciężki oddech woźnego. Szloch. Dźwięk przesuwanego mebla przebił się na schody. Johannes nie zwlekał. Podniósł siekierę i uderzył z całej siły, aż poszły drzazgi. Drewno w cienkich oszklonych drzwiach poddało się po kilku ciosach. Włożył rękę do powstałej dziury i otworzył zamek. Rune, który popłakiwał i kwilił w swojej kryjówce pod łóżkiem, został bez ostrzeżenia wyciągnięty za nogi.



— Co jej zrobiłeś, bydlaku? — Nie panując nad sobą, Johannes otworzył okno jedną ręką, następnie wystawił za nie skamieniałego ze strachu woźnego, który zawisł do góry nogami. Krzyczał, aż zabrakło mu tchu. Pastor klął i złorzeczył, groził mu i potrząsał nim, zupełnie nie kontrolując swojej złości. Nie usłyszał kroków na schodach ani tuż za sobą.

— Przestań, Johannesie. Nie wiesz, co robisz. Przestań, powiedziałam. — Reidun ostrożnie dotknęła jego ramienia. — Rune tego nie zrobił.

Johannes potrząsnął ramionami, strącając jej rękę.

— Mów, co zrobiłeś, bo inaczej cię zabiję! — ryczał do swojej ofiary.

Reidun wzmocniła uścisk na ramieniu męża. Nie zwracał na nią uwagi.

— Rune tego nie zrobił. Wiem to, Johannesie. — Podniosła głos na tyle, na ile miała odwagę. Popatrzył na nią nieobecny wzrokiem, a jego jaźń z wolna powróciła z odmętów wściekłości i uspokoił się. Jego pytający wzrok spotkał się z jej oczami, szukając potwierdzenia. Reidun przytaknęła:

— To prawda. Rune nie zabił Cecylii.

— Skąd to wiesz? Odpowiedz. Skąd to wiesz? — Johannes wciągnął do środka łkającego i szlochającego woźnego, który upadł na podłogę przed ich stopami i wczółgał się z powrotem pod łóżko.

— Tego nie mogę powiedzieć. Ale mogę dać ci słowo, że jest niewinny.

Pastor wyprostował się i wpatrywał się w nią. Na widok jego nabrzmiałej, czerwonej twarzy Reidun zaczęła obawiać się o swoje życie. Zbliżył się o krok. Powstrzymała się, by się nie odsunąć i nie odwrócić wzroku.

— Spodziewam się dziecka, Johannesie. — Ostoniła swój brzuch dłońmi. — Naszego dziecka.

27

— Dokąd idziesz, Amando, kochanie? — Leżąca na kanapie Eva Myrbacke oderwała się od serialu telewizyjnego i postawiła niezdecydowanie jedną stopę na podłodze.

— Wychodzę. — Amanda ściągnęła z wieszaka kurtkę i włożyła nowe botki matki. Dotknęła dłonią kieszeni na piersi. Paczuszka była na swoim miejscu. — Wychodzę się uchlać, ujarąć i publicznie rozbierać. — Złożyła ciche oświadczenie do wiszącego na wieszaku futra matki.

— Masz wrócić przed dziesiątą.

— Zostajesz w domu? — Amanda stała z dłonią na klamce. Eva potrząsnęła głową.

— Wiesz przecież, mówiłam ci, że wychodzę do kina z Jesperem Ekiem. Kupiłam ci chipsy i colę. Rozmawialiśmy przecież o tym dziś rano. Masz ze sobą klucz?

— Oczywiście, inaczej nie mogłabym się dostać do środka, kiedy ty będziesz się puszczać przez całą noc.

— Amando, teraz to już jest podłość. Amando!

Drzwi zamknęły się i dziewczyna pobiegła na dół schodami, żeby uniknąć wykładu, który miał niechybnie nastąpić. Czowała, jak paczuszka pali jej kieszenie. Odda skradzione kosmetyki i sprawa pójdzie w zapomnienie. Musiała pozbyć się wszystkiego, co miało związek z Cecilią, śmiercią, winą i strachem. Spódnicę, którą od niej pożyczyła, sweter zwrócony jej przez Cecilię w nie najlepszym stanie, płytę CD — wszystko to Amanda upchnęła do reklamówki i wyrzuciła do zsypu. Wszystkie prezenty świąteczne i urodzinowe, wszystkie, jak daleko sięgała pamięcią, powędrowały w to samo miejsce wraz z fotografiami. Najtrudniej było wyrzucić zdjęcie, na którym jako szczerbate siedmiolatki stały, obejmując się w kuchni na plebanii. Były wtedy przyjaciółkami od serca, a Amanda czuła się jak w siódmym niebie. Zakopały razem skarb w ogrodzie, rudy pukiel wraz z pasmem

blond włosów, szeptały sobie do ucha tajemnice, zaśmiewając się przy tym w ciemnozielonej, otoczonej bzami altanie. Kartki świąteczne i pocztówki z wakacji zostały porwane, a maile Cecilii wykasowane. Nie istniała już. Nigdy nie istniała. Amanda przeczytała ostatnie linijki maili wysłanych przez przyjaciółkę, by następnie przenieść je do kosza i pozwolić, by zginęły w jego otchłani. „Cześć, Amanda. Jeśli włożysz jeszcze raz tę frajerską błękitną kurtkę do szkoły, nie będę się z tobą zadawała. A skórzane kozaki — czy ty wiesz, jak beznadziejnie w nich wyglądasz? Następnym razem przyjdiesz może ubrana w kombinizon z szelkami. Co za wstyd. Zacznij, do cholery, żyć! Jak będziesz miała jakąś kasę, możemy iść po szkole na miasto. Przekaż Larssonowi, że idę na pierwszej lekcji do pielęgniarki. Cissi”. To było w poniedziałek. Ostatniego dnia, który spędziły razem.

Amanda owinęła się szczelniej kurtką, zasunęła suwak pod samą szyję i naciągnęła czapkę aż na brwi. Yourlove napisał, że ma zostawić skradzione kosmetyki w budce na plaży. Chwilę zajmie jej przedostanie się na drugą stronę lasu. Jednakże jeśli pójdzie drogą, ktoś może ją zobaczyć i zastanawiać się, dokąd idzie. Wtedy będzie zmuszona wyznać tę haniebną prawdę, przyznać się do tego, co zrobiła. Kradzież będzie zgłoszona policji — tak napisano na tabliczce w dziale kosmetycznym. Cecilia powiedziała, że jeśli nieletniego winowajcę zgarnie policja, to może on wylądować w domu dziecka, daleko u obcych ludzi. Amanda nie chciała o tym rozmawiać, ale Cecilia wałkowała to całymi godzinami, rozkoszując się jej męką. Gdyby Cecilia ją teraz widziała, na pewno straszylaby ją opowieściami o mordercach i gwałcicielach.

Amanda wyjęła latarkę i ją zapaliła. Trudno było dostrzec ścieżkę w mroku lasu. Płaty wilgotnego śniegu przygniatały gałęzie świerków. Podskoczyła przerażona na dźwięk spadającej śnieżnej czapy. Żeby to się wreszcie skończyło, tylko odda skradzione rzeczy i nigdy więcej nie zrobi niczego równie głupiego. Nigdy! Przez chwilę wydało jej się, że zobaczyła coś w oddali. Zatrzymała się i powiodła światłem latarki w górę i w dół po widocznej w oddali postaci. Puls dudnił jej w uszach, a powietrze zatrzymało się w płucach. Nie, to tylko wiatrołom. Gdyby wiedziała, jak bardzo będzie się bała tych wszystkich strasznych cieni, poszłaby drogą niezależnie od ryzyka, że ktoś ją zobaczy. Mogła oczywiście pożyczyć jedną z kurtek matki i nikt by jej nie rozpoznał, ale było już za późno.

W ciemności, gdy widzi się przed sobą tylko oświetlony punkt, można mieć poczucie, że ktoś ciągle czai się za plecami. Amanda była widoczna z daleka, podczas gdy ona

sama mogła widzieć tylko to, co miała przed sobą na odległość promienia latarki. Wyłączyła więc ją i poczekała, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności. Jeśli oprócz niej był tu ktoś jeszcze, nie pozwoli się zaskoczyć. Słabe światło księżyca wystarczyło, aby wypatrzyła wydeptany przez ludzi szlak, gdzie roztopiony śnieg odsłonił brązową ziemię. Las przerzedzał się z każdym krokiem i ciemność się rozjaśniła, przechodząc w ciemnoszary mrok.

W oddali usłyszała szum morza i poczuła na twarzy lodowaty wiatr. Tam na dole, przy domkach stała budka. Ktoś ogrodził teren taśmą. Na asfaltowej drodze stał zaparkowany samochód. Radiowóz. Amanda stanęła jak wryta. Policja na nią czekała. Z oddali dobiegło ją szczekanie psa. Odwróciła się i pobiegła z powrotem w stronę lasu. Przyjechali po nią i wysłali do domu dziecka. „Mamo, pomocy! Jeśli tylko pozwolą mi zostać w domu, nigdy więcej nie będę mówiła tych okropnych rzeczy o twoich facetach”. Amanda potykała się o konary i korzenie, uderzyła się w kolano, aż zdrętwiało, jednak biegła dalej, oddalając się coraz bardziej od odgłosów szczekania i widoku radiowozu. Kiedy nie mogła już złapać tchu i musiała się w końcu zatrzymać, obejrzała się. Czuła w uszach dudnienie własnego oddechu i nie była w stanie usłyszeć, czy ktoś się zbliża. Łzy przerażenia i osamotnienia piekły pod powiekami. Musi zwrócić paczkę, zanim zabierze ją policja. Dotknęła kieszeni, sprawdzając, czy zostały jej jakieś pieniądze. Wyczuła banknot. Mogło to być dwadzieścia koron, pięciokoronówka i dwie jednokoronówki. Jeśli zdąży na ostatni autobus do miasta, wróci do domu stopem, jak tylko odda paczkę. Była tak niewielka, że zdoła wsunąć ją do skrzynki na listy przy sklepie. Jeśli tylko zdąży na przystanek. „Dobry Boże, spraw, aby autobus miał opóźnienie”.

Później wieczorem, kiedy Amanda otworzyła puszkę coli i włączyła komputer, życie jawiło się jej w dużo jaśniejszych barwach. Było jej tak lekko na sercu, że nie złościła się już nawet na matkę, która nie wróciła jeszcze do domu. Niech sobie nie wraca i szlaja się z tym Jesperem całą noc. Rozdarła torebkę chipsów, wzięła do ust całą ich garść i zaczęła powoli przeżuwać. Należało jej się. Misja została wykonana. Autobus nadjechał na przystanek w tej samej chwili, w której Amanda dobiegła do słupa z tabliczką. Zamachała latarką i się zatrzymała. Kiedy przyjechała do miasta, przy butiku Yourlove nie było żadnych ludzi, a w drodze do domu złapała na stopa ciężarówkę, która jechała w kierunku Söderhamn. Za kierownicą siedział wielki, gruby facet z krzaczastymi brwiami i bujnymi bokobrodami. Był nieco szorstki, ale na swój sposób sympatyczny.

— Gdybyś była moją córką, spuściłbym ci lanie — mruknął, sprawdzając jednocześnie, czy zapięła porządnie pas. — Nie rozumiesz, że to niebezpieczne jeździć stopem z obcy-  
mi ludźmi?

Później poczęstował ją kanapką z ciepłą kielbasą i przez całą drogę powrotną do jej miejscowości puszczał piosenki Dolly Parton. *Jolene* zagrał chyba z siedem razy, ponieważ Amanda uważała ją za superfajną. *Jolene, please don't ever take my man, please don't take him just because you can*<sup>7</sup>. Zupełnie tak jak Cecilia zrobiła z Tomem. Do oczu Amandy napłynęły łzy, gdy o tym myślała, śpiewając na całe gardło. Facet również śpiewał fragmenty, które znał, zjadając słowa i raz po raz biorąc haust coli, którą chłodził na pod-  
stawce za oknem. Opanowani gorzko-słodkimi uczuciami w drodze przez ciemną noc, czuli się, jakby znaleźli się na planie filmowym. *Roadmovie — reallife*<sup>8</sup>.

— Martwię się o ciebie, więc musisz mi obiecać, że nigdy więcej nie będziesz jeździła stopem. — I podali sobie ręce.

Teraz wystarczyło tylko, że doniesie Yourlove, że oddała skradzione przedmioty i cała ta straszna historia się skończy.

Amanda upiła łyk coli i zalogowała się. Yourlove był online. Lampka migiała. Poczuła, jak w jednej sekundzie jej dłonie zaczynają lepić się od potu. Czy był zły, ponieważ nie przysłała do budki? „Zostawiłam rzeczy w sklepie. Jesteśmy kwita” — napisała i czekała na odpowiedź.

„Wiedziałem, że jesteś młodą damą, na którą można liczyć. Wszyscy popełniamy cza-  
sem głupstwa, ale zazwyczaj wszystko się układa, jeśli tylko ma się dobrą wolę. Zapomnij-  
my o tym, co było. Ponieważ wiem, że jesteś dziewczyną z klasą, chcę złożyć ci pewną  
propozycję. Widziałem twoje zdjęcie i myślę, że masz dużą szansę na zostanie modelką  
naszej nowej serii kosmetycznej, przeznaczonej dla nastolatek. Jesteś piękną, młodą ko-  
bietą, Amando. Na razie nie mogę ci nic obiecać, ale nasz fotograf chciałby zrobić ci kilka  
zdjęć. Możesz być ubrana w cokolwiek zechcesz. Makijażystka umaluje cię naszymi pro-  
duktami. Możesz oczywiście zatrzymać sobie kosmetyki po skończonej sesji. Nawet jeśli  
nic nie wyjdzie z pracy w modelingu, mogę najprawdopodobniej załatwić ci pracę na waka-  
cje. Co ty na to?”

---

7 Jolene... (ang.) — Ach, Jolene, proszę nie zabieraj mojego faceta. Nie rób tego tylko dlatego, że potrafiłabyś (przyp. red.).

8 Roadmovie — reallife (ang.) — Film drogi — prawdziwe życie (przyp. red.).

„Mogę przyjść do sklepu jutro po szkole” — wystukały palce Amandy, a ona poczuła, jak jej klatka piersiowa wypełnia się motylami, które wylatują na zewnątrz, tańczą, wirują i wyfruwają przez okno jak fajerwerki kolorów i śmiechów.

„OK. Tylko spokojnie, dam znać na temat miejsca oraz wolnych terminów naszego fotografa. Mam też do ciebie prośbę: zachowaj to, proszę, w tajemnicy, do czasu gdy zdecydujemy, że to ty zostaniesz Miss Amandą Yourlove. Jeśli o tym, że szukamy nowej twarzy, dowiedzą się inni, nasz telefon zacznie się urywać. Chyba to rozumiesz? Niech to zostanie zatem między nami, dobrze?”.

„Jasne. Obiecuję”.

Amanda w podskokach dotarła do lustra. W takiej chwili nie mogła wysiedzieć przed komputerem. Oczywiście, że nie piśnie słówka. Jeszcze nie zwariowała. Im mniejszą będzie miała konkurencję, tym większą szansę na zostanie modelką. Wkrótce wszyscy przekonają się o tym, że nie tylko Cecilia potrafiła błyszczeć. Tom jeszcze pożałuje, gorzko pożałuje. Będzie siedział na swoim łóżku i wzdychał, ale wtedy będzie już za późno. Może, bo przecież nie musi się od razu podejmować decyzji co do tej sesji. Teraz, kiedy przyjrzała się sobie bliżej w lustrze, potrafiła dostrzec piękno, o którym mówił Yourlove. Jej cera była gładka i miękka, a wargi miały dokładnie taki kształt jak te w reklamach szminek. Nazywano je strzałą Amora, tak powiedziała Cecilia. Amanda obrysowała palcem wskazującym ich kontur i uśmiechnęła się sama do siebie. Jeśli zostanie modelką, kupią jej pewnie piękne ubrania, a jakaś zdolna fryzjerka zrobi jej fryzurę i przyczepi sztuczne włosy, tak że staną się tak długie jak Cecilii. A mama nigdy więcej nie powie, że brakuje im pieniędzy, i dostanie tyle szminek, ile tylko zapragnie. Amanda weszła znowu do sieci, aby zobaczyć, czy już przemyślał sprawę i czy umówią się na zdjęcia. Ale nie było żadnych nowych wiadomości.

— Amanda, kochanie. Nie śpisz?

— Kocham cię, mamo! — Dziewczyna tanecznym krokiem wpadła w objęcia matki i przytuliła się do niej mocno.

— Wiem, nawet jeśli czasem się kłócimy, to w głębi serca bardzo się kochamy.

— W głębi serca jesteś moją ukochaną mamą. Jesteś nawet całkiem ładna, a ja jestem do ciebie podobna.

— Ojej, cóż za komplement. Nie jadłaś kolacji, Amando?

— Jadłam. Kielbasę.

— Kielbasę? Skąd wzięłaś kielbasę?

— Nie, tylko żartuję.

— Posłuchaj, nie chcę, żebyś żyła tylko chipsami i colą. Nawet nie tknęłaś naleśnika, który dla ciebie usmażyłam. Z czego się śmiejesz?

— Po prostu jestem szczęśliwa!

**28**

Maria otworzyła bagażnik i wyciągnęła karton napojów, dwie reklamówki wypełnione jedzeniem oraz plecak. Erika Lund twierdziła, że kobiety mają dłuższe ręce niż mężczyźni. Jeśli się dokładnie przyjrzeć, to są one proporcjonalnie o kilka procent dłuższe. W tej chwili Maria była skłonna zaakceptować tę teorię. Może ręce wydłużają się o kilka milimetrów z każdą niesioną torbą, albo może spowodowane jest to tym, że kolana coraz bardziej uginają się od kolejnych ciężarów.

Zdezelowany, zdobiony licznymi malowidłami van stał zaparkowany na podwórku. Pozostawił za sobą głęboki ślad hamowania na żwirze. Zły omen. W kuchni paliło się światło. Już na schodach słyszała jego buczący głos, którego nie można było pomylić z żadnym innym. Manfred Majonez Magnusson — przyjaciel, którego Krister adoptował w trudnych chwilach życia i który stał się jego powiernikiem. Ostatnio na szczęście zniknął z ich życia, ale teraz siedział rozparty na krześle przy stole w kuchni. Między rozczochraną czupryną ciemnych loków a bujnym zarostem błyskała para zaczerwienionych oczu.

— Mario, musisz mi pomóc.

Maria postawiła balast w drzwiach i opadła z sił.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Magnusie?

— Niech mnie cholera weźmie, ale ta policja to chyba zwariowała, wiesz? — Podczas gdy Maria zastanawiała się nad jego pytaniem, Majonez wydał z siebie ponownie buczący dźwięk i wydmuchał nos w niezbyt czystą chusteczkę, którą wyjął z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki.

— Czy wydarzyło się coś szczególnego? — Pytanie było zbędne. Najwyraźniej to się właśnie stało. W tym hałasie dzieci na pewno nie mogły zasnąć. Kątem oka Maria zobaczyła Lindę i Emila siedzących przy komputerze i nawet nieprzebranych jeszcze w piżamy.



— Oni myślą, że jestem pedofilem, takim brzydkim panem. Musisz im to wytłumaczyć, Mario. — Majonez ujął dłoń Marii. Dramatycznym gestem przyłożył ją do swojej piersi, wydał z siebie kolejny zbolaty krzyk i opadł bezwładnie na stół. Maria popatrzyła pytająco na Kristera.

— Zaniósł swój komputer do naprawy w zeszłym tygodniu i miał go dziś odebrać. Okazało się, że został skonfiskowany przez policję. Informatyk odkrył dziecięcą pornografię na dysku. — Maria nabrała powietrza i przeciągle westchnęła, zerknęła ponownie na dzieci i zamknęła drzwi do kuchni.

— Jak mnie wsadzą do więzienia, to będę miał przynajmniej gdzie mieszkać. Teraz nie mam. — Majonez spojrział błagalnym wzrokiem na Kristera. Ten zwrócił się ostrożnie ku Marii i zadrżał pod jej świdrującym spojrzeniem.

— Nie ma gdzie mieszkać. — Uściślił nieprzekonująco.

— Jonna znów mnie wyrzuciła. Już raz groziła mi, że mnie wyrzuci, jak oglądałem w Internecie panienki, przecież jestem tylko człowiekiem, do cholery. Kocham kobiety, drobne, pulchne blondynki z dużymi zderzakami, ale nie dzieci. Nigdy w życiu bym czegoś takiego nie oglądał. To jest przecież, kurna, chore! Trzeba kastrować takich sukinsynów. Czy mogę tu zamieszkać, dopóki Jonna nie pozwoli mi wrócić do domu? Mogę spać na kanapie w salonie.

Maria ciężko opadła na krzesło. Ręce zwisały jej bezwładnie po bokach. Wzięła głęboki wdech.

— Nie możesz u nas zamieszkać, Manfredzie. Będę się zajmowała dochodzeniem w tej sprawie. Mogę ci to powiedzieć, ponieważ się znamy. — Majonez wydał z siebie westchnienie ulgi i uśmiechnął się spomiędzy brody.

— Ale fart, jaki cholerny fart! W takim razie załatwisz to. Kocham twoją żonę, Krister.

— Nie, mój drogi, organa prawne tak nie funkcjonują. Intuicja podpowiada mi, że nie jesteś winny...

— Dziękuję. Ten komplement jest dla mnie jak kopniak w tyłek.

— Nie możesz tu mieszkać. To po prostu nie jest możliwe. Musimy to jakoś inaczej rozwiązać. Krister, zadzwoń do mamy i spytaj, czy ma jakieś wolne łóżko. — Krister uśmiechnął się niepewnie, podnosząc słuchawkę.

— Zemsta jest słodka, prawda? — szepnął jej do ucha.

— Kto powiedział, że nie będzie im się razem dobrze mieszkało — wymamrotała Maria. — On potrzebuje matczynej opieki, a ona potrzebuje obiektu. To może zadziałać.

Kiedy van Majoneza zniknął, podskakując w chmurze dymu, a Krister zagonił świeżo wykąpane dzieci do łóżek, poczuł, jak w jego piersi rodzi się niepokój. Jak rozmawiać ze swoimi dziećmi o niebezpieczeństwach, jakie niesie życie, jednocześnie nie zniechęcając do niego? Poprzednia próba rozmowy o brzydkich panach okazała się całkowitym fiaskiem.

— Możesz mi jakiegoś pokazać? — spytała Linda i wtedy Krister odpuścił.

— Popatrz na tamtego, ten brzydki, brzydki... — jak to się mówi?

— Obiecuj mi, że nigdy nie pójdziesz z obcymi ludźmi bez zapytania o zgodę mnie, mamy albo pań w przedszkolu. Nigdy, nawet jeśli będzie wabił cię słodyczami albo małymi kotkami.

— A dlaczego? — Linda patrzyła na ojca okrągłymi oczami.

— Pamiętasz tę książkę, którą ci pokazywałem, o tym, skąd się biorą dzidziusie? Są tacy brzydzy panowie, którzy chcą to robić z dziećmi.

— Dzidziusie są słodkie. — Linda wzięła swoją lalkę i huštała ją w objęciach. Krister poddał się. Przytulał Lindę długo, zmagając się ze swoją niemocą, a później poszedł do Marii do kuchni.

— Czy jest sens ostrzegać dzieci przed brzydkimi panami, jeśli większość nadużyć popełniana jest przez znajome dziecku osoby? Obcy człowiek nie podejdzie tak blisko bez użycia przemocy. Myślę, że to ważne, aby uczyć dzieci, że mają prawo do swojego ciała. Prawo powiedzenia „nie”. I pokazać im, że mogą porozmawiać z tobą o wszystkim. — Maria zapaliła świeczkę i wyłączyła górne oświetlenie. — Poza tym na dziesięciu tych brzydkich panów przypada jedna kobieta, ale to jest już temat tabu. To wywraca cały porządek świata do góry nogami. Święta rodzicielka nie może być zła.

— Wiesz co, dziś nie kąpałem się z Lindą. Może jest już na to za duża. — Krister nalał glögga sobie i żonie. Kolacja wciąż stała na stole. Nożyk do masła wyglądał jak nurkujący ptak, a kanapka Lindy leżała rozkruszona.

— Ojciec musi mieć prawo do kąpieli ze swoim dzieckiem, do całowania go i do sprawdzania mu temperatury, nie czując się potencjalnym podejrzanym. W przypadkach kazi-rodztwa, z którymi miałam do czynienia, sprawca zazwyczaj unikał cielesnego kontaktu z dzieckiem, gdy ktoś na nich patrzył. Częściowo po to, aby dziecko nie ujawniło, co mają w zwyczaju robić razem, a częściowo po to, aby nie zdradzić się ze swoim widocznym podnieceniem, jeśli dziecko usiądzie mu na kolanach albo zacznie się do niego tulić. Dzieci potrzebują naturalnego kontaktu ze swoimi ojcami.

Komisarz Hartman puścił w obieg półmisek z pierniczkami i szafranowymi bułeczkami.

— Rozumiem twoje położenie, Mario. Oczywiście, że nie możesz podjąć się tej sprawy, skoro Manfred Majonez Magnusson jest twoim znajomym. Arvidsson skontaktował się z informatykiem, który przyjedzie tu po południu. Ek przejmie sprawę. Lepiej będzie, jeśli skoncentrujesz się na dochodzeniu w sprawie morderstwa. Wyglądasz na całkowicie wykończonego Ek, jak tam?

Jesper Ek napełnił swoją filiżankę do pełna co najmniej już po raz trzeci i próbował wyostrzyć swoje spojrzenie. Uśmiechnął się, ale policzki nie chciały poddać się uśmiechowi.

— Ma nową flamę — powiadomiła kolegów Erika Lund. — Nocne życie musi staruszka wykańczać.

— Bzdura — odgryzł się Ek i usadowił wygodnie na kanapie. — To dzienne życie jest najgorsze. Dlaczego kobiety od razu chcą, aby towarzyszyć im podczas przymierzania ciuchów? Nieważne, czy mają powód do świętowania, czy też są przygnębione, zawsze muszą przymierzać ubrania. Jeden sklep za drugim, a ty stoisz przed przebieralnią z naręczem ubrań, które będą przymierzać lub też już przymierzyły. I jeszcze trzeba się wypowiedzieć o każdej szmacie, czerwonym swetrze i spódnicy w brązową kratę, aż ręce drętwieją, a oczy bolą od nadmiaru bodźców. A później, jak już weszło się do każdego sklepu z ciuchami w całym mieście i myśli się, że już po wszystkim, ona wraca znowu do pierwszego, aby zobaczyć, czy ten czerwony sweter pasuje do brązowej spódnicy w kratę. I tam

również oczekuje od ciebie, abys wyraził swoją opinię. Czytałem w gazecie artykuł o zakupach świątecznych. Bardzo aktualny. Naukowcy mierzyli ciśnienie mężczyznom, którzy wchodzili do domów towarowych w czasie gorączki świątecznej, i stwierdzili, że ciśnienie wzrosło do poziomu, jaki bojownicy powietrzni mieli w czasie przeprowadzania ataku. Całkowicie patologiczna wartość dla człowieka w czasach pokoju. Narażam swoje zdrowie dla jej dobra.

— A dlaczego to robisz? — Hartman przymrużył oko.

— Ponieważ pewnie ją kocham. — Erik wyglądał na naprawdę zasmuconego. — „Myślisz, że wyglądam grubo? Czy ta sukienka pasuje, czy może powinnam wziąć tę niebieską? Może jest trochę zbyt droga, ale lepiej leży na biodrach i biuście. Myślisz, że mam za mały biust, czy wyglądam w tym grubo? Powiedz szczerze”. I właśnie kiedy chcesz powiedzieć, żeby wzięła tę niebieską, ponieważ pragniesz gorąco, aby to się wreszcie skończyło, postanawia wejść do kolejnego sklepu i przymierzyć tę czerwoną sukienkę po raz ostatni, tak na wszelki wypadek.

— Myślałam, że znasz się na kobietach, Ek. — Hartman roześmiał się perliście, a Ek wyglądał co najmniej na zaskoczonego. Jesper Ek miałby nie znać się na kobietach? A czy ryby potrafią pływać?

— Co masz na myśli? Nie chodzisz nigdy do sklepów z Marianne?

— Nie, teraz już nie. Nie po tym, kiedy wpadłem na to, o co właściwie mnie pyta, przymierzając cały asortyment sukienek w mieście. „Czy dobrze w tym wyglądam?” oznacza w języku kobiet: „Czy mnie kochasz?”. Więc patrzyłem jej prosto w oczy i mówiłem tak czule, jak tylko potrafiłem: „Tak, Marianne. Kocham cię”. I to jej wystarczyło. Nic więcej nie było jej potrzeba.

— Nie wierzę. — Jesper Ek odwrócił się do Marii z nadzieją, że zdementuje niedorzeczne stwierdzenie Hartmana.

— Tak. Chyba to prawda. Jeśli potrzebuję ciuchowej porady, zwracam się do Karin.

— Ja też zasięgam opinii moich przyjaciółek — przyznała Erika. — Gdyby wprowadzili prawo o tymczasowym zatrzymaniu za analizę kolorystyczną, wylądowałbyś na przymusowym leczeniu. Ja bym się ciebie nie pytała, Jesper.

— A więc ciąga mnie godzinami po mieście, tylko po to, by dowiedzieć się, że ją Kocham, tak myślisz? Na widok sceptycznej miny Jespera Hartman się uśmiechnął i podsumował:

— To ważne pytanie. Dla niej te słowa bardzo wiele znaczą, przemyśl to. Przypuszczalnie cały przemysł tekstylny upadłby, gdyby wszyscy ludzie na to wpadli. A gdybyś chciał później dostać paragon jako dowód na to, że twoje wyznanie do niej trafiło, wystarczy, że zajrzysz do swojego pudełka z lunchem. Królewski stek w sosie śmietanowym, galaretką, marynowany ogórek i dżem cebulowy w uroczych słoiczkach wraz z deserem oznaczają szczęście i harmonię życia domowego. Sklejony makaron z poprzedniego tygodnia i przypalona kielbasa — popatrz w przyszłość, a zobaczysz weekend spędzony na mieście między jednym sklepem a drugim. Choć może przygotowujesz sobie lunch sam? Chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć?

Jesper podrapał się w nogę, zbierając się na odwagę. Odstawił kubek z kawą i odchrząknął:

— Jak zyskać sobie akceptację nastolatki, która zdecydowała się cię znienawidzić?

— Masz na myśli Amandę Myrbacke? — Maria przechyliła głowę, popatrzyła na niego zadziornie i upiła łyk kawy.

— Skąd wiedziałaś?

— Sprzątaczką zdała mi wczoraj sprawozdanie. Kwestionowała słuszność twojego udziału w śledztwie, skoro nie jesteś bezstronny. Może powinniśmy zrobić honorową zamianę ze względu na twoją stronniczość. Zajmiesz się komputerem Manfreda Magnussona, a ja przesłucham wychowawcę klasy Cecilii Ståhl oraz Amandę.

— Masz na myśli tego, którego nazywają Majonezem? Był tu dziś rano i rozmawiał z Arvidssonem. Pijany jak bela. Próbował przekupić stróża prawa starym vanem i rundką po barach, jeśli tylko dadzą mu dach nad głową, celę w izbie wytrzeźwień albo cokolwiek, do cholery. Kiedy Arvidsson odmówił, kopnął w radiowóz i jakby tego było mało, próbował również kopnąć Arvidssona w pischel. W nocy najwyraźniej nocował u jakiejś starszej pani, która zaprasowała kanty na jego dzinsach i zabroniła mu oglądać w telewizji zapasy, ponieważ kolidowały z festiwalem Allsång w skansenie.

## 29

Z długimi, opadającymi na ramiona włosami, ubrany w dżinsowe dzwony i czerwonioliową batikową tunikę, Pontus Larsson wyglądał jak zahibernowany hipis, gdy siedział i palił fajkę przy otwartym oknie w ciasnym boksie, który pełnił funkcję jego gabinetu. Maria nie zdjęła kurtki. Odczekała, aż mężczyzna strząśnie popiół z fajki do popielniczki, miniaturowej czaszki.

— To prezent od mojej żony, mojej byłej żony. Nie lubiła, gdy palę.

— Jaka troskliwość.

— Tak, wiele rzeczy zaczyna się rozumieć dopiero po fakcie. — Pontus zrobił gest w stronę Marii, prosząc, by usiadła, i zamknął okno. Na dziedzińcu stały trzęsące się z zimna gromadki dzieci, którym szaruga popsowała zabawę. Maria dostrzegła Emila. Stał między dziewczynkami, bez czapki, kreśląc rękami w powietrzu duży kwadrat i machając jednocześnie głową w ten sam sposób co Krister, kiedy próbował coś wytłumaczyć i czekał na aplauz. Dziewczynki się śmiały.

— To prawda — powiedziała Maria. — Potrzeba czasu, żeby zdać sobie sprawę z niektórych rzeczy.

— Chodziło przede wszystkim o komputer, który zabierał mi masę czasu. Nie wierzyłem, że mówiła poważnie o rozwodzie. Czasami, gdy były u niej przyjaciółki, potrafiła mówić tak głośno, że słyszałem: „Popatrzcie na niego, jak siedzi przy tym komputerze. To jego nowa kochanka. Zagarnia go całkowicie, jego czas, uwagę i pieniądze, podczas gdy ja chodzę wokół niego jak służąca i gotuję dla pana, zmywam i sprzątam”. — Pontus wyjrzał przez okno. — Myślałem, że żartuje, więc ripostowałem: „Przecież to twoje hobby”. Zła odpowiedź. Nie powinienem był tak nigdy powiedzieć. Nawet pomyśleć. Ale słowa padły, co się stało, to się nie odstanie. Spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się. Nie wiem,

dlaczego pani to opowiadam. Mieliśmy rozmawiać o Cecylii. Proszę mi wybaczyć te osobiste wynurzenia. To, co się stało z Cecilią, jest niepojęte.

— Rozmowa o czymś tak strasznym nigdy nie jest łatwa, proszę się nie spieszyć. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Czy może pan opowiedzieć, jaką uczennicą była Cecilia? — Maria rozpięła kurtkę i oparła się na krzesło.

Pontus przyglądał bujne brązowe włosy za uszami i wziął głęboki wdech.

— Cecilia Ståhl miała złożoną osobowość. Była pewna siebie i arogancka, gdy w pobliżu znajdowali się jej koledzy, ale tak naprawdę była skryta. Chodziła czasem do pielęgniarki szkolnej. Myślę, że miały dobry kontakt. Mam nadzieję, że tak było. Naprawdę potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć. Przed dwoma tygodniami napisała wypracowanie. Przeraziło mnie ono. — Pontus zakręcił fajką na stole przed sobą i zamilkł na chwilę. Zbierał myśli.

— Czy mogę je przeczytać? — Maria popatrzyła mu poważnie w oczy. Zauważyła, że się waha, zanim skinął w odpowiedzi. Odchylił się i wyciągnął rękę po teczkę, z której wyjął kilka odbitych na ksero arkuszy. Na początku litery były małe i rozstrzelone oraz pochylone w lewo. Na ostatniej stronie stały się wyraźnie większe i okrągłejsze. Maria czytała w ciszy, czując narastający smutek. Deklaracja pragnienia śmierci napisana przez czternastoletnią dziewczynkę. Konkretnie dziecięce myśli o niebie, przechodzące stopniowo w abstrakcyjne wywody dorosłej kobiety.

„Może śmierć jest czymś najwspanialszym, co może nas spotkać? Przestać czuć, przestać myśleć, przestać snić o tym, że spadasz w przepaść bez dna. Uciec tam, gdzie nie ma myśli. Gdybym miała odwagę zaufać Nicości, rozciąłabym głęboką ranę. Czy piekło istnieje? Tata mówi, że niebo i ziemia to kwestia konfrontacji z samym sobą i tym, co się uczyniło. Spotkanie oko w oko z własnymi uczynkami. Nikt nie ucieknie przed spotkaniem z samym sobą. To jest piekło. Albo niebo. Jak mam wierzyć w przebaczenie, jeśli on sam w nie nie wierzy, on, który powinien wiedzieć najlepiej? Jeśli nigdy nie przestaje się oskarżać i obwiniać?”.

Maria przeczytała ostatnie zdanie jeszcze raz i popatrzyła Pontusowi w oczy.

— Gdybym skontaktował się w porę ze szkolnym psychologiem, być może jeszcze by żyła — powiedział. — Powinienem być porozmawiać z jej ojcem, ale czułem, jakby to wyznanie miało pozostać objęte tajemnicą. Nigdy nie pomyślałbym, że rzuci się pod pociąg.

Maria rozważała, czy opowiedzieć o podejrzeniu morderstwa, ale zdecydowała się jeszcze z tym wstrzymać.

— Czy może pan opowiedzieć, co pan pamięta z wieczoru filmowego? Proszę się nie spieszyć, wszystko jest ważne.

Pontus zaczął nieskładnie opowiadać o tym ostatnim wieczorze. Od czasu do czasu padało ciche pytanie.

— Czy widział pan, co się stało z fletem, kiedy już włożyła kurtkę?

— Wyjęła go z kieszeni kurtki. — Pontus wpatrywał się w półkę wiszącą na ścianie za plecami Marii, jakby widział tam bieg zdarzeń w obrazach.

— Jest pan pewien? Nie zostawiła go przypadkiem w szkole, w toalecie, w auli albo na zewnątrz przy wejściu? Czy w szkole jest jakieś miejsce, gdzie przechowuje się zagubione rzeczy?

— Mocowała się z suwakiem, upuściła plecak, włożyła do niego flet i jeszcze raz upuściła plecak. Wtedy zacząłem się zastanawiać, czy wszystko z nią jest w porządku. Podszedłem bliżej i wyczułem zapach alkoholu. Zaproponowałem, że podwiozę ją do domu, pytałem kilka razy, ale nie mogłem przecież zmusić jej, żeby wsiadła do samochodu. Choć teraz żałuję, że tego nie zrobiłem. Uciekła, pobiegła do lasu. Pomyślałem sobie, że powinienem poruszyć kwestię alkoholu przy okazji kolejnej wywiadówki. Zostało do niej kilka dni, a ja potrzebowałem czasu, żeby zastanowić się, jak przedstawić problem pastorowi. Jak skłonić go, żeby podszedł do tej sprawy poważnie. Miał bardzo wysokie mniemanie o swojej córce.

— A co pan zrobił po odjeździe ze szkolnego parkingu? — pytała dalej Maria.

Pontus na ułamek sekundy odwrócił wzrok i potarł dłonią oczy. Potem z wysiłkiem spojrzał na Marię.

— Pojechałem do domu. Zatankowałem samochód i pojechałem do domu.

— A później...? — Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.



— Co później?

— Co pan robił przez resztę wieczoru i noc?

— Poszedłem spać. — Pontus mówił szybko i cicho.

— U siebie w domu? — Maria pochyliła się do przodu, aby nie próbował wymigać się od odpowiedzi. Dłoń Pontusa spoczywająca na rączce fajki drżała lekko. — Proszę powiedzieć prawdę. Tak jest zwykle najłatwiej.

— Nie jest. Miałem nadzieję, że nie zada pani tego pytania. Moja żona, moja była żona... znowu zaczęliśmy się spotykać. Na próbę. Jeśli dowie się, że... nie spałem u siebie, pewnie nie będzie już chciała. Pomyśli, że znowu ją zawiodłem, choć to dużo bardziej skomplikowane. Nigdy by tego nie zrozumiała. Właściwie to uważam, że to nie pani sprawa, gdzie spałem.

— Przypuszczamy, że Cecilia nie popełniła samobójstwa. Wiele wskazuje na to, że ktoś pozbawił ją życia. Powinien pan we własnym interesie opowiedzieć, gdzie pan był tej nocy. Czy rozumie pan powagę sytuacji?

— Została zamordowana? To niemożliwe! Nie wierzę w to! Jak coś takiego mogło się tutaj wydarzyć? — Mężczyzna stanął nagle na baczność. Maria poczuła, jak gwałtownie rośnie jej adrenalina. Zagoniony w róg szczur może nagle rzucić się do ataku. Siedziała tu teraz sama, w zamknięciu z mężczyzną, który jako ostatni widział Cecilie żywą.

— O nic pana nie oskarżam. Chcę tylko wiedzieć, gdzie był pan tamtej nocy.

— Czy moja żona musi się o tym dowiedzieć? — Pontus opadł ciężko na fotel obrotowy.

— Prawdopodobnie nie, ale nie mogę obiecać, że zostanie to objęte pełną tajemnicą. A więc jak było?

— Pojechałem prosto do Kristiny Henningsson i zostałem tam na noc.

— Kristiny Henningsson? Żony nauczyciela WF? — Marii trudno było ukryć zdziwienie.

Larsson nabrał powietrza i wydał z siebie potwierdzające westchnienie, unikając wzroku policjantki.

— Ile to już trwa?

— Co to, do cholery, za pytanie?

— Rozumiem, że może pan tak myśleć. Kiedy zaczął się wasz romans?

— Svante nic o tym nie wiedział. Przysięgam. To nie z tego powodu poszedł nad jezioro. Był jak żywy trup. Całkowita apatia. Nie jadł samodzielnie, nie kąpał się. Jak długo kobieta może żyć w celibacie, ponieważ jej mąż nie chce lub nie może? Przyszła do mnie, aby porozmawiać o tej sytuacji i o plotkach. Pocieszałem ją i to po prostu się zdarzyło. Żadne z nas właściwie tego nie chciało. Czy to takie dziwne, gdy spotykają się dwa wygłodniałe ciała? — Pontus oparł się i skrzyżował ręce na piersi.

— Pewnie nie. O której opuścił pan Kristinę?

— Pojechałem rano prosto do szkoły. Johannes stał przed klasą i czekał. Chciał sam opowiedzieć dzieciom o tym, co się wydarzyło. Nie rozumiem, jak zdołał to zrobić.

— Jeśli coś jeszcze się panu przypomni, proszę zadzwonić. — Maria wcisnęła kartkę ze swoim numerem w jego wilgotną dłoń. Pożegnali się kilkoma zwyczajowymi zwrotami.

Pontus został przy oknie i obserwował, jak Maria idzie wolnym krokiem przez dziedzińiec w stronę głównego budynku i znika w szarej mgle. Powoli napełnił fajkę i ponownie ją zapalił. Ssał powoli jak niemowlę, czekając, aż impuls zadowolenia dotrze do mózgu. Pulsujący ból głowy promieniował na kość czołową i kark. Drżał na całym ciele. Zostało jeszcze chyba wiele do powiedzenia.

Po separacji wszystko trafił szlag. Jeśli Kristina była pomyłką, to Pia była katastrofą. Między jej udami czuł się jak w potrzasku. Gdyby nie było mu jej tak bardzo szkoda, kiedy obnażała przed nim swoją marną osobę, nigdy by się to nie wydarzyło. Po rozwodzie był tak samotny, tak silnie odczuwał pustkę i rozpacz. Miał do zaoferowania krótką chwilę bliskości i czułości, nic go to nie kosztowało. Tak sądził. Uczucie obrzydzenia sprawiało, że wzdrygał się na całym ciele, gdy stał przy oknie, patrząc na ciekący kaloryfer. Czekając, aż dozorca znajdzie czas, by go nareperować, powiesił na sznurku opakowanie po serku, aby woda nie ściekała na podłogę. Kropla za kroplą wpadały do pudełka. Jeszcze chwila i woda się przeleje. Symbol jego własnego życia w zawieszeniu.

Rok temu po, delikatnie rzecz ujmując, sowitym obiedzie w towarzystwie szkolnej pielęgniarki, ona zagadnęła o jego fantazje seksualne. Pytanie podnieciło go, niewątpliwie. Ile wina wypili? Butelkę? Dwie? Bezwstydnie i bez zahamowań ujawnił leżącą na łóżku Pii swoje tajemne fantazje o Cecilii Ståhl. Nie zastanawiając się, czy mogą ją zranić lub wy-

wołać obrzydzenie. Przyciskał twarz do opalonego, nagiego brzucha, pączkujących piersi i okrągłego tyłeczka, opiętego przez obcisłe dzinsy młodej kobiety. Wyobrażał sobie, jak Cecilia staje blisko niego, kokietuje go, wyciągając wolno z ust gumę do żucia i wydymając ku niemu pełne wargi gotowe do pocałunku. Ciepły zapach ogrzanej słońcem skóry wydobywał się spomiędzy jej piersi, kiedy się poruszała. W swoich fantazjach zabierał ją pod prysznic i namydłał. Opowiadał wszystko ze szczegółami. Czuł bezgraniczny wstyd na samo wspomnienie tego, co wtedy mówił. Cóż za samodestrukcja. Wyznanie czegoś takiego w obecności pielęgniarki szkolnej powinno być wystarczającym powodem do zakwalifikowania go na gruntowne badania psychiatryczne. Nazajutrz, na kacu, w bezlitosnym świetle wschodzącego słońca, snuł fantazje o bogu ducha winnym Henningssonie. Musiały znaleźć gdzieś swoje ujście. To właściwie Svante uważał, że Cecilia... i tak powstała intryga, która zacieśniła więzy między Pontusem a Pią. Czasami mógłby przysiąc, że go przejrzała, ale nie miał odwagi zaryzykować wypisania się z tej gry. Pragniesz dojrzałych i doświadczonych kobiet — udowodnij to. Robił zatem wszystko, co było w jego mocy. Suggestie Pii i zawołowane groźby wycieńczyły go, gdy wpadał w samonapędzający się mechanizm poczucia winy i zadośćuczynienia. Co powiedziała Cecilia? Z jak wielu rzeczy zwierzyła się pielęgniarce? Próbował dowiedzieć się tego od Pii i w odpowiedzi otrzymał bezsłowną wiadomość. „Jestem zobowiązana do zachowania tajemnicy, *but if you scratch my back I'll scratch yours*”<sup>9</sup>.

---

9 Angielskie powiedzenie, odpowiednik polskiego „przysługa za przysługę” (przyp. red.).

**30**

Ściana przed gabinetem dyrektora zdominowana była przez dużą pomalowaną na niebiesko tablicę ogłoszeń z portretami nauczycieli i reszty personelu szkolnego. Maria wędrowała wzrokiem po rzędkach twarzy i uśmiechów. Tylko jedno zdjęcie było czarno-białe: dyrektora. Wyróżniało się wielkością i wyglądało raczej jak fotografia jeszcze z czasów bierzmowania. Może to jakaś pamiątka? Maria zdążyła przyjrzeć się młodej, energicznej twarzy na chwilę przed tym, jak drzwi otworzyła znacznie starsza i nie tak pełna wigoru osoba ze zdjęcia. Zaczesane do tyłu włosy i okrągłe okulary wytrzymały jednak próbę czasu.

— Inspektor Maria Wern, jak przypuszczam. — Bertil Montelius przyglądał się jej bez cienia uśmiechu. — Proszę wejść.

Drzwi prowadziły do korytarza, gdzie w równych rzędach na ścianie wisiały ubrania nauczycieli. Na podłodze nie było butów, a półki nie zdobiły żadne szaliki czy rękawiczki. Gabinet dyrektora znajdował się po jednej stronie szatni, a pokój personelu po drugiej. Pachniało kawą, a z lokalu dobiegał przytłumiony szmer rozmów. Meble w gabinecie miały kolor tytoniu, były zniszczone i stare, prawdopodobnie służyły kolejnym dyrektorom od momentu powstania szkoły w 1952 roku. Poprzedni dyrektorzy prezentowali się chronologicznie w złotych ramach od lewa do prawa, z wyjątkiem siedzącego tam teraz Monteliusa, którego czas na tym stanowisku jeszcze się nie wypełnił. Gościnne krzesło stojące przy bardzo skromnym biurku z ciemnego, wypolerowanego na połysk dębu było wyjątkowo niskie. Maria usiadła na sofie. Montelius okrążył bezwiednie pokój i spoczął na samym krańcu fotela naprzeciwko. Poprawił krawat, strzepnął łupież z lewego ramienia i zaczął wnikliwie oglądać paznokcie, podczas gdy Maria wyjęła z torebki notatnik oraz długopis i dopełniła podstawowych formalności. Montelius bez zastanowienia odpowiadał na pytania. Jego odpowiedzi były krótkie i nieprzerywane żadnymi pauzami.

— Co pan myśli na temat tego, co się wydarzyło? — spytała Maria.

— Trudno być dyrektorem szkoły, gdy dochodzi to tego typu zdarzeń. Jak można ręczyć za bezpieczeństwo dzieci? Czy policja zamierza przedsięwziąć jakieś dodatkowe środki bezpieczeństwa? Jak oceniacie zagrożenie? Jeśli wkrótce kogoś nie złapiecie, rodzice zaczną przenosić dzieci do innych szkół w mieście, nawet jeśli będą musieli sami je podwozić. Czy macie już jakiegoś podejrzanego? Może lepiej byłoby ruszyć się z biurka i rozejrzeć w rzeczywistym świecie, zamiast siedzieć na tyłkach i tylko zgarniać pensję? Trzeba zrobić coś jak najszybciej.

Maria nie dała się sprowokować:

— To ważne, byśmy współpracowali. Wszystkie pana wspomnienia dotyczące Cecyllii są niezwykle istotne. — Pochyliła się, splótła dłonie wokół brody i czekała.

Dyrektor podciągnął trochę nogawki na udach sztywnych gabardynowych spodni w drobną kratkę i wyciągnął nogi pod stołem.

— Tak między nami mówiąc, to kiedy dziewczynki chodzą ubrane tak jak Cecilia Ståhl, to nic dziwnego, że dzieją się tego typu rzeczy. Jest różnica między dziewczynkami a dziewczynkami, jeśli rozumie pani, o czym mówię. — Dyrektor pokiwał głową, wygłaszając to stwierdzenie. — Została zgwałcona, prawda? W głowie mi się nie mieści, że pastor pozwalał jej ubierać się w ten sposób.

Maria usiadła prosto na kanapie.

— Nie uważam, żeby w tym względzie była jakakolwiek różnica między dziewczynkami a dziewczynkami. Gwałt jest gwałtem, bez względu na to, co ofiara ma na sobie, gdzie się znajduje albo czy jest pod wpływem narkotyków. „Nie” oznacza „nie”. Co do Cecyllii, to policja nie ma żadnych podstaw, aby stwierdzić, że była ofiarą przemocy seksualnej. To są wyłącznie pańskie spekulacje.

— Dziewicą raczej nie była. — Dyrektor wciąż potrząsał głową jak pies zabawką.

— Na czym opiera pan swój sąd?

— Zachowywała się w wyzywający sposób. Wcześniej mieliśmy tu nauczyciela WF. Svante Henningsson — nie wiem, czy zdążyła go pani poznać. Wyjątkowy nauczyciel, ani jednego dnia na zwolnieniu, dobrze przygotowany do lekcji, nigdy się nie spóźniał. Kompletnie zawróciła mu w głowie. Niełatwo być mężczyzną w dzisiejszych czasach.

— Co pan ma na myśli, mówiąc, że zawróciła mu w głowie?

— Chyba pani rozumie. Podała się mu na tacy, a on biedak był nieśmiały i nie potrafił się znaleźć w tej sytuacji. To coś, na co należy być przygotowanym, gdy jest się nauczycielem. Hormony uderzają dzieciakom do głowy, testują granice, sprawdzają, jaką mają siłę przyciągania. Zachowywała się tak wobec wszystkich. Większość ludzi potrafi sobie z tym radzić. Ale dla Svantego skończyło się to tragicznie. Całkowicie tragicznie. Krążyły plotki. Nigdy nie dowiedziałem się, skąd się wzięły.

— Czy rozmawiał pan o tym z Cecilią i Svantem? — spytała Maria.

— Svante był tutaj. Ucieliśmy sobie męską pogawędkę. Uważałem, że powinien wziąć się w garść. Wszyscy mężczyźni uczący WF muszą kiedyś zmierzyć się z podejrzeniem, że podglądają dziewczynki pod prysznicem. Wszystko zależy tylko od tego, jak sobie z tym radzą.

— Ale nie rozmawiał pan nigdy z Cecilią — stwierdziła Maria.

— Uznałem, że to nie jest konieczne. Wystarczy, że pielęgniarka zawracała mi głowę. W kółko psychologizują i w końcu dochodzą do wniosku, że każdy mężczyzna to potencjalny gwałciec. Nie ma nic gorszego niż niedouczeni albo domorośli psychologowie. Svante miał trochę do powiedzenia na temat pielęgniarki, ale nie słucham plotek.

Rozległo się ciche pukanie i w drzwiach ukazała się głowa Rut Villman.

— Telefon. Czy dyrektor chce odebrać w gabinecie?

— Nie, do cholery. Czy nie widzisz, że jestem zajęty? Dziś to pewnie już ze dwudziesty telefon od poruszonych rodziców. Chcą zwołać zebranie w tej sprawie. Wkrótce będą z nami rozmawiać w telewizji. Musiałem odłączyć własny telefon.

— Jest odłączony? — Marii trudno było ukryć oburzenie. — A kto odpowiada na pytania rodziców?

— Czy zaparzyć kawę? — zaproponowała Rut.

— Tak, dziękujemy. Wypijemy tutaj — zdecydował Montelius, nie czekając na zgodę Marii.

— Więc nigdy nie rozmawiał pan o tym z Cecilią?

— Nie, po co miałbym to robić? — Dyrektor wyraźnie zirytował się i naprężył. — Nie chcę zachęcać do rozpuszczania plotek. Im mniej uwagi się temu poświęci, tym szybciej to się skończy. Tak wynika z mojego doświadczenia.

Woźna wyszła, znikając za progiem z pustą tacą.

— Rune Villman pracuje tu jako woźny. — Maria zmieniła temat. — Długo już tu pracuje?

— Wiosną miną dwa lata. Latem zajmuje się zielenią, a zimą odśnieżaniem. Różną fizyczną pracą. Nie ma prawa jazdy, więc staramy się uważać, gdy używa odśnieżarki. Rut pilnuje go, kiedy jest tutaj i sprząta. Chłopak ma skłonności do zaniedbywania pracy i włóczenia się po wsi. Rut uważa, że nie powinien przepuszczać wszystkich swoich pieniędzy i przesiadywać w kawiarni. Nie, skoro w domu jest chleb. — Montelius uśmiechnął się, jakby uznał swoje stwierdzenie za zabawne. — Gdyby babka go nie pilnowała jak małego dziecka, może byłby z niego mężczyzna.

Maria z trudem ugryzła się w język. Nie chciała przerywać tej rozmowy. Jednak po kilku kolejnych odpowiedziach niewiele lub nic nie wnoszących do sprawy poddała się. Dyrektor zatrzasnął drzwi gabinetu tuż za jej plecami. W klasach naprzeciwko pokoju nauczycielskiego trwało przesłuchanie. Drzwi sali obok otworzyły się i na korytarz zaczął wylewać się strumień uczniów. Dwóch chłopców biło się o czapkę. Na schodach Marię zatrzymała Rut.

— Tak sobie pomyślałam... słyszałam, o czym rozmawialiście, i coś przyszło mi do głowy. Jeśli ma pani czas.

— Oczywiście. — Maria cofnęła się o krok, zostawiając miejsce dla wchodzących i wychodzących dzieci.

— Cecilia chciała się z nim spotkać, z dyrektorem. Siedziałam w pokoju dla personelu i piłam kawę. Więc wszystko widziałam.

— Kiedy to było?

— W poniedziałek przed wieczorem filmowym. Wydawało się, że ma jakąś pilną sprawę. Stała przez dłuższą chwilę i czekała, aż otworzy. Niecierpliwiła się, przestępowała z nogi na nogę. W końcu otworzył. Może udawał, że go nie ma, było już po godzinach jego pracy. Dość często przesiaduje w szkole wieczorami, nie wyściubiając nawet nosa. Wyda-

je mi się, że nie układa mu się z żoną. Cecilia była taka zdenerwowana. Rozmawiali przez chwilę. Ale nie wpuścił jej do środka. Stał po drugiej stronie, uchylając tylko lekko drzwi, jak gdyby była akwizytorką albo jakimś innym natrętem. Mówił do niej bardzo szorstkim głosem.

— Dziękuję, że mi pani o tym opowiedziała — rzekła Maria. — Nic innego się pani nie przypomniało?

— Tak, jeszcze jedna rzecz. Mieliśmy włamanie. Była u nas w domu policja. Ale nic z tego nie wynikło. Nie zauważyłam, żeby coś ukradli, ale rozwalili nam dwoje drzwi. Rune nie potrafi powiedzieć, co się stało. Kiedy przyszedłam do domu, leżał pod łóżkiem na piętrze. Rano chodził za mną krok w krok. Przerażony. Teraz siedzi tam zamknięty w toalecie i nie chce wyjść. Czy policja nie może czegoś zrobić?

— Czy to możliwe, żeby Rune Villman zrobił to sam? — spytał Ek. — Może coś go napadło i rzucił się na drzwi z siekierą? Jest trochę dziwny, prawda? Czy nie należałoby zaangażować psychiatry, żeby go zbadał?

— Być może. Rut uważa, że sobie z nim radzi. Był spanikowany, gdy przyszła do domu. Jednak bardziej prawdopodobne jest, że włamał się ktoś z zewnątrz — stwierdziła Maria.

— Drzazgi po uderzeniach siekierą znaleziono po wewnętrznej stronie drzwi. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Rune ma własny klucz. To właściwie byłoby przerażające, gdyby okazało się, że to jednak nie on. Ludzie zaczynają być groźnie podenerwowani. Wielu rodziców bierze dni wolne na opiekę nad dzieckiem, zwolnienie albo urlop, żeby zatrzymać dzieci w domu. Może ktoś podejrzewa Runego o zamordowanie Cecilli Ståhl? Wymierza sprawiedliwość na własną rękę?

— Skąd wiemy, że tego nie zrobił? — Arvidsson pstrykał bez przerwy swoim długopisem kulkowym. — Skąd wiemy, że nie zabił Cecilli Ståhl?

— Ma alibi. Leżał w szpitalu wybudzany po operacji wyrostka, przepukliny czy czegoś takiego. Rozmawiałem z nocnym personelem. Spędził w łóżku całą noc aż do godziny siódmej, kiedy mieli pomóc mu z poranną toaletą. Wtedy zwiął.



Hartmana zirytowało to rytmiczne pstrykanie. Per Arvidsson musiał być mocno zdenerwowany.

— Coś nowego na froncie komputerowym? — Pstrykanie ucichło na chwilę.

— Sprawdzają właśnie twardy dysk komputera Cecilii. Dostaliśmy hasło do Lunarstorm od Amandy Myrbacke. Wszystkie wiadomości wydają się wykasowane i wyrzucone. Czasami, jak ma się szczęście, to na dysku zostaje Hotmail. Jak to się dzieje, nikt nie potrafi wytłumaczyć, ale to się zdarza. Sprawdzamy teraz taką opcję.

— A Manfred?

— Jeśli chodzi o Manfreda Majoneza, to ekspert twierdzi, że ktoś inny mógł umieścić swoje zdjęcia na jego komputerze. Mówiąc dosłownie, zawłaszczył go i użył go jako komputera do przechowania materiału, który nie powinien ujrzeć światła dziennego. Dziewięciu na dziesięciu nowych właścicieli komputerów wpisuje w wyszukiwarkę hasło „porno”. Kiedy później manipulują przy systemie i ściągają zdjęcia, istnieje ryzyko, że pobierają dużo więcej, niż im się wydaje. Automatycznie zaczynają wyskakiwać nowe strony i trudno temu zapobiec. W ten sposób pojedyncze zdjęcia mogą znaleźć się na komputerze domowym bez wiedzy użytkownika. Ale komputer, który skonfiskowaliśmy, ma w archiwum setki zdjęć. Manfred Magnusson zeznał w czasie przesłuchania, że dostał ofertę świetnej gry w załączonym pliku. Otworzył go. Sprawdziliśmy tę informację i to się zgadza, sam wprowadził trojana do swojego komputera. Istnieje takie ryzyko, gdy ma się sprzęt o dużych możliwościach i jest się podłączonym do Internetu przez całą dobę. Jego komputer funkcjonuje jak archiwum zdjęć. Później najbardziej obleśne typy mogą używać go z bezpiecznej odległości. Oni sami są czyści, jeśli policja przeprowadzi rewizję. To dochodzenie może potrwać.

## 31

Amanda zrzuciła buty i powiesiła kurtkę na wieszaku, który już wcześniej obwieszony został torebką, dwoma parasolkami i dzierganym wełnianym swetrem z dużymi oczkami, zawieszonym na jednym z oczek. Później udała się pędem do gabinetu i włączyła komputer oraz modem. Powoli na ekranie ukazał się obraz, w przeważającej mierze niebieskoszary. Po silnym uderzeniu pięścią w monitor pojawiły się również czerwone kolory. Strona startowa — gazeta „Kvällskuriren” ładowała się irytująco powoli. Amanda przebiegła wzrokiem po nagłówkach: *Afera pedofiliska — pediatrzy sztokholmscy w gronie podejrzanych, Znalazł w toalecie gronostaja, Co na świąteczny prezent?, Zagłosuj na jedną z naszych propozycji, Pytanie czytelników: Czy masz silikonowe piersi? „Tak”, „Nie”, „Nie wiem”.*

Amanda kliknęła lewym klawiszem myszki na „ulubione” i na ekranie powoli wyświetliła się strona Lunarstorm. Przez cały szaro-mroźny poniedziałek czekała, aż lekcje w szkole się skończą i będzie mogła wrócić do domu, by sprawdzić, czy dostała jakąś wiadomość od Yourlove. Godzina za godziną, minuta za minutą wlokły się niemiłosiernie: składnia, kastyowy system w Indiach, równania. Z ostatniej lekcji się zwolniła, usprawiedliwiając się bólem głowy, i poszła do domu. Pontus Larsson zaoferował się, że podwiezie ją do domu, ale zapewniła go, że lepiej się poczuje, gdy pooddycha trochę świeżym powietrzem. Amanda wstukała login i hasło. Czekala w napięciu, aż ospały rzęch zaskoczy. *Shit!* Znów żadnej wiadomości. Rozczarowanie było większe, niż się spodziewała.

Było trochę dżdżysto i w mieszkaniu śmierdziało stęchlizną, najbardziej w kuchni. Mieszanka zapachu skwaśniałego mleka i zepsutych resztek jedzenia z koszy na śmieci pod zlewem. Zimno bijące od podłogi przeniknęło przez skarpetki i Amanda poczuła gęsią skórę. Podeszła do lustra w korytarzu, wzięła do ręki szczotkę do włosów, jednak zaraz odłożyła ją z powrotem na stolik. Miedzianorude włosy — zupełnie poplątane i mokre od śniegu — wyglądały jak wielki wełniany hełm. Zdażyła strząsnąć w korytarzu większość śniegu. Ramiona i całe plecy były ciemne od wilgoci. W niebieskawym świetle jarzeniówki

twarz wyglądała nienaturalnie blado. Jakby nie należała już do żywych. Czy można być martwym i nie zdawać sobie z tego sprawy? Amanda uszczypnęła się mocno w rękę, aż z oczu popłynęły jej łzy. Co, jeśli nie spodoba się fotografowi Yourlove, gdy ten zobaczy, jak wygląda w rzeczywistości? Zdjęcie, które zamieściła na Lunarstorm, zrobione było latem, w wieczornym świetle, na trawie. Nawet jeśli nie była wtedy opalona na brązowo, to przynajmniej skóra miała odcień kawy z mlekiem, a nie kredowobiały. Jej biust był za mały, zdecydowanie za mały. Stała bokiem z wypiętą piersią. Prawie jak piegi. Choć to można było załatwić silikonem. W jednym z tygodników Amanda przyglądała się serii zdjęć dokumentujących zabieg. Wydawało się to bolesne. Ale jeśli chce się być pięknym, trzeba cierpieć. Choć te wszystkie rozcięcia i igły były obrzydliwe. Gdyby uspili ją, nie musiałyby widzieć tych lepkich nacięć i mogłaby obudzić się z zagojonymi ranami, wówczas może zebrałaby się na odwagę. W każdym razie gdyby dostała szansę wystąpienia w *reality show* Robinson albo innym podobnym programie w telewizji. Tam można się dostać tylko wtedy, gdy ma się silikonowy biust. Tylko tacy mają szansę być wybrani. Wszyscy to wiedzą.

Po kontrolnej rundce po mieszkaniu Amanda poszła do swojego pokoju, wyciągnęła spod łóżka Tygrysa i wślizgnęła się pod kołdrę. Na początku czuła lodowaty chłód, później przestrzeń wokół ciała wypełniła się stopniowo ciepłem. Ciemny zmierzch powoli przebiegał się między doniczkami z przekwitłą azalią, skrzydłokwiatem i wilczomleczem. Śnieg padał na szybę i układał się w ciągle zmieniający się, skomplikowany wzór. Przerwy między tafłami wyglądały jak pęcherzyki świerzbu w powiększeniu, zupełnie tak samo jak na zdjęciu, któremu przyglądali się na lekcji biologii. Na parterze odkurzała pani Berggren. Była na wpół głucha. Nigdy nie słyszała, jak pies drapał w drzwi, aby wyjść, albo kiedy pozdrowiało się ją, gdy stała odwrócona plecami na schodach. Pani Berggren była sama. Nie było żadnego Berggrena, może nigdy wcześniej również go nie było. Nigdy o nim nie mówiła, jedynie o siostrze z Vetlandy. Amanda zastanawiała się, jak by to było mieć siostrę, najlepiej w tej samej klasie, tylko trochę brzydszą i trochę mniej sprytną, ale miłą. Zamknęła oczy.

W czasie pracy w grupach na angielskim nikt nie chciał siedzieć obok niej. Weszła i jako pierwsza usiadła w sali, przyzwyczajona do tego, że Cecilia zawsze siadała z przodu. Inni wchodzili jeden po drugim i stłoczyli się przy dalszych ławkach. Śmiali się i rozmawiali jak zwykle, a później zamilkli, kiedy do sali wszedł nauczyciel. Wtedy wszyscy popatrzyli na nią, dwadzieścia pięć par oczu przeszywało na wskroś jej wstydliwą samotność, a ona nie miała dokąd uciec. Praca w grupach. Czterech uczniów w każdej grupie, kto po-

trzebuje piątego koła u wozu? Jedni protestowali głośno, gdy się do nich zbliżała, inni robili antypatyczne miny lub odwracali głowy. Znokautowana bez możliwości rewanzu. Czuła, jakby w żyłach płynęła lodowata ciecz, która sprawiła, że jej ciało zesztyniało. Wtedy wbrew swojej woli została przydzielona do grupy, do której należeli: grubas Mubbe, przeczysty Lelle, Kotten, który mieszkał w barakach, oraz Svävarn, który miał coś z głową, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, co było z nim nie tak. Tom odwrócił swoje krzesło oparciem do niej. Nikt nie chciał się z nią zadawać na przerwie. Jakby nie istniała. Była niewidzialna. W kolejce na stołówce inne dziewczyny śmiały się i szeptały do siebie. Szept narodził się w grupce przed Amandą, ominął ją i przebiegł dalej po kolejce. Jedynie w czasie zebrania, gdy Pontus Larsson powiedział kilka słów o Cecylii i o tym, że jeśli ktoś chce, może przystąpić do grupy wsparcia, Tom popatrzył na nią miłym wzrokiem. Później rzucił gumą do żucia w głowę Svävarena i rozpoczęła się kłótnia. Amanda nie chciała myśleć o Cecylii.

Na lekcji WF Amanda musiała opuścić bieg z przeszkodami, ponieważ ta policjantka, Maria, znowu chciała się z nią spotkać w sali zebrań. Była nawet całkiem równa, ale poruszała tematy, które wywoływały myśli łatwo mogące doprowadzić ją do płaczu. „Byłyście dobrymi przyjaciółkami, ty i Cecilia? Co zwykle robiłyście, gdy spędzałyście czas razem? Czy zdarzało się, że się kłóciłyście?”. I w ten sposób Maria stawała się jej coraz bliższa, gdy mówiła tym swoim łagodnym głosem i posyłała jej poważny uśmiech. A Amanda opowiadała o rzeczach, które nie były takie straszne. O tym, jak nie mogła kiedyś odwiedzać Cecylii w domu; o lecie, które spędzały tylko w domu u Amandy albo tam obok szkoły. „Czy wiesz, dlaczego nie mogłyście przebywać w domu u Cecylii?” — węszyła dalej policjantka. „Ponieważ Reidun nie lubi dzieci. Nie znosi hałasu”. „A jeśli byłyście cicho, jeśli przebywałyście tylko w pokoju Cecylii?” — drażyła Maria. „Nie. Reidun chciała spędzać czas tylko z rodziną, żeby grali razem w gry i takie tam. Była zła, gdy ktoś przychodził bez wcześniejszej zapowiedzi. Tak mówiła Cecilia”. Łagodny głos mruczał dalej przyjemnie. „Czy Cecilia miała chłopaka?”. Odpowiedź na to pytanie wymagała namysłu.

Powoli przez okno do pokoju Amandy wdzierał się mrok, padał na biurko, zacierając kontury planszy z orłem trzymającym w szponach kulę ziemską. Latarnia pod oknem zamigotała jasnorożowym światłem, które stopniowo oświetliło fasadę brązowego bloku mieszkalnego. Amanda owinęła się kołdrą i wstała z łóżka, żeby zapalić lampę. Spojrzała na stojący na szafce nocnej budzik. Jeśli się pospieszy, zdąży jeszcze zalogować się na Lunar-

storm, zanim mama wróci do domu. Jeśli Yourlove nadal nie odpisał, może powinna się do niego odezwać, żeby o niej nie zapomniał.

„Cześć, Yourlove, zastanawiałam się, czy znalazłeś nowe miejsce na sesję. Najlepiej byłoby, gdybym nie musiała iść tam przez las, gdy jest ciemno. Jest jeden facet, który czasami za mną chodzi. Ubiera się jak staruch, choć nie jest taki znowu stary. Kiedy szłam do budki przez las, gałęzie pokryte śniegiem tak dziwnie trzeszczały. Bardzo się przestraszyłam i wydawało mi się, że za mną idzie. Choć jeśli to konieczne, żebyśmy się spotkali przy budce, to oczywiście tam przyjdę”.

Lampka zaświeciła się, Yourlove był online. *Yes!* Amanda wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

„Cześć, Amando. Właśnie znaleźliśmy nowy lokal, z którego jestem zadowolony. Fotograf chce zrobić fotki w jakimś fajnym krajobrazie, z przyrodą w tle, dużo drewna, żelaza i kamienia. Myślisz, że mogłabyś przyjść do magazynu portowego za ogrodzeniem plaży dziś o ósmej wieczorem? Będę tam na ciebie czekał na parterze. Wejdziesz przez drzwi za murem między topolami. A te kosmetyki do makijażu, których będziemy używać, możesz zatrzymać bez względu na to, jak pójdzie sesja. Chyba wspominałem o tym ostatnio. Możesz przyjść?”.

„Jasne, że mogę. Co mam włożyć? Czy mam być bez makijażu?”

„To nie ma aż tak wielkiego znaczenia. Ale chcę, żebyś przyszła sama. W tej branży ważne jest, aby umieć trzymać język za zębami, inaczej zaraz pojawi się konkurencja i ukradnie nasze najlepsze pomysły. Mogę ci chyba ufać, Amando?”.

„Nikommu o tym nie powiedziałam. Nawet mamie”.

„Dobrze. W takim razie chcę, abyś wykasowała wiadomość, którą dostałaś ode mnie i żebyś opróżniła kosz. Zawsze jest ryzyko, że konkurencja włamie się do systemu i ukradnie informacje. Obiecujesz, że to zrobisz?”.

„Jasne, oczywiście”.

„Do zobaczenia w magazynie przy porcie. A jeśli będzie ci się wydawało, że ktoś za tobą idzie, to wracaj do domu. Obiecuj mi to. Uważaj na siebie. Yourlove”.

*Yes!* Amanda wskoczyła pod prysznic. Włosy muszą być lśniące i świeże. Włożyła ten zielony sweter, który kupiła na zakończenie semestru przed gwiazdką, i czarne dżinsy.

Żeby tylko nie były w praniu. Odgłos szybkich, ciężkich kroków na klatce schodowej. Klucz w drzwiach!

— Amando, kochanie, gdzie jesteś? Dobrze, że się przebrałaś. Spóźniłam się. Nie wiem, co wstąpiło dziś w klientów. Wybrzydździ i siedzieli tak długo w sklepie. Nie mogłam zamknąć. Elvira Bredström, ta z apteki, była gorsza niż kiedykolwiek. Znalazła kardigan z małymi guziczkami i brakowało jednego z nich, więc się oczywiście targowała. Choć w podszewkę wszyty był zapasowy guzik. Nie myśl sobie, że dała za wygraną. Rzuciła ja- kimiś śmiesznymi cenami, jedną po drugiej. W końcu przeceniłam sweter o połowę. W kolejce stali ludzie i nie zdążyłam na autobus. Teraz musimy się spieszyć.

— Jak to spieszyć?

— Babcia ma dziś urodziny, pamiętasz chyba. Zaprosiła wszystkich krewnych na obiad do Gyllene Druvan, a później idziemy do teatru. — Eva wygrzebała z szafy czarną sukienkę, odwiesiła ją z powrotem i wyjęła czerwoną spódnicę. W głowie Amandy kłębiły się myśli.

— Jestem chora. Przyszłam wcześniej ze szkoły, bo bolała mnie głowa.

— Nie masz chyba gorączki? — Eva położyła dłoń na czole Amandy. — Mam trochę zimne ręce, ale czoło nie wydaje się ciepłe. Jeśli to tylko ból głowy, to wystarczy, że weźmiesz proszek przeciwbólowy.

— Boli mnie też gardło, jestem zmęczona, mam kaszel i kłuje mnie w brzuchu. Myślę, że muszę pójść się znowu położyć. — Amanda zrobiła żalostną minę i powlokła się w kierunku łóżka.

— W takim razie nie ma rady: będę musiała zadzwonić i powiedzieć, że nie przyjdziemy. Biedaczko, a tak się cieszyliśmy na tę wizytę w teatrze.

— Ale ty możesz przecież iść. — Dziewczyna czuła, jak desperacja buzuje w jej ciele. — Jest OK, dam sobie radę. Na pewno.

— Nie, kochanie, jeśli jesteś chora, zostanę z tobą w domu. Poleżymy na kanapie pod kocem i uprażymy popcorn. Może obejrzymy razem coś fajnego w telewizji?

32

— W miejscu, gdzie znaleziono ciało Cecilii Ståhl, widać jakiś ślad, być może ślad sanki. Biegnie on przez las do budki obok ogrodzenia przy plaży — powiedziała Erika. — Ślady butów trudno było zabezpieczyć. W nocy śnieg się roztopił, ślady rozmyły się i powiększyły. Sam maszynista wydeptał dużą ich część i rozpoznano także inne, które przecinają ich tor. Wygląda na to, że to popularne miejsce do wyprowadzania psów. Choć są też ślady, które podążają za sankami do samego końca. Wstępnie można ustalić, że chodzi o rozmiar 40–42. Między rzeczami dziewczyny znaleźliśmy klucz. Pasuje do kłódki, która wcześniej wisiała przy budce na plaży. Sprawdziliśmy to z właścicielem. Ma w posiadaniu identyczny klucz. Zamka, który jest tam teraz, nigdy wcześniej nie widział.

Technik Erika Lund, która wtopiła się w fotel dla gości w gabinecie Marii, przyciągnęła krzesło i położyła na nim stopy, z których zrzuciła wcześniej kaptcie; następnie położyła na czole mokry papierowy ręcznik.

— Za stara jestem, żeby być na nogach przez pół nocy. A podczas pracy na dworze w lesie nie można wziąć tabletek odwadniających, jeśli nie chcesz sobie odmrozić tyłka. Zobacz, jak mi spuchły nogi. Policjantka w kapciach, ile dałabyś za kogoś takiego?

— W twoim przypadku całkiem dużo. — Maria odłożyła raport, który próbowała pobeżnie przejrzeć przed porannym zebraniem. — Mam przynieść starej ciotce filiżankę kawy?

— Myślę, że chociaż tyle mam prawo wymagać. Bez śmietanki i bez cukru. Zaczynam nowe, lepsze życie, po raz kolejny.

— Czy już to gdzieś słyszałyśmy?

— Idziecie? — Do pokoju wkroczył Ek i zmarszczył brwi na widok Eriki w jej mało policyjnej odślonie. — Czekamy na was.

Hartman otworzył okno, za którym panowały chłód i ciemność, chcąc pozbyć się zapachu zakurzonej wykładziny i przypalonej kawy. Zimno szybko rozeszło się po pokoju. Maria objęła ciało rękoma, trzęsąc się z zimna. Gdy Hartman próbował z powrotem zamknąć okno, Erika zaprotestowała, wachlując się po twarzy.

— Cholernie tu gorąco. Zostaw otwarte.

Nikommu nie przyszło do głowy, żeby zaproponować. Maria zerknęła na termometr na ścianie przy drzwiach. Pokazywał osiemnaście stopni. Erika podwinęła rękawy i wyglądało na to, że nieco się ożywiła. Hartman włożył marynarkę.

— Przesłuchałem wczoraj po południu kolegę Cecilii Ståhl, Toma Flodströma. Miał język przebity kolczykiem i tak seplenił, że z trudnością rozumiałem, co mówi. Po kiego diabła robi się takie rzeczy? — Hartman wysunął czubek języka i przygryzł go, aż w oczach pojawiły mu się łzy. — Zrobił to sam za pomocą rozżarzonej igły do cerowania, tak powiedział. Ponieważ Cecilia uważała, że to jest super. Chyba był w niej bardzo zakochany.

— Też mi się tak wydaje. Amanda Myrbacke również to zasugerowała. — Maria zerknęła ponownie na termometr — szesnaście stopni. — Później Cecilia od razu z nim zerwała. Amanda powiedziała, że przyjaciółka spotkała kogoś, kto jeździł czerwoną toyotą. Wychowawca klasy ma taki samochód.

— W takim razie uważam, że powinniśmy przyjrzeć się bliżej temu autu — stwierdziła Erika. — Wczoraj wieczorem kontaktowałam się z lekarzem sądowym. Przyczyna zgonu nie została jeszcze ostatecznie ustalona, ale bierze się pod uwagę uduszenie.

— Ale nie można stwierdzić z pewnością, jakiego związku chemicznego użyto, a jedynie, że nie została uduszona rękoma? — Arvidsson spoglądał spod grzywki na Erikę, która rozpięła koszulę, przekraczając prawie granicę przyzwoitości, by odetchnąć pełną pierś.

— Nic nie udało im się wyłapać przy zastosowaniu standardowej analizy — odpowiedziała. — Gdyby chodziło o przedawkowanie leków, wówczas prawdopodobne byłoby, że targnęła się na swoje życie. Kto mógłby mieć powód, aby odebrać życie czternastoletniej dziewczynie? Czy może tu być mowa o jakimś motywie, czy uczynił to jakiś szaleniak?

— Kiedy pojechaliśmy poinformować jej ojca we wtorek rano, znaleźliśmy Runego Villmana skulonego na dachu werandy. Podwieźliśmy go do domu. Skontaktowałam się



z opieką społeczną. Inger Svensson, albo Krowie, jak nazwała ją Rut Villman, przydałby się niewątpliwie kurs wdzięku. Rozumiem, dlaczego babcia Runego jej nie ufa. Nawet jeśli jest zestresowana, to nie musi być antypatyczna bez powodu. Informacje dostępne na temat Runego Villmana są skąpe. Jego babcia opiekowała się nim, od kiedy matka zginęła w katastrofie lotniczej. Nigdy wcześniej nie zaproponowano Rut Villman żadnego wsparcia. Krowa jako pierwsza wyszła z inicjatywą i bez przerwy drąży ten temat. Powiedziała bym, że bardziej dla podbudowania własnego prestiżu niż z dobrej woli. Ale to moja zupełnie osobista opinia. Wywiera na Rut presję. — Maria wstała. — Teraz muszę chyba zamknąć okno, Eriko.

— Poczekaj chwilę, pot obleje cię prądziej, niż myślisz.

— Być może, ale teraz zamierzam. Tu jest tylko czternaście stopni.

W tej samej chwili, w której Maria zamknęła okno, zgasło światło. Zapadł całkowity mrok.

— Została godzina do wschodu słońca. — Gdzieś ze środka pokoju dobiegł głos Hartmana. Dało się słyszeć szmer kroków. Maria poczuła na swoich ramionach rękę i delikatny zapach wody po goleniu Arvidssona.

— Pozwól się uściskać. Jutro wyjeżdżam — szepnął w jej włosy.

— Uważaj na siebie. Będę za tobą tęsknić — odpowiedziała Maria i poczuła dotyk jego pocałunku na czole.

— Jeśli zmienisz zdanie, chcę, żebyś dała mi znać. Wystarczy wybrać numer.

— Nie zmienię zdania, ale być może zadzwonię dowiedzieć się, jak ci się tam wiedzie. — Maria postąpiła krok do tyłu, kiedy lampy zamigotały i rozblęskło skąpe, ale trwałe światło. Po omacku przedostali się w ciemności do dyżurnego, który szukał zapalek, przyświecając sobie latarką, do czasu gdy agregat prądu zaczął działać. Ek przyglądał się panelowi kontrolnemu.

— Jak się mają elektryczne zamki? Czy działa zabezpieczenie?

— Będzie działało. — Arvidsson precyzyjnie przesunął się do przodu. — Gorzej z komputerami. Będziemy opóźnieni ze śledztwem. Agregat rezerwowy wystarczy tylko dla komputerów w centrali. Nie dalej niż na przełomie zeszłego roku ubiegaliśmy się o modernizację syste-

mu zasilania elektrycznego. Jak mamy pracować efektywnie, skoro nie mamy wymaganego wyposażenia?

— Najgorzej, gdy potrzebne są informacje z archiwum. Gdy po raz pierwszy wyłączyli prąd, musiałem jechać po Ragnarssona, choć był na zwolnieniu. Nikt inny nie umie obsługiwać tego manualnie. — Hartman zaniósł się swym tubalnym śmiechem.

— Odniosłem wrażenie, że podoba mu się ta sytuacja, a ja również nie mam nic przeciwko temu, że tu wpada. Tak w ogóle to podziękował za kwiaty: dobrze, że o tym pomyślałaś, Mario.

— Myślisz, że Ragnarsson wróci kiedykolwiek po tym konkursie na mandaty, który ogłosił?

— Nie kapuję, jak on wpadł na ten pomysł — przyznał Arvidsson.

— Może chciał zaimponować przełożonym i pokazać, jaka gorliwa i rzetelna jest policja patrolująca ulice i rynek. — Hartman powstrzymał uśmiech, jednak jego oczy błyszcząły.

— Czy wiadomo, kto pokazał notatkę służbową prasie? — Maria popatrzyła na Arvidsona.

— Tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. W każdym razie było to niestosowne. Dążymy tutaj do zgodnej współpracy, a tu nagle jakiś koleś idzie i ogłasza konkurs na to, kto wypisze więcej mandatów.

— Ciekawe, jakie nagrody przewidział. Złoto, srebro i pałkę z brązu czy może jakąś prowizję? — Hartman ściągnął z haka na ścianie w centrali latarkę i poszedł sprawdzić drzwi wejściowe.

Temperatura wewnątrz spadała, w miarę jak strumień dziennego światła stawał się coraz bardziej intensywny. Maria dygotała z zimna w swojej cienkiej wełnianej kurtce i marzyła o filiżance gorącej kawy, o którą mogłaby ogrzać sobie dłonie. Ale ekspres do kawy nie działał, a ekran komputera był czarny. Niezpisane jeszcze protokoły z przesłuchań i notatki służbowe wciąż pozostawały kupką luźnych papierów. Maria podniosła słuchawkę telefonu. Pielęgniarki szkolnej Pii Rönn nie było w pracy, nie odpowiadał też jej telefon domowy. Stanowiło to duży problem, tak uważał dyrektor. Pielęgniarka pełniła funkcję spoiwa grupy wsparcia. Poza nią grupa składała się również z będącego na zwolnieniu zastępcy dyrek-

tora, wychowawcy klasy 7A, który wbrew swojej woli zajął miejsce Henningssona, oraz z kuratora, który przebywał na wakacjach w Turcji. Ile prawdy było w tym, co insynuowała Pia na kawie u Karin? Czy Svante Henningsson naprawdę był uwikłany w niezdrowe relacje z uczennicami? Może dobrze byłoby przeprowadzić rozmowę z Kristiną Henningsson, żeby dowiedzieć się, jak miały się sprawy po tragicznej śmierci jej męża. Niezwykle rzadko ma się okazję śledzić, co dzieje się z najbliższymi winnych i podejrzanych po zakończeniu pracy policyjnej. Informacje podane przez Pontusa Larssona o tym, gdzie spędził noc, musiały zostać potwierdzone. Delikatna, ale konieczna do wyjaśnienia kwestia. Myśl o tym, że miałyby jechać do biblioteki, czyli wsiąść do samochodu i podkręcić ogrzewanie, była całkiem kusząca. Nie miała wiele pomysłów na to, co mogłaby robić do czasu, gdy komputer będzie znowu działał. Stare dobre maszyny usunięto, gdy tylko pojawiły się komputery.

Za oknem światło słoneczne skrzyło się w świeżo spadłym śniegu. Kątem oka Maria odnotowała, że stare wiśniowe volvo PV Arvidssona odjeżdża z parkingu. Posada w ONZ na pół roku, a później? Zamierzał poszukać sobie innej pracy. Wydawało jej się, że macha do niej, ale nie była pewna. Czuła smutek, gdy rozstawali się po tylu latach spędzonych razem. Arvidsson był fajny. Oczywiście będzie za nim tęskniła. Już tęskni. Jak bardzo, on nigdy się pewnie nie dowie. Maria dotknęła dłonią czoła, gdzie złożył pocałunek. Wybór oznacza częściową śmierć. Z drugiej strony trzeba umieć powiedzieć „nie”, aby z pełnym przekonaniem powiedzieć „tak” życiu, które wcześniej się wybrało. To wymaga wyrzeczeń. W innych okolicznościach być może powiedziała by Arvidssonowi „tak”, poddałaby się nagłemu uczuciu, które ją opanowało. Ale nie w obecnej chwili. Nie, skoro udało jej się ustalić z Kristerem, że zaczną od nowa, że spróbują znaleźć drogę powrotną do siebie. Zawsze jest łatwiej kupić coś nowego, niż naprawiać i usprawniać stare. Ale cena może okazać się bardzo wysoka. „Za wysoka” — pomyślała Maria i popatrzyła na fotografię, na której Emil i Linda stali w objęciach na klatce schodowej. Krister zaproponował nawet, żeby wyjechali, tylko we dwoje, do Hamburga. „Pod warunkiem że masz odwagę pobyć ze mną sam na sam” — powiedział, pokazując jej błyszczące wnętrza hoteli w katalogach biura turystycznego. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że wspólny weekend był czymś wskazanym, ale teraz dopadły ich kłopoty finansowe. Zapożyczenie się u Gudrun Wern popsułoby całą zabawę. Później, kiedy śledztwo się skończy — Maria obiecała to sobie — wówczas dopilnuje, żeby spędzili więcej czasu ze sobą. W obecnej chwili nie mogłaby wziąć wolnego, żeby wyjechać, nie starczało nawet pieniędzy na opiekunkę. Nie w momencie, gdy Gudrun

rzucała się w wir świątecznych przygotowań. Rolady, konfitury, pasztety — to wszystko było czasochłonne, podobnie jak pucowanie wszystkich miedzianych naczyń, wycieranie szafek i szuflad.

Wzdrygnęła się lekko na wspomnienie pierwszych lat ich małżeństwa, gdy Gudrun zaoferowała, że pomoże synowej w przygotowaniach świątecznych, do których — jak się okazało — młoda żona się nie kwapiła. Maria z całą stanowczością odmówiła. Świąteczne porządki i spokój świąteczny to dwa przeciwstawne pojęcia.

### 33

Maria z ulgą stwierdziła, że cała biblioteka jest oświetlona. Wchodząc, poczuła na policzku przyjemne ciepło. Miłe uczucie po tym, jak zmarzło się na kość. Włączyli zatem z powrotem prąd. Przy ostatniej przerwie w dostawie prądu Maria zastanawiała się, czy nie wystawić zamrożonego jedzenia na klatkę schodową. Jak długo można trzymać jedzenie w zamrażarce przy wyłączonej elektryczności? Na pewno dłużej, jeśli nie otwiera się drzwiczek i nie sprawdza się co chwila. Surowe mięso czy rybę można przyrządzić i jeszcze raz zamrozić, bułki też można z powrotem zamrozić, nawet jeśli będą trochę suche. Ale co robi się z pasztetem z owoców morza, klopsikami i kielbasą z wątróbki, jeśli nie zdoła się wszystkiego od razu zjeść?

Kristina Henningsson stała przy recepcji i rozmawiała przyciszonym głosem z dziewczyną, która wyglądała na rówieśnicę Amandy Myrbacke. Maria usiadła na jednym z krzeseł przy ladzie i czekała na swoją kolej. Na trzech wielkich ekranach prezentowano wystawę obrazów inspirowaną książką *Linie życia*. Oddzielna wystawa jakiegoś nieznanego Marii artysty, który węglem malował twarze starych ludzi. Pełna niuansów, delikatna i wykonana z wielkim wyczuciem dla trwałej wartości piękna wyrzeźbionego i wydrążonego przez czas. Co zrobić ze swoim życiem, swoim krótkim życiem? Maria dokonała w myśli szybkiego podliczenia i doszła do wniosku, że zaokrąglając, zostało jej statystycznie szesnaście tysięcy dni do mety jej życia. Jeden dzień zlewał się z drugim, niekiedy zdarzał się jakiś godny zapamiętania, małe i duże decyzje, które wypełniały życie raz treścią, raz pustką. „Jakie masz marzenia?” — spytał Arvidsson, kiedy siedzieli w parku na Gotlandii. „Nie, nie musisz mi odpowiadać, odpowiedz sobie”. Pytanie wróciło do niej, kiedy siedziała bezczynnie i nie mogła uciec od kontemplacji. „Jakie mam marzenia? Przede wszystkim, żeby dzieci wyrosły na samodzielne, harmonijnie rozwinięte i silne osoby. Chciałabym żyć w bliskim i bezpiecznym związku oraz móc realizować się zawodowo i uznać później, że zrobiłam coś dobrego dla innych, a także znaleźć czas na malowanie. Chcę malować”. Maria

poczuła — ku swojemu zaskoczeniu — jak silna była ta potrzeba. W teczce na strychu leżały płótna i szkice z czasów, kiedy nie miała jeszcze dzieci. Niektóre naprawdę dobre, niektóre gorsze. Jest coś bardzo ekscytującego w znajdowaniu motywu, nowej perspektywy, szczególnie jeśli maluje się coś, co wszyscy widzieli. Morze, zachód słońca, twarz. To samo dotyczy pracy w charakterze inspektora policji, umiejętności dostrzegania szczegółów i związków w nowy sposób. Wychodzenia poza to, co oczywiste, i słyszenia tego, co niewypowiedziane.

— Czy to mnie pani szuka? — Kristina wychyliła się zza lady, ściągając na siebie uwagę Marii.

— Tak, czy ma pani czas, żeby chwilę porozmawiać? Może napijemy się kawy? — Policjantka wskazała ręką na kafenię, a Kristina podążyła za nią. Usiadły przy stoliku obok okna. Maria zamówiła kawałek ciasta czekoladowego, a żona Svantego — czarną kawę.

— Kiedy włączyli prąd? — spytała Maria i próbowała jeść powoli, aby wydłużyć tę grzeszną rozkosz. Krem czekoladowy, orzechy laskowe, migdałowy spód i bita śmietana stanowiły wspaniałe połączenie. Słodki symbol jakości życia. Najgorsze w tym wszystkim było to, że ciasto czekoladowe odłoży się równomiernie na całym ciele. Ale taka jest cena ulegania słodkiej pokusie.

— Ostatni raz wyłączyli nam prąd zeszłej wiosny. Biblioteka nie korzysta z tego samego transformatora co reszta miasta, ponieważ leży nieco na obrzeżach. Ale z pokoju dla personelu na piętrze widać, że na ulicach i w przeciwległych domach panuje ciemność, więc zorientowałam się, że musieli wyłączyć prąd. Czy chciała pani porozmawiać ze mną o czymś szczególnym?

— Chciałam się dowiedzieć, jak się pani ma, jak pani samopoczucie.

— W kwestiach praktycznych radzę sobie dobrze. Kiedy Svante się rozchorował, przejęłam wszystkie jego obowiązki domowe. To było konieczne. Nauczyłam się nawet zmieniać opony, oczyszczać rynny oraz piec. To się działo stopniowo, byłoby pewnie gorzej, gdyby te obowiązki spadły na mnie nagle w środku żałoby. Najtrudniejsze jest poczucie winy. — Kristina zamilkła i poruszyła filiżanką. Kiedy podniosła wzrok, jej oczy były błyszczące i ciemne. — Nie udało mi się pomóc mu wrócić do życia, nie byłam w stanie zaprzeczyć przed samą sobą w nieskończoność.

— Kto mógłby panią za to obwiniać? Miłość to dar, to nie jest coś, czego można żądać od człowieka. Nie mogła pani przeżyć za niego życia. — Uśmiech Marii był pełen powagi.

— Mogłam zrobić więcej. Mogłam przyprzeć dyrektora do muru i żądać, by powiedział mi, kto rozpuszcza te kłamstwa o moim mężu. Mogłam mówić w jego imieniu, gdy nie był w stanie sam się bronić. On tego nie chciał, ale mogłam to zrobić wbrew jego woli. Jestem pewna, że ta plotka to stek kłamstw. Już pewnie słyszała ją pani we wszystkich możliwych wariantach. To te podłe języki go zabiły. Stałam obok i przyglądałam się temu. Jestem tylko zwykłym człowiekiem. Nie miałam siły, kiedy ciągnęło się to dzień po dniu. — Wdowa wydmuchała nos w serwetkę, zgmiotła ją i wepchnęła do filiżanki. Maria odczekała chwilę, aż rumieniec na policzkach rozmówczyni nieco zbladł.

— Nie ma w tym nic dziwnego, że człowiek potrzebuje pocieszenia, gdy cały świat się wali. Jest pani w związku z Pontusem Larssonem, prawda?

— Byłam. Jeśli musi pani wiedzieć. To takie żalosne. Duży, silny facet pociesza małą, słabą kobietkę, łądują w łóżku. Pontus ma żonę, którą kocha. Mam szczerą nadzieję, że się z powrotem odnajdą. — Kristina wyjęła zgniecioną serwetkę z filiżanki i ponownie wydmuchała w nią nos. Maria zmrużyła oczy, próbując zignorować to, co zobaczyła.

— Jak dobrze znała pani Cecilie Ståhl?

Słyszając to pytanie, Kristina zastygła w ruchu, a potem odgarnęła włosy, próbując ubrać w słowa to, co było tak trudne do wypowiedzenia.

— Widywałam ją, od kiedy ledwo odrosła od ziemi, kiedy Annalisa zabierała ją do biblioteki na czytanie bajek. Wypożyczały książki co tydzień. Annalisa i ja chodziłyśmy razem na zajęcia z malowania porcelany. Czasami, gdy nie miała opiekunki, córka szła razem z nią. Cecilia była nieprzeciętnie inteligentną dziewczynką. Miała filozoficzne usposobienie. Dużo myślała. Tak może bywa, gdy życie tak wcześnie kogoś doświadcza. Kto z nas potrafi bez sprzeciwu zaakceptować śmierć?

— Czy wie pani, jak szła jej nauka?

— Wydaje mi się, że była bardzo zdolna, nawet jeśli sprawiała inne wrażenie. W takim wieku łatwiej jest siedzieć na lekcjach z palcem w nosie, niż być kujonem. Trzeba uczyć się w jak największej tajemnicy przed innymi. To jest tak osobiste jak wizyta w toalecie. Nie

mówi się o tym. Sama pani chyba pamięta, jak to było? — Kristina wygładziła dłonią obrus połaďdowany przez tacę.

— Tak, pamiętam. Czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Jaki Cecilia miała do pani stosunek? Mam na myśli, czy zauważyła pani różnicę w jej zachowaniu, kiedy plotki o mężu dotarły do pani?

— Właściwie to spytałam ją wprost, czy Svante okazywał brak szacunku któremuś z uczniów. Musiałam dowiedzieć się, czy była choć odrobina prawdy w tym, co mówiono. W pierwszej chwili była trochę zakłopotana, tak mi się wydaje. Później powiedziała, że niczego nie zrobił, nic poza tym, że kiedy były jeszcze w podstawówce, nadzorował je pod prysznicem. Po naszej rozmowie stała się może trochę bardziej wycofana, mniej spontaniczna w kontakcie ze mną. Ale nie żałuję, że próbowałam dowiedzieć się, co na ten temat myślała. Była trochę typem lidera.

Rune Villman wszedł powłóczyстым krokiem do kawiarni bibliotecznej. Maria próbowała go pozdrowić, ale on jej nie zauważył. Podeszedł prosto do kasy.

— Rut dziś nie ma?

— Nie, Rune. Miała przyjść sprzątać po przerwie na lunch. Myślałam, że jest chora. — Kelnerka postawiła półmisek z ciasteczkami migdałowymi i przywołała Kristinę gestem ręki. — Widziałaś dziś Rut Villman? — Bibliotekarka potrząsnęła głową. Nie widziała jej, co było bardzo dziwne. Rut Villman, której na drugie imię było punktualność.

— Może musiała zostać dłużej w szkole. Panuje w niej niezłe zamieszanie, od kiedy prowadzimy tam przesłuchania. Pewnie zaraz przyjdzie, proszę zamówić jeszcze coś do picia. Ja stawiam. — Maria wygrzebała portfel, czując, że niełatwo będzie wywiązać się ze swojego zobowiązania.

— Wiem, jakich perfum pani używa — powiedział Rune, gdy stanął tuż przy Marii i pochylił głowę nad jej szyją. — Wyczułem, że tu pani jest po zapachu. Rozpoznaję pani zapach.

— OK. Proszę powiedzieć.

— Escape. Mam rację, prawda?

— Tak — przyznała Maria. — Zgadza się. Czy wyczuł pan po zapachu, że Rut dziś nie ma?



— Oczywiście.

— A jakich ona używa perfum? — spytała Kristina.

— Pachnie kawą i wilgotną wełną. Nie używa perfum. Choć uważam, że powinna. Ale nie chce perfumować się na co dzień. Kupiłem jej perfumy, kiedy skończyła 60 lat. Używa ich tylko przy bardzo szczególnych okazjach. Choć nie ma ich właściwie zbyt wiele.

## 34

W różowej poświacie zachodu słońca Kronviken wyglądało jak ilustracja z książki z baśniami. Nietknięty śnieg, który okrył miękką powłoką domy, płoty i zagajniki, odbijał światło różową i złotą barwą. Na drzewach połyskiwał szron. W tle rozpościerała się skalista góra. Za iglicą wieży kościelnej zbierały się ostatnie krwistoczerwone promienie, by następnie rozpląnąć się w nocy. W oknach paliły się adwentowe świeczniki, ledwie zauważalne na tle wciąż jeszcze jasnego dnia. Rzucane przez snopy owsa długie cienie padały na ziemię jak drzewa w kolorze purpury obalone niewidzialną siekierą.

Maria pozwoliła sobie na rozkoszowanie się pięknem i mistyczną atmosferą, karmiąc tym urokliwym widokiem swe wewnętrzne dziecko. Tęsknotę za świętami, domowymi wieczorami, gdy czas płynął wolno na odwijaniu z papierków choinkowych cukierków, opłataniu koszyków czerwono-zielonym błyszczącym papierem i odlewaniu świec. Płynące opieszale dni świąteczne, kiedy sztywne knoty maczano w stearynie i zostawiano do wyschnięcia w kuchni babci Vendeli. Takiej domowej atmosfery nie można kupić jako gotowego produktu, w kartonie z równymi, spiczastymi świeczkami masowej produkcji. Opowieści, zagadki i śmiech nie są wliczone w ich cenę. Przetrwały próbę czasu, podobnie jak zapachy ciepłej masy stearynowej, lakieru, świeżo upieczonych bułeczek szafranowych i parzonej kawy. Maria pomyślała, że kupowany czas jest taki ubogi dla duszy. Wyzuty z wartościowych treści. Zjawisko to można nazwać wzmagającym się konsumpcjonizmem. Siła przyzwyczajenia staje się ogromna, dawki wzrastają wraz z cenami, a czas staje się towarem deficytowym. Deficyt czasu, deficyt miłości, deficyt snu i wartościowych treści, by wymienić tylko kilka chorób współczesnej cywilizacji. Ciułanie pieniędzy na prezenty świąteczne bardzo męczyło Marię. Gdyby wszyscy krewni z rodziny Wernów zdecydowali się zrezygnować z dawania sobie wzajemnie prezentów, życie stałoby się prostsze. Ale teściowa nigdy by się na to nie zgodziła. Nie po tym, jak przez cały rok zbierała gratisy i prezenty powitalne, wstępując do klubów książkowych, a później występując z nich, ponosząc

możliwie najmniejszy związany z tym koszt. Później, nie otwierając prezentu, można było ocenić, czy jest to torebka czy też może zegarek. Gudrun Wern była po prostu zwykłym złodziejem torebek, ale nie wzbudzało to w niej żadnego poczucia wstydu. „Pomyśl, że torebka kosztowałaby dwieście pięćdziesiąt dziewięć koron, dwieście pięćdziesiąt dziewięć koron!”. Za to teść przychodził z przedmiotami znalezionymi w śmietnikach. Zabierał stamtąd wszystko, co warte było zachodu, by zapakować to na prezent. Podarowane przez teściową prezenty wymagały rewanżu. Biorąc pod uwagę ich obecną sytuację finansową, było to zupełnie niemożliwe. Zamiast tego kończyło się więc na karcie podarunkowej z usługami Marii. Umycie dziesięciu okien. Upieczenie bułeczek. Masaż stóp. Opieka nad bratankami Kristera. Podcięcie włosów. Podwiezienie do i z knajpy. A także włączenie się w sprzedaż losów bingo przez bratanków, skarpetek, cukierków na wycieczkę szkolną czy pilnowanie dzieciaków na dyskotecę w sobotni wieczór. Albo przesadzenie kwiatków doniczkowych lub ręczne pranie wełnianych i dzierganych ubrań.

Maria zaśmiała się sama do siebie na wspomnienie pierwszych świąt w rodzinie Wernów, gdy teściowa podarowała jej wydzierganą tubkę w żółte paski grubości serdelka zakończoną pętelką. Wyglądała jak zrobiona na szydełku prezerwatywa, z zimowej kolekcji. Maria była nieco zażenowana, zanim zdała sobie sprawę, że przeznaczeniem owego produktu było umieszczenie go na ręczce patelni jako ochrony przed oparzeniem. Tubiasta rękawica kuchenna. Raczej nie klub książkowy, prawdopodobnie zsyp lub produkcja własna.

Droga wiodąca do kościoła w Kronviken była nieodśnieżona i śliska. Maria wrzuciła niższy bieg. Ogrzewanie osiągnęło w końcu swój najwyższy poziom, a wkrótce będzie pora, by wysiąść z samochodu. Wzięła głęboki wdech i próbowała odprężyć się przed spotkaniem z małżeństwem Ståhlów. Miała do przedyskutowania kilka kwestii z ojcem Cecylii po rozmowach z Amandą Myrbacke. Obrazek przykładowej uczennicy zmieniał się i stopniowo wyłaniał się nowy, jak w rosyjskiej matryoszce. Igranie ze śmiercią. Skąd czerpała inspirację? Ćwiczenia polegały na zadawaniu sobie bólu, igraniu z niebezpieczeństwem i rzucaniu wyzwania śmierci. Ból, który sprawiał, że niewyobrażalnie zakłamaný świat stawał się bardziej namacalny. Ból jest prawdziwy i konkretny. I życie. Może realność życia jest w stanie uwydatnić się tylko w kontraście do swego przeciwieństwa — śmierci? Odwieczne pytania, które znajdują swój początek w nastoletnim wieku — czasie miotania się między wielkościami — rodzą się, gdy zdajemy sobie sprawę z duchowego aspektu na-

szego istnienia. Jak daleko można się posunąć w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania dotyczące kwestii egzystencjalnych? Gdzie przebiega granica normalności? Co jest chore, a co zdrowe?

Reidun musiała usłyszeć nadjeżdżający samochód. Stała na schodach, otulona szlafrokiem. Jej dłoń była bardzo zimna, Maria poczuła chłód, który przeniknął do jej krwiobiegu, gdy się przywitały. Z ust ich obu wydobywała się para, kiedy stały naprzeciw siebie w korytarzu. Maria nie rozebrała się z kurtki, ale poczuła, że powinna zdjąć buty.

— Czy coś się stało z piecem?

— Mąż uważa, że olej jest zbyt drogi, a ja nie wiem, jak rozpala się drewnem. Nigdy tego nie robiłam. On leży w łóżku. Chyba ma gorączkę. Nie chce mnie wpuścić. — Reidun z desperacką otwartością ujawniła, jak przedstawia się obecnie jej sytuacja życiowa. — Co mam teraz zrobić? Nie chce ze mną rozmawiać. Najchętniej bym stąd uciekła. Czuję się, jakbym mieszkała w grobowcu. Ale nie chcę go zostawić. Nie w stanie, w jakim się teraz znajduje.

— Kiedy ostatnio pani jadła? — Maria spojrzała na zapadnięte policzki i cienie pod ciemnymi oczami Reidun.

— Nie wiem. Głównie piję kawę.

— Zejdę z panią na dół, żeby sprawdzić piec.

Maria czuła już, jak jej mięśnie sztywnieją z zimna. Reidun pokazała jej drogę do prowadzących do piwnicy schodów, poczłapała w swych zdecydowanie za dużych kapciach w kratkę. Maria szukała po omacku włącznika światła, ale nie odnalazła go. Chwilę potrwało, zanim oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dotknęła dłonią szorstkiej ściany. Ciemny korytarz otoczony zamkniętymi drzwiami prowadził do pralni z okratowanymi lufcikami okiennymi. Maria zauważyła, że wiszące na sznurkach ubrania należały w większości do nastolatki, koszulki, t-shirty z nitami i nadrukami przypominającymi graffiti. Nieruszane. Zamrożone. Zesztywniałe pod klamerkami. Reidun bez słowa otworzyła drzwi do kotłowni. Maria instynktownie wyczuła zagrożenie. Telefon został na komisariacie. Nie zawiadomiła dyżurnego, że wybiera się na plebanię; pomysł, aby uzupełnić zdobyte informacje i zobaczyć, co słychać u Johannesesa Ståhla, pojawił się spontanicznie w drodze do domu.

Poczekala, az zona pastora zapali swiatlo i wejdzie do srodka pierwsza. Ale kobieta stala przed drzwiami. Ręce zwisały bezwładnie po bokach jej szlafroka, ale dłonie się zacisnęły. Coś było nie tak, zdecydowanie. Dlaczego wahała się, skoro wejście do środka powinno być tak oczywistym krokiem? Co znajdowało się tam w środku w mrokach kotłowni? Coś, co sobie nagle przypomniała? Maria odczekała chwilę, na wpół świadomie rozważała, jaki jest stosunek sił. Silna budowa ciała Reidun przeciwko jej własnej. Potężne, umięśnione łydki zwróciły uwagę Marii już w momencie, gdy kobieta schodziła po schodach. Szerokie barki. Potężne dłonie.

— Dajmy sobie spokój. — Szorstki głos Reidun odbił się echem między betonowymi ścianami.

— Ale dom jest całkowicie wyziębiony. — Maria wyciągnęła rękę, szukając włącznika. Próbowała zachowywać się naturalnie, choć każdy mięsień jej ciała był gotowy do walki. Jak mogła być taka głupia i przyjechać tu sama? Tak niebywale naiwna. Większość morderstw w czasach pokoju popełniana jest przez osoby znające ofiarę. W trakcie dochodzenia zawsze istnieje ryzyko wdepnięcia na minę. Maria ogarnęła wzrokiem pomieszczenie. Zza szarej fasady pieca wystawał kawałek kołdry w kratkę. Brzeg brudnego talerza. Stos ubrań. Fajansowy kubek do kawy. Popatrzyła pytająco na Reidun, czekała na odpowiedź, podczas gdy myśli błądziły gorączkowo, próbując poskładać kawałki puzzli zebranych w wyniku śledztwa. Czy w ramach kary zamknęli dziewczynkę w piwnicy, trzymali pod kluczem w kotłowni? Czy to możliwe? Niełatwo jest wychowywać nastolatkę, która zaczyna wyrażać swoje zdanie, staje się niezależna, prowokująca i egoistyczna. Myśl zapętlila się, krążyła w głowie i powróciła.

— Kto tu śpi?

— Ja. — Ciało Reidun jeszcze bardziej się usztywniło. Dłoń powędrowała w kierunku szyi w trudnym do zinterpretowania geście. — Dopóki było jeszcze ciepło, spałam tutaj. W ciemności jest bezpiecznie. Tutaj nikt nie zagląda ci przez okno. Tu na dole nie słychać telefonu, kiedy wydzwanają, by kupczyć twoimi najbardziej osobistymi sprawami.

— Śpi tu pani, aby unikać kontaktu z ludźmi?

— Tak, ciekawskimi ludźmi, których nie znam. Ludzie gapią się, ale nie podejda, aby porozmawiać. To takie strasznie uczucie.

— Bardzo chciałabym pani pomóc. Trzeba będzie przejść na olej, żeby kaloryfery nie pozamarzały. To może kosztować. To pewne.

Powoli w domu rozeszło się ciepło. Tymczasem Maria wrzuciła do garnka wszystko, co znalazła w kuchni: ziemniaki, marchewkę, pomidory w puszcze i cebulę, następnie ugotowała warzywa w bulionie drobiowym.

— Nie zrobiłam zakupów. — Reidun usiadła ciężko przy stole w kuchni i oparła głowę na rękach. — Ludzie zerkają na mnie, ale unikają kontaktu wzrokowego i znikają między półkami, gdy się do nich zbliżam. Jakby smutek był wstydliwą i zaraźliwą chorobą. Dokładnie takie mam odczucie. Jakbym była zadżumiona. W końcu zaczęłam się ich bać.

— Może nie wiedzą, co powiedzieć, żeby nie sprawić więcej bólu. — Maria obmyła drewnianą łyżkę w zimnej wodzie i zamieszała w garnku, kiedy zupa się zagotowała. Ogrzała dłonie nad parą.

— Chciałabym, żeby coś powiedzieli, cokolwiek, wszystko jest lepsze niż milczenie. Byłabym wdzięczna, gdyby zagadali na temat ceny ziemniaków, odśnieżania albo czegokolwiek, do diaska. Żeby tylko czuć, że się dla nich istnieje, że mi dobrze życzą. Teraz przyjaciele umilkli, a pałeczkę przejęły hieny. Wczoraj byli tu ludzie z telewizji. Pogoniłam ich pogrzebaczem, kiedy chcieli się dostać do Johannesesa. Telefon odłączyliśmy. Przez cały ranek widać było za oknem błysk fleszy, kiedy już prasa zwęszyła, że chodzi o morderstwo. Telefon dzwonił jak oszałały. Tak łatwo paść ofiarą zwykłego dziennikarza, opowiedzieć wszystko, dać się sfotografować i pokazać rodzinny album. Dobrze, że nas ostrzeżliście. To, co się mówi pod wpływem szoku, to niekoniecznie prawdy, z którymi chce się przejść przez resztę życia.

— Może jest to gorzkie doświadczenie, którego wielu musi zakosztować. — Maria wzięła tacę z jedzeniem i zapukała do drzwi sypialni. — Johannesie, to ja, Maria Wern z policji. Chciałabym porozmawiać.

Nie odpowiedział, ale jego oddech był tak ciężki, że słysząc go było przez zamknięte drzwi. Maria wzięła tacę w jedną dłoń i ostrożnie otworzyła drzwi. Było ciemno i zimno, a w powietrzu unosił się stęchły zapach. Pod stosem kółder kuliło się wychudzone stworzenie z zapadniętymi oczami, pogrążone w nieruchomej kontemplacji.

— Przyniosłam trochę zupy. Musi być pastor głodny.

— Nic nie chcę. Już nic nie chcę od życia.

Maria namawiała go do jedzenia jak małe dziecko. Próbowwała zachęcić go zapachem, uspokoić słowami i nakłonić do jedzenia. Łyżeczka za łyżeczką.

— Może przynieść jeszcze trochę? — Nie czekając na odpowiedź wyszła do kuchni i przyniosła dokładkę.

— Zostanę w kuchni — zdecydowała Reidun. — On mnie nie wpuści.

— Nie mają państwo żadnych przyjaciół, którzy mogliby tu przyjechać i pobyć z wami? Zrobić zakupy, porozmawiać?

— Nie, nie wydaje mi się. — Reidun zjadła zupę i wpatrywała się w talerz. — Nie. Nie wiem, do kogo mogłabym się zwrócić z taką prośbą. Nikt nie chce, żeby mu przeszkadzano. Żyjemy iluzją własnej nieśmiertelności. Nikt nie waży się przebić tej bańki.

— To pewnie prawda.

— Nie chciałam, żeby ktoś zobaczył Johanna w tym stanie. Kogo można by dopuścić do tego nędznego widoku?

Kiedy pastor zjadł trzecią porcję zupy i skorzystał z toalety wciąż ubrany w piżamę w paski, jego siły witalne zaczęły powracać. Kiedy początkowy opór zelżał, dalsza rozmowa przebiegała z niewymuszoną płynnością. Sztywne ciało rozluźniło się nieco pod wpływem ciepła, słowa stały się mniej oszczędne, a wypowiedzi bardziej złożone. Maria poruszyła możliwie jak najdelikatniej temat zabawy ze śmiercią i wypadku Annalisy.

— Nie mogę sobie wybaczyć. — Johannes usadowił się oparty o wysoki szczyt łóżka i westchnął głęboko. — Nie mogę sobie wybaczyć swojej nikczemności.

Maria czekała, aby usłyszeć streszczenie monologu, który wybrzmiewał teraz w głowie pastora. Ten zaś pokiwał, potrząsnął głową i wydał z siebie cichy pomruk.

— Czego nie może pastor sobie wybaczyć? — Dotknęła jego dłoni, aby skupić jego uwagę.

— Że nie pozwalałem Cecilii mówić o Annalisie. Słuchanie o wypadku było dla mnie zbyt bolesne. Uciszałem ją za każdym razem, gdy próbowała o tym mówić. Nie byłem w stanie pogodzić się z tym, że moje ukochane dziecko spowodowało śmierć Annalisy i przysporzyło mi takiego cierpienia. Nie potrafiłem zaakceptować tego, co chciała mi po-

wiedzieć. Czy to brzmi dziwnie? Przemilczeliśmy to, jakby nigdy się nie zdarzyło. Z tego, co wiem, nie opowiedziała tego policji ani nikomu innemu. Pokłóciły się. Córka od zawsze miała wybujały temperament. Pociągnęła matkę za rękę i ugryzła ją. Annalisa zdekonzentrowała się, wjechała na przeciwny pas i wpadła w poślizg. Może ubzdurałem sobie, że Cecilia nie będzie czuła się winna, jeśli nie będziemy o tym mówić. Myślałem, że to dla jej własnego dobra. Teraz wiem, że nie była to cała prawda. Bałem się, że nie będę potrafił jej kochać, że prawda o wypadku nie może iść w parze z miłością, jaką należy darzyć swoje dziecko.

— Dziękuję, że mi to pastor opowiedział — rzekła Maria.



**35**

Kiedy wczesną porą następnego ranka Maria otworzyła drzwi do oddziału technicznego, znalazła Erikę głęboko skoncentrowaną przy komputerze. Szeroko otwarte okno wpuściło do środka zimę; między doniczkami z roślinami utworzyły się małe zaspę śniegu.

— Już jesteś? To do ciebie niepodobne, nigdy nie byłaś rannym ptaszkiem.

— Stwierdziłam, że szkoda zachodu, aby jechać do domu. Zamiast tego przespałam się na kanapie w twoim gabinecie. — Erika odwróciła się w stronę Marii, nie przekręcając głowy, aby oszczędzić swój obolały kark. Najwyraźniej była to prawda. Kwaśny zapach potu, pogniecione ubrania i czarny tusz do rzęs rozmazany na policzku stanowiły wyraźny dowód, że Erika spędziła tu noc.

— Co robisz? — Maria stanęła za jej plecami, by przyrzeć się ekranowi.

— Zabezpieczyłam ślady przy torach i w pokoju Cecilii. Dla porównania pobraliśmy odciski palców pastora, Reidun i Amandy Myrbacke. Z rana wysłę materiał do laboratorium. To niezła zabawa — porównywać odciski palców i zgadywać, co powie ekspert. Musi się zgadzać dwanaście szczegółów, aby uznać zbieżność. Popatrz: tu linie biegną jak na widelcu. Tu masz punkt i tu zaczyna się linia, ale kończy się zbyt wcześnie, by zgadzać się z odciskiem kciuka Amandy. Zgadza się natomiast z palcem wskazującym Johanna.

— Do jakich wniosków doszłaś?

— Dowiesz się, gdy skończę. Bądź cicho, to pójdzie mi szybciej. To wymaga więcej uwagi i cierpliwości, niż wam się wszystkim wydaje.

Maria pozostała przy komputerze i podążała wzrokiem za oznaczeniami, które Erika wprowadzała na przyciemnioną kopię odcisku.

— Przestań na mnie chuchać! Czego chcesz?

— Chciałam ci powiedzieć, że zatrzymaliśmy uchodźcę, którego podanie o azyl zostało odrzucone. Zbiegł, gdy miał zostać deportowany przed siedmioma miesiącami. Malaki al Hakim, nie wiem, czy pamiętasz. Pisali o nim w gazecie. Pewna lokalna grupa walczyła o przyznanie mu prawa pobytu. Siedzi teraz w areszcie. Gdy znajdziesz chwilę, możesz go później sprawdzić. Jego odciski palców są chyba w AFIS<sup>10</sup>, od kiedy ubiegał się o azyl. Nie ma żadnego dowodu tożsamości.

— O kurcze! Gdzie go dopadliście?

— Wszystko odbyło się bardzo spokojnie. Stał w kolejce w sklepie żelaznym. Ek go zobaczył i skombinował posiłki. Nie awanturował się, gdy go zabierali. Czy możesz już powiedzieć coś na temat odcisków?

— Widzę, że nie dasz mi spokoju! Nie jestem ekspertem. Tylko zgaduję. Odciski palców Cecyllii i Amandy są w budce, choć to nie dziwi, skoro ojciec Amandy jest jej właścicielem. Odciski Cecyllii znajdują się wszędzie, na każdej ścianie, na podłodze i na całych drzwiach. Musiała być tam zamknięta. Wewnętrzne szyby w budce są pobite, ale nie mogła się wydostać, bo ktoś zabił je deskami od zewnętrznej strony. Znaleźliśmy ślady krwi między kawałkami szkła. Dziewczyna musiała się skaleczyć. Jeśli przypatrzysz się fotografii jej spodni — temu, co z nich zostało, to zobaczysz na jednym kolanie dziurę w materiale i plamy krwi. Część materiału musi być jeszcze poddana analizie. Na swetrze są plamki z krwi. Będę musiała wysłać całe ubranie do analizy. Ofiara miała resztki czarnej skóry pod paznokciami, nie jest to ludzka skóra, nie ma żadnej wydzieliny, być może resztki pochodzą z pary skórzanych rękawiczek. Czy mogłabyś przynieść mi filiżankę kawy i coś do jedzenia? Cokolwiek. Nie dam rady podołać większym wyzwaniom, gdy spada mi poziom cukru.

— Przyczyną objawów psychotycznych jest częściej brak snu niż głód, wiedziałaś o tym? — Maria wróciła z kuchni z kawą oraz kilkoma bagietkami z serem i czekała cierpliwie na ciąg dalszy. Ofiara. Używanie słowa „ofiara”, gdy szczegóły stają się zbyt drastyczne, jest niezbędnym zabiegiem w zawodzie technika, jeśli chce on zachować dystans do swojej pracy. Bezimiennosc. Ofiara albo ciało. Jak w przeciwnym razie znieść grzebanie w tkankach ludzkich i informować o swoich obserwacjach, jeśli się ich wcześniej nie

---

<sup>10</sup> Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej (przyp. tłum.).

odpersonifikuje i nie zracjonalizuje. Maria pomyślała, że to nie dotyczy wyłącznie techników.

Według Eriki Cecilia została uduszona, zagazowana cyjanowodorem w budce, a po śmierci przetransportowana na sankach do torów kolejowych. Odłamek różowego plastiku i ślady, które prowadziły z powrotem od torów do budki, stały się podstawą tezy poddanej fragment po fragmencie weryfikacji. Zwykle jasnoróżowe plastikowe sanki, sprzedawane w pierwszym lepszym domu towarowym, a nawet w sklepie spożywczym z szerszym asortymentem. Dwadzieścia dwa egzemplarze takich sanek znaleziono w ogródku świetlicy w niezamkniętym składziku. Dzieci z szeroko otwartymi oczami obserwowały, jak policja zabiera ich sanki i owija je w folie. Pracownicy szkoły czuli niemal oddech śmierci na plecach. Coraz więcej rodziców zaczęło podwozić oraz odwozić swoje dzieci ze szkoły i z przedszkola. Została sporządzona lista dyżurujących na podwórku szkolnym i wspomniano o zatrudnieniu prywatnej firmy ochroniarskiej, jeśli policja nie będzie w stanie zapewnić koniecznych środków. Sanki wzięto pod lupę. Wytypowano jedno, do których pasował znaleziony odłamek plastiku. Sanki te miały ślady czarnej skóry na uchwycie i sznurku. Ślady butów odcisnięte w wilgotnym śniegu również poddano oględzinom, na podstawie których wnioskowano, że były to kozaki Graningem rozmiar 40–42.

Erika zdjęła okulary i przeszła wzrokiem Marię, kiedy ta postawiła przed nią filiżankę kawy.

— Streszczę później moje wnioski, jeśli pozwolisz mi to skończyć w ciszy i spokoju. Daj mi znać, gdy pojawią się Hartman i Ek.

Maria podkręciła ogrzewanie na kaloryferze w swoim pokoju i usiadła przy komputerze, aby skończyć protokół z przesłuchania, do którego notatki poczyniła podczas drugiej wizyty u dyrektora Bertila Monteliusa. Informacja pochodząca od Rut Villman przekonanej o tym, że Cecilia odwiedziła dyrektora przed pokazem filmowym w poniedziałkowy wieczór, wymagała dalszego wyjaśnienia. Dyrektor początkowo miał problemy z przypomnieniem sobie tego zdarzenia.

— Bez przerwy przewijają się tu tłumy ludzi.

— Czego chciała Cecilia? — Maria nie dawała za wygraną.

— Chciała prosić w imieniu samorządu uczniowskiego o zwołanie zebrania nauczycieli z uczniami. Musi pani wiedzieć, że nie prosiła o to po raz pierwszy. Odmówiłem oczywiście. To był tylko pretekst, żeby urwać się z lekcji.

— Jaki temat chciała poruszyć?

— Trudno wyobrazić sobie coś bardziej niedorzecznego. Nie możemy przecież, do diabła, zgadzać się na wszystkie szalone pomysły, które wpadną im do głowy. A z tym współdecydowaniem uczniów to już zabrnęło trochę za daleko. Nie można pracować w spokoju.

— Czego chciała?

— Żądała, aby uczniowie oceniali nauczycieli, by było sprawiedliwie. To miał być sposób na podniesienie jakości nauczania. Żeby nauczyciele się nie obijali. Obijali! Mamy nauczycieli, którzy idą na zwolnienie, bo nie są w stanie udźwignąć ciężaru związanego z ich pracą. Skąd się to niby bierze?

Zbulwersowany ton dyrektora brzmiał bardzo autentycznie. Jak zaznaczyć ton głosu w spisywanym protokole? Cecilia była zatem przewodniczącą samorządu szkolnego. Komentarze dyrektora na temat pracy policji również nie zostaną zapisane w dokumentacji, w każdym razie nie przez Marię Wern, mimo że pochłonęły wiele jej czasu i emocjonalnej energii.

— Co wy właściwie, cholera, robicie? Przekładacie papiery i zgarniacie pensje! Gdybym był w policji, przyskrzyńskiłbym każdego cudzoziemca, tak bym zrobił, do diabła. Ich kobiety chodzą po ulicach zakutane w swoje szmaty od stóp do głów. Jak one im nie dadzą, to się wezmą za nasze kobiety. Zajmijcie się nimi. Siedzą tam i surfują w Internecie. Wystarczy ich tylko złapać i wysłać z powrotem do domu. W tym kraju jest taki pieprzony bałagan. To wszystko sprawka tych mięczakowatych policjantek i polityków. Nie mają jaj. Słyszałem, że policja chce zatrudnić aspirantów obcego pochodzenia. Jak to, do cholery, dalej będzie? Jeśli będę musiał zamknąć tę szkołę, to z powodu braku kompetencji i inwencji działania ze strony policji.

Prawdopodobnie zostało jeszcze co nieco do powiedzenia na ten temat i wtedy zapewne cały cenny czas przesłuchania poszedłby na marne. Uleganie prowokacji było oczywiście nieprofesjonalne, ale psychiczne oplucie bywa równie nieprzyjemne jak to real-

ne. Los uchodźców w obozie przy porcie stał pod znakiem zapytania, jeśli więcej ludzi podzielało poglądy dyrektora Bertila Monteliusa. Podobnie rzecz się miała z atmosferą panującą w szkole w Kronviken i napięciami między dziećmi autochtonów i imigrantów. A teraz jeden z uchodźców siedział w areszcie. Za chwilę prasa skojarzy ten fakt z morderstwem Cecilii Ståhl.

Maria oczami wyobraźni widziała, jak dyrektor Montelius z kwaśnosłodkim uśmiechem przyciska poranną gazetę do poplamionej kawą koszuli z syntetycznego materiału. „A nie mówiłem? Tu nie trzeba przedstawiać żadnych dowodów w sądzie, wystarczy, cholera, na nich spojrzeć. Jeden z drugim to kryminalista”.

Zawsze najłatwiej jest wytypować winnego wśród innych niż my. Pośród dziwaków, takich jak Rune Villman, pośród obcych lub tych, którzy mają już coś na sumieniu. Przestępca nie może być przecież zwykłym człowiekiem. A jednak nierzadko się zdarza, że gdy czyta się gazety po zakończonym śledztwie — szczególnie często w przypadku przestępstw na dzieciach — nagłówki świadczą o jednogłośnym zdziwieniu respondentów. „Nigdy nie przypuszczalibyśmy, że nasz przyjaciel, szanowany sąsiad może okazać się winny. Był przecież uczciwym pracownikiem, tak jak my płacił podatki”. Większość morderstw popełniana jest przez kogoś, kto zna ofiarę. Najmniej bezpieczny jest nasz własny dom, jeśli wierzyć statystykom.

Erika Lund zmrużyła oczy, patrząc w silne światło jarzeniówki na suficie. Podniosła się z wysiłkiem z krzesła, zgasła światło w pokoju i włączyła projektor. Zdjęcia były niezwykle przejmujące: rozczłonkowane ciało, plecak szkolny i jego zawartość, ślady na śniegu.

— Nie ma śladów świadczących o przemocy seksualnej. Żadnej spermy. Błona jest nietknięta. Była jeszcze dziewicą, mimo wszystko to jakaś ulga. Ślady krwi na swetrze Cecilii, tu na przodzie, to nie jest jej krew. Najprawdopodobniej należy do przyjaciółki, Amandy Myrbacke. Plamy krwi pojawiły się tam zapewne podczas wieczoru filmowego. Według zebranych informacji skaleczyła się butelką po winie. Na tym samym swetrze znaleźliśmy również włos Toma Flodströma. Znalazł się tam pewnie tego wieczoru, kiedy zostało popełnione morderstwo. Według Reidun Ståhl Cecilia przebrała się w czyste ubrania, zanim wyszła z domu razem z Amandą.

— Nie mamy motywu. Ludzie zaczynają się naprawdę bać. Musimy pozyskać nowe środki. — Ek odłożył długopis i wyciągnął nogi pod stołem. — Kto się zajmie prasą?

— Ty? — Hartman mrugnął jednym okiem, spodziewając się protestu ze strony Jespera.

— Zamierzam o tym przypomnieć przy najbliższych negocjacjach dotyczących podwyżek — odparował Ek. — Zdajesz sobie sprawę, jaki to ciąg. Telefony się urywają, zaniepokojeni rodzice, telewizja i brukowce dzwonią na przemian. Ludzie zaczynają się denerwować nie na żarty tym, że nic się nie dzieje i jeszcze nagle złapaliśmy nielegalnego imigranta. Musimy jak najszybciej wyjść z informacją, że tu chodzi o azyl i że jest już decyzja o deportacji. Pytanie tylko, czy ludzie w to uwierzą?

— Przynajmniej nie będziesz musiał rozmawiać w czasie wolnym od pracy. — Maria przesunęła krzesło, aby zrobić miejsce dla Eriki, która próbowała precyzyjnie się za jej plecami. — Rodzice dzwonią rano i w nocy z pytaniami, czy powinni pozwolić na samodzielny powrót dzieci ze szkoły do domu. Co im mówić, żeby dodatkowo nie podgrzewać atmosfery? Jakie zalecenia wystosować, jeśli coś jeszcze się wydarzy? Nie mamy pojęcia, o co może chodzić. Nie mamy żadnych podejrzanych. Jeśli nie zaradzimy tej sytuacji, to musimy liczyć się z groźbą linczu. I to jest może w tym wszystkim najbardziej przerażające.

**36**

— Jakiś chłopiec cię szuka. Nazywa się Tom Flodström.

Hartman ocknął się wyrwany z zamyślenia.

— Wpuść go.

Inspektor sięgnął do zasobów pamięci i wydobył z niej niewyraźny obraz, jednak już rozległo się pukanie do drzwi. Chłopak z kolczykiem w języku wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Miał na sobie granatową dzierganą czapkę naciągniętą aż po same brwi, kurtkę z nitami i frędzlami u dołu. Zniszczone spodnie nad potężnymi butami przytrzymywał szeroki pasek, znajdujący się kilka centymetrów pod pępkiem. Pod swetrem widniał cienki prześwit bladej, sinej skóry, która wydawała się świecić na tle szarego poranka.

— Muszę z panem o czymś pogadać. — Kolczyk w języku sprawił, że dźwięk „sz” przeszedł w seplenienie.

— Siadaj. — Hartman wskazał wolne krzesło po drugiej stronie biurka. — Co takiego musisz mi powiedzieć?

Tom zdjął czapkę i wbił w nią wzrok. Inspektor przyglądał się jego włosom albo raczej ich resztkom, ułożonym we frapującą fryzurę — wąskie przebiegające przez środek głowy pasmo, uformowane w przypominające smoczy ogon różki. Hartman z całych sił starał się odgonić opowiedzianą mu przez Arvidssona historię o robotach drogowych, w czasie których łapano delikwentów z kogucim czubem na głowie, by za pomocą ich czupryn maczanych w farbie malować linie na środku jezdni. Albo tę o marynarzu, który wstawiony zszedł na ląd, gdzie spotkał jakieś stworzenie i spytał je: „Przespałem się raz z papugą. Czy to możliwe, że jestem twoim ojcem?”. Koniec. Chwila wymagała szacunku i powagi. Tak łatwo jest ulec przesądom.

— Jest coś, czego nie powiedziałem, wtedy... — Tom szurał nogami pod stołem. Poruszał bezgłośnie wargami, dłużył w jednym z nitów i nie przestawał kręcić się na krześle.

— Dobrze, że tu przyszedłeś. Jesteśmy wdzięczni za wszystkie informacje, które pomogą nam zrozumieć, co stało się z Cecilią. — Hartman uśmiechnął się poważnie, ale sympatycznie. Przez krótką chwilę rozważał włączenie magnetofonu, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu.

— Czy została uduszona? — Tom uniósł brodę i popatrzył w oczy Hartmanowi. Policjant wstrzymał się przed udzieleniem odpowiedzi. Niewskazane jest, aby informacje o *modus operandi* wyciekły do prasy.

— Dlaczego pytasz?

— Pomyślałem sobie, że tak może być. Chciała się w coś takiego bawić, to znaczy udawać, to taka jakby gra. Teatr. Rozumie pan? — Hartman zaobserwował, jak oczy Toma zaczynają błyszczeć i wypełniają się łzami.

— Opowiedz mi o tym — poprosił inspektor i poczuł, jak nadchodzący dreszcz rozchodzi się po całym ciele aż po same palce, w których trzymał długopis. Położył go na stole, kiedy zdał sobie sprawę, jak bardzo drży mu dłoń.

— To się działo najczęściej u mnie w domu, kiedy mamy nie było. Taty prawie nigdy nie ma. Lata do Japonii, Londynu, Nowego Jorku. Cholera wie, gdzie jest teraz. Cissi prosiła, aby zapalić kadzidełko. Nie mogła tego robić u siebie w domu, bo Reidun ma astmę. Zgasiliśmy światło w moim pokoju, zapaliliśmy świeczkę i to kadzidełko. Mama była zła. Uważa, że to cholernie śmierdzi.

Hartman kiwał głową, nie pytając o nic, kiedy Tom zamilkł na chwilę.

— Cissi chciała, żebyśmy położyli się obok siebie na podłodze i udawali martwych, zakopanych głęboko w ziemi w grobowcu jak Egipcjanie w swoich piramidach. Innym razem udawała trupa, a ja miałem ją znaleźć i opłakiwać. I miała grać muzyka, a raz wyrwałem z doniczki kwiaty mamy, jak tam się one, kurde, nazywają... — pelargonie! Ale najczęściej wiązała moje dłonie i stopy sznurkiem. Czasami była z nami również Amanda, wtedy ją wiązaliśmy. Najczęściej była to Amanda. — Tom przetłknął głośno ślinę i pociągnął nosem. — Bawiliśmy się w duszenie, rękami albo szalikiem. Czasami przerywaliśmy dopiero, gdy odgłosy stawały się coraz cichsze i zanikały albo gdy zaczynało dzwonić w uszach i robiło



się na przemian czarno i biało przed oczami. Amanda raz zemdląła. Choć to było dawno temu. Wiosną. Cissi uważała, że to obrzydliwe. Później nie chciała się już w to bawić, w każdym razie nie chciała, aby to ona była duszona.

Tom oparł głowę na rękach na biurku. Pozostał w tej pozycji przez dłuższą chwilę. Jego chudym ciałem wstrząsał płacz. Hartman położył swoją wielką dłoń na jego plecach. Bez słowa. Przeczekał płacz, podał mu rolkę ręczników papierowych. Nie ponaglał.

— Nie chciałem tego — Tom podjął opowieść. — Ale tak bardzo pragnąłem z nią być, tak strasznie mi się podobała, mimo że chciała bawić się w umarłych.

— Tak bardzo ci się podobała. — Hartman słyszał, jak głos mu się łamie.

— Tak. — Tom wciągnął powietrze. — Podobała mi się. Ale czasami była podła. A czasami bardzo fajna. Nigdy nie było wiadomo, czego można się spodziewać. Nie chciałem, żeby udawała martwą.

— Czy byłeś kiedyś w budce przy kempingu? — Hartman bał się usłyszeć odpowiedź. Tom zamyślił się, przez chwilę nic nie mówił.

— Byliśmy tam, gdy Amanda pomagała sprzedawać słodczyce swemu tacie. Czasami się tam bawiliśmy. Cecilia miała klucz. Wie pan, co ja sądzę?

— Nie. — Hartman zaplótł ręce pod brodą, czekając na odpowiedź Toma.

— Myślę, że mogła bawić się w śmierć z kimś innym. W zabawę w duszenie z kimś, kto nie przerwał, kiedy powinien był to zrobić.

Kiedy Tom wyszedł z pokoju, Hartman siedział nieruchomo, prawie jak sparaliżowany, wbijając pusty wzrok w ciemną nicość za oknem. Dzieci — nasza przyszłość. Jak wygląda ich świat? Kto ma czas, by o to pytać i czekać na odpowiedź? Kto ma czas, by je dostrzec, kto potrafi to zrobić? Grupy dzieci w szkole i w świetlicy grożą rozsadzeniem wszelkich norm. Rodzice pracują, by zapewnić swym dzieciom to, co mają inne. Oczekiwania są coraz wyższe.

— Jadę już do domu. Dziś Krister ma dyżur w szkole. Tak, wiem, że będzie ze mnie więcej pożytku tutaj, ale takie argumenty nie przejdą. Nikomu się nie upiecze. Ten, kto nie jest z nami, jest przeciw nam, tak mówi rada szkolna. W obozie wybuchła panika. Dopóki

nie znajdziemy podejrzanego, rodzice będą patrolować teren szkoły i centrum miasta. Wielu uważa, że to zadanie policji albo że należałoby zatrudnić jakąś firmę ochroniarską, ale nie mamy na to środków. Siła policji zależy od tego, ile pieniędzy się na nią łoży.

— Co mówiłaś? Przepraszam. Nie słuchałem. — Hartman potrząsnął głową i otrząsnął się z nieprzyjemnego uczucia.

— Kończę zmianę.

— Kto przesłuchuje tego uchodźcę, Malakiego al Hakima?

— Ek, zamówił tłumacza na jutro. Himberg z lokalnej policji mówi, że imigranci nie są zbyt skorzy do rozmowy.

— Sam bym nie był, gdybym został zaproszony przez Himberga. — Hartman westchnął ciężko. — Czy kiedy przesłuchiwałaś Amandę Myrbacke, rozmawiała z tobą o zabawie w śmierć i duszenie?

— Tak. — Maria, która stała już z dłonią na klamce, usiadła teraz naprzeciwko Hartmana. — Tak, mówiła o tym. Czasami próbowali wywołać omdlenie przez hiperwentylację, kucając, a później gwałtownie się podnosząc, albo naciskając mocno na klatkę piersiową. Gdzie przebiega granica między normalną ciekawością dotyczącą funkcjonowania ludzkiego organizmu a szkodliwym zachowaniem?

Kiedy Maria otworzyła drzwi żółtego domu nad morzem, zmarznięta, zmęczona i głodna jak wilk, w drzwiach nie przywitały ją przyjemne aromaty, tak jak miała nadzieję. Mokre kombinezony leżały w korytarzu, od kiedy dzieci zrzuciły je z siebie, przekraczając próg domu; buty wciśnięte w nogawki spodni, a na samym wierzchu tego stosu przemoczone rękawiczki.

— Hej! Jesteście w domu?

Z salonu dobiegały odgłosy strzelaniny i hamujących z piskiem opon samochodów. Na kanapie siedzieli Krister i Majonez z resztkami tego, co stanowiło wcześniej dwa sześciopaków piwa, absolut, dwulitrowy napój i kilka torebek chipsów. Maria stęknęła głośno. Pusta butelka absolutu. Ćwiartka była zaledwie rozgrzewką dla mężczyzny takiego jak Majonez. Na podłodze pod stołem leżały dzieci, rysując kolorowymi kredami po makulaturze z certyfikatów po kursach.

— Jedliście kolację? — Usłyszeli ją dopiero, gdy udało jej się ściszyć telewizor pilotem. — Jedliście coś? — Krister wskazał dłonią bogatą ofertę na stole. Jego powieki opadały ciężko, a oczy były wyraźnie przeszkłone. — Dzieci też nic nie jadły?

— Nie chcemy jeść kolacji. — Emil wyrzął spod stołu z ustami błyszczącymi od tłustych chipsów. Wszelkie zalecenia szkolnej pielęgniarki odnośnie dziecięcej nadwagi poszły w las.

— Samochód złodziei wjechał prosto w radiowóz, rozbił się tuż nad przepaścią. Ekstra! A później przyszedł ktoś i wepchnęli samochód prosto do wody i jeszcze jeden, i jeszcze. Superekstra.

— Czas już spać. Zrobiłeś pracę domową z matematyki na jutro, Emilu?

— Zapomniałem.

— Krister, miałeś przecież dopilnować, żeby zrobił pracę domową. Wyprowadzałeś Molly? — Pytanie było retoryczne. Chart afgański ocierał się o drzwi i patrzył na Marię wielkimi oczami, posyłając jej błagalne spojrzenie.

— Wiesz, kto to jest czyściciel jelit? — Krister popatrzył na żonę zamglonym wzrokiem i sam odpowiedział sobie na pytanie: — Jedyny wakat w promieniu pięciu mil według pośredniaka to czyściciel jelit w rzeźni. Wiesz, jakie to uczucie siedzieć w pośredniaku i godzić się, by wszyscy widzieli, jak trzymasz w ręku formularz bezrobotnego?

— Beznadziejne — powiedział Majonez. — Całkowicie beznadziejne.

— Człowiek przyzwyczajony do tego, że doceniają jego pracę i że ma kasę w kieszeni, czuje się strasznie, gdy ląduje w miejscu pracy swojego klienta i sam musi wypełniać papiery. Mario, pragnę być doceniany. Jestem pełnym abstynentem. Cholernym abstynentem, jeśli chodzi o docenienie. Nie patrz tak na mnie.

— Krister potrzebuje odmiany... musi... się odstresować. Pomyśleliśmy, że moglibyśmy pojechać do Hamburga, Kirster i ja. — Majonez położył wielką, ciężką rękę na ramieniu przyjaciela, czekając na jego potwierdzenie. — Później, to znaczy, gdy będę mógł wyjechać z kraju.

— Później, kiedy będziesz mógł wyjechać z kraju — przytaknął Krister i zmrużywszy oczy, zapadł w drzemkę.

— Trzeba go rozweselić. To najlepszy sort alkoholu.

— Mam być za to wdzięczna? — Maria przyglądała się swojemu, znajdującemu się w nieszczerólnie pięknym stanie, mężowi.

— Trzeba uważać na bimber domowej roboty, wiesz. Kupuję dobry alkohol, gdy młody wybiera się na imprezę szkolną.

— Ale on ma chyba tylko trzynaście lat?

— Zwykle zabieram go do monopolowego i sam wybiera. W zeszły weekend tak się wkurzyłem. Ta histeryczka ze świetlicy zadzwoniła do mnie i powiedziała, że młody jest pijany i mam po niego przyjechać. Sam trochę wypłem i nie mogłem wziąć samochodu. Ale sąsiad był trzeźwy, więc mnie tam podwiózł. Kurde, ale się wkurzyłem. To nie była jego wina. Nie był bardziej nietrzeźwy niż ja sam. Bez problemu szedł i rozmawiał. Była tam też córka pastora. Chodziła na czworakach i wymiotowała na podwórku. Podwieźliśmy ją do domu. No, nie do samego domu. Chciała się przejść ten ostatni kawałek. To było zrozumiałe, chyba.

Kiedy Maria wyprowadziła psa, zagoniła dzieci do łóżka, powiesiła pranie, pozmiałała podłogę w kuchni, przygotowała dzieciom lunch do szkoły, powyciągała czyste naczynia ze zmywarki i załadowała do niej nową partię brudnych, odkryła, że woda pod prysznicem jest zimna. Krister zapomniał napalić w piecu. Zgasł, wystarczyło tylko zapalić go na nowo. Z im wyższej wysokości się spada, tym bardziej można sobie potłuc tyłek. Czego właściwie spodziewał się po wizycie w pośredniaku? Własnego gabinetu z osobistą sekretarką? Że będzie mógł przebierać pośród wysoko płatnych prac w konsultingu? Rzeczywistość była najwyraźniej inna. „Zamieszczając swoją ofertę w Internecie, czujesz się niemal, jakbyś robił striptiz” — oświadczył, zanim odpłynął na kanapie w salonie, głośno chrapiąc z otwartymi ustami. Maria musiała podwieźć Majoneza do domu. W porównaniu z całą resztą było to najmniejsze zło.

„Kochać cię w zdrowiu i chorobie” — pomyślała Maria, gdy zbierała później puszkę po piwie. Sześć koron kaucji to zawsze sześć koron, starczy na kilo ziemniaków. Róże w rozbitym dzbanku to wciąż są róże, a ziemniaki to ziemniaki. „Dostajesz chyba zasilek?”, „Spokojnie, kochanie. Ogarniam to”. Ale nie było to chyba takie proste. Gdy przyjrzała się temu bliżej, okazało się, że regularnie zaniedbywał wpłaty na kasę dla bezrobotnych. „Pomyślałem sobie, że zaoszczędzilibyśmy kilka groszy na coś fajniejszego”. Czy gdyby po-

zwolił jej na kontrolowanie sytuacji, zobaczyłaby, jak ich stabilne finanse pogrzyły się w całkowitej ruinie? Własna firma. Niewykazująca wpływów, dotowana przez państwo. Nie pójdzie na to wiele koron. „Sądziysz, że będziemy musieli sprzedać?”. Nie, nie zadał tego pytania, ale jest ono nieuniknione. Chyba jakakolwiek praca jest lepsza od przeprowadzki? Praca jak praca, żeby tylko mogli nadal mieszkać w domu, w który włożyli tyle pracy. Ta posada przy oczyszczaniu w rzeźni może być przecież tymczasowa. Czyściciel jelit. To oczywiste, że najciekawsze prace raczej nie pojawiają się w pośredniaku. Gdyby był w stanie schować do kieszeni swoją dumę, mógłby odświeżyć dawne kontakty. Szukać aktywnie. Z czasem musi się coś pojawić.

— Mario?

— Tak? — Maria odstawiła żelazko i podeszła do kanapy, aby usłyszeć, co ma do powiedzenia.

— Kocham cię. Wiem, że na ciebie nie zasługuję. Nie wiem, dlaczego chciałaś zostać z takim dupkiem jak ja. Nawet nie mogę obiecać, że się zmienię. — Wstał na chwiejących się nogach i zataczając się, poszedł do toalety. Maria oparła się o drzwi i ułożyła dłoń w róg, ale zmieniła zdanie. Dlaczego to ona miała jako pierwsza wyciągnąć do niego rękę, na co on na pewno tak bardzo teraz liczył? W tej chwili była przede wszystkim zmęczona i cholernie poirytowana swym mężem, pracą na dwie zmiany, Majonezem i całym tym nie-szczęściem.

— Mario, jesteś tam?

— Nie.

— Kochasz mnie? Powiedz, że mnie mimo wszystko kochasz.

— Jak dodatkowy podatek do zapłacenia i gnijące skorupki po krewetkach.

37

— Jeśli mnie zmusisz, żebym została w domu, będę bardzo zła.

— Proszę cię, Amando. — Eva Myrbacke próbowała pogłaskać córkę po włosach. Ta zrobiła unik i sztywno wyprostowana poszła do swojego pokoju. — Amando, to tak wiele dla mnie znaczy, żeby panowała przyjemna atmosfera, gdy Jesper przyjdzie tu po raz pierwszy. — Eva zrobiła kilka kroków korytarzem w ślad za córką i przystanęła przed drzwiami do jej pokoju, wciąż trzymając w dłoni trzepaczkę. Małe okrągłe krople surowego ciasta na suflet skapywały na jej skarpetki.

— Czego ty chcesz? Mam mieć kokardy we włosach i zagrać mu na flecie? — Amanda zatrzęsnęła drzwi, a Eva została na zewnątrz z dłonią na klamce.

— Amando, słyszysz mnie? Dlaczego mi to robisz? Jeśli tym razem mi nie pomożesz, nie dam ci pieniędzy na wycieczkę szkolną. Żeby to było jasne.

— Mam cię gdzieś! Mam też chyba ojca.

— Nie bądź taka pewna, że da ci pieniądze. Właśnie kupili dom.

— Szantażystka. Dlaczego mieszasz mnie w swoje prywatne życie? Nigdy nie prosiłam, żebyś mnie z nim poznała, z tym gliną... Nie chcę go widzieć.

— Ponieważ moje prywatne życie jest związane z twoim. Myślę, że go polubisz, jak się poznacie.

— Nie sędzę. Czy polubiłam Morgana albo Åkego, albo Lennarta, albo nawet Håkana, chociaż się podlizywał i kupował mi spinki? Nadajemy trochę na innych falach. Zrozum to!

— Jesper jest inny. — Eva nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Zerknęła na zegarek i głośno stęknęła. Jeśli zapach dochodzący z kuchni nie był smrodem spalenizny, to świadczył przynajmniej o przepieczczeniu.

— Co to znaczy inny? Umie puszczać kółka nosem z dymu papierosowego? Lubi pożyczać twoje ubrania? Nie sika na stojąco?

— Amando, przestań. Kiedy w końcu znalazłam kogoś, kto mi się podoba, ty musisz wszystko zepsuć. Otwórz drzwi!

— Jak mi dasz pięćset koron.

— Chyba zwariowałaś?

— Pięćset i kasa na wycieczkę. Sama właściwie zaczęłaś tę licytację. Teraz będziemy negocjować. Za pięćset nie będę zamykać drzwi na zamek i będę się zachowywała, jakby mnie tu nie było. A jeśli mam być miła, to będzie to kosztowało tysiąc.

— Czy ty już zupełnie oszalałaś? Co w ciebie wstąpiło? Nie poznaję cię, Amando.

— Może to dlatego, że nigdy nie ma cię w domu. Zmieniłam się. Umawiamy się na równego tyśiaka?

— Nie mam tyle pieniędzy. Dlaczego się tak zachowujesz? — Głos Evy był cichy i słaby. Słabszy, niż sobie tego życzyła. Teraz zdecydowanie czuć było spaleniznę. Nici z cholernego sufletu.

— Możemy rozłożyć płatność na raty, tak jak wtedy, gdy pożyczałaś mi na komputer. Nie chcę widzieć tego Eka, jeśli mi nie zapłacisz. Nie chodziłabyś do pracy, gdyby ci nie płacono. Tak jest ten świat urządzony, no nie?

Stał w korytarzu z bukietem kwiatów za plecami. „Lalusiowaty chłopiec jak z obrazka” — pomyślała Amanda i przyszpiliła go swym złośliwym wzrokiem. Wyobrażała sobie, że przyjdzie mięśniak w skórze, a tu pojawia się jakiś mały pajac w jasnoszarym płaszczu, białym szaliku i garniturze. „To niemożliwe! Tylko nie mów, że wziął ze sobą kapcie”. Dwa błyszczące skórzane kapcie, które wyjął z materiałowej torby schowanej w aktówce. Eva podała mu wieszak, a on wziął go, jakby był relikwią o nieocenionej wartości. Ujął obiema rękami jej dłoń i uśmiechnął się głupkowato:

— Podnieś klapę sedesu, bo zaraz zwymiotuję! — szepnęła Amanda do Tygrysa, którego położyła przy komputerze, żeby zobaczył Jespera, gdy tylko ten przekroczy ich próg.

Wynegocjowana suma wynosiła dwieście koron. Babcia mawiała, że niewiele można dostać za pieniądze w dzisiejszych czasach, i miała całkowitą rację. Za dwieście koron Amanda zgodziła się siedzieć cicho przy obiedzie i nie zamykać drzwi do swojego pokoju, to wszystko. Słyszała, jak szczebioczą do siebie w kuchni. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej żalosego? Czy czternastolatka musi wysłuchiwać, jak jej matka przemawia dziecięcinniałym głosem, i patrzeć, jak siedzi komuś na kolanach? Słyszała wyrwane z kontekstu zdania, ale to wystarczyło, by zdiagnozować regresję, czy jak to się tam nazywało w języku psychologów.

Włączyła komputer i włożyła płytę. Skazana na wieczór w smutku. Inni z jej klasy, ci, którzy coś znaczyli, mieli iść na imprezę do Karro. „Nie mogę przyjść, bo mamy gościa” — zapowiedziała Amanda, gdy była mowa o imprezie. „Co za szczęście — odpowiedziała Karro, a jej twarz miała szyderczy wyraz, czego wcześniej Amanda nie zauważyła. — Co za szczęście, bo nie jesteś do mnie zaproszona. Będzie za dużo ludzi, wiesz”. Próbowała rozumieć to jak kiepski żart tak długo, jak to było możliwe. Czekala, aż Karro zmieni zdanie i zapyta, czy mogłaby załatwić kilka butelek cydru. Eva już kiedyś kupiła jej cydr, zapewne miała wyrzuty sumienia, ale to zrobiła. Nie można wejść bez biletu wstępu. Amanda czekała na odpowiedź przez resztę dnia w szkole. Nic się nie wydarzyło. Szczęśliwi wybrańcy zaczęli planować wieczór. Patrzyła po ich twarzach i dziwiła się, że się do niej nie odwracają, że z nią nie rozmawiają. Uświadomienie sobie tej strasznej prawdy było jak cios. To nie był żart, tylko brutalna rzeczywistość.

— W co grasz? — Amanda podskoczyła. Nie słyszała, jak nadchodzi. W umowie nie było nic na temat włożenia do jej pokoju. — Eva nie skończyła jeszcze obiadu, więc pomyślałem, że możemy się lepiej poznać. To w co grasz, to pościg samochodowy?

— Carmageddon!

— Jesteś tym czerwonym samochodem? — Ek wziął krzesło i usiadł obok, ignorując jej antypatyczne zachowanie. Czerwony samochód Amandy wjechał właśnie w dwóch pieszych i psa, po chodniku rozprysła się krew. Plusk. A teraz skierowała pojazd na zaparkowany samochód i uśmierciła kierowcę. Samochód płonął, więcej krwi i gwałtowny skręt prosto w tłum ludzi.

— Pudło, jeździsz jak pirat drogowy. — Ek rozluźnił krawat, zdjął marynarkę, a sposób, w jaki się tu zadomowił, zirytował Amandę.



— Żadne pudło. Punkty dostaje się za przejechanie pieszego i zwierzęcia. To jest poziom pierwszy. Proste jak zdeptanie małego kota, tak jest napisane w instrukcji na ekranie.

— Aha. W co jeszcze grasz?

— GTA3, jeśli wiesz, co to jest. — Amanda czuła ucisk w gardle. Nie odrywała wzroku od ekranu. Wypuściła powietrze, dopiero gdy rozniosła w pył kolejny pojazd.

— Szczerze powiedziawszy, nie wiem, całkowicie wystarczają mi tragedie, które oglądam na co dzień. Właściwie to czuję ich przesył. Ktoś, kto był dźgnięty nożem i widział sączącą się między palcami krew, patrzy na to trochę inaczej. — Ek położył dłoń na wysokości przepony i głęboko odetchnął. — Powiedz coś więcej o GTA3.

— Trzeba popełniać przestępstwa. Strzelać do policjantów. Podkładać bomby w samochodach. Zabijać. Czasami można zabierać dziewczyny, wtedy samochód zaczyna się bujać. Dostajesz wtedy dodatkowe życie, sto procent sił vitalnych. Później można dziewczynkę zastrzelić i wtedy ma się z powrotem swoje pieniądze oraz resztę jej utargu. Jak się naszprycujesz, to wszystko leci w *slow motion*, to jest zajebiste.

— Niezła opiekunka do dzieci z tej twojej gry. Gdy ja byłem mały, to zbierałem znaczki.

Amanda czuła jak z brzucha wrywa się jej śmiech, pulsuje i napiera, by w końcu znaleźć ujście w na wpół zduszonym parsknięciu — dźwięku, który przechodzi w niekontrolowany chichot.

— Wierzę ci. — Kiedy zobaczyła zdziwiony i pełen nadziei wyraz twarzy matki, w jednej chwili zamilkła. Nie będzie żadnej przyjemności gratis.

— Masz tę grę w domu? Mógłbym ją zobaczyć?

— Tom pożyczył płytę. Miał ją sobie przegrać.

— OK. Fajną masz bluzkę z tymi nitami. Co oznacza ACAB?

— Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?

— Nie, ale zaryzykuję.

— *All cops are bastards*<sup>11</sup>. — Amanda czuła się trochę podle. Ale co? Atak jest najlepszą obroną. Nie mogła przecież wiedzieć, że szympan, którego mama przyprowadzi tym razem do domu, będzie tak dobrze ułożony.

---

<sup>11</sup> All cops... (ang.) — Każdy gliniarz to skurwysyn (przyp. red.).

— To mi schlebia. Włożyłaś ją z mojego powodu?

— Można by tak powiedzieć. Naprawdę dźgnęli cię nożem? — spytała Amanda i ode-  
rwała wzrok od gry komputerowej.

— Tak, ale miałem szczęście. Przeżyłem. Nie wszyscy są takimi szczęściarzami. Nie  
w realnym świecie.

— Co się wydarzyło? — Amanda starała się, aby w jej głosie nie pobrzmiwał przesad-  
ny zapał. Popatrzyła na swoje obgryzione paznokcie i schowała dłonie pod stół.

— To się stało kilka lat temu w Parku w dzień Wigilii. Próbowałem zabrać broń morder-  
cy szaleńcowi. Restauracja była pełna ludzi. Moim obowiązkiem było ich chronić, na tym  
polega moja praca.

— Nie bałeś się?

— W tamtej chwili nie. Ale później tak. Im częściej widzi się przemoc, tym bardziej do-  
ciera do ciebie, jak cenne jest życie. To wcale nie takie oczywiste, że można samodzielnie  
chodzić, jeść czy oddychać. Zrozumiałem to, gdy leżałem w szpitalu oplątany kablami od  
stóp do głów. Życie jest darem. Teraz, kiedy przekonałem się, jak łatwo można wszystko  
stracić, zdarza mi się bać.

— To dlaczego nadal pracujesz w policji?

— Bo ta praca ma sens.

— Wylewanie alkoholu młodym ludziom?

— Między innymi wylewanie alkoholu, by pokazać, że mnie to obchodzi. Tak.

Amanda umilkła na chwilę. Jej t-shirt nie wydawał się już tak fajny. Ani też Carmaged-  
don. Skończyła grać i weszła do Internetu. Ek odchylił się do tyłu i zaplótł dłonie na karku.

— Co chciałabyś robić w życiu? Jakie masz marzenia? — Pytanie padło prosto z mo-  
stu. Zagranie taktyczne, które otwierało dobre rozdanie w kontaktach z kobietami. Spraw-  
dzone w praktyce. Często dyskutował o tym z Arvidssonem. Wciąż go zastanawiało, że  
kobiety nie uważały tego pytania za dziwne. Pytanie o czyjeś marzenia, jeśli robi się to  
z szacunkiem i delikatnością, to najkrótsza droga do bliskości. „Słucham, chcę wiedzieć,  
kim jesteś, czego pragniesz”. Pewna karta.

— Jakie mam marzenia? Chcę zostać fotomodelką. — Odpowiedź padła od razu, bez namysłu.

— Tak, na pewno masz szansę nią zostać. Jesteś bardzo piękną, młodą damą, Amando Myrbacke. Tak, dlaczego nie? — Ek przyglądał się jej z cieniem uśmiechu w jednym kąciku ust.

— Tylko tak mówisz.

— I mówię poważnie. Wiesz, znam jednego faceta, który jest fotografem. Mogę się dowiedzieć, czy ma jakieś kontakty. — Amanda przyglądała się Jesperowi Ekowi, przez chwilę obserwowała go z osobliwym wyrazem twarzy. Miała już coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Zalogowała się do Lunarstorm. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie spojrzeć na jej hasło: kaczegówno. Ponownie utkwiała wzrok w Eku, jakby właśnie podjęła jakąś decyzję.

— Tak, chcę być fotomodelką. Nie mogłam przyjść do magazynu przy porcie, bo byłam chora. Ale teraz jestem tu.

— O co chodzi? O czym ty mówisz? Mam wrażenie, że dziwnie mi się przyglądasz. Mam plamę na krawacie, ślady szminki na uchu? — Ek nie mógł powstrzymać się od śmiechu, patrząc na minę Amandy.

— To ty jesteś Yourlove?

— Słucham?

— Czy to ty jesteś Yourlove? — Rozmowa nie miała dalszego ciągu, bo w drzwiach stanęła Eva, oznajmiając, że obiad gotowy.

— Chyba dobrze się bawicie.

— Brakuje tylko klasera ze znaczkami jako zwieńczenia tego miłego wieczoru. — Ek oparł się na krzesło i wyciągnął ręce nad głową. Na białej koszuli widniały plamy potu pod pachami, co Amanda odnotowała z pewną satysfakcją. W takim razie jednak trochę się denerwował, obawiał się, że nie zostanie zaakceptowany. Przyjemnie było dowiedzieć się, że nie zakładał tego z góry.

— Idziesz, Amando?

— Tylko się przebiorę. To zajmie chwilę. — Kiedy zamknęła drzwi, weszła na swój profil na Lunarstorm, żeby zobaczyć, czy dostała nową wiadomość. „Yourlove, gdzie jesteś?”. Nie, nic. W takim razie było tak, jak podejrzewała: siedział teraz w salonie we własnej osobie. Mr Yourlove. Czy przyszedł, aby ją zaskoczyć? Jaki geniusz, jaka taktyka. Prawie jak ten pan z bingo lotto. Nie miał 17 lat, tak jak mówił, co najmniej dwa razy tyle. Niezły blef. I powiedział, że jest piękna, że porozmawia z fotografem. Uważał, że się nadawała, również w rzeczywistości. *Yes!* Amanda przetrząsnęła szafę, szukając optymalnego zestawu do ubrania. Jak wyglądała? Gdyby wiedziała, że przyjdzie, na pewno by się umalowała. Kurde! Tusz leżał w kuchni, do tego jeszcze ta jej bladość.

**38**

Maria przewracała się niespokojnie we śnie. Stała na długich, ciągnących się w nieskończoność schodach o zdeformowanych krawędziach i niskim stropie. Blade światło dnia zamierało, zastępowane migoczącym płomieniem z łuczyw na ścianach. Wiszące w odstępach rzucały na przemian światło i cień w mieniących się wzorach na chropowatych betonowych ścianach. Jeszcze jeden stopień. Światło ognia odbijało się w cieczy, która spływała jak łzy po czarnych powierzchniach. Wysmukła drewniana poręcz kończyła się w odległej nicości. Maria przesuwiała się po omacku, trzymając nagie ręce blisko ściany i próbując znaleźć punkt oparcia dla stóp na stromych, nierównych schodach. Jej dłonie wydawały się lepkie. Nozdrza wypełnił słodkawy, mdły zapach. Płomień łuczywa zamigotał i Maria uniosła ręce do światła w niemal rytualnym geście. Popatrzyła na swoje dłonie i spostrzegła, że są brudne. Szukała czegoś, w co mogłaby je wytrzeć. Ale nie znalazła nic poza lepką ścianą. Nie mogła wykorzystać ubrania, bo nie miała go na sobie. Pchana niewidzialną siłą kroczyła bezbronna ku czemuś, co czekało na nią w ciemności. Ktoś szedł za nią po schodach. Ostrożne, pospieszne kroki — czuła, jakby ją przywoływały. „Popatrz na mnie, odwróć się”. Ale nie znalazła w sobie siły. Znajdowała się teraz w pralni. Na sznurku wisały skóry mężczyzn, ciała pozbawione kości i mięsa. Powłoki ze skóry bez krwi, przypięte klamrami, cienkie jak prześcieradła. Puste twarze z szeroko otwartymi ustami. Bez oczu, bez duszy powiewały sztywno w przeciągu. Czasami ocierały się o siebie, wydając mroźny, trzeszczący dźwięk. Brzęczący ton wzmagał się. „Spójrz prawdzie w oczy”. Drzwi kotłowni otworzyły się i zapadła ciemność. Nie była sama, tu w podziemiach ktoś jej towarzyszył. Jej przewodnik. Zły czy dobry? Maria zebrała się na odwagę i się odwróciła. Zobaczyła strach we własnej kredowobiałej twarzy. Oko w oko z samą sobą. Oczy przyzwyczyały się do ciemności. Za piecem dostrzegła koc w kratkę, sfatygowaną, przewróconą filiżankę, parę spodni, skarpetkę i zwitek pożółkłej gazety. Litery świeciły się na czerwono jak żar. Przedziwne, piękne pismo, litery arabskie. Wijące się wersa-

liki, inicjały zdobione smoczymi głowami. Pełen wyrzutu głos wypełnił ciemną otchłań piwnicy. Rozdzierająca serce smutna pieśń, jak krzyk ptaka nad ciemną wodą. Uporczywy i natrętny, nie mogła od niego uciec. Nagle wróciła świadomość i Maria wyrwana została z żelaznych objęć snu. Rozciągnięty w czasie, miauczący dźwięk. Coś stąpało na podłodze przy łóżku i usłyszała ponownie ten irytujący odgłos. Kocie miauknięcie. I jakby tego jeszcze było mało, od strony śpiącego po drugiej stronie Kristera dało się słyszeć odpowiedź. Kot domagał się uwagi, na co mąż wydał z siebie w odpowiedzi miauczący dźwięk. Żalodne pomiaukiwanie i odpowiedź Kristera w tym samym języku. Oceniała, że była co najwyżej piąta. Owinęła się kołdrą, wstała i lekko się zachwiała. Poziom adrenaliny był zbyt wysoki, żeby mogła zasnąć, była też zbyt zmęczona, aby przedsięwziąć coś więcej poza przyniesieniem gazety. Śnieg trzeszczał pod stopami. Zimno przeniknęło przez szlafrok. Maria podbiegła kilka ostatnich kroków i wpadła prosto w ciepło domowego ogniska.

*Pożar w nocy* — taki nagłówek złożony tłustym drukiem widniał na pierwszej stronie gazety, a pod nim zdjęcie podpalonego dwupiętrowego domu. Strażak z usmoloną twarzą niósł staruszkę, a obok jego koledzy ciągnęli szlauch, próbując powstrzymać rozprzestrzeniający się ogień. Maria nie była w stanie zaparzyć kawy. Dalszy ciąg tekstu znajdował się w środku gazety. Kiedy skończyła czytać, zamarła. Dłonie, w których trzymała gazetę, opadły na kolana. Obóz uchodźców przy porcie stanął w ogniu. Nie było ofiar, ale około dwudziestu osób odwieziono do szpitala na obserwację. Pożar odkrył o wpół do pierwszej mały chłopiec, który porównał usłyszany dźwięk do odgłosu grasujących w kuchni szczurów. Alarm przeciwpożarowy z nieznanego powodu nie zadziałał. To cud, że udało się ewakuować uchodźców, zanim dach na piętrze się zawalił. Władze milczą na temat przyczyny pożaru i na razie nie chcą wszczynać śledztwa — na tym reportaż się kończył. Maria owinęła kołdrą ramiona i chwyciła za słuchawkę. Usłyszała zachrypnięty po przepracowanej nocy głos dyżurnego, który pokrótce streścił jej, jak wygląda sytuacja.

— Będę tam za godzinę.

— Gwałtowny zapłon i czarny dym świadczą o tym, że użyty został jakiś rodzaj akceleratora. Ślady po spaleniu na podłodze w pokoju zebrzań i kuchni mogą wskazywać na to, że była to jakaś łatwopalna ciecz. — Hartman przedstawił kolejne zdjęcie i wskazał na dwa oddzielone od siebie pogorzeliska. Straż pożarna uznała, że możliwość spięcia w instalacji

cji, na której temat snuto spekulacje w prasie, prawdopodobnie należy odrzucić. Tego typu pożar nie jest na tyle silny, żeby w ciągu kilku minut spalić doszczętnie podłogę między piwnicą a parterem. To więcej niż mało prawdopodobne. Spięcie w kablu elektrycznym powoduje wydzielanie się intensywnego ciepła. Powstaje dym i wydziela się swąd, ściany wokół się zwęgłają. Wtedy trwałoby to zapewne dni, a nawet tygodnie. Nie znaleziono takich uszkodzeń na kablach elektrycznych w piwnicy. Ponadto ktoś wyczułby zapach.

— Ale telewizor eksplodował. — Ek potarł skronie i zmrużył oczy, patrząc na płótno projektora. Wyglądał, jakby spał w ubraniu, co zresztą było zgodne z prawdą. Zdążył uciąć sobie zaledwie dwugodzinną niespokojną drzemkę na kanapie w pokoju dla personelu, kiedy zgłoszono alarm w obozie dla uchodźców.

— Zdjęcie pożaru wokół telewizora przemawia za drugorzędnymi uszkodzonymi. W pokoju telewizyjnym, gdzie drzwi były zamknięte, są mniejsze szkody niż w innych częściach domu. — Hartman podrapał się po głowie i jego siwe włosy nastroszyły się. — Parter zajął się ogniem błyskawicznie, pożar przeniósł się momentalnie z pokoju do pokoju. Takie gwałtowne rozprzestrzenienie wydaje się dość dziwne, jeśli nikt nie przyczynił się do takiego rozwoju zdarzeń. Benzyna, nafta?

— A zbiornik z olejem w piwnicy? Może to on był źródłem pożaru i podłoga zajęła się w wyniku eksplozji gazu, a wtedy ogień przebił się przez podłogę na piętro wyżej? — Maria wyprostowała się, czuła, jak drętwieją jej ramiona po kilku godzinach spędzonych na odbieraniu telefonów od zaniepokojonych sytuacją członków lokalnej społeczności.

— Zbiornik był prawie pusty, czekano na dostawę. Został lekko uszkodzony na proździe, prawdopodobnie w późniejszej fazie pożaru. Nie ma żadnych poważnych przesłanek przemawiających za eksplozją gazu. Piwnica miała sprawną wentylację. Poza tym przewody elektryczne przy samym piecu są prawie nienaruszone. Przy tak wysokich temperaturach miejsce ulega zwęgleniu. Alarm przeciwpożarowy nie zadziałał. Akumulator był odłączony. Wiele wskazuje na to, że było to podpalenie.

Hartman stęknął głośno i odpiął najwyższe guziki koszuli, jakby ciepło ognia przeniosło się ze zdjęć do sali zebrań na komisariacie.

— Czy pojawiły się jakieś wskazówki od dzwoniących? O co w tym wszystkim chodzi, Mario?

— Chodzą słuchy o gwardii obywatelskiej. Luźne spekulacje o tym, że ktoś z obozu uprowadził Cecilie Ståhl, a później porzucił ciało na torach. Pożar może być zemstą. Ludzie wymierzają sprawiedliwość na własną rękę. Nasze śledztwo nie doprowadziło jeszcze do ujęcia sprawcy. Nie wygląda to dobrze. Czy to prawda, że drzwi do kuchni nie były zamknięte?

— Zwykle tego nie pilnują. Nigdy przedtem nie wydarzyło się nic takiego, co pociągałoby za sobą takie środki ostrożności. Czy padły jakieś nazwiska, gdy była mowa o gwardii obywatelskiej? — spytał Hartman.

— Jedynie domysły. Dyrektor Bertil Montelius wysuwa się na prowadzenie na liście dziesięciu podejrzanych, wszystkie głosy oddane oczywiście w największym zaufaniu. Wygłosił kilka komentarzy. Ja sama słyszałam to i owo, co mogłoby nieźle podgrzać atmosferę w mediach. Nie można oczywiście z góry założyć, że to on jest podpalaczem, ale akcja na pewno dostałaby jego błogosławieństwo.

Ek ziewnął szeroko i potrząsnął głową:

— Nie mamy wystarczających podstaw, żeby go zgarnąć?

— Nie zamierzamy też raczej ostrzegać go o naszych planach — mówiąc to Hartman podążył wzrokiem za Marią, która wstała i skierowała się ku wyjściu. — Dokąd się teraz wybierasz, Mario?

— Jadę porozmawiać z Johannesem Ståhlem. Pojawiło kilka pytań związanych ze świetlicą, w której Cecilia często spędzała czas.

— Chyba nie zamierzasz jechać tam sama? Nie da rady zrobić tego telefonicznie?

Maria potrząsnęła głową.

Hartman poczuł się zaniepokojony, powinny pojechać tam co najmniej dwie osoby. Przeliczył swoją nieliczną gromadkę, podzielił przez liczbę zadań do wykonania i zdał sobie sprawę ze stanu faktycznego.

— Uważaj na siebie. Dmuchać na zimne. — Wydawało się, że ma do powiedzenia coś jeszcze, ale te słowa pozostały niewypowiedziane.



**39**

Johannes Ståhl stał za brązową wełnianą zasłonką w bibliotece i patrzył na ścianę. Lekki biały puch i zasy brudnego śniegu na poboczu drogi nie zostały zarejestrowane w jego pamięci. Pojazd posypujący solą drogi przejechał obok z hukiem, ale to również umknęło jego uwadze. Johannes czekał. Całym sobą nasłuchiwał odgłosów, kiedy drzwi wejściowe zamknęły się i ktoś zapalił silnik. „Reidun pewnie zaciągnęła hamulec ręczny, zapomniała o opuszczeniu go i powiesiła na nim torebkę” — pomyślał ze szczyptą ironii. Później nie mogła zrozumieć, dlaczego miała problem z zapaleniem silnika, który zaczął się krztusić. Ale pewnie nie pamiętała, choć przypominał jej o tym setki razy. Miała inne sprawy na głowie, tak przypuszczał. Wkrótce zobaczy ją, jak jedzie w górę wzniesienia w kierunku sklepu. Ostrożnie jechała śliską drogą, trzymając się środkowej linii. Johannes ustawił już drabinę pod okienkiem na strychu; nie mogła tego słyszeć, kiedy rano była pod prysznicem. Zaplanował co do sekundy, kiedy będzie w domu zupełnie sam. Musiał się dowiedzieć, reszta jego życia zależała od odkrycia, które miał niebawem poczynić. Policja pytała Reidun, czy miała komórkę. Jedno z tysiąca pytań. Wystarczyła prosta odpowiedź: „Tak”, a jego zdziwienie i męka nie pojawiłyby się, wchłonięte przez niezliczone odpowiedzi, które padły. Ale jej zeznania były wymijające, odczekała, zanim przyznała się do posiadania telefonu komórkowego. Zeznała, że już go nie używa. Nie wiedziała, gdzie się podział. To było kłamstwo. On sam kupił jej nową kartę, kiedy był w mieście dzień przed tym, jak Cecilia... Pomyślał wtedy, że Reidun zagubiła się w tym wszystkim, co się stało, że nie jest w stanie jasno myśleć. To zdarzenie odeszło w zapomnienie i wróciło do niego, gdy zagłębił się w innych rozważaniach.

Ta myśl z początku go sparaliżowała. Podejrzanie zapaliło się jak iskra, gdy przypominał sobie, jak Reidun powstrzymała go od zamordowania Runego Villmana. Odtąd kwestia ta nie przestawała go gnębić. „Wiem, że jest niewinny!”. Johannes zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak szaleniec. Jak można zadośćuczynić czemuś takiemu? Raz próbo-

wał zbliżyć się do chłopaka w sklepie, ale ten okropnie się przeraził. Prosił o wybaczenie, próbował wytłumaczyć się i zaoferował, że zapłaci za szkodę, którą wyrządził. „Wiem, że jest niewinny” — powiedziała Reidun. Skąd wie? Zasłoniła się obowiązkiem zachowania tajemnicy, tak jak zwykle. Nie poruszał więcej tego tematu. Obowiązek milczenia to obowiązek milczenia. Bezdyskusyjnie, bez względu na wszystko. A jednak pytanie pozostało jak oddzielający ich od siebie mur. To, co niewypowiedziane. Niewyobrazalna myśl, że Reidun mogłaby odebrać Cecilii życie. A kiedy podejrzenie zakorzeniło się w nim na dobre, a apatia przestała paraliżować świadomość, zaczął odtwarzać bieg wydarzeń. Czy gdy on przebywał w kościele, była w domu sama? Czy ktoś zauważyłby jej trwającą godzinę zniknięcie tej nocy, kiedy popełnione zostało morderstwo? Mogła zabrać samochód i nikt by tego nie zobaczył, stara plebania otoczona była ze wszystkich stron świerkowym lasem. Na jej czerwonych skarpetkach były wióry, kiedy wrócił do domu tej nocy. Skąd się wzięły? Gdzie była? Na strychu?

Johannes zapalił latarkę i zaczął w ciemności wspinać się po drabinie ku okienku na poddaszu, otworzył je i dźwignął się ponad krawędź dachu. Chłód otulił go jak szary wilgotny pled. Surowe, stęchłe powietrze, zaostrome zapachem szczurzych odchodów, wypełniło jego nozdrza. Oszczędna szara poświata padała z okna na zmagazynowane tu, niepotrzebne już nikomu przedmioty. Rzeczy Reidun były porządnie poukładane wzdłuż wschodniego skrzydła, sięgając od okna do bujanego fotela. Fotela, na którym siedziała Annalisa, gdy karmiła piersią. Cecilia przytrzasnęła sobie kiedyś palce pod jego płozami i fotel został wyniesiony na strych. Czerwony blaszany wózek dla lalek z obdrapanymi, pomalowanymi żółtą farbą różyczkami również tam wylądował, z podobnego powodu. Cecilia skaleczyła się w górną wargę, gdy na niego upadła i wózek również trafił na strych. Ojciec zawsze chronił swoją księżniczkę, choć żadna zła wróżka nie przepowiedziała jej śmierci. Wyrównywał drogę. Eliminował przeszkody i sprawiał, że stawała się nietykalna. Król, który zarządził spalenie wszystkich wrzecion, nie potrafił przeciwdziałać największemu niebezpieczeństwu ze wszystkich — śmierci. Sto lat pogrążonych w wiecznym śnie, wstrzymany oddech w oczekiwaniu na zmartwychwstanie. Obudzona pocałunkiem miłości. Miał pełną obawy nadzieję, że tak właśnie się stanie, że zobaczą się ponownie po stu latach snu. W przeciwnym razie nicość pochłonie ich na wieczność. Ta myśl coraz bardziej przemawiała do niego. Skąd wziąć siłę, by przenieść ten ciężki, wypełniony winą plecak z jednego życia do drugiego, albo nawet z życia do wielkiego sądu? Opowiedzieć wszystko

sprawiedliwemu, nieomylnemu Bogu i wierzyć w bezwarunkowe wybaczenie. Łaska i zapomnienie. To dlatego na stare lata stajemy się zapominalscy, ponieważ nie mamy siły nieść ciężaru swojej winy. Chciałem czynić dobro — ale tego nie zrobiłem. Dobro czynione z czystych pobudek, gdy lewa ręka nie wie, co czyni prawa — ono nigdy się nie zdarzyło. We współczuciu zawsze znajdzie się odrobina radości z czyjś nieszczęścia. W poświęceniu zawsze obecny jest cień przyszedłego zysku.

Johannes wytarł twarz brzegiem dłoni i poczołgał się w stronę okna. Zimno bijące od nieoheblowanych desek przeniknęło jego skórę. Prawie nie czuł ukłuć, które przebijały się przez cienki materiał spodni. Biała para wydostająca się z ust unosiła się magicznie w bijącym od latarki świetle. Czarodziejski dym. Jasny duch życia wzlatywał ku ciemności w modlitwie do Najwyższego. „Nie pozwól, żeby to była prawda. Spraw, by moje obawy okazały się ponne!”.

Reidun powiedziała, że spodziewa się dziecka. To ocuciło Johannesesa w chwili, gdy zdążył zagłębić się całkowicie w swoim nieszczęściu. Ale co teraz, co czuł w obliczu tych wypowiedzianych słów? Obowiązek? Tak. Przytłaczającą go odpowiedzialność? Radość? Nie wiedział. Nie był zdolny do odczuwania czegokolwiek. Z wyjątkiem poczucia winy.

Była tu skrzynka, stara puszka po ciastkach, w której Reidun przechowywała listy z okresu swego życia przed Johannesem. Strefa prywatna, do której nie miał prawa wstępu. Szanował to, podobnie jak ona szanowała to, że nie chciał rozmawiać o Annalisie. Gdyby Reidun weszła teraz do domu i przytapała go na tym, co robi, pewnie zapadłby się ze wstydu pod ziemię, ale nie miał innego wyjścia. Musiał mieć pewność. To jedyne miejsce na całej plebanii, którego nie przeszukał. Jeśli nie była winna śmierci Cecilii, przyjmie ją z powrotem do swojego serca, ją i mające przyjść na świat dziecko. A jeśli była winna, pozostawała mu tylko jedna rzecz. Bolesna do przebycia droga i sprawiedliwość. On również ponosił część winy, nie negował tego. Cecilia przyzwyczaiła się, że dostaje to, czego chce. To nie było łatwe dla Reidun, a on nie potrafił przeciwstawić się dziewczynce w sytuacjach konfliktowych. Świadomość współudziału w śmierci własnej córki była bolesną prawdą.

Johannes podniósł wieczko skrzynki i zanurzył w niej dłoń. Zwiłek białych kopert obwiązany niebieską jedwabną wstążką, kartki świąteczne, pocztówki z wakacji. Brązowa koperta. W środku wyczuł coś zimnego i twardego. Poświecił latarką do wnętrza skrzynki.

W świetle dostrzegł stary model czarnej komórki. Wziął ją do ręki. Była rozładowana, nie zdziwiło go to. Pod wpływem chłodu bateria szybko pada. Johannes pobiegł w dół schodami. Miał w głowie mętlik, czuł niepokój — kłujące przeczucie pęczniało w nim coraz bardziej. Trzęsącymi się rękami włożył nową baterię i odsłuchał nagrane wiadomości. Własny głos. „Nie czekaj z kolacją. Będę późno. Kocham cię. Johannes”. Słowa brzmiały jak wyuczona formułka, zdarte jak na starej taśmie filmowej.

Następna wiadomość. Johannes sapnął głośno, gdy usłyszał głos Cecylii. Tak obcy i bliski jednocześnie. „Zostaw mnie w spokoju. To takie obrzydliwe, że spodziewasz się dziecka. Lepiej uważaj, bo jak będziesz spała, wbiję nóż w twój tłusty brzuch. *Fuck you!*”. Johannes przesłuchał wiadomość cztery razy, zanim słowa wżarły się w jego świadomość i dotarły do niego. „Mój Boże! Panie Boże!”. Johannes ukrył telefon pod materacem i udał się chwiejnym krokiem po schodach do piwnicy, gdzie kiedyś mieszkał Malaki. Stęchły zapach wywołał u niego duszności. Krople skwaśniałej śmietany spoczywały wciąż na resztkach zeszcłej babki. Taca, filiżanka, niepościelone łóżko Malakiego. Kołdra odrzucona gwałtownie na bok. Kurtka, o której zapomniał, gdy uciekał w panice. Kawalek fletu wystawał wciąż z kieszeni. Zupełnie tak jak rano, co odnotował dziś wcześniej Johannes. Flet, na którym, jak udowodniono, Cecilia grała, zanim zginęła w lesie. Było tylko jedno rozsądne wytłumaczenie tego, skąd się tu wziął.

„Reidun, jak mogłaś, wiedziałaś przecież, jak bardzo kochałem swoje dziecko, przez co wcześniej przechodziłem? Dlaczego nie przyszałaś do mnie i nie opowiedziałaś, jak się sprawy mają? Że nie możecie żyć w zgodzie pod moim dachem”. Myśli Johanna wypełnił szum potężnej wody, zawroty głowy sprawiły, że ugięły się pod nim nogi. Przedmioty w pokoju falowały mu przed oczami. Czuł, jak dławi go gula w gardle, gdy upadł z głową obok szczytu łóżka. „Zabierz ode mnie ten kielich!”. Widział własny udział w tej winie, obezwładniającej i ciężkiej mu. Gdyby wiedział, jak bardzo Cecilia prowokowała Reidun, gdyby postawił granice, czy można byłoby temu zapobiec? Odpowiedź uderzyła go jak obuch. „Tak” — tak uważał. Gdyby tylko nie był tak ślepy, tak zadowolony z siebie i egoistyczny. Do pewnego stopnia rozkoszował się tą rywalizacją, czuł się aprobowany i kochany. Chciał mieć wyłączność na miłość kobiety i miłość dziecka. Co zrobił, żeby znalazły do siebie drogę? Nic, co płynęłoby z głębi serca. Jeśli miał być szczery, to chyba nic.

Jakiś dźwięk przeszkodził mu w introspekcji. Samochód? Tak szybko? To niemożliwe. Reidun powinna wrócić dopiero za godzinę. Miała jechać do sklepu, zatankować, iść na pocztę zapłacić rachunki. Zapomniała czegoś? Nie, upewnił się, że miała ze sobą portfel, listę zakupów, torbę i rachunki. A jeśli to nie Reidun? Kto w takim razie? Policja? Johannes wstał z siłą, o jaką sam siebie nie podejrzewał. Flet, dlaczego go nie ukryła? Dlaczego włożyła go z powrotem do kieszeni Malakiego? Czy nie wiedziała, że koledzy z klasy Cecilii słyszeli, jak na nim grała? Gdzie była, gdy policja pytała o niego, czy to było wtedy, gdy poszła zaparzyć kawę? Jak mogła być tak nieostrożna? Jeśli zabrała go do domu niechcący, powinna dopilnować, żeby się go pozbyć. Schować go. Choć może nie była aż tak zatwardziała. Była jeszcze w szoku. Johannes naciągnął rękaw swetra na dłoń i wyjął flet z kieszeni zielonej kurtki. Dokładnie wytarł go o prześcieradło, aby pozbyć się wszelkich odcisków. Usłyszał na piętrze trzask drzwi wejściowych.

Gdy nikt nie odpowiedział na pukanie, Maria Wern weszła do ciemnego korytarza plebanii. Odnotowała, że temperatura nie zmieniła się od jej ostatniej wizyty. Słabe światło sączyło się przez drzwi prowadzące na schody do piwnicy.

— Halo! Czy jest ktoś w domu? — Pastor wspomniał kiedyś, że stawiał sobie za punkt honoru nie zamykać drzwi, gdy byli w domu. W takim razie powinni być, jedno z nich przynajmniej. — Halo! — Maria usłyszała dochodzący z dołu cichy dźwięk szybkich kroków. Drzwi do piwnicy były nieco uchylone. W piwnicznym pokoiku paliło się światło.

— Pastorze? — Brak odpowiedzi. — Reidun Ståhl? Halo! To ja, Maria Wern z policji.

Ponownie odgłos szybkich kroków. W dole na schodach dostrzegła pastora. Chwyliła się mocno poręczy. Sen z poprzedniej nocy powrócił do jej świadomości, błysk obrazu schodów, rozmyty obraz. Zaledwie mgliste wspomnienie. Johannes zbliżał się. Łysawa głowa błyszczała od potu. Zostawiał ślady na jasnej balustradzie. Szare odciski, które stały się bardziej niewyraźne za każdym razem, gdy kładł rękę na poręczy, ślady dłoni jakby umaczanych w sadzy.

— To pani? — Pytanie było zbędne, ale tylko tyle przyszło mu do głowy. Usiedli w bibliotece, miejscu oficjalnych rozmów. Johannes ukrył ręce na kolanach pod rozpinanym swetrem. Miał dziwnie stężałą twarz, a oczy zamglone, jakby był pijany.

— Gdzie jest Reidun? — Maria zastanawiała się, czy wróciła może do pracy w szpitalu, ale nie chciała dzielić się tą myślą, na wypadek gdyby nie była zgodna z prawdą.

— Reidun? Dlaczego chce z nią pani rozmawiać?

Maria zastanawiała się przez chwilę, próbowała ocenić przerażający wygląd pastora. Trudno osądzić, co jest normalne, a co nie u kogoś, kto stracił dziecko. Balansowanie nad krawędzią przepaści. Pewien rodzaj czujności i wyczulenia były chyba uzasadnione.

— Zastanawiałam się tylko, czy jest w domu.

— Dlaczego? Dlaczego chce to pani wiedzieć?

— Jest pewna rzecz, o której ostatnio rozmawialiśmy, coś, co muszę sprawdzić. Na dole w piwnicy. — Johannes nie odpowiedział. Kiedy Maria wstała, siedział nadal w fotelu. — Sama trafię. W porządku.

Czy ten kawałek gazety istniał naprawdę, czy był to tylko sen? Czy zacięta mina stojącej obok Reidun sprawiła, że jej pamięć wzrokowa w tamtej chwili odmówiła jej posłuszeństwa i nie dopuściła do świadomości obrazu kawałka gazety? Maria poszła w dół schodami do piwnicy. Tak bardzo różniła się od tej w jej śnie, a jednak panował tu ten sam nastrój, krok za krokiem zbliżała się w stronę ulotnej prawdy. Korytarz, pralnia. Maria dotknęła włącznika światła i zapaliła dwie lampy. Jedna z nich pstryknęła, zamigotała i zgasła. Otworzyła drzwi do kotłowni. Podłoga, na której leżał wcześniej materac, była pusta i wyczyszczona do połysku. Ale dłonie Johanna były przecież czarne, kiedy chwycił za poręcz, wchodząc na schody w piwnicy. Co robił tam na dole? Czy to była sadza? Maria otworzyła drzwiczki pieca. Być może, choć piec wydawał się również wyczyszczony. Nadal palili olejem. Czy było to jedyne palenisko? Maria przypomniała sobie, że przechodząc przez piwnicę, mijala kominek. Starodawne palenisko z murowanym daszkiem. Idąc, dotykała dłońmi chropowatej powierzchni ściany biegnącej wzdłuż korytarza. Ostrożnie poruszyła pogrzebaczem w zgaszonym żarze. Metal dotknął metalu. W tej samej chwili gdy wyciągnęła z popiołu flet, usłyszała na schodach kroki. Wyciągnęła komórkę. To potrwa przynajmniej godzinę, zanim ktoś się tu pojawi. Cicho i powoli przekazała wiadomość dyżurnemu. Odstawiła pogrzebacz tak bezgłośnie, jak to tylko możliwe, ale zauważyła, że jej dłonie również się pobrudziły. On podszedł do niej z dziwnym uśmiechem na twarzy i zdała sobie sprawę, że wie, jakiego odkrycia dokonała. Jego wzrok był czujny. Przyszpilił ją z lodowatą ostrością. Maria poczuła, jak jej ciało przeszywa dreszcz. Zarejestrowała,

że zablokował jedyne wyjście, zauważyła pogrzebacz, polano leżące na samym wierzchu w koszyku, narzędzia w razie gdyby musiała... Oceniała wzrokiem jego siłę. Próbowwała się rozluźnić, starała się patrzeć na niego przyjaźnie. Ale zachowała podskórną czujność. Podeszedł do niej o jeszcze jeden krok bliżej. Czowała jego oddech na swojej twarzy.

— Jestem winny — powiedział.

Maria dostrzegła ulgę, ale jednocześnie nieobecny wcześniej rodzaj zacięcia na jego twarzy. Wyciągnął ręce jakby w kierunku niewidzialnych kajdan.

— Jestem winny.

**40**

Pięć dni w areszcie. Nie puścił pary z ust. Ponowne przesłuchania. Adwokat śmierzący potem, którego zła wola wypełniała pokój przesłuchań w równym stopniu co odór wchłonięty przez jego marynarkę. „Jestem winny”. Nic więcej nie musieli wiedzieć. Szeptano o badaniach psychiatrycznych. Jednak nie chciała zostawić go w spokoju. Jasnowłosa policjantka, Maria Wern. Jej oczy koloru bursztynowego prześladowały go w snach i pojawiały się, gdy się tego najmniej spodziewał. W nowej postaci, z nowymi pytaniami. Mogła przyjść w każdej chwili, niezmordowana w swojej gorliwości. Nie wierzyła mu. „Pan tu siedzi, a morderca chodzi sobie na wolności — szeptała do niego. — Jeśli chroni pan mordercę i coś jeszcze się wydarzy, duża część winy spadnie na pana”. „Nic się już nie wydarzy” — odpowiedział. Choć tylko w myślach. Wtedy zostawiła go samego ze słowami, które pozostały w jego uszach na długo po tym, jak go opuściła. Była delikatna i miła, miała niesamowitą intuicję i zdecydowanie większą wytrwałość, niż się spodziewał. Otwarta na dialog dała mu czas na przemyślenie swoich odpowiedzi do następnego razu.

Johannes Ståhl chwycił za pas spodni i trzymał je podciągnięte, chodząc po ciasnej celi. Musiał stracić na wadze. Przydałby się pasek, który mu zabrali wraz z innymi zarekwirowanymi rzeczami. Ale nie chcieli pewnie ryzykować, że zrobi coś pochopnie. Myśl ta nie była mu tak zupełnie obca. Wieczny spoczynek. Wielkie wybaczenie. Zapomnienie. Wielka Nicość — ta myśl wydawała się kusząca, gdy pomyślał, że miałby siedzieć w zamknięciu przez następnych dziesięć lat albo dłużej. Nagle samotność stała się obezwładniająca. Musi z kimś porozmawiać, dowiedzieć się przynajmniej, jaki jest dziś dzień. Drzwi celi nie były zamknięte na klucz. Mógł wyjść z pomieszczenia, do pokoju telewizyjnego albo siłowni, jeśli miał na to ochotę. Taką potrzebę odczuł dopiero teraz. Trzymając jedną ręką spodnie, przemknął się w samych skarpetkach. Przeciągnął dłonią po przeredzonych, skołtunionych włosach, które nie widziały nożyczek od miesięcy. Na ścianie wisiał przyklejony taśmą świąteczny kilim z papieru. Mikołaj z naręczem świeczek. Ktoś poprawił go



czarnym flamastrem, ujął trochę nastroju świątecznego, obdarowując go większym przyrodzeniem i dorysowując dwoje odstających uszu. Na stołach stały przepelnione popielniczki, opróżniona torebka po rodzynekach i puste papierowe kubki. W pokoju unosił się delikatny zapach grzanego wina i kawy.

Reidun nie odezwała się. Johannes nie wiedział, czy zabroniono jej z nim porozmawiać, czy też może nie chciała. Kiedy żona wróciła do domu i zobaczyła, że dom zajęła uzbrojona policja, zemdłała w kuchni. Ze strachu, że to po nią przyszli? Winna morderstwa czy zabójstwa? Jaką mógł mieć pewność, że Reidun nie zrobi tego ponownie? Zareaguje w ten sam sposób, gdy znowu poczuje się zagrożona? Jeśli raz przekroczyło się granicę, nietrudno uczynić ponownie ten sam krok. Nie miała łatwego dzieciństwa. Gdy przypominał sobie jej zwierzenia, doszedł do wniosku, że uchyliła przed nim zaledwie mały rąbek tajemnic ze swego wcześniejszego życia. Z jak wielkim zaangażowaniem wysłuchiwał jej opowieści o dzieciństwie i przenoszeniu się z jednego domu dziecka do drugiego? Samotność, uczucie bezdomności z czasem stają się czułym punktem. Dotykanie niezabliźnionych ran wymaga czasu i ostrożności. Czasami dostrzegał to w jej twarzy, odruch ucieczki w momencie zagrożenia. Nie słuchał jej tak, jak na to zasługiwała. Po dniu spędzonym na kapłańskiej posłudze nie zostawało wiele cierpliwości. W domowym zaciszu mówił najczęściej o sobie, oczekiwał od niej, że będzie go słuchała i rozumiała. Zatopiony głęboko w tych myślach nie usłyszał zbliżających się kroków, nie zdążył wyczuć niebezpieczeństwa. Twarda, owłosiona ręka objęła nagle jego szyję, a silne dłonie zacisnęły się na jego ramionach. — Teraz, pieprzony księżuniu, czeka cię chrzest.

Słyszał szmer głosów wyrażających aprobatę. Nie widział ich twarzy. Upadł do tyłu. Jego stopy ciągnęły się po podłodze, czuł, jak coś kłuje go w przeguby. Twarde palce wbiły się w szczupłe ramiona. Ściany wirowały, zlewając się z sufitem. Ale zacisnął zęby. Dłonie na gardle cisnęły coraz mocniej. Serce tętniło pod skórą, tętno pulsowało w skroniach, poczuł szczypanie i drapanie w gardle, uderzenia adrenaliny dosięgały czubków jego palców. Chciał krzyknąć, ale brak powietrza w płucach sprawił, że z ust wydobyło się tylko żałosne syczenie.

— Teraz masz się przyznać, skurwielu. — Drzwi pod prysznicem zamknęły się. Otoczyli go półkolem. Później chciał zapomnieć, że kiedykolwiek oglądał ich twarze. Pełen pogardy wzrok i powykrzywiane usta prześladowały go jednakże w snach jeszcze długo po

tem. Podobnie jak okrzyki, smród potu i wody po goleniu oraz chrzęszczący dźwięk — zgrzytania jego własnych zębów. Żelazny uścisk na szyi. Uderzył go widok zbliżającej się poźółkłej otoczki sedesu. Lodowata woda opłukiwała jego twarz i kark, aż tracił oddech. Głód tlenu. Walka o życie, choć wcześniej w swojej próżności życzył sobie śmierci. Strach dużo silniejszy niż upokorzenie, z czasem proporcje się odwróciły. Kiedy odzyskał świadomość, przez chwilę myślał, że przekroczył granicę wieczności. Światło biło go po oczach. Postać otoczona chwałą. Ciemne, przyjazne oczy, znajoma twarz. Malaki nachylił się nad nim. Z jednej brwi kapłała mu krew. Koszula była rozerwana. Nos krwawił, a on odychał ciężko jak po szybkim marszu.

— Spokojnie. Jesteśmy tutaj. — Malaki wskazał na stojących za nim dwóch rostrych mężczyzn, jednego nieco starszego, korpulentnego pana i jednego bladego ochroniarza z blisko osadzonymi oczami i językiem na głowie. — Już wszystko w porządku, Johannesie.

Pastor próbował uspokoić rozbiegany wzrok. Głowę rozsadzał mu rwący ból. Uderzył go intensywny smród, jak z ubikacji. Podniósł się z mozołem do pozycji stojącej i zszokowany zauważył, że narobił pod siebie. Poczul straszne zażenowanie. Nie był w stanie się kontrolować, rozplakał się.

— Czekamy na zewnątrz. — Malaki podał mu dyskretnie kupkę ubrań i zostawił pastora, by doprowadził się do porządku.

Kiedy w celi zapadły ciemność i cisza, usiadł na pryczy. Wzdrygnął się, czując na skórze delikatny dotyk, i wyprostował zeszytywniałe ciało.

— Zabiłeś ją? — Nie mógł uciec przed patrzącymi na niego ciemnymi oczami Malakiego. Musiał powiedzieć mu prawdę.

Johannes zaczął powoli opowiadać historię. Dziwnie było usłyszeć własny głos po tak wielu dniach milczenia. Kiedy skończył, Malaki położył dłonie na jego ramionach.

— Mylisz się, przyjacielu.

— Co masz na myśli? — Pastor czuł, jak pojawiają się znowu zawroty głowy, i opadł ciężko na bok. Pochwyciła go koścista ręka Malakiego.

— Mylisz się. Reidun tego nie zrobiła.

— Skąd wiesz? Wszystko wskazuje na to, że... — Nie był w stanie dokończyć zdania. — Sam ponoszę część winy — ciągnął.

Malaki czekał chwilę, by słowa mogły w pełni wybrzmieć, i zapadła cisza.

— Chciałem spotkać się z Cecilią i wytłumaczyć jej wszystko przed moim wyjazdem do Anglii. Mam tam rodzinę. Może dostanę pracę.

— Skąd wiesz, że Reidun jest niewinna? — Johannes trząśnięty się zdenerwowany. Chwytał za okoloną czarnymi lokami głowę Malakiego. — Skąd to wiesz?

— Siedziałem na dachu werandy i czekałem, aż nadarzy się okazja, by porozmawiać z Cecilią. Było zimno, a ja nie miałem odpowiedniego ubrania. Reidun była w domu. Krzątała się w pokoju Cecylii i nie miałem odwagi zapukać w okno. Reidun nie wychodziła z domu do twojego powrotu. Widziałem, jak szliście razem w kierunku głównej drogi. Wtedy się poddałem.

— Dlaczego nie poszedłeś za Cecilią, kiedy wychodziła na wieczór filmowy?

— Zamierzałem. Ale miała towarzystwo. Rudą dziewczynkę. — Malaki westchnął ciężko i potrząsnął głową. — Później przeczytałem notkę w gazecie. I pomyślałem, że gdybym tylko...

— W takim razie kto mógł to zrobić? Ktoś, kogo znamy? Ktoś obcy? Jak myślisz? — Pastor przebiegał rękami, siedząc na krawędzi pryczy, oparty plecami o zimną ścianę. — Kto mógł zrobić coś tak nikczemnego?

— Dużo o tym myślałem. — Malaki zamilkł, jakby się zastanawiał. — Kiedy zgarnęła mnie policja, właśnie wybierałem się na spotkanie z wychowawcą Cecylii.

— Dlaczego, mój przyjacielu, powiedz mi dlaczego? — Johannes nie mógł usiedzieć w miejscu. Wstał i zaczął się przechadzać, ani na chwilę nie przestając poruszać rękami. Splótł dłonie i uderzał ich wnętrzem o siebie, jakby pompując między nimi powietrze. Przygryzał wargi aż do krwi, głośno stękał. Rwał sobie włosy z głowy i drapał się po rękach, podczas gdy nieuchwytna prawda odbijała się jak piłeczka od ściany do ściany. — Dlaczego wybierałeś się do Pontusa Larssona?

— Był na nią napalony.

— Co ty mówisz, Malaki? — Głos pastora zagrzemiał w budynku. Malaki położył palec na ustach. Lepiej było zachować rozsądne milczenie.

— Tak mówiła Cecilia. Uważała go za zboka.

— Boże przenajświętszy, że też byłem taki ślepy. Co zrobimy?

— Jeśli udasz, że rozboleło cię serce, i upadniesz na podłogę w pokoju telewizyjnym, to my zajmiemy się resztą.

— Co zamierzasz zrobić?

— Dopilnuję, żebyśmy się stąd wydostali.

— Nie możemy po prostu porozmawiać z policją? Z Marią Wern? Przyjedzie tu od razu. Codziennie próbuje nakłonić mnie do zeznań, ale ja konsekwentnie milczę.

— Opowiesz im, że ukrywałeś uchodźcę?

— To nie jest nielegalne.

— Pomyślą, że zamordowałem Cecilię. Nie mam alibi, nikt mnie nie widział. On jest nauczycielem, darzą go szacunkiem. Nie ma dowodów. Puszczą go wolno. Musimy sami się tym zająć, Johannesie. Przez wzgląd na Cecilię. Sprawiedliwości musi stać się zadość.

**41**

— Boję się. — Rut Villman spojrzała błagalnie na Marię brązowymi przestraszonymi oczami. — Jak mam uchronić Runego przed zlincowaniem, kiedy pójdzie do pracy w szkole? Jak mam go chronić, nawet gdy siedzi w domu? Ludzie nic nie rozumieją. Rune jest inny niż wszyscy, ale nie jest z tego powodu gorszy. On nie zrobił nic złego tej córce pastora. Śledził ją, to prawda, ale tylko żeby dowiedzieć się, jak pachnie. Ma te zapachy w mózgu. Prosiłam i błagałam, żeby skończył z tymi wariactwami, ale jest całkiem opętany myślą, żeby zostać niedoścignionym perfumiarzem. Co mam robić? Gdzie uciec? Czy policja nie powinna dać nam ochrony?

— Jest nas za mało, przykro mi, ale zasoby ludzkie, jakimi dysponujemy, są niewystarczające. Czy istnieje możliwość, żeby wyprowadziła się pani z Kronviken i zamieszkała u jakiejś rodziny do czasu, gdy to się trochę uspokoi? — Maria pomyślała, że to powinno wystarczyć, teraz gdy złapali pastora podejrzanego o morderstwo. Nawet jeśli był niewinny. Maria mogła sobie dać rękę uciąć, że tak właśnie było. Miała nadzieję, że wpłynie to prewencyjnie na zapędy pospólstwa do samozwańczego wymierzania sprawiedliwości.

— Dlaczego musimy uciekać, skoro Rune nic nie zrobił? Nie wiem, czy mogę sobie pozwolić na niechodzenie do pracy. Połowa moich zarobków idzie na podatek od nieruchomości, choć urodziłam się i wychowałam tu nad morzem. Muszę pracować na cały etat, żeby było mnie na to stać, nie mogę wziąć zwolnienia.

— Może będziemy mogli udostępnić jakieś mieszkanie w mieście. Rune mógłby tam przebywać w czasie, gdy będzie pani w pracy. Czy sądzi pani, że sprawdziłoby się to jako tymczasowe rozwiązanie?

Maria oparła głowę na rękach i wpatrując się w zimową ciemność, dostrzegła cień przechodzącej przez ulicę Rut. Wysoka, koścista postać w zdecydowanie za dużym weł-

nianym płaszczu brnęła w śnieżnej zawiei. Jak rozstrzyga się kwestię przestępstwa popełnionego kolektywnie? Kto co zrobił? Kogo należy pociągnąć do odpowiedzialności? Jak do tej pory nie złapano jeszcze ani włamywacza z domu Villmanów, ani tych, którzy podpaliли obóz uchodźców. Ale przed pożarem w obieg poszła plotka — przeciek od kogoś na komisariacie, że zatrzymano jakiegoś cudzoziemca. Tak było napisane w gazecie. Informacja z pewnego źródła. Nie ma potrzeby go podawać. Zatrzymanie Malakiego na pewno skojarzono z podpaleniem. Policja sprostowała, że chodziło o doprowadzenie do deportacji, oświadczenie wystosowano niezwłocznie. Nie ma dymu bez ognia, jak mawiają. Oby tylko pastor zdecydował się mówić. Kogo chronił? Swoją żonę? Ale dlaczego? Dlaczego brał na siebie winę? Czy nie powinien nienawidzić jej za to, co zrobiła? Jeśli oczywiście była winna. Zachowywała się jednak trochę dziwnie. Z drugiej strony chyba niemożliwe jest zupełnie normalne zachowanie po takich strasznych przeżyciach. Dlaczego nie chciał nic powiedzieć? Czy istniało jakieś inne wytłumaczenie? Z zamyślenia wyrwał Marię dobiegający z głośnika głos.

— Kłopoty w areszcie. Wygląda na to, że pastor dostał zawału. Zabrali go na izbę przyjęć. Podczas reanimacji i całego zamieszania jeden z więźniów zdołał przechwycić klucze i zbiec z aresztu.

— Który?

— Malaki al Hakim — ten, którego mieli deportować.

Malaki naciągnął czapkę na czoło i opatulił się szalikiem aż po sam nos. Ubranie, które udało mu się zdobyć, należało do kogoś, kto przyszedł z wizytą z opieki społecznej. Okazało się przyciasne pod pachami, a rękawy kurtki trochę za krótkie i nie udało mu się znaleźć żadnych butów. Aby nikt obok niego nie usiadł, zajął miejsce na samym tyle autobusu i udawał, że drzemie. Palce u nóg miał prawie całkiem zdrętwiałe, a skarpetki kompletnie przemoczone. Zdjął je i masował stopy ciepłymi dłońmi. Bolało, ale cierpienie było tylko kwestią czasu. Miał przyjaciół. Gdy tylko dostanie się do miasta, problem obuwia się rozwiąże. To tylko mała przeszkoda. Prawdziwym wyzwaniem będzie odkrycie prawdy. Musiał poznać prawdę na temat śmierci Cecylii. Nawet jeśli miałby obnażyć ją, zrywając warstwę po warstwie jak w cebuli. Jego kochana dziewczynka.

„Jesteś piękną, młodą kobietą” — powiedział do niej, gdy stali na dworze wieczorem, a jej złote blond włosy połyskiwały w świetle księżyca. Jej błyszczące oczy wypełniły jego źrenice, bez skrępowania i strachu, gdy wypowiedział te słowa. Że była piękna. Zamiast dumnie się wyprostować i przyjąć komplement, w tak typowy dla zachodniej kultury sposób odwróciła się i zaczęła zaprzeczać. Dlaczego kobiety w Szwecji nie lubią swojego ciała? To zagadka. „Czy nikt nigdy nie mówił ci, że jesteś piękna?”. Żałował, że nie mógł jej tego przekazać w swoim ojczystym języku, w którym słowa zamieniały się w poezję, w którym mógł werbalizować swoje myśli bez ograniczeń. Wyznanie miłości wydaje się takie nędzne w tłumaczeniu, nie przekazującym niuansów i podwójnych znaczeń, takie odarte z blasku, a melodia słów ordynarnie uproszczona. Wtedy opowiedziała mu o Pontusie. Wzrok, który przyszpilał ją, oblepiał jej ciało, choć starała się ukrywać je pod grubymi swetrami. Zboreźnik. Sprawdziła słowo w słowniku, gdy przyszła do kotłowni. Nieprzyzwoity człowiek. Nauczyciel poprosił nawet raz Cecilie, by przyszła do jego domu, gdzie mieli porozmawiać o wypracowaniu, które napisała. Do niego do domu, nieosłonięta, nie chroniona przez nikogo. „Zamierzasz tam iść?” — spytał. „Muszę — odpowiedziała. — Nie chcę, żeby tata zobaczył, co napisałam. Wypracowanie dotyczy czegoś bardzo osobistego. Nie chcę, żeby je przeczytał i się zmartwił. Jeśli nie przyjdę, być może on mu je pokaże”. To właśnie musiało wydarzyć się po wieczorze filmowym. To takie oczywiste dla każdego, kto ma odwagę demaskować elity. Nauczyciel zabrał ją do siebie swoim samochodem. Dokończył gwałtu i porzucił ciało na torach. Jak skorupkę po owocu, którego słodczy zakosztował. A pastor wziął winę na siebie. Malaki trząsał się na całym ciele. Jakim idiotą trzeba być? Jakie to żalosne. Mężczyzna, który nie broni honoru swojej córki, nie jest mężczyzną. To nieludzkie.

W tym momencie Malaki zdał sobie sprawę, że kierowca autobusu obserwuje go w tylnym lusterku. Obserwuje go czy sobie to ubzdurał? Radio grało, ale jak do tej pory puszczały tylko muzykę, żadnych wiadomości, żadnych informacji. Uciekinier wcisnął się głębiej w siedzenie. Zastanawiał się, czy ma wysiąść z autobusu wcześniej, czy poczekać, aż większość ludzi wysiądzie na przystanku w centrum. Jeśli wysiądzie sam na następnej stacji, ktoś może zauważyć jego nieobute stopy. Jeśli jednak wysiądzie na końcowym przystanku, kierowca zdąży zawiadomić policję. Może już tam na niego czekali. Aby odkryć prawdę, musiał spotkać się z nauczycielem Cecilii. Odkryć prawdę i wymierzyć sprawiedliwą zemstę w tym prymitywnym społeczeństwie. Malaki podniósł wzrok i rozejrzał się

po pełnym autobusie. Jeśli ktoś wysiadzie na następnym przystanku, wyjdzie tuż za nim. Zostanie mu kawałek do przejścia, ale tak będzie bezpieczniej.

Znalezienie adresu nauczyciela w książce telefonicznej zajęło mu kilka dni. W segregatorze Cecylii zobaczył numer telefonu. Teraz, gdy znalazł sobie nową kryjówkę u Elviry Bredström, dzięki swojej dobrej pamięci do cyfr zdołał cyfra po cyfrze odnaleźć właściwy numer i przypisane mu nazwisko oraz adres. Gdyby policja nie złapała Malakiego w sklepie żelaznym i nie zabrała go do aresztu, złożyłby wizytę Larssonowi już tydzień temu. Lepiej późno niż wcale, jak mawiała Cecilia. Elvira Bredström to osobny rozdział. Nachalnie opiekuńcza. Mówiła do niego w sposób uwłaczający jego intelektowi, jak do półinteligenta albo do małego dziecka. Chciała wziąć z nim kąpiel, ale tu jego cierpliwość się wyczerpała. Kilka dni przed tym, jak udał się do sklepu żelaznego, żeby zaopatrzyć się w nóż, spał w podziemiach szpitala, na twardej posadzce, pośród obywateli niższej kategorii.

Nikt nie wysiadł, gdy autobus dojechał do przystanku przy wieży ciśnień. Malaki wziął głęboki wdech i obserwował oczy kierowcy w tylnym lusterku. Kierowca mówił głośno i szybko do telefonu komórkowego. Malaki nie był w stanie dosłyszeć ani słowa. Próbował uspokoić siebie samego, że była to prywatna rozmowa. Przyglądał się kierowcy, próbując wywnioskować coś z wyrazu jego twarzy. Ktoś wstał na siedzeniu za nim. Może starsza kobieta, która bała się, że nie zdąży wysiąść w porę, choć mieli zatrzymać się na przystanku dopiero za chwilę? Albo ktoś wysłany przez policję obserwował go, by później go śledzić? Spokojnie. Tylko spokojnie. Malaki próbował kontrolować oddech. Byli na miejscu. Przy stacji kolejowej stała grupa ludzi, nikt pośród nich nie był umundurowany. Musiał powstrzymać się, by nie wybiec z autobusu. Trzymając się blisko kobiety z wózkiem dziecięcym, wysiadł i szedł dalej. Minął budkę z hotdogami i poczekalnię, nie czując śniegu pod stopami. Dopiero gdy przeszedł przez ulicę, odważył się odwrócić, by stwierdzić, że nikt za nim nie idzie. Jeszcze jedna przecznica i będzie u swojego przyjaciela szewca.

Piętnaście minut później Malaki był już przy budynku mieszkalnym na Kungsgatan, gdzie Larsson — zgodnie z informacją na niebieskiej tablicy na klatce schodowej — zajmował mieszkanie na poddaszu. Malaki pojechał windą. Ryzyko, że spotka kogoś na schodach, wydawało mu się większe niż to, że natknie się na kogoś w windzie, tak zdecydował. Winda wjeżdżała wolno na najwyższe piętro. Widział swoją twarz w niebieskawym lustrze — młody mężczyzna o poszarzałej cerze i intensywnym spojrzeniu. Napiął każdy



mięsień ciała. Nadeszła pora. Nie było odwrotu. Na drzwiach widniał napis: Pontus Larsson. Malaki uniósł dłoń i zadzwonił do drzwi.

**42**

Reidun Ståhl wpatrywała się w męża, jakby nie wierzyła własnym uszom. Zdała sobie sprawę ze swoich szeroko otwartych ust i zasłoniła je dłonią.

— Przyznałeś się do winy, ponieważ myślałeś, że to ja zabiłam Cecilie? Czy już zupełnie odjęło ci rozum?

— Dla dziecka; zrobiłem to, bo dziecko, które nosisz w sobie, cię potrzebuje. Nie wspierałem cię, nie dopuściłem cię wystarczająco blisko siebie. Byłem takim egoistą. — Johannes usiadł na brzegu łóżka i wyciągnął ręce ku Reidun siedzącej na krześle obok. — Czy możesz mi wybaczyć?

— Wybaczyć? — powtórzyła jak echo. — Myślałeś, że jestem winna morderstwa twojej córki i wzięłeś na siebie winę. To chore! To szaleństwo! Dlaczego nie spytałeś mnie wprost?

— A co byś odpowiedziała? — Johannes pogłaskał żonę po ramieniu. Odsunęła się.

— Byłabym wściekła i zostawiłabym cię. Miałam czasami takie myśli. To byłaby ta ostatnia kropla. Nie układało nam się ostatnimi czasy. Myślałam, że znaczę dla ciebie tyle, ile jedzenie na stole i wizytówka twojego domu, ktoś, kto cię wysłucha i wyprasuje twoje koszule.

— Zajęło mi trochę czasu, żeby zdać sobie sprawę z tego, ile dla mnie znaczysz. Kocham cię, Reidun. Chcesz nadal ze mną być? — Słowa zabrzmiały bardzo książkowo i mogła się tylko domyślać, ile czasu zabrało mu ich wymyślenie.

— Wybacz, Johannesie. Muszę to przemyśleć. Czuję się taka skołowana. Sama nie wiem, czego teraz chcę.

— Jak się czujesz? I jak się czuje dziecko?

— Tak sobie. Nie przybieram na wadze. Nie mam apetytu. — Reidun odetchnęła głęboko i zmusiła się, by spojrzeć mu głęboko w oczy, jednocześnie odsuwała się od niego coraz bardziej, poza zasięg jego wilgotnych dłoni. — Potrzebuję czasu, żeby dotarło do mnie, co mówisz. Już sama nie wiem, czego chcę.

— Zamierzasz chyba utrzymać ciążę? — W jego słowach pobrzmiwała wyraźna obawa.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi i odpowiedź zawisła w powietrzu. Do środka weszła Maria Wern, przywitała się i spytała, czy może zamienić z Johannesem parę słów na osobności. Reidun wstała.

— Tak. Myślę, że tak. — Szybkim krokiem skierowała się do drzwi. Maria podążyła za nią wzrokiem, trochę zmieszana; bez trudu wyczuła, że panowała tu napięta atmosfera. Pastor wyglądał tak, jakby chciał pobiec w ślad za nią.

— Lekarz powiedział, że z sercem wszystko w porządku. Miło to usłyszeć, prawda? — Maria zdążyła podejść do łóżka, kiedy Johannes usiadł, zwieszając nogi na łóżku. — Gdy lekarz udostępni wyniki badań krwi, będzie pan mógł wrócić do aresztu, jeśli analiza nie wykaże niczego odbiegającego od normy. Czy jest coś, co chciałby mi pan jeszcze powiedzieć? — Po tylu dniach milczenia Maria nie robiła sobie wielkich nadziei. Choć jeśli pastor porozmawiał z Reidun, to być może nastąpi jakiś przełom.

— Jestem niewinny. — Johannes próbował wstać z łóżka. Maria uspokoiła go ruchem ręki i usiadła na zajmowanym wcześniej przez Reidun krześle.

— Wie pan, gdzie może obecnie przebywać Malaki al Hakim? To ważne. Wiem, że się znaliście. U pana w kotłowni są odciski jego palców, jego ślina była wewnątrz fletu, który Cecilia miała ze sobą w dniu pokazu filmowego. Ukrywał go pan, prawda?

Johannes upił łyk wody ze stojącego na stole kubka. Miał sucho w gardle, poza tym potrzebował czasu do namysłu. Odstawiając kubek, uderzył nim o róg stołu. Kubek przechylił się i woda wylała się do otwartej szuflady, w której trzymał malinowe żelki, ciastka oraz książeczkę z cytatami z Biblii na każdy dzień.

— Próbuje dowiedzieć się, kto zamordował pańską córkę. Gdzie jest Malaki?

— On nie jest mordercą. — Pastor usiadł wyprostowany na łóżku.

— Skąd pan wie?

Johannes zrekapitulował całą historię w formie pozbawionego chronologii potoku słów, wzbogaconego o retrospekcje i nowe, osobiste odkrycia. Jak mógł być tak ślepy? Cecilia nigdy nie lubiła swojego wychowawcy.

— Nie możecie wysłać Malakiego z powrotem do jego kraju. To oznaczałoby dla niego karę śmierci. Czy chcecie go mieć na sumieniu? — Prośba Johannaesa zakończona była dziwnym, gardłowym dźwiękiem, na wpół zduszonym westchnieniem.

— Urząd imigracyjny oceni ryzyko, zanim mężczyzna zostanie odesłany. Czy podejrzewa pan, że Malaki poszedł szukać w pojedynkę wychowawcy Cecilii, żeby z nim porozmawiać? — Maria wyciągnęła komórkę z kieszeni, ale przypomniała sobie, że nie można jej używać na terenie szpitala.

— Mieliśmy tam pójść razem. Przyprzeć drania do ściany! Ale nie zdążyłem. Nie dałem rady się podnieść, gdy pojawił się strażnik i zaczął uderzać mnie w klatkę piersiową. — Słowa Johannaesa zawisły w powietrzu. Malaki nie czekał na niego. Nie raczył obdarzyć go nawet spojrzeniem, gdy on leżał na kamienistej posadzce. Ich wspólna wyprawa nie była niczym innym niż wymysłem skołowanego umysłu pastora. Nagle wyraźnie to do niego do-tarło.

Na tych samych schodach, na których znalazł się Malaki dwie godziny wcześniej, stała teraz Maria z dłonią na kaburze pistoletu. Przy ciągłych niedoborach ludzi w policyjnych szeregach trudno przedsięwziąć śledztwo na dużą skalę. Brak prądu i opóźnienia, do których doprowadził w pracy dochodzeniowej, był dodatkowym obciążeniem. Maria pragnęła z całych sił, żeby wskazanie nauczyciela przez Johannaesa okazało się przełomowe. Żeby dzięki temu znaleźli wiążące dowody. W samochodzie Pontusa Larssona znaleziono włos Cecilii, co nie dowodziło niczego ponad to, że kiedyś podwoził ją swoim samochodem. Przyznał się do tego bez ogródek. Oczywiście, że podwoził kiedyś Cecilie i kilka innych dziewczynek przy różnych okazjach. Czy to było karalne? Maria musnęła kciukiem pistolet. Czuła się niezdarnie w kamizelce kuloodpornej. Z mieszkania nie dobiegały żadne dźwięki. Maria dała znak innym, zanim zadzwoniła do drzwi i ustawiła się z boku. Ek i Himberg stali nieruchomo po przeciwnej stronie drzwi. Maria zadzwoniła jeszcze raz; długi, uporczywy dźwięk. Cicho jak w grobie. Po kolejnych kilku dzwonkach zdecydowali się wejść do środka. Maria przesunęła się i przepuściła Eka, który załatwił klucze od dozorczy.

Weszli do korytarza, który nie oddychał chyba świeżym powietrzem od czasu, gdy wprowadził się tu nowy lokator. Jeśli w ogóle ktoś tam mieszkał. Wzdłuż ścian stały kartony i papierowe torby. Jakby w oczekiwaniu na kolejną przeprowadzkę albo z powodu opieszałości lokatora. Na co czekał? Na łaskę powrotu po separacji? Tryb *stand-by*, zanim życie znów nabierze tempa?

— Panie Larsson, czy jest pan w domu? — Słysząc było jedynie cichy szum samochodów i sąsiada spuszczonego wodę w toalecie. Maria wkroczyła do małego mieszkania. — Policja! — Weszła do pokoju, opierając się plecami o ścianę. Na podłodze leżał materac z kraciastą poszewką kołdry u stóp posłania. Pusta szklanka po piwie, gazeta ze skąpo ubranymi paniami na wpół wetknięta pod poduszkę. Pogniecione i poplamione prześcieradło leżało wystawione bezwstydnie na widok ich oczu.

— Samotny skurczybyk — skonstatował Himberg i kopnął butem poduszkę, odsłaniając okładkę gazety z widniejącą na niej cycoliną na czworakach.

— Na telewizor go w każdym razie stać, ten tutaj nie należał na pewno do najtańszych — rzucił Ek, wskazując na półkę, gdzie stał okazałych rozmiarów odbiornik.

Himberg wszedł do łazienki i zamął z dłonią na włączniku światła, którego właśnie dotknął. Maria słyszała jak sekundę przed krzykiem bierze głęboki wdech. W pierwszej chwili nie mogła dostrzec tego, co zobaczył. Szerokie jak szafa ciało Himberga zasłaniało całe wejście do łazienki.

— O kurwa! — Głos Himberga wznosił się do falsetowej barwy. Maria precyzyjnie się pod jego ręką. Minęło kilka sekund, zanim oczy pogodziły się z widokiem zarejestrowanym przez mózg. W nagim świetle jarzeniówki na suficie widok wydawał się tak nierzeczywisty. W pewnym sensie schludny i ładny. Czysta biała wanna i czerwona zawartość jak idealnie odcinające się od siebie pola. Żadnych plam ani na brzegach wanny ani na podłodze. Jasnoniebieski zmierzwiony dywanik łazienkowy. Niewinny kubek do mycia zębów z nadkruszonym brzegiem, nić dentystyczna i sprany ręcznik z papugą i palmą. Codzienny, nieszczególny widok. Kontrast pomiędzy niemającą tam prawa bytu czerwienią a bielą był nie do zniesienia, wżerał się boleśnie w świadomość Marii. Tuż pod powierzchnią czerwonej cieczy prześwitywał kawałek skóry. Plecy czy brzuch? Nie można było stwierdzić, z której strony wanny leży głowa. Jeśli w ogóle tam była. Jeśli jakkolwiek wewnętrzna część ciała była na swoim miejscu. Narzędzie użyte do cięcia leżało być może gdzieś

na dnie wanny. W zneruchomiałej mieszance wody i krwi. W każdym razie na pierwszy rzut oka nie widać było żadnego ostrego przyrządu w tej prosto urządzonej łazience. Maria wzięła wdech, spojrzała w górę i zobaczyła swoją trupioblada twarz w lustrze. Himberg złapał ją za rękę.

— Niczego nie ruszajcie, wycofujemy się. — Nagły dźwięk, głośny i niespodziewany, sprawił, że Maria gwałtownie się zamachnęła, trafiając łokciem w usta Himberga, które zaczęły krwawić. Dźwięk wzmagał się, stawał się coraz bardziej natarczywy, przetaczając się przez pokój jak ogień karabinowy. Maria poczuła, jakby atakował ją zastęp diabłów. Czując, jak ciało oblewa zimny pot, chciała rzucić się do ucieczki. Odcięcie się od dźwięku, który przeszywał ją do szpiku kości, nie było możliwe. Jak dźwięk akordeonu.

— To tylko ten pieprzony budzik. — Ek trzymał przedmiot w ręku, jak granat, który gotowy był zaraz wyrzucić przez okno.

— Cholera. — Himberg wytarł krew, która skapnęła mu na brodę po wymierzonym przez Marię ciosie w szczękę, i wpatrywał się w swoją dłoń. Wargę spuchła.

— Przepraszam. — Maria cofnęła się w głąb pokoju, próbowała stąpać po śladach butów, które pozostawiła wcześniej na posadzce.

— Kto leży w wannie? — Ek puścił ościeżnicę i odszedł, ślaniając się na miękkich nogach. — Kto tam, kurwa, leży?

— Malaki? To może być on. — Himberg zamknął za nimi drzwi. — Musimy zabezpieczyć teren.

— A może to Larsson? — Maria wyjęła chusteczkę i podała ją Himbergowi, który przyłożył ją do nabrzmiałej wargi. — Nie chciałam.

— Jasne, długo na to czekałaś, na powód, który uprawniłby się do dania mi w mordę. Fajne uczucie?

— Owszem, ale zdarzały się chyba sytuacje, w których byłoby to bardziej uzasadnione. Choć głupio chyba nie wykorzystać okazji, skoro się taka nadarza. — Maria uniosła jedną brew, przyglądając się koledze, ale się nie uśmiechnęła.

— Cicho, ktoś idzie po schodach na dole. — Ek wycofał się bezszelestnie za windę. Reszta poszła za jego przykładem. Czekał w napięciu, usłyszeli brzęk kluczy, zatraskujące się drzwi wejściowe i zbliżające się kroki. Ciężkie kroki. Kiedy mężczyzna dotarł

na górę, zobaczyli, że dźwiga dużą białą plastikową skrzynię. Jeszcze tylko kilka kroków. Zachwiał się pod ciężarem. Teraz słyszeli jego oddech, głębokie, świszczące dźwięki. Zdecydowanie brak kondycji. Przystanął, by zmienić uchwyt. Zrobił jeszcze kilka kroków i dotarł do miejsca przed drzwiami swojego mieszkania.

— Policja! Puść to, co trzymasz, Larsson! Powoli. Stań przy ścianie. Ręce do góry! Ręce do góry, powiedziałem! — Wprawne ręce Himberga przeszukały jego ubranie. Wędrowały po dzianinowym swetrze, aż dotarły do pasa spodni, po części przykrytego batikową tuniką.

— Co jest, kurwa, co takiego zrobiłem?

— Ty nam to powiedz. — Ek stanął na odległość ręki od zatrzymanego. — Po co ci ta skrzynia? To moje pierwsze pytanie. Będzie ich dużo więcej. Cała masa pytań.

— Skrzynia? Co w niej jest? Pół świniaka. OK. Kupiłem ją na czarno. Ale, kuźwa, są przecież święta. Musisz nim we mnie celować? — Larsson wpatrywał się w celownik pistoletu Eka. — Nie macie nic do roboty, że wkraczacie tu pełną parą, bo ktoś kupił trochę wiewprzowiny na czarno?

— Kto leży w twojej wannie? — Maria odgarnęła kosmyk wilgotnych włosów i czekała na odpowiedź.

— W mojej wannie? Kto leży w mojej wannie? Może kaczka kąpielowa. Weszliście do mojego mieszkania? Dlaczego? — Pontus spróbował się odwrócić i został bez zbędnych ceregieli dźgnięty w plecy przez Himberga.

— Wyduś z siebie prawdę, skurwysynu. — Maria zobaczyła, jak Himberg podnosi nogę do kopniaka i rzuciła mu spojrzenie, które w jednej chwili uśmierciłoby jelenia.

— Nie wydaje mi się, żeby ktoś leżał w mojej wannie. Z tego, co pamiętam.

— Może ci się nie wydaje, ale nam owszem, kapujesz? — Maria widziała, jak Himberga świerzbią palce, nieodparte pragnienie, by własnoręcznie wydusić z człowieka prawdę. Nauczyciel trząśł się. Przedziwne dźwięki, jakby płacz albo gardłowe, prymitywne odgłosy rozległy się echem na klatce schodowej, przechodząc w wysoki, szaleńczy rechot. Piekielny śmiech szaleńca. Mężczyzna odwrócił się do nich, a po policzkach popłynęły mu łzy. W trwającym dłuższy czas przykurczu upadł na podłogę, nie przestając się śmiać. Później

Himberg przyznał, że nigdy wcześniej nie widział czegoś bardziej przerażającego, nawet jeśli trudno było poczynić takie wyznanie.

Dwie pary drzwi otworzyły się niemal jednocześnie i wychyliły się z nich na wpół ukryte w cieniu zaciekawione twarze. Gdyby nie czuwające oko społeczeństwa, Himberg z pewnością wymierzyłby pogrążonemu w histerii mężczyźnie policzek. Zamiast tego musiał ograniczyć się do wymownego gestu wskazującego na głowę i kilku wymyślonych na oczekaniu inwektyw oraz dosadnych przekleństw.

— Chyba najlepiej będzie, gdy zabierzemy go na pogotowie psychiatryczne. Trzeba dać mu coś na uspokojenie. — Maria ukucnęła i próbowała złapać kontakt wzrokowy z nauczycielem. Patrzyła na niego surowo do czasu, gdy wreszcie wziął się w garść. — Zrozumiał pan pytanie, czy będziemy rozmawiać na posterunku?

— To nie tak, jak myślicie. Tam w wannie są moje prześcieradła. Barwię je na czerwono, żeby później powiesić je jako zasłonki. Wrzuciłem też kilka t-shirtów, można zrobić na nich własne wzory woskiem. Czy mogę teraz wstać, nie ryzykując, że ten zbój zmiażdży mnie swoją nogą? — Larsson patrzył złowieszczo na Himberga, który powoli, bardzo powoli zyskiwał świadomość tego, co się stało.



## 43

Amanda od tygodnia leżała w łóżku z grypą. Z zawrotami głowy powodowanymi uderzeniami wysokiej gorączki powlokła się do toalety, straciła równowagę i uderzyła twarzą w regał z książkami. Jedna powieka spuchła i stopniowo pod okiem rozlał się siny półksiężyc. Eva się martwiła. Po nastolatkach można spodziewać się gwałtownych huśtawek nastroju, ale rozpacz, z jaką Amanda zareagowała na swój wygląd, przybrała zdecydowanie niedorzeczne rozmiary. W stanie zamroczenia dziewczyna zadzwoniła do szpitala, aby porozmawiać z chirurgiem plastycznym i dowiedzieć się, czy byłby w stanie zaradzić jakoś nieszczęściu. Odpowiedzią była delikatna, lecz stanowcza odmowa. Nawet lekarz w przychodni nie okazał żadnej litości. Upudrowała więc twarz, do złudzenia upodabniając się do mumii, i płakała tak długo, aż cały puder spłynął, odkładając się brązowymi grudkami na brodzie i policzkach. Płacz, krzyk i poirytowane dąsy na przemian z uderzeniami gorączki i mokrą od potu pościelą, dzień w dzień — jej zachowanie było całkowicie irracjonalne. Eva nie mogła wziąć urlopu w sklepie w samym środku okresu zakupów świątecznych. Urlop na dziecko można dostać, gdy ma ono maksymalnie dwanaście lat, później pociechy muszą radzić sobie same, bez względu na to, jak są nieporadne i godne współczucia. Eva dzwoniła do domu kilka razy dziennie, biegła tam w przerwie na lunch i błagała koleżanki, by nie musiały zostawać po godzinach, obiecując, że będzie dyspozycyjna w okresie przedświątecznych. Wyrzuty sumienia w obie strony. Przez ostatnie dwa dni nie mogła dodzwonić się do Amandy. Pewnie wszystko było w porządku i siedziała sobie w Internecie. W najlepszym wypadku był to znak, że jej stan się poprawił. Gdyby nie głębokie przygnębienie, Eva mogłaby pewnie odetchnąć z ulgą. „To przejdzie, śliwka przemieni się powoli w żółć, a później zblednie, zobaczysz”. Amanda nie mogła się doczekać. Nie było przyszłości. Życie się skończyło. Wcześniej tego ranka Eva z trudem opanowała śmiech, obserwując ten melodramat, na co jej córka zareagowała wybuchem. Krzyczała, klęła, a następnie zamknęła się w swoim pokoju, w którym, sądząc po wydobywających się

stamtąd dźwiękach, dokonywała przemeblowania. Nikt nie odbierał. Eva zdecydowała się, że wyjdzie dziś z pracy wcześniej. Nieważne, ile to ją będzie kosztowało. Nic innego nie wycieńcza człowieka bardziej niż kłótnie z własnym nastoletnim dzieckiem.

Amanda stanęła przed lustrem w łazience i masowała policzek zwilżonym ręcznikiem. Pokazała język dziewczynce po drugiej stronie lustra. Tej, która gapiała się na nią małymi, złośliwymi, zaczerwienionymi oczami. Brzydka, mamina córeczka z tłustymi strąkami. Dokładnie w chwili, kiedy jej życie nabrało sensu, gdy sława zawisła przed nią jak dojrzałe, gotowe do zerwania jabłko, wszystko wzięło w łeb. Yourlove zaproponował dwa spotkania w nowych miejscach, jednak, biorąc pod uwagę to, co widziała w lustrze, musiała odmówić. Upłynęły trzy dni, od kiedy kontaktował się z nią ostatnio na Lunarstorm. Na pewno zaczynało go to już męczyć. Tak to wyglądało. Wiadomości były krótsze. Amanda uszczypnęła się mocno w rękę, żeby nie zacząć znowu chlipać. To jej w niczym nie pomoże. A później jeszcze to morderstwo. To niewyobrażalne, że zrobił to pastor. Amanda wzdygnęła się na samą myśl o tym. Sama przeczytała o tym w gazecie, którą mama próbowała ukryć pod poduszką na ławie w kuchni. Miał zostać poddany badaniom psychiatrycznym, tak było napisane na samym końcu artykułu na stronie czternastej. To dobrze, że policja go zatrzymała i zamknęła. Amanda miała osobiste przemyślenia na temat tego, dlaczego pastor zabił córkę. Musiał się piekielnie wściec. W jakiś sposób dowiedział się o tym, co Cecilia robiła w tajemnicy przed nim. Anioł spadł z piedestału, podcinając własne skrzydła, a przynajmniej mocno je strzępiąc. Nie była w stanie nawet o tym myśleć. Co zrobiłby pastor, gdyby dowiedział się, że ona również brała w tym udział, na wieki wieków ponosząc winę za kradzież, kłamstwa i upijanie się mszalnym winem? Czy ją podejrzewał? Gdy śniła w gorączce, widziała go w powiewającej na wietrze kapocie, goniącego ją przez rozległe pola i podmokłe tereny leśne. „Nakryłem dla ciebie do stołu, gdybyś chciała usiąść z nami do obiadu — ostatniej wieczery. Już czas wracać, Amando”. Jego wzrok, śmiertelnie poważny, podążał za nią, gdy uciekała. Biegając wąskim korytarzem, wyciągał chude palce i chwycił za jej ubranie, aż budziła się z krzykiem i nie potrafiła już zasnąć.

Eva próbowała zrozumieć ją, pocieszyć. Przyjemnie byłoby wyrzucić to z siebie. Ale jak mogłaby opowiedzieć matce o tym, co się wydarzyło? Wtedy ta powtórzyłaby wszystko temu glinie, Jesperowi Ekowi, i Amanda zostałaby odesłana. Do taty, jeśli zechciałby ją

przyjąć, albo do rodziny zastępczej. Może będzie mogła im o tym powiedzieć, gdy dorosnie i nikt nie wyśle jej za to do obcych ludzi. Tak trudno było dźwigać samotnie ciężar tej prawdy. Amanda odwróciła się na pięcie, poczuła przez moment, jak ktoś obserwuje ją zza okna w kuchni. Zarejestrowała kątem oka ruch. To było oczywiście niemożliwe. Nie, skoro mieszkały na drugim piętrze. Okno było ciemne i błyszczące, w szybie odbijał się szczegółowy obraz kuchni. Świat na zewnątrz spowijała ciemność. Myśl, że Cecilia może obserwować ją z drugiej strony, nie była jej znów aż tak obca. „OK. Niech się gapi” — pomyślała. Żeby tylko jej się nie ukazała i nie straszyla jej. Żeby tylko nie musiała jej naprawdę widzieć. „Już za mnie nie decydujesz. Nie mam siły się już bać”. Amanda skuliła się w kącie przedpokoju, gdzie żadne gapiące się z okna oczy jej nie dosięgną. W tym momencie przyszła jej na myśl pielęgniarka szkolna. Pielęgniarki mają obowiązek zachowania tajemnicy. Jeśli powie jej, że chce z nią porozmawiać w zaufaniu, nie opowie tego nikomu, tak twierdziła Cecilia. Za złamanie obietnicy groziło jej więzienie. Cecilia chodziła czasami do jej gabinetu, by z nią porozmawiać. Zazwyczaj w czasie lekcji matematyki. Pielęgniarka nie była może materiałem na najlepszą przyjaciółkę, ale nie była też zła. Może tylko trochę nudna. Ale miała tę zaletę, że obowiązywała ją tajemnica. Fajnie byłoby usiąść na jej leżance i opowiedzieć o tych wszystkich trudnych sprawach, wiedząc, że nie będzie później z tego powodu gadania. To właściwie dobrze, że pielęgniarka nie była specjalnie wylewna. Nigdy nie dałoby się porozmawiać z Larssonem, pewnie by się strasznie podniecił i wszyscy zauważyliby, że coś go zdenerwowało. Z Pią było inaczej. Jej wyraz twarzy pozostawał zawsze taki sam, cokolwiek by się działo, jak u salamandry. Miała twarz salamandry, bladą i kamienną gębę z opadającymi kącikami ust. Kiedy Svante poszedł się utopić i Cissi biegła do pielęgniarki na każdej przerwie, ta pozostawała niewzruszona i mówiła, że nic na to nie można poradzić. Każdy człowiek odpowiada za własne życie. Svante miał depresję, był po prostu chory psychicznie i nie ma co się nad tym zastanawiać.

Pontus zachęcał ich do tego, by skontaktować się z grupą wsparcia, jeśli chcieliby porozmawiać o tym, co spotkało Cecilię. Pielęgniarka była właściwie jedyną osobą, która zachowała zimną krew, inni nie dali rady. Albo nie wiedzieli, co mają robić. Najwyraźniej istniała potrzeba zorganizowania szkolenia na wypadek sytuacji kryzysowych. Pia patrzyła w stronę Amandy, kiedy przychodziła do klasy i zapraszała ich do swego gabinetu.

Amanda włączyła komputer, dziś już co najmniej po raz dziesiąty, i zalogowała się na Lunarstorm. „Jeśli napisał, to jest to znak, że muszę iść jutro do szkoły — myślała magicz-

nie. — Jeśli nie napisał, zostanę w domu”. Zostały dwa ostatnie dni semestru, powinna dać radę nawet ze śliwką pod okiem. W tym semestrze nie będzie już lekcji WF. Zawsze to coś. Najlepiej będzie, jeśli zacznie zakuwać do testu z angielskiego, bo do niego będzie musiała chyba podejść. A także przygotowuje tę recenzję ze szwedzkiego, musi ją oddać przed końcem semestru. Dostała wiadomość. Godzina i miejsce. I wyraźna wskazówka, by wykasować wiadomość z komputera. Zaraz po szkole ma się udać do sklepu z kapelusami Ekegrenów, który znajdował się tuż obok hali kupieckiej przy porcie. Małe budki obok wykorzystywane były w lecie jako sklepy rzemieślników. Zimą miejsce było opustoszałe. Witryna sklepu Ekegrenów wyglądała przerażająco nawet w świetle dziennym, z tymi odciętymi, podniszczonymi głowami na wystawie. Z założenia miały służyć prezentowaniu kapeluszy, ale czas kapeluszy modystów już przeminął, podobnie jak moda na tego typu nakrycia głowy. Nad witryną, tak jak ją zapamiętała w lecie Amanda, latały chmary much. Ale jeśli Yourlove i jego fotografowie uważali, że lokal się nadaje, to pewnie tak jest. Teraz chodziło tylko o to, żeby nałożyć makijaż w taki sposób, aby jak najlepiej ukryć zasinienia. Jutro po szkole będzie całkowicie ciemno. W sztucznym świetle podbite oko będzie mniej widoczne, a po opuchliznie nie było już prawie śladu. To była zaleta. Z drugiej jednak strony ciemność ją przerażała. Strasznie będzie pójść tam samej. Czująby się lepiej, gdyby ktoś mógł jej towarzyszyć w wyprawie do opustoszałego portu, gdzie znajdował się ziejący pustką sklep z kapelusami. Ale kogo mogłaby poprosić? Mamę? Nie. Yourlove wyraźnie zaznaczył, że ma przyjść sama. Nie mogła więc okazać nieposłuszeństwa, ryzykując, że cały czar pryśnie.

Amanda szła do gabinetu pielęgniarki. Wzrok innych uczniów palił jej plecy. Wiedziała, że stoją po drugiej stronie szklanej szyby w przebieralni w budynku z salą gimnastyczną. Nadal czuła za sobą ich szepty, nawet jeśli ich już nie słyszała. Mózg wydawał jej się jednym wielkim siniakiem.

Już na pierwszej lekcji Emma zaczęła zapraszać najpopularniejszych kolegów na przyjęcie z okazji wigilii świętej Łucji. W klasie aż wrzało od układanych planów, gdy nauczyciel wyszedł z klasy, żeby odstawić rucinę do schowka z pomocami. Zasada była taka, iż zaproszenia można było rozdać w szkole pod warunkiem, że otrzymają je wszyscy uczniowie w klasie. Choć kto rozdawałby zaproszenia w gimnazjum? Może zdałoby to egzamin w podstawówce. Ale kto miał odwagę zaprotestować? Ani Mubbe, ani Lelle, ani Kotten, który mieszkał w barakach. Svävarn, który miał coś z głową — on nie przyszedłby nikomu

na myśl. Amanda też nie. Jeśli jest się osamotnionym i nie ma się w nikim wsparcia, trudno się postawić. Jeśli nie należy się do wybrańców — tych, którzy się liczą. Z kieszeni kurtki zniknęły skórzane rękawiczki. Mama na pewno będzie wściekła, gdy to odkryje. Amanda nawet nie spytała, czy może je wziąć. Czuła, jak łyzy palą pod powiekami i cała sztywnieje. Ciekawe, że ciało może tak zdrętwieć z samotności. Jak wtedy w stołówce, gdy nikt nie chciał obok niej siedzieć. Kark tak zeszywniał, że nie mogła odwrócić głowy, nie była w stanie przeżuwać ani przełykać, a wyrzucenie resztek z tacy do kubła na śmieci wydawało się wręcz niewykonalne. Każdy ruch okazywał się niewłaściwy i towarzyszyło mu drżenie. Kiedy Tom zbliżył się do niej, upuściła widelec prosto na buty Emmy i na niebieskim zamszu wylądowało ziemniaczane purée. Jedyne, czego można się było spodziewać w tej sytuacji, to słów takich, jak „łamaga”, „pieprzona świruska” czy „zdzira”. Najbardziej zabolęła ją, gdy przy wchodzeniu do szkoły Tom mocno ją popchnął. Ale on jeszcze popamięta. Wkrótce. I wtedy pożałuje. Kiedy Amanda będzie sławna, jej nowy chłopak będzie ją codziennie podwoził do szkoły, wysyłał jej śmiałe SMS-y i czekał po lekcjach, a wszyscy jej znajomi zzielenieją z zazdrości.

Amanda weszła do poczekalni. Lampka przy drzwiach paliła się na czerwono, ale zgasła w tym samym momencie, w którym dziewczyna usiadła na podniszczonej zielonej kanapie. Ze środka wyszedł Kotten z zaczerwienionym nosem. Prawdopodobnie znowu chciał sobie zrobić krzywdę albo znowu grali z nim w nową odmianę pokera, w którym przegrany kładł zaciśnięte pięści na stole i obrywał od zwycięzcy talią kart po kostkach palców. Jedna z jego dłoni była zabandażowana.

— Czekałam na ciebie, Amando. — Pia zaprosiła ją gestem do środka. Wyraz jej twarzy był bardzo poważny, wzrok przeszywający. — Usiądź.

Zamknęła za nimi drzwi. Usiadła na krześle naprzeciwko biurka, które złowieszczo zatrzeszczało. Zapadła cisza. Amanda wpatrywała się w biurko i walczyła ze łzami, wiedziała, że współczujące słowa niechybnie doprowadzą do puszczenia tamy. Przełykała raz po raz ślinę, czuła w ustach słony smak.

— Widzę, że jesteś smutna — powiedziała Pia. — Chcesz mi o czymś opowiedzieć?

Amanda zaczęła coś mówić, ale głos był cichy i słaby, a słowa zagłuszył płacz.

— Cecilia...

— Płacz, jak długo masz ochotę. Mamy mnóstwo czasu. — Pielęgniarka podała jej chusteczkę. Amanda podniosła głowę. Na półce leżał cały stos chusteczek. Stos przeznaczony dla anonimowego tłumu płaczących, a zrozpaczona Amanda była tylko jednym z nich, jednym z wielu, których Pia pocieszała za pieniądze. Myśl ta przyszła jej do głowy, gdy siedziała i przyglądała się nierównościom i czarnym liniom na drewnianym stole w gabinecie pielęgniarki.

— Ile chusteczek zużywa się dziennie? — Pytanie było idiotyczne, ale od czegoś trzeba było zacząć, od czegoś nieosobistego, niezbyt trudnego, tak żeby nie sprowokować nowego potoku łez.

— Nie wiem. Bierz tyle, ile ci potrzeba. Chciałaś rozmawiać o Cecylii? Bardzo za nią tęsknisz? Byłyście nierozłączne.

— Nie wiem, czy za nią tęsknię. — Amanda wydmuchwała nos i wetknęła chusteczkę w rękaw swetra. Podparła się rękami, by nie stracić kontroli nad ciałem, słowami i uczuciami.

— Możesz mówić, co tylko chcesz. To, co powiesz, zostanie między nami. — Pia zmieniła pozycję i krzesło wydało ponownie niepokojący trzask.

Za oknem słyhać było krzyki i śmiech. Niespodziewanie nadleciała skądś śnieżka, która trafiła w szybę. Amanda uchyliła się instynktownie. Wyszczierzona twarz Toma mignęła za ogrodzeniem. Pia nie zwróciła na to żadnej uwagi.

— Co lubiałaś w Cecylii? Może łatwiej będzie zacząć od tego.

— Miałam kogoś, z kim mogłam się trzymać. Nikt nie odważył się na złośliwości, bo gasiła ich jednym słowem. Nikt nie miał odwagi jej się przeciwstawić.

— Ty też nie? — Oczy Pii, identyczne za plusowymi szklami, hipnotyzowały, nie można było przed nimi uciec.

— Była taka strasznie silna. Nikt nic nie mógł powiedzieć. Nawet gdy kłamała. Mogła wygadywać wierutne kłamstwa i trzeba było się z nią zgadzać. Nie chciałam się na wszystko zgadzać, ale bałam się powiedzieć, że to, co robimy, jest złe.

— O jakich kłamstwach mówisz? — Głos Pii był suchy i dziwny. Amanda słyszała, jak się zmienił i zawahała się. Czuła, jak opuszcza ją odwaga. Czy można powiedzieć, co się chce o kimś, kto nie żyje? Nawet jeśli jest to prawdą?

— Pytam o kłamstwa. — Pielęgniarka delikatnie naciskała.

— Najpierw to o Svantem. To, co powiedziała, nie było prawdą, o tym, że ją obmacywał. On nic nie zrobił. Za każdym razem, gdy do pani chodziła, wymyślała coś nowego. Tworzyła historyjkę. W pewnym sensie nawet w nią wierzyła. Słuchałam, jak ćwiczyła jej opowiadanie w drodze do szkoły, a gdy przychodziła do pani, miała już gotową historię. Kiedy wygłosiła ją wystarczająco wiele razy, stawała się prawdziwa.

Pia potrząsnęła głową, aż okulary zsunęły się na czubek jej nosa.

— Myślę, że to, co mówiła, brzmiało bardzo przekonująco.

— Wiem, później wymyśliła te wszystkie rzeczy o Runem. Czasami za nami chodził, bo był taki samotny. Ale nic nie robił. Tylko za nami chodził, żeby zobaczyć, gdzie poszliśmy. Ma jedynie babcię, z którą może porozmawiać. Cecilia powiedziała, że pokazał goły tyłek w oknie przebieralni, ale to wcale nie była prawda. Wymyśliła to tego dnia, kiedy odbywał się pokaz filmowy, a ja się z nią zgodziłam. Choć wcale tak nie było. Choć to była nieprawda. Myślę, że woźna też to słyszała. Jego babcia. Ale nie jestem pewna.

— Przecież to okropne.

— Wie pani, co mówiła o pani?

Pia odepchnęła się lekko stopami i krzesło cofnęło się trochę. Policzki oblały się powoli rumieńcem, a na szyi pojawiła się ognista czerwień.

— O mnie? Nie, nie wiem.

— Powiedziała, że widziała kamerę tu za zasłonką. — Amanda wskazała płachtę w baticowy wzór, za którą znajdowała się szafka z lekarstwami, leżanka i zlew. — Powiedziała, że ma pani tutaj kamerę na statywie i że robi pani zdjęcia małym chłopcom, gdy przychodzą tu na badanie jąder.

— To największy idiotyzm, jaki kiedykolwiek słyszałam. — Pia uniosła się lekko na krześle i usiadła ciężko z powrotem, aż krzesło zaskrzypiało. — Do cholery. Chyba w to nie wierzysz, Amando? — Cichy głos pielęgniarki zapiszczał błagalnie. Jej źrenice rozszerzyły się, a usta ściągnęły w wąski pasek. — Chyba nie wierzysz w te idiotyzmy? To przecież chore.

— Czy sądzi pani, że jej tata się o tym wszystkim dowiedział? O jej kłamstwach? Czytałam w gazecie, że to on ją zabił. Jeśli dowie się, że też w tym uczestniczyłam, że też kłamałam...

— Właśnie podali w wiadomościach, że go wypuścili. — Pia oparła się z powrotem na krześle i przesunęła okulary.

Amanda zbladła. Nagle źle się poczuła.

— W takim razie kto to zrobił?

— Może ten cudzoziemiec? Ten, który uciekł z aresztu. Słyszałam w radiu, że go szukają.

— Boję się. — Amanda skuliła się na krześle i objęła rękami. — I nikt nie chce mi pomóc.

— Zauważyłam. — Pia czuła, jak chłód powodowany jej wzburzeniem, powoli ustępuje. Jak tu przetrwać? Jak poradzić sobie ze złodowaceniem? — Może chcesz się przenieść do innej klasy?

— Nie, nie chodzi o to, że chcę być popularna. To nie to. Chcę tylko być taka jak inni. Tylko tyle. Nie wiem, czy to coś zmieni, jeśli przeniosę się do innej klasy czy szkoły albo jeśli przeprowadzę się do taty. Bez Cecylii jestem nikim.



44

Maria miała nadzieję, że znajdzie godzinę na zakupy świąteczne. Był już najwyższy czas. Podczas weekendu, który spędziła jako sprzedawca na pchlim targu w Våsterplans, zarobiła prawie tysiąc koron. W końcu nie zdecydowała się jednak pozbyć złotych filiżanek, które sprezentowała im teściowa. Kusiło ją to oczywiście, ale ryzyko zdemaskowania było zbyt duże. Wyblakłe plastikowe kwiaty, nieparzyste spodeczki do jajek i dziecięce ubrania rozeszły się natomiast na pniu. W ostatniej chwili Maria zdołała ocalić własną kurtkę, która wylądowała prosto na licytacji. „Pięćdziesiąt koron, więcej nie dam. Już trochę wyszła z mody. Sama pani widzi”. „Jest moja, nie jest na sprzedaż”. „Siedemdziesiąt pięć, to moje ostatnie słowo. Sama pani widzi, jaka jest zniszczona na rękawach”. I wtedy Maria ujrzała ją w innym świetle, gdy tak leżała w bezlitosnym świetle jarzeniówki. Zobaczyła jej marność obnażoną przez przypadkowego przechodnia na sobotnim targu staroci. Lamp z sypialni nikt nie chciał kupić. Musiała zabrać je z powrotem do domu. Sypialnia i bez nich stanowiła ponury widok. Raczej nie dadzą rady wytapetować jej tej zimy. Poza tym posiadanie lamp, za które nikt nie dałby nawet dziesięciu koron, pogłębiło jej żal. W ponurym świetle zatarcia na tapecie stały się bardziej widoczne, jak również to, że odrapana ościeżnica domagała się przemalowania. Krister bronił ze łzami w oczach pokrytej patyną jasnej korony, którą odziedziczył po ojcu. Gdyby nie wpadł we własne sidła i nie odmówił sprzedania przedmiotu, co do czego się wcześniej zgodzili, Maria miałaby teraz w kieszeni kilkaset koron do wydania na prezenty. Ale w tej chwili mogła o tym zapomnieć. Nie było czasu. Usłyszała dobiegający z głośnika komunikat i musiała wyłączyć komputer, spakować rzeczy i zejść na zebranie zwołane w trybie pilnym.

Policzki informatyka płonęły pod wielkimi okularami. Przedstawił się jako Dennis Muhr, jako że nie wszyscy go znali.

— Znalazłem dokumenty, które zniknęły z komputera podczas awarii prądu. Czasami tak się zdarza i jak wiadomo, przysparza to pewnych problemów. Znajdowały się gdzieś

na ziemi niczyjej, straciły łączność z pamięcią. Teraz już to naprawiłem. Ale to nie dlatego was tu wezwałem. Prawdziwą przyczyną jest wiadomość na komputerze Cecilii Ståhl, której chciałbym się bliżej przyjrzeć. Być może to wiadomość od jej mordercy. Hasło do Lunarstorm dostaliśmy od jej koleżanki z klasy, Amandy Myrbacke. Kiedy przyjrzałem się korespondencji, którą prowadziła ofiara, znalazłem wiadomość wysłaną dwudziestego drugiego października, na wieczór przez zabójstwem.

— Wiadomość od mordercy? — Stojący przy wejściu Ek zamknął drzwi i usiadł po prawej stronie Marii.

— Nazwa użytkownika to Yourlove. Wiadomość jest krótka i brzmi następująco: „Spotkajmy się przy budce 30/11 o 23.00”.

— Dorwiemy skurwiela. — Himberg pochylił się nad stołem.

— W ostatnich dniach były trzy awarie prądu. Pierwsza nastąpiła dwudziestego dziewiątego listopada, w dniu, kiedy wysłano wiadomość do Cecilii Ståhl. Z powodu awarii mogła ją odebrać najwcześniej następnego ranka. — Maria studiowała swój kalendarz. — Awaria zaczęła się o wpół do dziesiątej i trwała całą noc aż do piątej rano. Nie objęła jedynie okolic biblioteki.

— Zgadza się. Prąd włączono o czwartej osiemnaście. — Dennis nie potrzebował nawet zerkać do swoich notatek.

— Z pomocą Lunarstorm i Telii<sup>12</sup> ustaliliśmy, że wiadomość została wysłana właśnie z biblioteki.

— O której ją zamykają i kto ma dostęp do kluczy po jej zamknięciu? — Maria zapisała coś w notatniku. — Kristina Henningsson, główna bibliotekarka. Ktoś jeszcze? Może strażnik?

— Zarekwirujemy pozostałe komputery z kawiarenki internetowej. Przyszła mi na myśl Amanda Myrbacke. — Ek wyglądał na poruszonego. Uniósł się lekko. — Amanda siedzi non stop przy komputerze. Wchodzi na Lunarstorm, tak jak większość jej rówieśników, ale teraz mnie to zaniepokoiło. Proponuję, żeby zarekwirować również jej komputer. Pojadę tam teraz, jeśli pozwolicie. — Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, już nie było go w pokoju.

---

<sup>12</sup> Telia — szwedzka firma telekomunikacyjna, operator sieci (przyp. red.).

Świąteczne girlandy w pasażu handlowym rozświetlały ciemną ulicę obok biblioteki, kiedy Hartman i Maria wysiedli z samochodu. Kobieta w grubym czerwonym płaszczu z reklamówką w jednym ręku i małym dzieckiem na drugim minęła ich w drzwiach obrotowych. Himberg i Dennis wysiedli z samochodu niemalże w tym samym momencie i szli w kierunku wejścia. Maria podeszła do informacji.

— Szukam Kristiny Henningsson.

— Wyszła już z pracy.

— Czy wie pani, dokąd poszła? — Maria pokazała jej legitymację, zanim kobieta w recepcji zdążyła ją zbyć.

— Miała wyjechać. Poszła wcześniej do domu, żeby się spakować.

— Wie pani, dokąd się wybierała?

— Za granicę. Kupiła wycieczkę na Wyspy Kanaryjskie, miała chyba jechać ze swoją siostrą. Nie uśmiecha jej się spędzać tutaj samej świąt.

— Rozumiem. — Maria poszukała wzrokiem Hartmana. Zrobił gest w stronę wyjścia. Himberg znosił komputery do samochodu, podczas gdy Dennis stał i udzielał wskazówek nielicznej grupie pracowników biblioteki obserwującej poczynania policji.

— Myślisz, że to ona? — spytał Hartman, gdy jechali w ulewnym deszczu w stronę ulicy Strandgärdet, gdzie mieszkała Kristina Henningsson.

— Ma motyw. Życie za życie. — Maria wpatrywała się w ciemność. Wycieraczki migały szybko po szybie.

— Tak, może. Jej mąż odebrał sobie życie. To Cecilia Ståhl go napiętnowała. To wystarczający motyw. Nigdy nie została oficjalnie o nic posądzona. Nikt niczego nie zgłosił. — Hartman włączył nawiew. Przednia szyba była zaparowana.

— Może to nawet trudniejsze, gdy oskarżenia nie są wyraźnie sformułowane, gdy inicjator nie ma odwagi się ujawnić i wytłumaczyć swoich zarzutów, a plotka krąży i urasta do takich rozmiarów, że wkrótce już nikt nie wie, co jest prawdą i skąd pochodzą informacje. Czasami trudno jest się oprzeć takiej sensacyjnej historii, później odczuwa się pokusę,

żeby opowiedzieć ją innym, może ubarwić trochę, by ukazać siebie w lepszym świetle w wyniku porównania. „Kto wie, może rzeczywiście je obmacywał...” przemienia się potem w „obmacywał je”. Spekulacje zamieniają się w prawdy. Zasiane ziarno kiełkuje. Kiedy czytałaś ostatnio o kimś, kto wygrał sprawę o zniesławienie? — Maria przykręciła odrobinę ogrzewanie i zapięła kurtkę.

— Wygranie takiej sprawy graniczy z niemożliwością. Nie opłaca się nawet próbować. Svante Henningsson nie doszedłby sprawiedliwości. Ale jeśli Kristina jest winna, to Pontus Larsson kłamie. Powiedział, że spędzili noc razem. Opowiadał o tym z dużą niechęcią. Bał się, że ta informacja dotrze do jego byłej żony.

— Masz rację, Tomasiu, pod warunkiem że oboje nie brali udziału w tym morderstwie.

— Dlaczego? Co miałyby skłonić Pontusa Larssona do współudziału w zaplanowanym morderstwie na młodej dziewczynie razem z Kristiną Henningsson? Czy to nie są zbyt daleko idące wnioski?

— Nie wiem — przyznała Maria.

Dopiero po piątym dzwonku usłyszeli odgłos pospiesznych kroków na podłodze w korytarzu. Maria cofnęła się, gdy drzwi otworzyły się z rozmachem. Zdażyli już prawie stracić nadzieję, że ktoś jest w domu.

— Nie mogłam otworzyć w samym staniku i fartuszkach. — Przeprosiła i poprawiła spódnice, przesuwając suwak na lewą stronę. — Zaprosiłam kilka przyjaciółek na obiad i pomyślałam sobie, że któraś przysłała, cholera, za wcześnie, a ja jeszcze nie zdążyłam nawet wejść pod prysznic. Proszę wejść. Zapraszam do kuchni. Muszę pomieszać sos.

Idąc korytarzem i mijając sypialnię, Maria zauważyła leżącą na łóżku otwartą walizkę.

— Wyjeżdża pani?

— Tak, jutro przed południem. Z dala od wszystkich problemów. Czy może mi pani podać ten szpikulec? Muszę sprawdzić, czy ziemniaki się już ugotowały.

Maria zawahała się, trzymając w dłoni ostre narzędzie.

— Kto może dostać się do biblioteki po jej zamknięciu? — spytała.

— Właśnie się zastanawiałam, co was tutaj sprowadza. — Kristina wyciągnęła dłoń i wzięła podany przez Marię szpikulec. — Ja, dwie inne bibliotekarki i sprzątaczką.

— Rut Villman? — Hartman spytał po namyśle. — Rut?

— Tak. — Kristina odcedziła ziemniaki, umieściła papier pod pokrywką i położyła ją z powrotem na garnku.

— W jakich godzinach pracuje? — Maria poczuła, że poci się pod kurtką. W kuchni unosiła się para z kuchenki, gdzie na patelni skwierczał okrągły kawałek mięsa.

— Pracuje dwa wieczory w tygodniu, we wtorki i w piątki.

— Dwudziestego dziewiątego listopada był wtorek. — Hartman otworzył kalendarz w swoim organizerze. — Czy wie pani, czy Rut Villman pracowała jak zwykle dwudziestego dziewiątego listopada?

— Tak. Z tego, co wiem, ani razu nie brała zwolnienia. Nawet obłożnie chora potrafi dowlec się do pracy. Raz miała grypę żołądkową, ale stwierdziła, że to nie problem, skoro toaleta jest tak blisko. Gdy ma gorączkę, bierze lek przeciwgorączkowy. To ten gatunek człowieka.

— Gdzie ona teraz może być? — Hartman spojrzał pytająco na Kristinę.

— O tej porze powinna być w domu. Rune powiedział, że załatwiliście im mieszkanie w centrum miasta. Nie podobało mu się to. Perorował do mnie kilka razy o tym, jakie to straszne, gdy trzeba przenosić wszystkie rzeczy. Ktoś dzwoni do drzwi. To pewnie Gunilla. To ona zazwyczaj przychodzi jako pierwsza. Myślę, że jeśli zapraszam na szóstą, to nieelegancko jest pojawiać się kwadrans wcześniej.

45

Amanda walczyła z pianką do włosów i lokówką. Spryskiwała fryzurę sprejem, tapirowała włosy i z niezadowoleniem obserwowała efekt swoich zabiegów. Ruda czupryna była płaska i żalosna, a twarz przypominała maskę. Dzięki warstwom kremu brązującego i pudru udało jej się ukryć naturalne świecenie skóry. Eva miała balsam z brokatem. Amanda pomyślała, że może ożywi on trochę jej dzieło. Zajrzała więc do osobistej szuflady matki, nabrała trochę kremu na palce i wtarła go w kości policzkowe. Razem z balsamem start się podkład, zostawiając po sobie białe plamy. Amanda wydała z siebie jęk i pobiegła do toalety, by rozpocząć zabiegi od nowa. Zmyła z siebie wszystko, wytarła się do czerwoności ręcznikiem i precyzyjnym ruchem nałożyła nową porcję kremu koloryzującego na całą twarz i szyję. Przy nasadzie włosów roztarła krawędzie ręcznikiem, stosując się do wskazówek, które wcześniej przeczytała w jakimś kobiecym tygodniku. Śliwka pod okiem żółkła, tak jak przepowiedziała matka, ale nadal prześwitywała. *Shit!* Zawsze musi mieć takiego pecha. Przebarwienie nad górną powieką można przykryć cieniem, ale siniec pod okiem był nie do zakamuflowania. Jednak ostateczny rezultat okazał się nie taki zły. Była gotowa, by świat padł do jej stóp. Wojna chemiczna, jak mawiała Eva, malując się przed wyprawą na łowy w klubie Park.

Wybór ubrania stanowił długą procedurę. Żaden zestaw nie mógł zostać pominięty przy mierzeniu i ocenie: luzacko czy kobieco? Srebrny top matki i krótka skórzana kurtka spełniały oba te warunki. Top okazał się nieco zbyt szeroki w ramionach. Amanda musiała odciąć nadmiar materiału i później zszyć go na nowo. Eva na pewno będzie wściekła, gdy to odkryje, ale cel uświęca środki. Tak właściwie to nie wiadomo, czy go jeszcze zobaczy. Mógł zostać skradziony w pralni. Takie rzeczy się zdarzają. Krótka spódniczka wisiała na dziewczęcych biodrach, obnażając pępek, do którego Amanda rano dokleiła perłę klejem uniwersalnym do papieru, drewna, materiału i plastiku. Dotknęła go ostrożnie. Zajebisty.

Choć czuła lekkie swędzenie. Gdyby pozwolono jej na przekłucie pępka, życie stałoby się prostsze, ale potrzeba jest matką wynalazku.

Amanda wbiła się w wiązane botki na obcasie, należące do matki, i otworzyła drzwi wejściowe. Czuła, jak podniecenie płynie w żyłach jak szampan i jak jego bąbelki wywołują u niej chichot. Wkrótce stanie twarzą w twarz z Mr Yourlove. Tym, który ją odkrył, tym, który dostrzegł to, czego nikt wcześniej nie widział. Że jest piękna. „Masz taką ciekawą urodę” — tak napisał.

Sąsiad z dołu znowu odkurzał. Zza szpary na listy usłyszała ostrzegawcze warczenie psa, gdy mijala drzwi piętro niżej, w drodze ku sławie i bogactwie. Wieczór był zimny, a niebo bezgwiezdne. Chłód przenikał ubranie, wślizgiwał się w nieco przymałe botki i owiewał goły brzuch. Minęło trochę czasu, zanim nadszedł autobus. Amanda wyszła z domu w stosownym czasie, a wieczorny kurs jak zwykle się opóźniał. Poczowała uderzenie mroźnego wiatru, szczypały ją płatki uszu i policzki. Zaczęła podskakiwać, żeby przyspieszyć krążenie w obolałych palcach u nóg, gdy w oddali jak dżin z butelki wyłonił się autobus w kłębach spalin. Wybawiona w końcu ze szponów piekielnego mrozu samojedów, Amanda trzęsącą się dłonią wręczyła kierowcy drobniaki i próbowała po raz ostatni przejrzeć się we wstecznym lusterku. Policzki miała zaczerwienione. Oczy błyszczące. A jednak była taka ładna. Amanda uśmiechnęła się do swojego odbicia. *Yes!* Będzie dobrze. Gdy autobus ruszył, odwróciła się, szukając wolnego miejsca. Na samym tyle siedziała grupa dziewiątoklasistów, wybierających się na świetlicowe przyjęcia w mieście. Mówili niskim, prawie dorosłym głosem. Jedna z dziewczyn histerycznie się śmiała. Dostrzegła wolne miejsce obok nich, ale bała się tam usiąść. Szukała wzrokiem miejsca, gdzie mogłaby się zaszyć i zebrać myśli przed wielkim wydarzeniem, które ją czekało. Autobus wygramolił się ze śniegu na przystanku. Głupio było tak stać, gdy były wolne miejsca. Tam. No nie! Poważna twarz dyrektora Monteliusa zwrócona była ku współpasażerowi. Amanda odwróciła się. W ciemnym odbiciu szyby mogła przyglądać się mu ukradkiem. Nie dostrzegł jej, całkowicie pochłonięty dyskusją z siedzącym obok mężczyzną. Amanda wbiła się w wolne siedzenie za nimi, starając się nie rzucać w oczy. *Shit!* Brak innych miejsc. Ale przyjemnie było znaleźć się znowu w ciepłe. Przyłgnęła do grzejnika, aż poczuła pieczenie na łydce pod nylonowymi rajstopami.

— Dam sobie, cholera, rękę uciąć, że zrobił to ten cudzoziemiec. — Montelius przeciągnął dłonią przez przeredzone, wilgotne włosy. — Najpierw uczestniczyli w wojnie, a teraz, gdy tu przyjeżdżają, rozwiązują konflikty z użyciem przemocy. — Dyrektor posłał znaczące spojrzenie w kierunku ciemnowłosego kierowcy autobusu, który uprzejmie czekał, aż starsza pani przeszuka całą torebkę w poszukiwaniu biletu. Wyjąwszy z niej kupony rabatowe, zużyte losy-zdrapki i nieświeżą chusteczkę, w końcu znalazła to, czego szukała.

— Czy to ty próbowałaś ich stamtąd wykurzyć tym podpaleniem? — Głos współpasażera zniżył się do szeptu wydobywającego się z kołnierza jego wielkiego, zimowego futra. Amanda jeszcze bardziej wcisnęła się w siedzenie, nie chciała usłyszeć odpowiedzi.

— Jeśli sądownictwo nie funkcjonuje jak powinno, a tak uważam, pozostaje tylko wziąć sprawy w swoje ręce. Razem z innym koleśkiem wypełniliśmy tylko swój obowiązek.

— Chyba ci, kurwa, odbiło. Przecież to przestępstwo. Umyślne podpalenie, jak napisali w gazecie. Dostaniesz cztery lata, jak cię złapią. Tam były dzieci! Kobiety, dzieci i młodzi mężczyźni. To mogło się cholernie źle skończyć.

— Tak to teraz wygląda. W zeszłym roku zupełnie inaczej śpiewałaś. Mówiłaś, że policja nic, kurwa, nie robi. Trzeba było uciec się do siły. Zaznaczyliśmy teren — syknął Montelius. Amanda zatkała uszy rękami.

— Mnie do tego, cholera, nie mieszaj. — Mężczyzna w kożuchu przysunął się tak blisko okna, jak to było możliwe, wyraźnie dystansując się, również w sensie fizycznym.

— Ty cholerny tchórze, myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie. Ilu chcesz jeszcze utrzymywać z własnej pensji? Jak myślisz, gdzie idą wszystkie nasze pieprzone podatki?

— Między innymi na twoją pensję, żebyś uczył uczniów, jak żyć w pokoju i demokracji. Zupełnie ci odbiło. Puść mnie. Chcę wysiąść.

Montelius wstał dramatycznie powolnym ruchem, by przepuścić swojego towarzysza podróży. Autobus zahamował i odrzuciło go na bok. Amanda modliła się w duchu, by się nie odwracać. Co miałyby ze sobą zrobić, gdzie się ukryć, gdyby ją teraz zobaczył? Dyrektor stał niezdecydowany. Autobus ruszył i Montelius się zachwiał. Amanda miała nadzieję, że wybiegnie z autobusu, by kontynuować rozmowę z mężczyzną w kożuchu. Ale tak się nie stało. Dało się słyszeć donośne westchnienie, gdy opadł z powrotem na siedzenie



i otworzył gazetę. Amanda słyszała, jak ze złością przewraca kartki. Jedna ze stron skleiała się z pozostałymi i porwała.

— Pieprzony zdrajca. Cholerny mięczak!

Na następnym przystanku, przy dworcu autobusowym, Amanda poczekała, aż dyrektor wysiądzie. Odczekała jeszcze chwilę. Przepuściła kobietę z dwójką małych dzieci i dziewiątoklasistów. Spojrzała po raz ostatni we wsteczne lusterko i wyszła w zmierzchu, chwiejąc się w ciasnych butach. Dyrektor stał już przy sklepiku Pressbyrån i kupował hotdog. Widziała, jak guziki jego ciemnego płaszcza połyskują w świetle neonu sklepowego i jak się odwraca. Wyglądał, jakby miał na sobie jakiś paradny mundur, brakowało tylko kapelusza z pióropuszem i broni.

— Amanda Myrbacke! — Bertil Montelius spojrzał prosto na nią i podszedł do niej z ciepłym hotdogiem w dłoni. Jego szczęka była wysunięta, a oczy wyglądały jak wąskie szparki pod krzaczastymi brwiami. Sprzedawca krzyknął za nim, że zapomniał zapłacić. Montelius nie słyszał go. — Chcę z tobą porozmawiać, Amando Myrbacke.

— Nie. — Amanda odwróciła się i pobiegła, potknęła się o kawałek lodu i wykonała w powietrzu proste *salto mortale*, zanim odzyskała równowagę i wyciągnęła rękę, by amortyzować upadek.

— Chodź tu, Amando! Słyszysz, co do ciebie mówię? Natychmiast wracaj!

— Nie. — Drzwi dworca autobusowego otworzyły się i chłopak z wiononczelą próbował się przez nie przecisnąć w tym samym momencie, w którym Amanda usiłowała dostać się do środka. „Pomóż mi!” — chciała powiedzieć, ale słowa pozostały tylko w jej głowie. Kasa biletowa była nieczynna, a drewniane siedzenia w środku świeciły pustkami. Amanda, stukając obcasami, poczłapała do toalety, która okazała się zamknięta. Cholera! Kątem oka widziała, jak czarny płaszcz zbliża się do niej z zawrotną prędkością. Potykając się, pobiegła w kierunku wyjścia, na dwór, gdzie mogła schronić się pod osłoną mroku. Wypadła na parking i ukryła się między dwoma samochodami. Schylona przedostała się do ogrodzenia i znalazła się w strefie second-handów. Tam zatrzymała się z walącym sercem i próbowała złapać oddech. Z ust unosiły się białe obłoczki. Próbowwała oddychać w rękaw kurtki, żeby unosząca się para nie zdradziła jej kryjówki. Język kleił się do suchych dziąseł. Chwyła ręką najwyższą deskę ogrodzenia. Nachyliła się ostrożnie do przodu, by zobaczyć, czy wciąż za nią idzie...

Jego ręka wyłoniła się z ciemności jak czarny wąż.

— Teraz masz się zatrzymać, żebym mógł z tobą porozmawiać. — Jego donośny głos sprawił, że zatoczyła się do tyłu. — Chodź ze mną do samochodu. Podwiozę cię do domu i utniemy sobie krótką pogawędkę. Pogawędkę, która bardzo nam się przyda.

\* \* \*

I wtedy zrobiła coś niepojętego. To, co przed sekundą nie znajdowało się nawet w obrębie jej wyobrażeń, stało się teraz w najwyższym stopniu konkretną rzeczywistością. Było to jakby automatyczne, odruchowe przełączenie w kręgosłupie. Kopnęła go kolaniem w krocze. Amanda Myrbacke kopnęła dyrektora Monteliusa w krocze i zaczęła biec, pobiegła między drzewa w parku, ratując swoje życie. Skomlały odgłos. Dźwięk stawał się coraz cichszy. Nie słyszała za sobą kroków. Zagłuszał je szumiący w uszach wiatr. Zahaczyła rajstopami o wystające gałęzie wierzby płaczącej. Biegła w popłochu dalej, przez zamrznięte kałuże i nierówne podłoże między drzewami. Z dala od latarni ulicznych ukryła się w bladej poświacie księżyca w cieniu drzew. Zimno szczypało w policzki, a wiatr od morza smagał jej ciało z każdym krokiem, gdy kierowała się w kierunku portu i starej hali kupieckiej z kratami w oknach. Pieprzony staruch! Amanda czuła, jak trzęsie się w środku. Prawie zepsuł jej spotkanie z Yourlove. Teraz musiała się spieszyć. Widziała już czerwony budynek z cegły w słabym świetle bijącym od samotnej latarni przy wejściu. Na parkingu nie stał żaden samochód, tak jak sobie to wcześniej wyobrażała. Czuła się trochę zawiedziona. W wyobraźni widziała ogromny sprzęt z kamerami, parasolami, rolowanym tłem, ciężkimi torbami i zespołem współpracowników. Może się spóźniali? Pewnie tak. Wiatr wzmógł się, kiedy mijała fasadę hali. Zrujnował fryzurę, którą tak starannie ułożyła. Włosy opadły na jedną część twarzy, a oczy łzawiły. Amanda wytarła je ostrożnie rękawiczką i zauważyła, że tusz się rozmazał. *Shit!* Mogła poprosić matkę, by pożyczyła jej wodoodporny. Miała go oczywiście w torebce, gdy wybierała się do pracy. Teraz było za późno. Ale jeśli Yourlove zabrał ze sobą makijażystkę, tak jak mówił, to na pewno da się to naprawić. W końcu to profesjonaliści. „Wszystko będzie dobrze — próbowała uspokoić swoje kołaczące serce. — Wszystko będzie dobrze”.

Wystawa sklepu z kapeluszami wyglądała jeszcze bardziej przerażająco, niż ją zapamiętała. Dziewczęca głowa ze sztywnymi lokami z gipsu i odkruszonym nosem leżała z rozpostartymi ramionami przy manekinie mężczyzny. Odrealnione białka ich oczu świeciły w ciemności. Pod nimi rozpościerał się wyblakły zielony aksamit w odcieniu, który już dawno wyszedł z mody. Na głowie mężczyzny widniał znoszony kapelusz myśliwski otoczony wystrzępionym czerwonym puszkim. Może nadgryzły go szczury? A jeśli w środku były szczury? Szczury na wysypisku śmieci mogły być wielkości kota, tak mówiła Cecilia. Wielkie i naprawdę agresywne. Mogły zaatakować... w stadach i gryźć... Nie, nie mogła o tym myśleć, nie teraz. Klamka drzwi była lodowata, mróz, który przebił się przez cienką rękawiczkę do samej krwi, przerodził się w dreszcz, który przeniknął ją aż po same drżące nogi. Amanda wypuszczała z ust maleńkie sygnały dymne. „Yourlove, jestem”. Czuła, że jej wargi są suche i popękane od zimna.

— Halo! Już jestem! — Weszła do środka sklepu i szukała po omacku włącznika światła. Delikatna smuga światła padająca od latarni przy hali kupieckiej wpadała przez okno wystawowe. — Halo! — powtórzyła Amanda.

Brak odpowiedzi. Może pomylił jej się czas albo miejsce? Amanda wydobyła z pamięci wiadomości otrzymane na Lunarstorm co najmniej po raz dwudziesty. Próbując odszukać w ciemności włącznik światła, musnęła dłonią coś miękkiego i lepkiego. Cienkie druty klejące się do palców. Coś pojawiło się nagle przy jej dłoni i zaskrzypiało, gdy nacisnęła. Obrzydliwość! A jeśli to wszystko to tylko bluff? Ta myśl była jak cios w skroń. A jeśli za tym wszystkim stoi Tom, a teraz siedzi w domu i się śmieje, że tak łatwo dała się nabrać? Ta myśl sprawiła, że ponownie łzy napłynęły jej do oczu, więc szybko uszczypnęła się w rękę, żeby odzyskać kontrolę. To oczywiście nieprawda. Nie może się poddać teraz, gdy jest tak blisko. Gdy zostanie Miss Yourlove, już nigdy, przenigdy nie będzie musiała iść do szkoły. Będzie miała prywatnego nauczyciela. Skoro przykopała dyrektorowi w krocze, to nie ma już drogi odwrotu.

W środku było tak samo zimno jak na dworze, więc równie dobrze mogła zaczekać na zewnątrz. Tam przynajmniej świeciła latarnia. Amanda już miała znowu otworzyć drzwi, gdy usłyszała głosy w głębi ciemnego sklepu. Dźwięk pojawił się tak nagle, kilka głosów jednocześnie, jakby otworzyły się drzwi. Wstrzymała oddech i odwróciła się.

— Jestem. Czy ktoś mógłby zapalić światło? — Niewiele widziała w ciemności. Szła po omacku do przodu i zderzyła się z jakąś drewnianą skrzynią albo czymś podobnym. Trochę zabolalo. Teraz słyszała muzykę i śmiech, choć na razie tylko z oddali. Dźwięk nasilił się, gdy otworzyła drzwi do przypominającego magazyn pomieszczenia. Wszędzie wokół piętrzyły się skrzynie. Wyczuwała je palcami. Szorstkie, trochę wilgotne, lepkie drewno. Gęsta ciemność. Poczula na twarzy delikatne muśnięcie czegoś na kształt włóknistej, lepkiej błony. Pajęczyna? Dźwięk poprowadził ją do kolejnych drzwi. Wielkich, ciężkich i lodowatych, żelaznych drzwi z rygłem. Szelest za jej plecami sprawił, że na krótką chwilę znieruchomiła. Wtedy otworzyła drzwi i zrobiła kilka niepewnych kroków, wkraczając w nieznanne miejsce. Głos w ciemności. „Tegoroczny połów śledzi był gorszy, niż się spodziewano...”. Nierzeczywisty głos. Smród stęchlizny, surowego zimna i pleśni.

— Halo! Nie mogę znaleźć wyjścia. Gdzie jesteście? Jest tu kto? Czy możecie zapalić światło? — Wszystko będzie dobrze, wszystko się wyjaśni. — Yourlove? Nie chciałam się spóźnić. Yourlove, jesteś tu?

Usłyszała, jak ciężkie drzwi zamykają się i ktoś je zaryglowuje — odgłosy pochodziły jakby z innego świata. Tych dźwięków nie było w jej świetlistych snach o sukcesie i szczęściu.

— Hej! Wypuście mnie! Pomocy! Na pomoc! Kto tu jest?

Syczący odgłos jakby tysiący węży rozległ się echem pomiędzy betonowymi ścianami. Nowy zapach, dziwnie znajomy, jakby migdałowy. Coraz bardziej odległe kroki. Drzwi się zamknęły. Amanda szła, szukając oparcia przy ścianie, aż natrafiła rękoma na radio, które zwabiło ją w to piekło. Nie było już odwrotu, lzy, złość i uczucie osamotnienia owinęły się wokół jej szyi jak dusząca pętla. Zimno było nie do wytrzymania. Amanda ugryzła się w dąsło policzka, aż poczuła w ustach smak krwi, okrążyła jeszcze raz pomieszczenie trzymając się ściany, by po raz kolejny przekonać się, że były tu tylko jedne drzwi. Zaryglowane od zewnętrznej strony.

— Wypuście mnie. Proszę. Zamarznę tu.

Syczący dźwięk współbrzmiał z radosnymi dźwiękami programu muzycznego w radiu. Wydawało się, jakby dobiegał gdzieś znad futryny drzwi. Amanda odnalazła po omacku skrzynię przy przeciwległej ścianie i przytargała ją do drzwi. Wspięła się po niej na trzęsących nogach, zdjęła rękawiczki i gołymi rękami wyczuła futrynę nad drzwiami. Wystawał

z niej sztywny, wąski gumowy sznur. Czy to gaz? Amanda słyszała, jak Eva rozmawiała przez telefon z babcią późnym wieczorem, sądząc, że córka już śpi. Cecilia została zagoniona cyjanowodorem. Tak powiedzieli w wieczornych wiadomościach. Amanda wypchnęła wąż skostniałymi palcami tak mocno, jak tylko potrafiła. Trudno jej się oddychało. Tak trudno było wydychać powietrze z płuc.

## 46

Na pogrzebie Henningssona obecne były tylko cztery osoby, wyłączając pastora i przedsiębiorcę pogrzebowego. Byli to: żona Kristina, szwagierka Emma Björkegren, Rut Villman, a także Rune. Pogrzeb w ciszy. Svante leżał w otwartej trumnie. Zakład pogrzebowy odradzał taką aranżację, ale gdy życzenie zostało podtrzymane, pozostało mu tylko postarać się, by uczynić widok możliwe znośnym dla najbliższych. Ciało nie zdążyło okrzepnąć. Skóra nie była jeszcze zmacerowana, ale rany powstałe na skutek zimna i wykrzywiona szczęka sprawiły, że twarz nabrała groteskowego wyrazu. Stali i przyglądali mu się, otoczonemu morzem kwiatów. Wyrzuty sumienia sprawiają, że sięga się głęboko do portfela. Największy wieniec pochodził od kolegów z pracy, białe róże, białe lilie i frezja przystrojona grubą jedwabną tasiemką oraz tekstem ze złotych liter. „Odpoczywaj w pokoju”. „Każdy z tych kwiatów, darowany ze szczerego serca, mógłby przesądzić o jego życiu i śmierci, gdy leżał chory” — pomyślała Rut, wracając ze sklepu z kapeluszami Ekegrenów.

Obserwowała z bliska, jak Svante Henningsson przemienia się z nauczyciela z wizją w kompletny wrak człowieka. Coraz częściej wycofywał się w jak najdalszy róg kawiarni szkolnej, gdzie Rut często przesiadywała. Siedzieli tam razem niewidoczni dla reszty. Jego ręce trzęsły się tak niezdarnie, kiedy podawał jej swój kubek. Nalewała, nie pytając. Rozumiała, że na razie słowa są dla niego zbyt trudne do wypowiedzenia. Porozumiewali się gestami. Słowa ucichły. Zgaszone z braku tlenu, kiedy odebrano mu prawo głosu w pokoju nauczycielskim. Jego ciało skurczyło się, jego wzrok spuszczonej do wysokości pępka. To były pierwsze objawy śmiertelnej choroby, którą został dotknięty. Przemarznięcie. Powodem były plotki. Żarty w jego obecności stawały się coraz bardziej gruboskórne. Zapadająca szybko cisza, gdy przekraczał próg pokoju nauczycielskiego, była wystarczająco wymowna. „Czy można kogoś zabić w bardziej okrutny i wyszukany sposób, niż zmuszając

go do odebrania sobie życia? Czy była możliwość odwrotu?” — pytała samą siebie Rut. Jeśli tak, to czy Svante tego nie dostrzegął? Sam wykonał ostatni krok nad przepaścią.

Dokładnie w tej samej chwili, gdy Rut zobaczyła jego wykrzywioną twarz wśród kwiatów, ta przerażająca myśli uderzyła ją nagle jak cios wymierzony w sam splot słoneczny. Szkolna solidarność sprawi, że pojawią się kolejne ofiary. Pracując od ponad czterdziestu lat jako sprzątaczką, zdążyła przeanalizować wszystkie warianty grupowych interakcji. Kto miał być następny? Apetyt bestii i głód krwi ofiary nie został zaspokojony, metoda polegająca na trzymaniu się kozła ofiarnego była bardzo skuteczna. Miała wiele zalet, gdy chodziło o odciążenie uwagi od prawdziwego problemu. Pielęgniarka Pia, która była na dobrej drodze do wykluczenia towarzyskiego, została na powrót przyjęta do grona kolegów. Nagle okazało się, że można się przesunąć, i znalazło się dla niej więcej miejsca przy dużym, okrągłym stole. Dostała szafkę obok innych i klucz do głównego wejścia. Przynajmniej do czasu, gdy karmiła ich interesującymi nowinkami o nauczycielu WF. Sugestie córki pastora pojawiły się w najbardziej odpowiednim momencie. Gdy przesłuchania stały się nazbyt konkretne, pielęgniarka mogła zasłonić się obowiązującą ją zasadą poufności. A następna ofiara? Kto miał być kolejną ofiarą? Czy to nie było oczywiste? Rune.

Wystarczyło poczekać na sygnał do działania. Słowa Cecilii sprawiały, że Rut zbierało się na mdłości, kiedy szorowała podłogę w korytarzu przy toalecie w auli w czasie pokazu filmowego. Rune ściągający spodnie i pokazujący tyłek? Co za obrzydliwe kłamstwo. O mało nie zdiełała dziewczuchy po głowie. Ale zdołała się opamiętać. Co stałoby się z Runem, gdyby oskarżyli ją o pobicie? Gdyby wyrzucili ją z pracy i opieka społeczna, która ani trochę nie rozumiała jego potrzeb, stałaby się za niego odpowiedzialna? Umarłby ze strachu. Zamiast uderzyć dziewczynę, uciekła się do planu, który narodził się w jej głowie, gdy zmuszona była zaradzić niebezpieczeństwu. Rune nigdy nie obroniłby się przed oskarżeniami Cecilii. Wtedy jeszcze nie zdążyły się rozprzestrzenić, był jeszcze czas na szybkie i ostateczne rozwiązanie. Wszystko zostało obmyślane i przygotowane. Teraz była kolej na Yourlove. Rut wymyśliła go, gdy późnymi wieczorami siadywała z Runem przed komputerem, by lepiej zrozumieć jego świat. Okazało się to nie aż tak trudne, jak można by przypuszczać. Rune był niezmordowany jako nauczyciel. Na wszelki wypadek Rut postanowiła dla swoich celów używać komputera w bibliotece. Yourlove zyskał większe zaufanie, niż mogła to sobie wyobrazić w najśmielszych fantazjach. Cecilia dzieliła z nim swoje najgłębsze sekrety, niczego się nie domyślając. Sekretne zakochanie. „Czy to ty, Malaki? Tak, mój

kochany”. Spotkanie. Była zdumiona tym, jak proste się to okazało. Umieszczenie fletu w małym pokoiku w piwnicy pastora też nie przysporzyło większych trudności. Po prostu wsunęła go z powrotem do kieszeni kurtki Malakiego, by spokojnie czekał tam na odkrycie przez kogoś. To niepojęte, że pastor nie miał wystarczająco dużo rozumu, żeby zamykać drzwi wejściowe na klucz. O swój dom również nie dbali, dywanów z pewnością nie wie-  
trzano i nie trzepano od wieków, zasłonki były zakurzone, okna zabłocone, a poduszki na sofie poplamione. Fuj, co za niechlujstwo. Cały dom tonął w brudzie. Rut pławiła się w tych myślach, aby przeważyć szalę po stronie kary i zemsty. W przeciwnym razie myśl o tym, że Johannes był jedynym człowiekiem, który traktował Runego poważnie i go słuchał, sta-  
łaby się zbyt trudna i bolesna.

Rut splunęła na drogę, gdy przejeżdżała rowerem przez rondo. Poczowała gulę w gardle na myśl o dziewczynce zamkniętej w sklepiku przy porcie. Próbowała skupić myśli wokół tego, co musiała teraz robić. Uwięzienie Amandy Myrbacke było koniecznością. Rut próbo-  
wała znieczulić gryzące ją wyrzuty sumienia myślą, że nie potrwa to długo. Im szybszy oddech, tym szybciej trucizna ją zabije. Oddech przerażonej osoby jest przyspieszony. Poza tym dziewczynka na pewno miała zadyszkę po szybkim marszu.

Rut nigdy nie przypuszczałyby, że zawartość znalezionej przez nią skrzyni z przedmio-  
tami ojca z czasów końca drugiej wojny światowej kiedykolwiek się do czegoś przyda. Sta-  
ła na strychu od dawna, razem z mundurem, fotografiami i mapami. Na samą myśl o tym, co to było i do czego można było tego użyć, zadrzała na całym ciele. Jej ojciec, ciepły, czuły psychiatra dziecięcy miał też swoją drugą twarz. Kata. Ile dzieci, odstających od reszty jak Rune, wysłano na „specjalną terapię” w komorze gazowej — to nigdy nie stało się przedmiotem oficjalnego dochodzenia. Zbyt wielu lekarzy było w to zamieszanych. Za-  
trzymanie wszystkich winnych oznaczałoby pozbawienie kraju zbyt wielu kompetentnych specjalistów. Ojca Rut osądziło jednak jego własne sumienie, gdy pogłoski o tego rodzaju praktykach dotarły do opinii publicznej. Wiosną 1946 roku dozorca znalazł go powieszzone-  
go na stropie w mieszkaniu na poddaszu w centrum Berlina. Rodzinę zawiadomiono li-  
stownie. Spuściznę wysłano do domu miesiąc później. Skrzynię wniesiono na strych. Stała zapomniana przez trzydzieści lat do czasu, gdy nagle w ferworze sprzątnięcia Rut podniosła jej wieko. Cyklon B, cyjanowodór, kwas pruski — trucizna niejedno ma imię. Część cieczy znajdowała się w metalowym pojemniku, a część w kapsułkach. Mało brakowało, a wyka-  
zując się ignorancją, otworzyłaby pojemnik; zanim to zrobiła, zdecydowała się jednak uzu-



pełnić braki w swojej wiedzy chemicznej, co pomogło jej w pełnej ocenie tego, co miała w posiadaniu, jak również oszacowaniu potencjalnego ryzyka związanego z jego użyciem.

Rut czuła napływ mdłości, oskarżycielski ton pobrzmiwający w jej głowie. Zeszła z roweru i nachyliła się nad nim. Rozważała inne rozwiązania, ale teraz, gdy Amanda skontaktowała się z pielęgniarką, nie było już wyjścia. Rut stała za kotarą i wszystko słyszała. Nikt nie jest bardziej niewidzialny niż sprzątaczką. Jednak powinny były zauważyć, jak wchodzi do środka. Powinny zwrócić uwagę na to, że ukryła się wewnątrz gabinetu. Czy nie здаwały sobie sprawy z tego, że słyszała słowa Amandy o tym, co Cecilia mówiła na temat Runego? Obrzydliwe kłamstwo! Ale kiedy pierwsza kulka śniegu zaczęła się już toczyć, wkrótce ruszy cała lawina. Pia musiała nakarmić bestię nowym zaufaniem. Amanda będzie nową marionetką Pii. Nie, nikt nie będzie zagrażał bezpieczeństwu Runego. W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone. Bo przecież kochała chłopca. Był jej całym życiem i jego sensem.

W oknie błyszczał świecznik. A w środku w niebieskiej poświacie bijącej od monitora komputera Rut dostrzegła wnuka, pochylonego i na czymś skoncentrowanego. „Obiecałam mojej córce, że się tobą zajmę i zrobiłam to najlepiej, jak tylko potrafiłam. Byłam twoją matką i ojcem, twoją siostrą i twoimi braćmi, towarzyszem zabaw i znajomymi z pracy. Pragnęłam dla ciebie innego życia. Ale nie było ono możliwe. Ponieważ nie ma miejsca dla tych, którzy odstają od innych, dla tych, którzy nie rozumieją skomplikowanych gier międzyludzkich. Oczywiście, że chciałeś być jednym z nich. Ale jak? Każda pogrzebana nadzieja niesie ze sobą ból, który staje się w końcu zbyt wielki, by chcieć nawiązywać kontakt z innymi ludźmi. Zbliżyć się do nich w akceptowalny sposób, bez nieporozumień i konfliktów. Czy ktokolwiek potrafi zrozumieć, jak to jest, gdy żyje się na uboczu i sytuacja ta zaczyna ci doskwierać, a ty nie możesz nic z tym zrobić? Czy choć jeden jedyny człowiek jest w stanie to pojąć?”

Rut włożyła klucz do zamka. Zobaczyła, jak Rune podskakuje w reakcji na dźwięk i odwraca się do niej. „Jaki masz powód, by się uśmiechać, chłopcze?”. Jakie życie mogła mu zapewnić pomimo wszystkich swoich starań? Rut czuła, jak w gardle rośnie jej szloch i tylko skinęła głową, przechodząc korytarzem. Powiesiła płaszcz i kapelusz, zdjęła buty i wełniane skarpety. Radio w kuchni gadało samo do siebie. Stała w drzwiach. Trzymała się mocno futryny, podczas gdy reporter streszczał wydarzenia w szkole w Kronviken. Pożar

w archiwum. Pielęgniarka odwieziona na oddział intensywnej terapii po heroicznej akcji ratowniczej nauczyciela Pontusa Larssona. Stan pielęgniarki jest poważny, ale stabilny. Jest przytomna. Rut czuła, jak adrenalina zaczyna krążyć w jej żyłach i jak dociera do czubków jej płaców. Serce podeszło jej do gardła, biło z oszalałą prędkością, rozsadzając pierś. Czy to już koniec? Rut opadła na krzesło przy stole w kuchni, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czy Pia opowiedziała już im, że zanim usnęła z twarzą na blacie stołu, to właśnie Rut poczęstowała ją kawą? Potem schowała filiżankę do plecaka i zabrała ze sobą do domu. Postanowiła zachować resztki środków usypiających. Butelkę zawierającą łatwopalną ciecz wyrzuciła do ulicznego kosza na śmieci. Ale nie mogła postąpić tak z piękną filiżanką. Zamierzała ją umyć. Była to dobrej jakości porcelana.

Pia miała w zwyczaju zamawiać u niej kawę tonem, który dźwięczał w uszach Rut jakiś czas później. „Postaw filiżankę na stole”. Nie podnosiła wzroku. Nawet nie mówiła już „dziękuję”, od czasu gdy dostała awans i przydzielono jej miejsce przy korycie. Tak jakby to było oczywiste, że woźna ma jej usługiwać. Nadęta zdzira. Rut zdążyła jeszcze powiedzieć jej kilka słów prawdy, zanim tamta odpłynęła na stole ze strużką śliny w kąciku ust. A teraz żyła. Stan był poważny, ale stabilny. Była przytomna. Podniecony głos reportera płynął nieprzerwanie z odbiornika radiowego.

— Kolejne podpalenie wstrząsa zatem mieszkańcami niewielkiego Kronviken. Policja nie komentuje wydarzenia z powodów śledczo-technicznych. Mówi z rezerwą o obserwacjach poczynionych na miejscu zdarzenia. Czy to możliwe, że to ten sam sprawca?

Rut poruszała dłońmi na kolanach. To zatem tylko kwestia czasu, zanim pojawi się tu policja. Jak mogła być tak nieostrożna, by wyrzucić z siebie wszystko przed tą kobietą? Choć sprawiło jej to oczywiście dużą satysfakcję. Jeden jedyny raz w życiu dała upust wszystkiemu, co wyżerało ją od środka i upokarzało. Pielęgniarka siedziała z otwartymi ustami, nie mówiąc ani słowa. Później próbowała wstać, ale już nie dała rady.

Dłonie Rut wiły się w mękach na jej kolanach. Kręciła podniszczoną obrączką na chudym palcu. Dlaczego nie wlała po prostu kwasu do kawy? Myśli trzepotały w głowie jak zagubione ptaki. Dlaczego? W pewnym momencie utwierdziła się w przekonaniu, że musi za wszelką cenę ocalić Runego. Środki nasenne i ogień, który zniszczyć miał wszystkie notatki w archiwum, wydawały się sensownym rozwiązaniem. W pewnym sensie odpowiedzialność za jej czyny nie spocznie tylko na niej samej, lecz po części wyniknie z przypadku.

Najtrudniejsza była oczywiście decyzja dotycząca Amandy. Im lepiej poznawały się, korespondując ze sobą w Internecie, tym trudniej było Rut zdecydować się na ostateczny krok. Amanda była inna niż Cecilia. Sprawę kradzieży, której Rut stała się przypadkowym świadkiem w domu towarowym, dziewczynka załatwiła ze stanowczą uczciwością. Natomiast po śmierci Cecylii na jaw wyszło jej prawdziwe oblicze wrażliwej i samotnej nastolatki. Rut z bliska obserwowała, jak Amanda usuwa się w cień, wyłączona z grona znajomych, gdy nie było już przy niej Cecylii. Na początku Rut pomyślała, że dziewczyna ma za swoje. I wtedy wydarzył się incydent z eleganckimi skórzanym rękawiczkami, które ktoś wrzucił do sedesu. To przywołało wspomnienie z czasów szkolnych Runego, gdy wrócił do domu w obskanej kurtce. Mógłby chodzić do normalnej klasy, ale wybrał szkołę specjalną, by uwolnić się od swoich dręczycieli. Gdy tylko pojawiały się nieprzewidziane okoliczności, z trudem dawał sobie radę. Długie godziny wyczerpujących rozmów z nauczycielami, rodzicami, próba wytłumaczenia tego, czego nie dało się wytłumaczyć. Nie było nikogo, z kim mogłaby się tym podzielić.

Czy to już koniec? Rut, nie wiedząc, co zrobić z rękami, złapała konewkę. Liście skrzydłokwiatu opadły, a zwrotnica całkowicie wyschła. Oderwała kilka suchych listków z wilczomlecza. Konewka wypadła jej z trzęsących się dłoni. Nie podniosła jej, widziała jak wycieka z niej woda, tworząc kałużę na parkiecie, i płynie dalej strużką po lekko pochyłej podłodze, by wsiąknąć we własnoręcznie wykonany dywanik. Jeśli pielęgniarka opowiedziała już policji, co się wydarzyło, to śmierć Amandy będzie niepotrzebna. Myśl ta zakorzeniła się w głowie i zaczęła się rozrastać, wyparła wszystkie inne myśli, uwierała i uporczywie trapiła. Tam przebiegała granica. Tak jakby duszona przez lata nienawiść wyeksploatowała się w akcie zemsty na pielęgniarce. Pozostało tylko wielkie zmęczenie. Śmierć Amandy nie była już konieczna. Czy można ją jeszcze uratować? Wyłączyć gaz i otworzyć drzwi? Czy to możliwe, żeby nadal żyła? Rut wyjęła z kieszeni fartucha kartkę z numerem telefonu do Marii Wern — policjantki, która wcześniej siedziała tu w kuchni i słuchała jej, jakby była jej starym, dobrym przyjacielem. Czy zrozumie? Może. Czy wszyscy nie powinni zrozumieć, że babcia nie cofnie się przed niczym, by chronić swojego wnuka? Rut, targana dreszczami, podniosła słuchawkę. Upuściła ją i ponownie podniosła. Damski głos, dochodzący z oddali, a jednocześnie tak niesamowicie bliski. To już się stało. Nie było odwrotu. Godziny jej życia zostały policzone. Ale nikt nie odbierze jej Runego, nikt.

— Chodź i usiądź ze mną przy stole, Rune.

— O co chodzi?

— Udamy się teraz razem w daleką podróż. — Rut otworzyła jego dłoń i położyła na niej ampułkę. Pokazała mu, jak ma ją włożyć do ust i rozgryźć ciekłą powłokę. Kiedy osunął się, przytrzymała go w ramionach. Kołysała go jak tysiące już razy przedtem, gdy spotykała go jakaś krzywda. Głaskała dłonią jego sztywne włosy tak długo, aż życie opuściło jego ciało. Nigdy więcej! Nigdy! Następnie rozgryzła swoją ampułkę i ogarnęło ją przemożne uczucie ulgi na myśl o tym, że już nigdy nie będzie musiała brać odpowiedzialności; wypełniła ona jej świadomość, gdy w drgawkach osunęła się w ciemność.

**47**

Pryzmy lodu i ognia przewijały się pod zamkniętymi powiekami, obracały się i uderzały o siebie, aż iskry wybuchały feerią barw. Cecilia śmiała się perłście, a zęby wypadały z jej ust jak białe płatki na twardą ziemię, gdzie czekał wykopany specjalnie dla niej grób. Głęboka czarna dziura. Ze środka wyłoniła się ręka Cecylii. Skóra zaczynała już odchodzić od kości. Złapała Amandę za włosy, a skóra jej palców przylepiła się do głowy jak lep na muchy. „Puść mnie!”. Amanda zataczała się, opadając na skrzynię, którą postawiła przy drzwiach swojego ciemnego więzienia. Przez betonowe ściany przebił się dźwięk grającego saksofonu i uporczywe buczenie bąka. Straciła czucie w palcach. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Fala ognia z pryzm wybuchła płomieniem i wdzierała się pod skórę. Paliała i wrzała. Amanda zatoczyła się i upadła na podłogę. Ciepło było nie do wytrzymania. Niezgrabnym ruchem zdjęła z siebie rękawiczki i kurtkę. Zrzuciła buty, skarpetki i spodnie. Czują, jakby materiał wyżerał jej skórę. Panował zaduch, brakowało powietrza. Odruchowe wzdrygnięcie przeszło jej ciało, później jeszcze raz. Cecilia tańczyła w migających przed oczami obrazach, jakby w świetle stroboskopu. Czarna dziura otoczona wieńcami kwiatów czekała na nią. Basen z czarną lodowatą wodą, ostatni dotyk płomienia. Zwęglenie. Amanda pomyślała, że właściwie nie ma różnicy między ciepłem i zimnem. Oba podobnie parzą skórę. Ciało zeszywniało w kolejnym skurczu. „Pomocy!”. To tylko myśl. Usta były jak zagipsowane, a wokół tańczyły fosforyzujące białka oczu.

Maria Wern trzymała telefon tak kurczowo, aż zbieleły jej kostki. Ile czasu trwa śmierć przez uduszenie w pomieszczeniu wypełnionym cyjanowodorem? To zależy od stężenia, wielkości pomieszczenia i pojemności płuc. Maria zawróciła samochód i docisnęła gaz do dechy, wepchnęła się przed autobus na rondzie, kierując się w stronę portu. Kierowca zatrząbił, pokazał środkowy palec, ale nie miała czasu, by się tym przejąć. Gdy wyjechała na prostą drogę, wybrała numer Hartmana na komórce i naświetliła sytuację. Przez krótki moment poczuła wdzięczność za szybki refleks kolegi i zrozumienie sytuacji. W ciągu kilku

minut reszta będzie na miejscu. Maria przeklinała swój zardzewiały samochód, poczuła, jak kierownica zatrzęsała się, gdy docisnęła do 110 i wyprzedziła telepiącego się na poboczu fiata.

Rut Villman — kto by pomyślał, że to ona? Zastanawiając się nad możliwymi motywami, nie pomyśleli o najbardziej pierwotnym i prymitywnym z nich. Instynkcie chronienia potomstwa. „Zabiłabym tego, kto ruszyłby Emilię” — powiedziała Karin, trzymając dłoń na kołysce swojego dziecka, kiedy rozmawiały o pedofilach. Solidarność społeczna wywodzi się z tego samego źródła, troski o swoich, gdy nie można liczyć na pomoc z zewnątrz. Co się z nami stanie, skoro nie możemy już liczyć na sprawnie funkcjonujący wymiar sprawiedliwości? Jeśli przestaniemy być lojalni wobec najbardziej zagrożonych?

Maria Wern zahamowała, wypadła z samochodu i przebiegła ostatni kawałek od parkingu, minawszy halę kupiecką, potem dalej w stronę budek rzemieślników i starego, zlikwidowanego sklepu z kapeluszami. Słyszała za plecami inne samochody nadjeżdżające do portu. Lodowaty wiatr mierzwił jej włosy. W świetle stojącej samotnie latarni znalazła drzwi po południowej stronie sklepu. Były lekko uchylone. W środku słychać było cichy, piszczący dźwięk. Rutynowym ruchem musnęła dłonią kaburę pistoletu. Wzięła głęboki wdech. Przesunęła dłonią po szorstkiej powierzchni lady. Szukając po omacku światła, poczuła dłonią zimną stal kasy i wilgotną szmatkę, która musiała wcześniej pełnić funkcję zasłonki. Włącznik nie działał. Powinna była wziąć ze sobą latarkę. Leżała na tylnym siedzeniu samochodu.

— Amando, jesteś tu? Słyszysz mnie, Amando? — W ciemności, jaka panowała, Maria mogła łatwo paść ofiarą tego, kto stanąłby na jej drodze. Zdała sobie z tego sprawę, ale nie mogła marnować cennego czasu na środki ostrożności.

— Amando!

Usłyszała dźwięk, jakby ktoś wdmuchiwał powietrze do pustej butelki. Odbijał się uprzączym echem w opustoszałej przestrzeni między kamiennymi ścianami. Maria torowała sobie po ciemku drogę, zbliżając się do dźwięku, który stawał się powoli coraz głośniejszy. Z oddali usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Ek i Hartman mieli przynieść ze sobą latarki. Chropowata cementowa ściana kończyła się zimnym metalem. Zaryglowane drzwi. Maria przesuwała dłońmi wzdłuż jednej krawędzi, by znaleźć uchwyt. Cholera! Kłódka! To może potrwać.

— Amando, jesteś tam? — Przytknęła ucho do zimnych drzwi. Odgłos szurania. I wyraźny męski głos podający godzinę i czytający wiadomości.

— Amando!

Dziwny migdałowy zapach przedarł się przez chłód. Maria zaczęła szarpać kłódką i odkryła ze zdziwieniem, że nie jest zamknięta. Niekonsekwencja w doprowadzeniu sprawy do końca? Rygiel spadł na podłogę. Otworzyła drzwi. Nic nie widziała w ciemności, musiała więc polegać jedynie na swoim wyczuciu. Migdałowy zapach był tu bardziej intensywny. Ukucnęła i macała podłogę kawałek po kawałku, aż natrafiła na zimną skórę. Dłoń, ręka, twarz. Nachyliła się, by podnieść ciało. Czuła, jak kończy się powietrze i rośnie ciśnienie w jej klatce piersiowej.

— Amando, słyszysz mnie? — Nikt nie odpowiedział. Gdyby tylko Arvidsson tu był. Wiedziałby najlepiej, co trzeba zrobić. Maria wygramoliła się z pomieszczenia, dźwigając ze sobą ciało. W słabe światło latarni świecącej przez okno. Brakowało jej tlenu. Starła się z całych sił, ale była zmuszona odłożyć ciało z powrotem na podłogę. Sama upadła na twarz, lądując na lodowatej, brudnej posadzce. Brakowało powietrza, kręciło jej się w głowie. Nie miała już siły. Powinni tu zaraz być. Maria podciągnęła się na łokciu, pochyliła się nad Amandą i przystawiła ucho do jej ust, by sprawdzić, czy oddycha. Próbowała ją znów podnieść, ale nie zdołała. Usłyszała głosy przy drzwiach.

— Tu jesteśmy. Znalazłam ją — wychrypiała.

— Żyje? — Pojawiło się światło i rozległ się towarzyszący mu głos.

— Nie wiem. — Maria próbowała wstać. Ucisk w piersi zmniejszył się trochę.

— Karetka jest w drodze. Będzie tu za chwilę. — Hartman okrył wątle ciało dziewczynki swoją skórzaną kurtką i podniósł je.

— To gaz. Cyjanowodór. Tak powiedziała Rut. — Maria popatrzyła na twarz dziewczynki i pokiwała głową. Hartman próbował wyczuć palcami puls na tętnicy szyjnej dziewczynki.

— Czuję słaby puls.

— Dyrektor podpalił... to dyrektor podpalił — Głos Amandy był ledwie szeptem. W tej samej chwili zobaczyli za magazynem portowym migające niebieskie światło karetki.

48

— Nadzwyczaj udane święta. Powąchaj glögga, Mario. — Krister wyciągnął z koszyka zieloną butelkę i postawił ją na szafce przy łóżku Marii. — Dokładnie trzydzieści siedem stopni, dopilnowałem, ma idealną temperaturę dzięki urządzeniu do podgrzewania kaszy na oddziale dziecięcym. Jak długo musisz mieć ten przewód w nosie?

— To tlen. — Maria usiadła na łóżku i rozejrzała się półprzytomnie po obcym szpitalnym otoczeniu. W pokoju było ciemno, ale słabe światło sączyło się z korytarza. — Co robisz tu w środku nocy? W białym fartuchu.

— Musiałem chyba życzyć mojej żonie wesołych świąt. — Nachylił się nad nią i ją pocałował.

— Co się właściwie stało z tym uchodźcą, Malakim? Złapali go?

— Nie, ale pastor dostał od niego wczoraj kartkę. Jest w Anglii.

— A co z pielęgniarką i dziewczynką?

— Leżą na OIOM-ie, będą żyły. Ale lekarze chcą je poobserwować przez kilka dni. A ty, kiedy wracasz do domu?

— W pierwszy dzień świąt, chyba. Gdzie dzieci?

— Są u mamy. Wziąłem kilka prezentów dla ciebie. Dasz radę je teraz otworzyć? — Nagle do sali wlało się światło latarki. Krister rozejrzał się szybko wokół, zrobił unik i wślizgnął się do łóżka, Ignąc ciałem do żony. Maria poprawiła się na pościeli. Strumień światła z latarki padł na jej twarz i wrócił na korytarz. Kroki się oddaliły.

— Jeśli jest coś od ciebie, to chcę to otworzyć.

— Jest. — Krister wyciągnął z kieszeni na piersi kopertę. Maria rozerwała ją palcami i odczytała cicho list, a jej twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.



— A więc chcesz to zrobić? Chcesz studiować? Zasiąść w szkolnej ławie, po tym jak stałeś po drugiej stronie przez piętnaście lat?

— Najlepsze jest to, że to kursy internetowe. Będę dostawał pensję w czasie, gdy będę się kształcił na operatora CNS. Przemysł potrzebuje na gwałt ludzi.

— Super. A co dostałam od mamy? Zegarek czy torebkę?

— Torebkę, tak mi się wydaje. Dzwonił też Majonez i życzył wesołych świąt.

— Aha. Czy Jonna ulitowała się nad nim? Gdzie spędza święta?

— W twojej pracy.

— Chyba nie w areszcie?

— Właśnie tam. Pojechał do Hamburga swoim vanem i wypełnił go po brzegi whisky Statsman. Kosztuje czterdzieści koron za butelkę, do każdego baku wchodzi dwanaście butelek, później sprzedałby jedną za sto pięćdziesiąt. Na skrzynkę przypada zysk rzędu tysiąca koron. Cały samochód miał wypakowany i może udałoby mu się przejść pomyślnie kontrolę celną, gdyby nie fakt, że był tak cholernie zdenerwowany, iż wcześniej otworzył jedną z butelek, by ukoić nerwy. Później wystarczyło tylko, że pogadał sobie chwilę, zionąc alkoholowymi oparami, i wpadł.

— Krister, chcę, żebyś mi coś wyznał. Ale szczerze. Zupełnie szczerze.

— Czy nie możemy sobie po prostu wypić glögga i spędzić miło czas?

— Gdybym nie musiała pracować po godzinach przy tym dochodzeniu w sprawie morderstwa, czy pojechałbyś z Majonezem do Hamburga?

Przez ułamek sekundy Krister Wern był wewnętrznie rozdarty. Okłamać żonę w Wigilię? Nie! Powiedzieć prosto z mostu całą prawdę?

— Tak, być może.

— Przestań! Chcę usłyszeć prawdę.

— Zarobiliśmybyśmy dziesięć tysięcy na czysto. Co to byłyby za święta, Mario! Muszę przyznać, że kusilo mnie to. Ale honor mojej żony policjantki jest wart więcej. Czy możesz uznać to za swój prezent świąteczny?

— Nie można chyba uznać za prezent czegoś, czego się nie zrobiło. Czy to, że nie przeprowadziłam się do komuny nierozumianych przez społeczeństwo artystów, zostawiając ci na głowie dzieci, może wystarczyć ci za prezent świąteczny?

— Czy to jest to, co chcesz robić? Malować?

— Tak, chciałabym znaleźć czas na malowanie.

— W takim razie urządzę ci na strychu atelier. Może nie od razu uda się tam stworzyć ciepłe gniazdko, ale można zacząć od podłogi i pomalowania ścian na biało. Można by pomyśleć o oknie w dachu. Majonez zna faceta, który może zrobić to w korzystnej cenie.

— Udam, że nie dosłyszałam tych ostatnich słów.